

MROŻĄCA KREW W ŻYŁACH
POWIEŚĆ MISTRZA FRANCUSKIEGO
THRILLERA



FRANCK
THILLIEZ

MANUSKRYPT
NIEDOKOŃCZONY

CZARNA OWCA

FRANCK THILLIEZ

MANUSKRYPT NIEDOKOŃCZONY

Przełożyła Monika Szewc-Osiecka

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

Przedmowa

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

Przypisy końcowe

Redakcja: Gabriela Niemiec
Korekta: Alicja Laskowska, Maciej Korbański
Projekt okładki: Magda Kuc

Published originally under the title *Le manuscrit inachevé*
© 2018 Fleuvé Éditions, département d'Univers Poche
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022
Copyright © for the Polish translation by Monika Szewc-Osiecka, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-019-4

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

– [...] Bo widzisz, Wilsonie, pomyliliśmy się co do Lupina. Trzeba wrócić do początków.

– A nawet prapoczątków, jeśli to możliwe.

Maurice Leblanc,
*Arsène Lupin kontra Herlock Sholmès*¹

Przedmowa

„Jedno słowo na początek: mieczyk”.

Tak się zaczyna książka mojego ojca Caleba Traskmana. Jej rękopis znalazłem w pudle na strychu: ojciec miał taki paskudny zwyczaj, że wszystko tam składował. Plik kartek formatu A4 od roku leżał w tej rupieciarni, nagrzaney od dachowego okna, przez które tamtego lata wpadało piękne północne światło. Ojciec nigdy nikomu nie zdradził istnienia tego rękopisu; musiał nad nim pracować w swojej ogromnej willi z widokiem na morze, w ciągu tych dziesięciu miesięcy, kiedy moja matka odchodziła w szpitalu, gdzie stopniowo wyniszczała ją choroba Alzheimera.

Powieść – wówczas bez tytułu – była niedokończona. W mojej ocenie jednak do dopełnienia prawie pięciusetstronicowego manuskryptu brakowało zaledwie dziesięciu stron. Niby nic, ale dla gatunku literackiego, którego mój ojciec był jednym z najsłynniejszych przedstawicieli – prawdziwa katastrofa. Thrillery Caleba Traskmana wywoływały dreszcze u setek tysięcy czytelników, a plik, który trzymałem w dłoni, był bez wątpienia jedną z jego najlepszych powieści. Najbardziej zawiłą, zagmatwaną, przerażającą, jak to tylko możliwe. I jedną z najmroczniejszych. Historia pisarki Léane, kobiety ulepionej z tej samej gliny co mój ojciec, zachwyciła mnie i przypomniałem sobie, jak bardzo jego książki odzwierciedlały jego najgłębsze lęki i najgorsze obsesje. Myślę, że doświadczał spokoju tylko wtedy, gdy przelewał swoje strachy na papier. A strachów jest w tej książce wiele, słowo Traskmana.

Co więc z tym wybitnym zakończeniem? – zapytacie. Co, u diabła, z finałem, w którym wszystko miało się rozwiązać? Dlaczego Caleb Traskman, król intrygi i mistrzowskich rozstrzygnięć, pozostawił nas bez odpowiedzi? Dlaczego nie dokończył swojej siódmej książki?

Byłbym skłonny uwierzyć, że skończył z pisaniem z powodu śmierci matki, porzucił rękopis ze świadomością, że trzy miesiące później strzeli sobie w głowę

z policyjnej broni. Albo że nie wiedział, jak domknąć tę historię. Tak, byłbym gotów w to uwierzyć, gdyby pewne wątki tej powieści nie mówiły czegoś wręcz przeciwnego, gdyby nie sugerowały, że mój ojciec od samego początku wiedział, że jej nie skończy. Tak jakby ów brak zakończenia był integralną częścią intrygi, „tajemnicy Caleba Traskmana”. Jego ostatnim przedśmiertnym popisem.

Czytelnicy o najbardziej kartezyjskich umysłach zapytają jednak, po co się zabierać do pisania książki, która nie ma końca? Po co poświęcać rok życia na budowę domu, jeśli nie zamierza się położyć na nim dachu? Teraz, gdy o tym piszę, pytanie to wciąż jest nierozwiązaną zagadką. Zagadką, która odnosi się raczej do życia prywatnego.

Kiedy Évelyne Laconte, wydawczyni, u której opublikował wszystkie książki, dowiedziała się o istnieniu tego rękopisu, skakała pod sufit. Ale gdy go przeczytała i odkryła, że kończy się on sztuczką pozbawioną ostatecznego efektu, wpadła w głęboką rozpacz. Było nie do pomyślenia, by wydać pośmiertne dzieło Caleba Traskmana bez błyskotliwego zakończenia – choć sądzę, że i tak na książkę rzuciłoby się wielu czytelników.

Nastąpił więc etap szukania rozwiązań, wymiany myśli, by rozwiązać łamigłówkę, którą pozostawił po sobie mój ojciec. Burze mózgów w paryskich biurach trwały kilka tygodni. Na każdym zebraniu siadaliśmy w dziesiątkę wokół stołu, po raz kolejny czytaliśmy rękopis, wgryzaliśmy się w każdą stronę, usiłując zrozumieć, dlaczego Caleb podkreślił palindromy i dlaczego z tej książki emanuje jego obsesja liczb.

W takich chwilach niezrozumienia i zwątpienia patrzyliśmy na siebie bez słowa. Długo walczyliśmy z frazą otwierającą powieść: „Jedno słowo na początek: mieczyk”. Skąd to zdanie? Co ono właściwie oznacza? Wierzcie mi, nie ma dziś w wydawnictwie ani jednego pracownika, który nie wiedziałby, że mieczyk to rybka żyjąca w słodkich tropikalnych wodach, a jej nazwa pochodzi od kształtu płetwy ogonowej. To wiele wyjaśnia, nieprawdaż?

A potem Évelyne, która знаła autora od ponad trzydziestu lat, zaproponowała pewne rozwiązanie. Rozwiązanie przez duże „R”. Wreszcie znalazła klucz, rozgryzła maniackalny mechanizm pokręconego umysłu mojego ojca. W sumie jeśli się dobrze zastanowić, takie zakończenie było oczywiste i już na samym początku (a także na końcu) mieliśmy przed oczami wszystkie jego elementy. Ale na oczywiste rozwiązanie bardzo trudno wpaść, jeśli zostało odpowiednio zakamuflowane; na tym właśnie polegał geniusz Caleba Traskmana.

Trzeba było je napisać. Wtedy wszystkie spojrzenia skierowały się na mnie. Nie mam talentu mojego ojca, ale jako jego godna odrośl kilka lat wcześniej opublikowałem dwa skromne kryminały. Pod koniec tej książki zaznaczyłem miejsce, w którym przejąłem pióro. Zauważycie też, że zostawiliśmy w tekście

podkreślenia autora: dotyczą one kilku słów i innych ważnych elementów intrygi. Macie przed sobą tekst, który ubiegłego lata trafił do moich rąk.

Pozostaje kilka problemów, których podczas pisania zakończenia nie udało nam się rozwikłać i których rozwiązanie musieliśmy znaleźć sami. Trudno odgadnąć, dokąd dokładnie mój ojciec zamierzał dojść i jak chciał zakończyć swoją opowieść. W obliczu luk, których w oryginalnej historii nie dało się wypełnić, musieliśmy arbitralnie podejmować decyzje i dokonywać wyborów – być może autor postąpiłby inaczej. Aby zrozumieć, jak złożone było to zadanie, wyobraźcie sobie, że macie namalować oblicze Giocondzie, która nie ma twarzy. Mam nadzieję, że moje zakończenie mimo wszystko zaspokoi wasze oczekiwania. Zrobiłem wszystko, żeby tak było.

Bo aby rzeczywiście uszanować pracę Caleba i do ostatniego słowa utrzymać ducha tej książki, trzeba było właśnie takiego zakończenia. Jeżeli będziecie uważnie czytać, z pewnością sami odkryjecie rozwiązanie.

Ach, i jeszcze jedno. Zwracam się teraz do najgorliwszych czytelników Caleba, którzy sceptycznie przyjmą już samą przedmowę. Domyślam się waszego sposobu rozumowania: sądzicie, że to, co teraz czytacie, pisze sam Caleb Traskman – rzeczywiście byłby do tego zdolny. Przecież przedmowa należy do historii, a to oznacza, że zakończenie również napisał Caleb, trawestując własny styl. Macie do tego prawo i nigdy nie zdołam udowodnić, że tak nie jest. Ale ostatecznie to bez znaczenia. Powieść to gra iluzji, wszystko jest tak samo prawdą, jak i fałszem, a historia zaczyna istnieć w chwili, gdy ją czytacie.

Książka, której lekturę zamierzacie zacząć (ale czy już jej nie zaczęliście?), nosi tytuł *Niedokończony rękopis*. To mój pomysł. Wszyscy członkowie redakcji go zaakceptowali, bo po prawdzie – nie mieli wyboru.

**CALEB
TRASKMAN**

**MANUSKRYPT
NIEDOKOŃCZONY**

„Jedno słowo na początek: mieczyk”.

Prolog

Styczeń 2014

Zima. Nienasycona, zaciekle, nieustępliwa. Zniechęcała niedzielnych biegaczy i już teraz wymiatała lodowatym skrzydłem wszystkie noworoczne postanowienia. Sarah jednak traktowała te okoliczności jako dodatkową motywację do treningu. Miała nadzieję zabłysnąć w zbliżających się mistrzostwach departamentu w biegach średniodystansowych.

Siedemnastoletnia licealistka o jasnych włosach upchniętych pod niebiesko-zieloną wełnianą czapką, w rękawiczkach do biegania i z ledową opaską na ramieniu, zajrzała do gabinetu.

– Mamuś, wychodzę!

Nikt jej nie odpowiedział. Jej matka pewnym krokiem przemierzała wydmy albo spacerowała brzegiem morza w poszukiwaniu inspiracji do następnej książki. Ojciec, szef pracowni renowacji zabytków, nigdy nie wracał przed dziewiętnastą, a ostatnio nawet przed dwudziestą drugą. Coraz częściej się zdarzało, że rodzice się mijali, ledwie na siebie patrzyli, jedli kolację, siedząc naprzeciwko siebie w milczeniu jak dwie złote rybki. Dlatego Sarah nie zamierzała wychodzić za mąż. Nie była w stanie wytrzymać z jednym facetem przez trzy miesiące – a co dopiero żyć dziewiętnaście lat w jednym akwarium.

Natchnienie stało w pewnej odległości od wydmy wznoszących się nad zatoką Authie, w najdalej wysuniętym na południe punkcie Berck-sur-Mer. Sarah uważała tę nazwę za idiotyczną, ale to właśnie tu, w willi kupionej dziesięć lat wcześniej za niewielkie pieniądze jako ruina – która wtedy nosiła nazwę Róża Wiatrów – jej matka, wówczas nauczycielka, napisała swoją pierwszą głośną powieść. Do budynku położonego trzysta metrów od biało-czerwonej latarni strzegącej wybrzeża prowadziła wybrzuszona asfaltowa droga. Zbudowana w stylu anglonormandzkim willa wyznaczała w pewien sposób koniec królestwa

ludzi i początek królestwa przyrody. Jej jedynymi gośćmi były mewy srebrzyste i śmieszki, które przysiadły wysoko na łupkowym dachu, nieustannie smagany miosącymi piasek wiatrami. Sarah nie znosiła piachu: jak zaraza wciskał się w każdą szczelinę, chłostał okna, brudził samochody.

Zrobiła sobie selfie – z roześmianymi oczami przywodzącymi na myśl dwa jeziora niebieskiego światła – dopisała wiadomość „Poszłam biegać” i wysłała mamie, po czym odłożyła telefon na stół w salonie i wyszła, zamykając drzwi na klucz. Młoda sportsmenka minęła szopę dla żaglowców i ruszyła ścieżką przez wydmy, a następnie chodnikiem łączącym zatokę Authie z esplanadą.

Latem roilo się tu od spacerowiczów, większość z nich przychodziła podziwiać kolonię fok, od zawsze rezydujących na tym terenie. Ale teraz, dwudziestego trzeciego stycznia dwa tysiące czternastego roku o godzinie siedemnastej trzydzięci, ciemność, którą ledwie rozjaśniały latarnie, zaludniały tylko duchy sprzedawców gofrów i nieuchwytnie widma latawców.

Sarah nie miała nic przeciwko zimnu, ale nienawidziła martwego sezonu i miała tylko jedno pragnienie: opuścić Opalowe Wybrzeże. Położone na końcu świata miasta, przez większą część roku bez życia, przypominały morskie cmentarze. Pochowane za metalowymi roletami bary i restauracje, ludzie pozamykani w swoich domach, pijący alkohol albo smęcący przy kominkach, uczeni czarnej spódnicy zimy. Istna umieralnia. Jej rodzice – a w szczególności matka, otrzymująca sowite wpływy z praw autorskich – przymierzali się do zakupu mieszkania w samym sercu Paryża. Zamiana trzystumetrowej willi położonej wśród wydmy na trzypokojowe lokum z widokiem na wieżę Eiffla bardzo jej odpowiadała. Poza tym chodziło nie tyle o sprzedaż Natchnienia, ile o miejscówkę w stolicy. Bez widoku na Morze Północne matka nie byłaby w stanie pisać swoich mrocznych historii o morderstwach i porwaniach. Z domem łączyła ją szczególna więź, jak starego marynarza z jego łodzią: była przekonana, że willa przynosi jej szczęście. Żaloszne literackie zabobony.

W ciągu pół godziny Sarah minęła tylko kilka cieni ludzi ciągniętych przez cienie psów. Z nabrzeża ledwie było widać znużone białe bałwany. Berck dryfowało ku morskim głębinom niczym martwy wieloryb. Kiedy jej twarz pokryła się warstwą szronu, dziewczyna postanowiła zawrócić: jasne, była zmotywowana, ale nie szalona.

Przebiegła pod murem L'Hôpital maritime – znakomita sceneria dla filmu grozy – i minęła latarnię z jej cyklopim okiem. Na kempingu stało, o dziwo, jakieś dziesięć kamperów, wciśniętych między hangary na łodzi a zwały piasku. Migocące światła wewnątrz świadczyły o obecności niezłomnych przybyszów, którzy mimo mroźnych temperatur dotarli na wybrzeże. Widziała, jak opatuleni

w piżamy nudzą się przed telewizorami albo upijają się czerwonym winem przy niekończących się partiach kart.

W niebieskawym blasku latarń dobiegła do brzegu zatoki Authie. Następnie, zdana na własną latarkę, pokonała sto mozolnych metrów po wilgotnym piasku i wreszcie w gęstej mgle ujrzała przyćmione światła willi – świadectwo życia pulsującego w tym piaskowym piekle. Mimo kilku warstw odzieży ostry zachodni wiatr kasał ją aż do kości. Myślami była już przy rozkoszach kąpieli, z tłem dźwiękowym w postaci piosenki *Happy* Pharrella Williamsa płynącej ze słuchawek.

Wyjęła klucz z miejsca, w którym go wcześniej schowała, i włożyła go do zamka, ale drzwi były otwarte.

– Mamo, wróciłam!

Nie zauważyła cienia, który czaił się za nią z uniesioną ręką.

Nagły ból głowy. A potem kompletna ciemność.

Pół roku później do skrzynki na listy willi Natchnienie ktoś wrzucił kosmyk złożony z pięciuset dwunastu – ni mniej, ni więcej – włosów. Policja zidentyfikowała je jako należące do Sary i powiązała zdarzenie ze sposobem działania wciąż przebywającego na wolności przestępcy, który miał dotąd na koncie cztery porwania. Na kopercie znajdował się stempel z Valence, miasta w departamencie Drôme, położonego osiemset kilometrów od adresu przeznaczenia. Léane i Jullian Morganowie nigdy już nie zobaczyli córki.

Cztery lata później, grudzień 2017

C hwilę po opuszczeniu stacji benzynowej Quentin sięgnął po smartfon – ostatni krzyk mody – leżący na desce rozdzielczej. Próbował go odblokować, ale urządzenie wymagało identyfikacji odciskiem palca. Wyłączył je więc – nie ma mowy, żeby go namierzyli za sprawą geolokalizacji – rzucił na fotel pasażera i przekręcił włącznik radia. Zamiast muzyki klasycznej sączącej się z odtwarzacza CD z głośników popłynęły cierpkie nuty utworu *Nique les clones* w wykonaniu Nekfeu.

Widzę już tylko klony, to się zaczęło w szkole.

Kto ci pomoże z tego wyjść?

Każdy tu gra, marząc o milionach.

A ja wyrosłem jak róża w gąszczu pokrzyw.

Róża w gąszczu pokrzyw. Tak właśnie się czuł w tym mieście. Chłopak inny niż wszyscy, zaradny, który chce zrobić maturę zawodową i pracować jako mechanik, naprawiać samochody. Mógł spełnić swoje marzenie, grzebiąc pod maskami ferrari, porsche, audi R8 albo nawet siedząc za ich kółkiem jak boss. Ale to miasto go dopadło, połknęło i przetrawiło jak pokrzywę, zmieniło w klon tych szumowin. Nie miał nawet prawa jazdy. Bieda jest jak ośmiornica: gdy oblepi człowieka swoimi mackami i zaleje atramentem, nie sposób uciec.

Quentin otarł pot z czoła, rozpiął suwak bomberki i spojrzał w lusterko. Droga była pusta, tylko zakręty, noc i czarna ściana gór. Mimo tego, co właśnie zrobił, czuł się dobrze, zadowolony, wolny. Lubił ten krajobraz końca świata, daleko od

betonu, hałasu, krzyków żon bitych przez sąsiadów z piętra. Wkrótce pożegna granitowe kolosy i wróci do nędznego bloku w Échirolle, by całymi dniami kimać, palić jointy, grać na konsoli – aż do następnego razu. Oto żalony spektakl jego życia w trzech aktach.

Spojrzał na banknoty porozrzucane na fotelu pasażera pod beretką i smartfonem. Jasne, żadna fortuna, ale nadejdzie taki dzień, kiedy będzie miał wystarczająco dużo oszczędności. I wyjedzie – tak jak jego ojciec, ale z innych powodów. Pogładził krzyżyk, który zwisał na złotym łańcuszku z lusterka, i uśmiechnął się. Bóg nad nim czuwa.

Za jednym z ostrych zakrętów załała go niebieskawa poświata kogutów. W blasku własnych reflektorów zobaczył mężczyznę w pomarańczowej kamizelce, machającego podświetlaną pałką. Przy parkingu stała ciężarówka, którą przeszukiwał owczarek belgijski wraz z opiekunem.

Francuscy celnicy. Quentin zaklął. Po skończonej akcji zjechał z autostrady na górskie serpentyny właśnie po to, żeby uniknąć takich kłopotów. Zdjął nogę z gazu. Co te dzbany robią o tej godzinie w samym środku Parku Regionalnego Chartreuse? Celnicy to prawdziwa zaraza, nie wystarczy im kontrola tożsamości, przetrzepują człowieka od góry do dołu i wciskają te swoje pyski na czterech łapach do kabin i bagażników. Przez chwilę zamierzał zawrócić, ale na tak wąskiej drodze – wiodącej wąwozem, z barierkami po obu stronach – ucieczka zajęłaby mu całe wieki. Poza tym celnik już go oczywiście zobaczył i kazał mu zjechać na pobocze.

Oddychaj, nie zdradź się, myśl... Pięciu typów, trzy samochody, w tym dwa wzmocnione peugeoty 308. Młody mężczyzna miał tę przewagę, że mógł działać z zaskoczenia, więc podjął decyzję; tak czy inaczej, nie miał wyboru. Udał, że zwalnia i zamierza zaparkować, a kiedy gość podszedł do odsuniętej szyby po stronie pasażera, wcisnął prawy pedał. Usłyszał krzyki i zobaczył, jak dwóch funkcjonariuszy rzuca się do samochodu.

Walczył o życie, o wolność. Od Grenoble dzieliło go dziesięć kilometrów usianych ostrymi zakrętami. Żadnego zjazdu po drodze, pozostawało wcisnąć gaz do dechy i mieć nadzieję, że przeżyje w asfaltowym piekle. Jego kartoteka była już pokaźna, więc zatrzymanie drogo by go kosztowało. Nie miał nic do stracenia.

Kamienne pustkowie wypełnił odgłos syreny. Quentin płynnie zmieniał biegi, jak w grze komputerowej. Takie samo uczucie, a dodatkowo bilet do piekła. Za pierwszym razem prawie spadł w przepaść, gdy ledwie uniknął zderzenia z barierką. Tylne opony zapiszczały, wóz wykonał kilka zygzaków, ale utrzymał się na nawierzchni. Quentin właśnie zdobył nad pościgiem jakieś pięćdziesiąt metrów przewagi i ryknął z wściekłości jak jego wirtualny kierowca na torze wyścigowym Nürburgring.

Kiedy trzy zakręty dalej kostucha skasowała jego bilet, ostatnią myśl skierował ku matce. Nie zapiął pasów, więc w momencie zderzenia z betonową barierą połową ciała wyleciał przez przednią szybę, tak że wylądowała na masce, a drugą połowę zatrzymała poduszka powietrzna. Samochód jechał jeszcze dziesięć metrów, wzniecając snopy iskier, i zatrzymał się na krawędzi wąwozu. Nagła zmiana prędkości z trzydziestu kilometrów na godzinę do zera nie była bardzo gwałtowna i delikatny łańcuszek wciąż wisiał na lusterku, ale Quentin ostatecznie wypadł na zewnątrz i przeleciał ponad czterdzieści metrów jak wyrzucona zapalka. Jako pierwsza o skałę roztrzaskała się jego czaszka, następnie wskutek uderzenia eksplodowały narządy wewnętrzne. Serce oderwało się od aorty, pękła jedna nerka. Jego osiemnastoletnie życie, wspomnienia, śmiech i łzy – wszystko to zostało obrócone w proch w mniej niż jedną sekundę na anonimowej górskiej drodze między Chambéry a Grenoble. Samochód przeżył, jeśli nie liczyć roztrzaskanych szyb i wgniecionego lewego boku.

Marc Norez, kierowca peugeota 308 i od dwudziestu dwóch lat kontroler celny, wezwał policję i strażaków. Wieczór, który miał być spokojny, obrócił się w koszmar. Przed pościgiem na wysokości blokady zdążył zobaczyć twarz uciekiniera. Z młodego człowieka została tylko mała postać bez głowy, ledwie widoczna mimo silnego światła latarki. Masakra. Dlaczego gość uciekał? Czego się bał? Co robił o tak późnej porze na tej odludnej drodze?

Norez przez pięć minut rozmawiał z kolegą z auta, po czym dołączył do pozostałych funkcjonariuszy, którzy właśnie przyjechali. Malinois i jego pan wysiedli z samochodu. Pies od razu wyraźnie się ożywił. Jak strzała popędził do nietkniętego bagażnika, zaczął szczeleć i drapać lakier samochodu. Jeden z oficerów, trzymając w dłoni pistolet, nacisnął guzik otwierający bagażnik. Odskoczył: jego oczom ukazały się zwłoki kobiety. Kobieta nie miała twarzy.

Księżycowa biel światła, noc przyczajona za drzewami jak gad w każdej chwili gotów do skoku i czarne, ząbkowane pasmo gór na trzecim planie przywodziły Vicowi Altranowi na myśl obraz Pierre’a Seinturiera. Altran, funkcjonariusz policji kryminalnej, nie znał tego artysty ani jego dzieł, po prostu przed czterema laty trafił gdzieś – najpewniej w jakiejś galerii w Grenoble – na rysunek podpisany jego nazwiskiem. Jego mózg odnalazł tę informację niczym mechaniczna dźwignia szafy grającej i zupełnie poza jego kontrolą wyświetlił w jego świadomości.

Vic już od dziecka gromadził bezużyteczne wspomnienia. Pięć lat wcześniej przez ponad czternaście tygodni utrzymywał się na pierwszym miejscu w pewnym teleturnieju na France 2, co uczyniło z niego gwiazdę brygady i dzielnicy. Wygrał równowartość dziesięciu milionów euro w książkach, słownikach i grach, od których nigdy nie potrafił się oderwać i które zajmowały w jego garażu więcej miejsca niż samochód. Potrafił odpowiadać na absurdalne pytania typu: „Jaka była liczba ruchów w meczu szachowym rozegranym przez Karpowa i Kasparowa w Moskwie dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku?“, czy podać dokładną definicję słowa *vinculum*. Mówił, że w dniu swojej porażki, nazajutrz po czterdziestych urodzinach, trafił na silniejszego, ale większość jego przyjaciół i kolegów wiedziała, że był znużony tym medialnym spektaklem i wolał wrócić do życia policjanta.

Na miejscu tragedii krzątało się już piętnastu ludzi opatulonych w kombinezony, w czepkach na głowach. Strażacy, celnicy, pracownicy zakładu pogrzebowego, technicy kryminalistyki i koledzy z policji kryminalnej w Grenoble – Ethan Dupuis i Jocelyn Mangematin. Przywitał się z nimi po imieniu, po czym zauważył swojego partnera Vadima Morela, który udzielał wskazówek fotografowi.

Morel poczęstował go mocną kawą z termosu, który zawsze ze sobą zabierał, zwłaszcza w okresie, gdy z zimna bieleły górskie szczyty i palce. Z kubkami w dłoniach i nosami wciśniętymi za szaliki mężczyźni podeszli do murku. Z daleka można ich było pomylić – obaj byli brunetami średniego wzrostu i z podobnym, średnim przebiegiem lat na liczniku, dlatego zresztą nazywano ich „V&V” – ale Vadim Morel nie bez kozery zyskał ksywkę „Pan Kartofel”: miał grube wargi, odstające uszy i oczy wielkie jak spodki, które wyglądały jak wycięte z papieru i przyklejone zbyt blisko nosa.

– Celnicy stali cztery kilometry stąd, przy Saint-Hilare. Rutynowa kontrola. Kierowca szarego forda uderzył w barierę i skończył w wąwozie. – Morel podał mu dowód osobisty.

Quentin Rose, osiemnaście lat, zamieszkały w Échirolles. Jeszcze jedna twarz, która trafi do mentalnego katalogu Vica. Oddał koledze dokument i spojrzął ponad balustradą. W ciemnościach poniżej zobaczył techników, którzy uwijali się w blasku świateł.

– Jak oni tam zeszli?

– Kawalek dalej jest ścieżka.

Podeszli do samochodu o przyciemnianych szybach, przednie drzwi z prawej strony były otwarte. Morel wskazał na przedmioty w zapieczętowanych torebkach leżące na fotelu.

– Były na podłodze po stronie pasażera. Trochę forsy, beretta i smartfon z roztrzaskanym ekranem. Ale najważniejsze jest w bagażniku.

W bagażniku uszkodzonego samochodu znajdowały się zwłoki kobiety, częściowo owinięte w zieloną plandekę. Siła uderzenia rzuciła je w głąb. Głowa znajdowała się w przezroczystym worku foliowym, ściśniętym grubą niebieską gumą dookoła szyi, zwrócona w kierunku padającego z zewnątrz blasku reflektorów. Obdarta ze skóry twarz przypominała rozpaloną czerwoną lawę, a puste oczodoły zdawały się czekać na oczy. Obok leżały butelki z detergentami, wybielacz, wiadra, szmaty, łopata i dwa worki z palonym wapnem.

Vic uniósł plandekę. Kobieta miała odcięte dłonie. Przedramiona aż do łokci owinięto folią, którą – inaczej niż w przypadku głowy – przytrzymała taśma klejąca.

– Fuj. Mogłeś mnie uprzedzić.

Vadim Morel uniósł kubek w geście toastu.

– Wyglądasz, jakbyś wstał lewą nogą. Rozwód?

– Nathalie chce zatrzymać MammaM². Czujesz? To mój pies, a ona zamierza go dorzucić do tych wszystkich rzeczy, które już postanowiła mi ukraść. Masakra, po piętnastu latach małżeństwa!

– Daj takiej palec, a weźmie całą rękę. Bez skojarzeń. À propos, jeśli szukasz dłoni, to są tam, w rogu.

Vic się przesunął, żeby nie zasłaniać światła. Obok miejsca na lewarek, przy prawej burcie samochodu, zauważył gruby pakunek, również owinięty taśmą klejącą. Worek przypominający torebki do mrożenia żywności.

– Były tak zapakowane?

– Dokładnie tak, nikt ich nie dotykał. Głowa i ręce tak samo. Zapakowane jak jakieś mięcho. Gość był przewidujący i nie chciał sobie zapaskudzić samochodu.

– A gdzie oczy i twarz?

– Nie wiadomo. W każdym razie w aucie ich nie ma.

Vic uniósł torbę i podsunął pod światło. Dłonie skierowane do siebie wnętrzem, woskowobiałe palce. Kość łokciowa i promieniowa wyglądały jak odcięte ostrym narzędziem. Morel wyjął z pudełeczka gumę do żucia i wetknął ją sobie do ust.

– Czaszka jest z tyłu jakby wgłębiona. Możliwe, że facet zerwał twarz skalpelem, a oczy wyjął łyżeczką, jak w filmach. Coś jak Hannibal Lecter, kojarzysz? I pomyśleć, że drań nie miał nawet dwudziestu lat.

Vic odłożył torbę i skupił się na zwłokach. Ofiara wyglądała na młodą kobietę: krótkie blond włosy, wiek z powodu braku twarzy i oczu niemożliwy do określenia, i ta krew, zakrzepła jak zastygła magma. Mogła mieć około dwudziestki. Obecność łopaty i palonego wapna, które przyspiesza rozkład substancji organicznych, wskazywała na to, że Quentin Rose zamierzał gdzieś zakopać ciało.

– Nie było przy niej papierów?

– Nic. Przy pomyślnych wiatrach sekcja będzie jutro wieczorem. Patolodzy od dwóch dni są zawaleni robotą przez wypadek tego autokaru w Chamrousse. A o ewentualnych wynikach badań DNA wolę nawet nie myśleć. Za dziesięć lat przy odrobinie szczęścia.

– No tak, Chamrousse...

Odezwał się telefon Morela.

– Przepraszam, to Poirier, poprosiłem o sprawdzenie tablic. Przynajmniej to zrobili szybko.

Odszedł, żeby porozmawiać. Vic chleptał kawę, ściskając kubek wielkimi rękawicami. Dłonie, twarz i oczy zdradzają tożsamość. Linie papilarne, kolor tęczówek, kształt nosa. Z całą pewnością chodziło o to, by uczynić młodą kobietę anonimową. Czyżby Rose zamierzał pozbyć się dłoni w innym miejscu niż pozostałych części ciała? Dokąd jechał? Gdzie w tym niekończącym się chaosie modrzewi i sosen mógłby pochować swoją ofiarę bez żadnych świadków?

Vic nie cierpiał początków śledztwa, zbyt wielu ścieżek, które często przyprawiały go o migrenę. Przy odrobinie szczęścia ta sprawa mogła się zakończyć, jeszcze zanim się zaczęła, ponieważ główny podejrzany – człowiek ze zdjęcia w dowodzie osobistym – był martwy. Jedyne szkopuł w tym, że skoro nigdy nie odpowie na ich pytania, będą musieli odpowiedzieć na nie sami.

Policjant rozejrzał się po okolicy – strzelające rozbłyśki fleszy, wznoszące się kawałek dalej sosny, białe linie na zakręcie szosy, szef grupy rozmawiający z zastępcą prokuratora, którego również w środku nocy wyrwano z łóżka. W czasie rzeczywistym w jego pamięci powstawał ponury obraz, precyzyjny kadr horroru wydarty chwili obecnej. W ciągu najbliższej godziny sędzia wyda pozwolenie na zabranie ciała, samochód zostanie odholowany i zacznie się śledztwo – akurat w tygodniu ferii świątecznych. Teoretycznie Vic miał zacząć urlop w najbliższy piątek. Pierwsze ferie spędzane wyłącznie w towarzystwie psa, bez córki ani żony, z perspektywą rozprawy dwunastego stycznia, kiedy to on i Nathalie będą walczyć o opiekę nad Coralie. Nie można powiedzieć, żeby drugą połowę życia zaczynał pod szczęśliwą gwiazdą.

Vadim Morel zakończył rozmowę, podbiegł do szefa, a następnie skinął na Vica.

– Na stacji paliw na A czterdzieści jeden, między Chambéry a Grenoble, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd, doszło do napadu z bronią w rękę. Krótka przed dwudziestą drugą. Przyjechałem z szefem, więc bierzemy twoją brykę.

Wsiedli do samochodu. Morel zebrał z fotela pasażera plik papierów oraz puste puszki po coli i przerzucił je do tyłu.

– Burdel jak w twojej głowie. I capi psem. Kiedy się wreszcie zbierzesz, żeby to trochę ogarnąć? Teraz lepiej rozumiem, dlaczego nie chcesz, żebym do ciebie wpadł. Bez żony musisz tam mieć Czarnobyl.

– Odstosunkuj się od mojego mieszkania, mojej żony i mojego psa i powiedz mi lepiej, co ma jakiś napad do dwóch trupów, które spadły nam na głowę.

Morel musiał mocno naciągnąć pas, by go zapiąć. Wypluł gumę i z torebki walającej się nad schowkiem wyjął miętową pastylkę, którą dokładnie obejrzał przed włożeniem do ust.

– Facet pojawił się znikąd, obrabował kasę na kilkaset euro i zwiął ukradzionym samochodem, grożąc bronią jego właścicielowi, który tankował paliwo.

– Niech zgadnę: to był Quentin Rose i ukradł szarego forda?

– Tak, z trupem w środku.

Kiedy około pierwszej V&V dotarli do postoju przy autostradzie, radiowóz żandarmerii z Touvet już tam był. Miejsce wyglądało dołująco: cztery zamknięte z powodu napadu dystrybutory, wymarły parking i sklep oświetlony bladymi jarzeniówkami.

Kierownik, gruby wąsaty jegomość, wyglądał na spokojnego; rozmawiał przez telefon w jednej ze sklepowych alejek. Policjanci podeszli do Patricka Rousseau, kapitana żandarmerii, który jako pierwszy został poinformowany o napadzie. Prawdziwy człowiek gór, w niebiesko-białej parce, szerszy w barach niż łącznik młyna w rugby. Wyciągnął do nich rękę.

– Pół godziny temu dowiedziałem się tylko, że przyjadą tu dwaj goście od kryminalnych z Grenoble. Wyjaśnicie, o co chodzi?

Vic sięgał mu do podbródka, jego drobna dłoń utonęła w łapie żandarma. Postąpił krok do przodu, gdy tymczasem Morel rozglądał się po okolicy.

– Zostaliśmy wezwani przez celników: prowadzili pościg za fordem, który uderzył w barierkę na czterdziestym siódmym kilometrze D trzydzieści. Kierowca, najprawdopodobniej sprawca tutejszego napadu, wypadł z samochodu i wylądował na dnie wąwozu.

Patrick Rousseau stał z założonymi ramionami, ekspresyjny jak fasada krematorium. Wyglądał na gościa, który uważa, że jeden łajdak mniej to prawdziwy prezent dla ludzkości na tej ziemi. Kawałek dalej rozległo się stęknienie lodówki albo zamrażarki. Odgłos rozproszył Vica, ale po chwili policjant zaczął mówić dalej:

– Sprawdziliśmy tablice i dlatego jesteśmy tutaj: szary ford na fałszywych numerach JU dwieście dwa MO został zgłoszony przez waszą jednostkę jako skradziony późnym wieczorem z tego miejsca. W bagażniku znaleźliśmy niezidentyfikowane zwłoki mniej więcej dwudziestoletniej kobiety. Uszkodzenia ciała bezspornie wskazują, że była martwa już przed wypadkiem.

– Okej, rozumiem. To wyjaśnia zachowanie właściciela skradzionego samochodu. Oddalił się pieszo, na nic nie czekając. Mamy nagranie. Chodźcie.

Zaprowadził ich za ladę. Vic nie mógł się powstrzymać od przeanalizowania cen batonów czekoladowych, które były o szesnaście centymów droższe niż w hipermarkecie naprzeciw jego domu. Poczuł, że w jego mózgu rozkręca się karuzela porównań, i w porę się powstrzymał. Z powrotem skupił się na monitorze komputera. Żandarm kliknął w menu i wyświetlił pierwszą scenę.

– Mimo fatalnej jakości mamy jasny obraz tego, co się stało. Wideo jest czarno-białe, choć kolorowa kamera kosztuje poniżej stu euro. Zawsze tak jest, kiedy potrzeba nagrań, co?

Morel w milczeniu skinął głową.

– Dobra. Najpierw kamera przy dystrybutorze numer dwa, godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści dwie. Udało się zatrzymać kierowcę na bramkach w Chambéry. Wygląda na to, że nie ma nic wspólnego ze sprawą, i mówi, że zabrał chłopaka przy wyjeździe z Grenoble. Tamten początkowo chciał jechać do Chambéry, ale kiedy dotarli do miejsca obsługi podróżnych, poprosił, żeby go tam wysadzić, ponieważ rzekomo w międzyczasie dostał esemesa i ktoś miał po niego przyjechać.

Oczy Vica rejestrowały każdy piksel obrazu. Quentin Rose w czapce na głowie i z twarzą schowaną za szalikiem oddala się od furgonetki, chowa się w jakimś kącie i czeka tam bez ruchu. Okazyjny napad, stwierdził policjant: chłopak nie miał określonego celu i uderzył w odludnym, bezpiecznym miejscu. Żandarm wycelował palcem w ekran.

– Widzicie, czeka na najdogodniejszy moment. Furgonetka odjechała. Przechodzę do kamery numer cztery, dystrybutor najbardziej oddalony od sklepu. Trzy minuty później do ręcznie obsługiwanego stanowiska podjeżdża szary ford.

Vic obserwował i zapamiętywał oba nagrania równolegle. Rose wchodzi do sklepu, w tym samym czasie z samochodu wysiada kierowca forda w czarnym kaszkiecie na głowie. Z powodu kąta rejestracji obrazu, ciepłych zimowych ubrań i braku światła trudno zauważyć cokolwiek poza tym, że postać jest odziana w grubą puchówkę. Trzaska drzwiami, otwiera wlew i spokojnie sięga po pistolet do tankowania. Rozgląda się po okolicy, nie okazując żadnej nerwowości. Ani razu nie podnosi wzroku do kamery.

Morel patrzy to na jeden, to na drugi ekran.

– Niuniek nie jest panikarzem, choć ma w bagażniku trupa obdartego ze skóry. Czy o tej porze nie powinno się płacić w kasie przed tankowaniem?

– Od dwudziestej drugiej, przy wejściu jest informacja. Dziesięć minut później mielibyśmy go na nagraniu z kamery sklepowej, *en face* i oświetlonego jak bożonarodzeniowe drzewko.

W kamerze umieszczonej wewnątrz sklepu widać teraz, jak Rose zmusza kierownika do otwarcia kasy, celując do niego z pistoletu. Po mniej niż trzydziestu sekundach chowa plik banknotów i oddala się w kierunku forda. Nieznajomy zauważa go, ale za późno: chłopak już trzyma go na muszce i każe mu się odsunąć. Ale mężczyzna się nie rusza, wygląda, jakby chciał negocjować. Pada strzał wycelowany w ziemię. Właściciel forda robi dwa kroki w tył. Wciąż do niego celując, Quentin Rose zakręca zbiornik, wsiada do kabiny i odjeżdża z piskiem opon. Nieznajomy początkowo stoi bez ruchu, a następnie znika z zasięgu kamery.

Żandarm wyłączył odtwarzanie.

– Myślmy, że pobiegł w kierunku przeciwnym do autostrady. Na prawo od parkingu jest pas drzew, potem łąki. Pięćset metrów dalej mamy zjazd z autostrady, kilka wiosek i dróg lokalnych. Biorąc pod uwagę jego zachowanie i fakt, że jeździł na fałszywych tablicach, nie czekałem na was i zwróciłem się do tutejszych żandarmów. Jest ciemno, marne szanse, że go znajdą, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Dobrze pan zrobił. Są inni świadkowie?

– W tej chwili nie mamy nikogo. Kierownik był w szoku po napadzie i niczego nie zauważył. Przejrzałem nagrania z pozostałych kamer. Nie ma tam nic lepszego ponad to, co widzieliście.

– Czyli twarzy brak. Trzeba by mimo wszystko rzucić okiem na starsze nagrania, porównać modele samochodów. Może gość tankował tu już wcześniej na prawdziwych numerach.

Vic i dwaj mężczyźni wyszli i ruszyli do dystrybutora numer cztery. Żandarm wskazał na leżący na ziemi pistolet do oleju napędowego.

– Może uda się zdjąć DNA z pistoletu?

– Miał rękawiczki, widać to na nagraniu. Ale o DNA niech się pan nie martwi, mamy go pod dostatkami w jego fordzie.

Vic zanurzył się w mrok i obserwował światła domów przycupniętych wysoko na górskich zboczach. Setki srebrzystych odblasków życia zawieszonych w przestrzeni. Zbieg zniknął wśród tego bezliku gwiazd. Skąd przybywał z tym zmasakrowanym trupem w bagażniku i dokąd zmierzał? Policjant pomyślał o młodej ofierze pozbawionej dłoni. Może w jednym z tych domów są jej rodzice, którzy czekają na wieści od niej? Może matka próbowała już się do niej dodzwonić, a ojciec wypytał koleżanki. Nigdy więcej jej nie zobaczą.

Uświadomił sobie, że liczy te światła, że przekłety głos w jego zblizowanym mózgu za wszelką cenę chce się dowiedzieć, ile lamp widać z postoju na autostradzie, przy zjeździe Le Touvet w departamencie Isère, jakby to była informacja niezbędna do życia. W jego głowie krążyły też inne liczby, takie jak euro trzydzieści pięć za baton czekoladowy, czyli o szesnaście centymów więcej

niż koło niego, pięćdziesiąt siedem litrów i trzydzieści trzy centylitry, które zobaczył na cyfrowym wyświetlaczu dystrybutora numer cztery, godziny otwarcia i zamknięcia sklepu. Będzie je wszystkie pamiętał nawet na łożu śmierci, nie bardzo wiedząc, do czego je przypiąć. Widział też Morela, który rozmawiał z żandarmem i na pewno tłumaczył mu, że jego kolega jest dziwny i małomówny, ale że radzi sobie z nim od ponad dziesięciu lat.

Vic westchnął, zadzwonił do technika identyfikacji kryminalnej, który został na miejscu wypadku, i zapytał, czy numer nadwozia jest czytelny – w przypadku tego modelu wygrawerowany z przodu po prawej stronie, pod przednią szybą, uściślił – i rozłączył się, gdy otrzymał odpowiedź. Wrócił do tamtych dwóch i odezwał się do swojego partnera:

– Numer seryjny nadwozia został starty.

– Ostrożny gość. Odcięta twarz, fałszywe tablice, brak numeru seryjnego. I szary ford, jakich mnóstwo w tym regionie. Nie będzie łatwo dojść do niego za pośrednictwem auta.

Vic włożył dłonie do kieszeni.

– Choćby był nie wiem jak ostrożny, tej nocy nieoczekiwanie wprosililiśmy się do jego świata. Mam nadzieję, że będziemy jego najpiękniejszym gwiazdkowym prezentem.

— W książkach często podejmuje pan temat dublera, kradzieży tożsamości, pamięci i wspomnień. *Niedokończony rękopis* wpisuje się w tę regułę. Jest to być może najbardziej surowa, najokrutniejsza z pańskich książek, porusza w niej pan tematy, które mogą ranić wrażliwe dusze, takie jak tortury, uwięzienie, gwałt. Chciał pan dać czytelnikom do ręki powieść, która nimi wstrząśnie?

Léane Morgan wierciła się na krześle. Wywiad zaczął się zaledwie piętnaście minut temu, a ona już miała dość. Po ponadczteroletniej przerwie czytelnicy rzucili się na nowy thriller Enaëla Miraure’a. Powieść ukazała się na początku grudnia i trafiła do pierwszej dziesiątki najlepiej sprzedających się książek. Żeby zapewnić jej promocję, trzeba było teraz aż do Bożego Narodzenia udzielać wywiadu za wywiadem.

– Niczego nie wykalkulowałem. Napisałem to, co do mnie przyszło. Oczywiście, książka jest okrutna, ale czy pani uważa, że świat, w którym żyjemy, taki nie jest?

Léane umilkła, a siedząca przy sąsiednim stoliku Pamela, jej agentka, wybałuszyła na nią oczy. Miejsce na papierze jest na wagę złota, a chodziło o rozkładówkę w miesięczniku „Twin”, piśmie kobiecym najchętniej kupowanym przez wymagające czytelniczki, który miał wyjść na święta. Dziennikarka Géraldine Scordel, zaciskając usta, gryzmoła w swoim notatniku. Léane brała udział w uciążliwej grze w wywiady, ale odmawiała nagrań audio, występów radiowych i telewizyjnych, wymagała też wglądu w artykuły przed publikacją, by się upewnić, czy autorzy piszą o niej w rodzaju męskim. I oczywiście żadnych zdjęć, nikt nie mógł zobaczyć jej twarzy. O tym, że Enaël Miraure i Léane Morgan to ta sama osoba, wiedziała tylko garstka ludzi: szerokie rzesze czytelników nie miały pojęcia, że za ich nieprzespane noce odpowiada kobieta. Pisarka zawsze

potrafiła trzymać swoje prywatne życie pod kluczem, nawet jego najbardziej bolesne zakamarki.

– Jak by pan streścił swoją powieść? Mam na myśli fabułę.

– Czytała ją pani?

– Czytam wszystkie książki, o których piszę. Ale chcę usłyszeć pańską wersję.

Léane upiła łyk chardonnay, by ukryć zdenerwowanie. Zawsze miała trudności z mówieniem o książkach. Rozmowa odbywała się w anonimowej kafejce w X dzielnicy Paryża, daleko od wytwornych dzielnic i miejsc, w których zwyczajowo organizowano takie spotkania. Zebrała się w sobie i powtórzyła to, co mówiła już dziesiątki razy.

– Historia opowiada o Judith Moderoi, zwyczajnej kobiecie, nauczycielce, która żyje w związku z leciwym samotnym pisarzem, mężczyzną po przejściach, mieszkającym w ogromnej willi na bretońskiej wyspie Bréhat, który od lat niczego nie opublikował.

– Janus Arpageon...

– Tak, Janus Arpageon. Daje Judith do przeczytania rękopis, który nie ma jeszcze tytułu i o którym nikomu nie mówił. To mroczna opowieść o gwałtach i morderstwach na nastolatkach, których sprawcą był pisarz Kajak Moebius. Arpageon musi jeszcze dopisać dziesięć ostatnich stron, a przede wszystkim wskazać policjantom miejsce w książce, w którym Kajak pogrzebał swoje ofiary. Judith zachwyca się powieścią, nie wiedząc, że Arpageon opisał w niej swoją własną historię i że główny bohater, Kajak, to on.

– Czyli rękopis jest rodzajem zbeletryzowanej autobiografii.

– To raczej długa spowiedź wielokrotnego gwałciciela i mordercy, który nigdy nie został złapany i który u kresu życia za pośrednictwem powieści chce wyznać swoje winy. Kiedy zapowiada, że zanim dopisze zakończenie, zamierza wysłać rękopis swojemu staremu wydawcy, Judith postanawia go uwięzić i poddać torturom, żeby dokończył powieść.

– Jak w *Misery* Stephena Kinga. Czytał pan?

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że niektórzy czytelnicy skojarzą ze sobą obie książki, tak jak pani w tej chwili. Ale ja podchodzę do tego zupełnie inaczej. To raczej hołd złożony pisarzowi.

– Niektóre fragmenty są trudne. Jak dziwaczna scena gwałtu, którego Arpageon dopuścił się w przeszłości. Opisuje pan też precyzyjnie proces powstawania narzędzia tortur, którego Judith używa, by zmiążdżyć mu nogę, podaje pan nawet listę rzeczy do kupienia w lokalnym sklepie. Wyjaśnia pan, jak usunąć ślady DNA wybielaczem, przypomina o fakcie, że palone wapno pozwala na zakopanie ciała bez śladów ani zapachów, zdradza kilka policyjnych technik. Nie obawia się pan,

że to może utrudnić pracę prawdziwym policjantom? Że ludzie o niecznych zamiarach mogą wykorzystać pomysły z pana książek w złej wierze?

– Odwieczna debata... Jako autorzy kryminałów mamy swój udział we wzroście przestępczości na świecie, o to chodzi? Sądzi pani, że ludzie o niecznych zamiarach, jak ich pani nazywa, czekają na moją książkę, żeby móc zacząć działać? Że użyją jej jak książki kucharskiej? Osoba, która popełnia morderstwo czy gwałt, uderza pod wpływem impulsu, nienawiści, złości albo z powodu swojego dzieciństwa. Powieść to tylko pretekst albo czynnik spustowy, jeśli pani woli. Ale wróćmy do mojej historii, bo o niej była mowa, prawda?

– Proszę.

– Arpageon stawia opór swojej oprawczyni i upiera się, że nie napisze zakończenia. Wtedy Judith pakuje mu w głowę kulkę z policyjnego sig sauera i pozbywa się zwłok, wykorzystując technikę, którą Arpageon sam opisał w swojej książce: wrzuca go do półtorametrowego dołu wykopanego w lesie i przysypuje palonym wapnem. – Léane uśmiecha się z zaciśniętymi ustami i mówi dalej. – Tak, wiem, to zaprzecza temu, co przed chwilą powiedziałem, że złoczyńcy nie inspirują się fikcją, ale tutaj chodzi o fikcję w fikcji, rozumie pan? Czyli pozostajemy w domenie fikcji.

– Rozumiem.

– Dobrze, idźmy dalej. Następnie Judith wymyśla zakończenie, bo czuje się w obowiązku wskazać to słynne miejsce, w którym pochowano ofiary.

– Sama dopisuje koniec. Dziesięć spośród pięciuset stron, które liczy rękopis.

– Tak, radzi sobie jak umie, musi wybierać, podejmować decyzje, których być może nie podjąłby autor, ale efekt jest nawet dobry. Wymyśla też ironiczny tytuł, *Niedokończony rękopis*, po czym wysyła książkę do wydawcy, który wkrótce ją publikuje.

– Największy wydawniczy przekręt. Wydać książkę, której samemu się nie napisało, tylko ukradło komuś innemu.

– Właśnie, ale to się obraca przeciwko niej. Oczywiście zyskuje sławę, jednak tylko do czasu, gdy pojawia się u niej policja. O tym, że morderstwa opisane w książce wydarzyły się naprawdę, wiedziała tylko jedna osoba: morderca. Wtedy Judith uświadamia sobie, że Arpageon był seryjnym zabójcą, który opisał swoje własne życie. I że przywłaszczając sobie jego historię, zajęła jego miejsce.

Dziennikarka, która robiła notatki, miała nieczytelne pismo.

– I pułapka się zatrzaskuje. Świetny pomysł, muszę przyznać, że ten końcowy zwrot akcji jest bardzo udany.

– Dziękuję.

– Mówię to szczerze. To także piękne autotematyczne potraktowanie pańskiego zawodu. Pan, pisarz, opowiada historię pisarza Arpageona, który opowiada

historie pisarza Moebiusa. I wszystkie te nakładające się na siebie postaci są w sposób oczywisty torturowane. To swoiste zanurzenie się w ludzką psychikę, w labirynt umysłu, aż po jego najgłębsze warstwy. Kajak Moebius to stuprocentowa bestia, uosobienie instynktu przemocy. Arpaegon to postać bardziej zniuansowana, targana lękami i obsesjami. Trochę jak pan, prawda?

– Nie wiem... Mam wrażenie, że jeśli to pomnę, nie będę miał nic do powiedzenia. Mam taką potrzebę, by moi bohaterowie cierpieli. To jak przebłyski podczas pisania. Jakby cięcia nożem w mojej głowie.

Dziennikarka zerknęła na agentkę i odchrząknęła.

– To ma jakiś związek z pańską przeszłością?

– Miałem normalne, szczęśliwe dzieciństwo, jeśli to chce pani wiedzieć. U autorów thrillerów niekoniecznie trzeba się doszukiwać zaburzonej osobowości albo psychopatii.

– Często istnieje jakiś ukryty powód, który popycha ludzi do pisania. Ale idźmy dalej. Finałowa scena rozgrywa się na klifach Étretat, na wysokości kładki i formacji skalnej, którą nazwał pan Wydrążoną Iglicą. Po Stephenie Kingu oddaje pan hołd Maurice'owi Leblancowi?

– Maurice Leblanc, Conan Doyle, Agatha Christie... Oddaję hołd całemu gatunkowi *whodunit*, kryminałom w ogólności. Ale proszę, żeby pani w swoim artykule nie zdradzała zakończenia.

– Oczywiście. Przejdźmy do innych tematów. Kiedy człowiek, tak jak ja, ma kontakty w policji, kiedy trochę się interesuje sprawami kryminalnymi, bez trudu znajdzie punkty wspólne między sposobem działania mordercy w pańskiej powieści a modus operandi Andy'ego Jeansona, postaci zgoła niewirtualnej.

Léane zacisnęła palce wokół kieliszka.

– Możliwe, czerpię również z rzeczywistości. I co z tego?

Géraldine Scordel odłożyła długopis, zdjęła okulary i pomasowała sobie oczy.

– Okej, nie będę owijać w bawełnę. Dowiedziałam się z pewnego źródła, że niejaka Sarah Morgan jest jedną z ofiar Podróżnika, nawet jeśli seryjny morderca nie zdradził jeszcze miejsca ukrycia zwłok. Wiem też, że jego proces jeszcze się nie odbył, że sprawa jest delikatna i nie zaryzykuję mówienia o tym w moim artykule, o ile nie poda mi pani swojej wersji faktów. Wiem, że zależy pani na zachowaniu anonimowości, ale niech pani sobie wyobrazi to: Enaël Miraure jest tak naprawdę kobietą i ta kobieta zwierza się z tragedii, którą przeżyła. Mówi o zaginięciu córki przed czterema laty, a przede wszystkim o tym, co było potem, aż do aresztowania Andy'ego Jeansona dwa lata temu. – Zwróciła się do agentki: – Gwarantuję wam już nie tylko rozkładówkę, ale materiał na sześć stron. Po takiej promocji liczniki eksplodują, dla was i dla nas. To będzie stuprocentowa bomba.

Wróciła wzrokiem do Léane. Kobieta stała, opierając się pięściami o stół.

– A moje życie? Pomyślała pani o tym? Niech pani spada! Jedno słowo na temat mojej tożsamości albo tej sprawy, a przywalę pani i pani gazecie proces o zniesławienie i nastawanie na życie prywatne.

Włożyła płaszcz, sięgnęła po torebkę i nie odwracając się, wyszła z kawiarni. Pam złapała ją na chodniku.

– Bardzo mi przykro, Léane. Nie wiedziałam, że zapuści się na ten teren.

– Maczałaś w tym palce, tak?

– W życiu! Szlag, myślisz, że byłabym do tego zdolna? Znasz Scordel, to profesjonalistka. Załatwię to, nie będzie o tym pisać, jeśli takie jest twoje życzenie. Ale jeżeli...

Léane zatrzymała taksówkę.

– Oczywiście, że takie jest moje życzenie! Nie ma żadnego „ale jeżeli”, Pam. To jest poza dyskusją. Nie po to przez dziesięć lat życia ukrywałam, kim jestem, żeby wszystko zepsuć tą ponurą historią. Nigdy więcej nie poruszajmy tego tematu. Koniec kropka.

– Jak chcesz. A co ze spotkaniem z „Libération” o osiemnastej dwadzieścia?

– Nie.

– Nie możemy tego zrobić.

– Ależ możemy, oto dowód. I pilnuj, żeby nic nie wyciekło, albo będziesz za to odpowiadać.

Pisarka wsiadła do samochodu, podała kierowcy adres i oparła się o zagłówek. Co za koszmar. W głębi duszy spodziewała się, że to się zdarzy. Prędzej czy później jakiś lepiej poinformowany dziennikarz musiał poruszyć ten temat. Znana autorka, która opisuje historie morderstw i gwałtów, sama przeżywa dramaty ze swoich książek: jasne, że takie coś się sprzedaje.

Taksówkarz wysadził ją przy avenue du Président-Wilson. W XI dzielnicy, sto metrów od Pałacu Tokijskiego i Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Znalazłszy się na swoich sześćdziesięciu metrach kwadratowych, odruchowo włączyła radio i nalała sobie kieliszek białego wina. Wiedziała, że zanim się położy, wypije jeszcze dwa. Popijanie było najlepszym sposobem mierzenia się z bezdenną pustką wieczorów. Nie znosiła przyjęć, koktajli i spotkań, na które ludzie chodzili, żeby się pokazać. Blask, sztuczność – to było tak bardzo nie dla niej. Nawet w tym mieszkaniu, w Paryżu, wśród jego światła, czuła się obco.

Mimo zmęczenia Léane weszła na facebookowe konto Enaëla Miraure’a: miało osiemdziesiąt tysięcy fanów, głównie kobiet. Zdjęcie profilowe, które jej wydawca kupił w banku obrazów, przedstawiało Enaëla jako bruneta około czterdziestki, z szarymi oczami i krótkimi włosami, z wyglądu przypominającego

Eastwooda. Léane miała faliste blond włosy do ramion, mały, zadarty nos i oczy koloru niebieskiego o zmiennej intensywności zależnie od oświetlenia.

W kwestii uzurpacji tożsamości dziennikarka się nie pomyliła, ale Léane miała potrzebę znaleźć się w skórze Enaëla, poczuć jego męskość, pewność siebie. Czasem jako Léane, siedząc nad pustą kartką, odczuwała niewytłumaczalny strach. Kiedy zapadał zmrok, często podchodziła jej do gardła jakby szponiasta łapa, która zatykała jej usta, dusiła. Jak gdyby Enaël Miraure był uwięziony w jej wnętrzu i usiłował wyjść.

Przez jakiś czas surfowała po mediach społecznościowych, sama w tłumie wirtualnych przyjaciół, po czym owinęła się wełnianym szalem i wyszła na taras, by napić się wina. Sarze spodobałby się ten widok na dachy stolicy, blask lamp na wieży Eiffla, srebrzyste migotanie Sekwany. Léane doceniała to szalone miasto wyłącznie za to, że nie pozwalało jej za dużo myśleć. Paryż znieczulał ją jak krople absyntu podawane na cukrze.

Zadzwoiła jej komórka. Na widok nazwiska na wyświetlaczu westchnęła: Colin Bercheron. Nie odebrała telefonu od policjanta i pomyślała o mężu. Ona tutaj, on tam, przyklejony do północnego wybrzeża jak małż do skały. Prawie dwa miesiące bez kontaktu, poza nagrany przed dwoma dniami wiadomością, że ma ważną informację. Kilka razy usiłowała do niego oddzwonić, na próżno. Rzucić haczyk i nie kontynuować – to bardzo w jego stylu.

Czyżby Jullian popadł w jeszcze głębszą paranoję? Czy wciąż, mimo oczywistych dowodów, szuka zwłok ich córki? Léane obawiała się momentu, gdy trzeba będzie zalegalizować ich rozstanie i poprosić o rozwód. Odkąd od półtora roku żyła tutaj, ich małżeństwo nie było już do niczego podobne. Kolejna żałoba do przepracowania. W głębi jej duszy wciąż jednak tliła się jakaś iskra. Stary, dwudziestoletni ogień nie przygasał.

Policjant zostawił jej wiadomość. Zmusiła się, by ją przeczytać.

Léane, tutaj Colin. Przepraszam, że przeszkadzam ci o tak późnej porze, ale twój mąż został napadnięty. Jest w szpitalu w Berck, w tej chwili nic więcej nie wiem. Oddzwoń, jak dostaniesz tę wiadomość.

Zimą, kiedy dojeżdża się do miejscowości położonych na północnym wybrzeżu, można zaobserwować dziwne zjawisko: w mgnieniu oka na przednią szybę samochodu niczym ostrze gilotyny opada mgła. Człowiek czuje się jak wrzucony w jakiś postapokaliptyczny świat, z potworami skaczącymi do szyb, gotowymi zawlec go na pełne morze, w sam środek lodowatych bałwanów. Właśnie taka lepka mgła zabrała jej Sarę – w wieczór żarłocznych ciemności, kiedy wydmy zakneblowały jej córkę, by wciągnąć ją w swoje najciemniejsze zakamarki.

Léane dostała gęsiej skórki i zablokowała zamki. Wiedziała, że to głupie, ale takie nagłe, irracjonalne lęki zatruwały jej życie od czasu, gdy była nastolatką. Wykrzywione, krążące wokół niej twarze, dziesiątki rąk szarpiących ją w nocnych koszmarach, z których budziła się z krzykiem, a to wszystko aż do trzydziestki, kiedy to wreszcie przelała na papier swoje pierwsze pomysły i kiedy pojawił się Enaël Miraure, jakby pisanie było dla niej wentylem bezpieczeństwa. Nie chciała opowiadać dziennikarce o swoich lękach. Nagle zobaczyła, jak z mgły wyłania się kamper Andy'ego Jeansona i zajeżdża jej drogę, a wielkie, sękaty dłonie mężczyzny przyklejają się do szyby jej samochodu. Choć człowiek zwany Podróżnikiem siedział za kratami, wciąż prześladował ją jak cień, przyczajony za każdym oddechem, za każdym mrugnięciem. Był jej czarnym ludem.

Około pierwszej w nocy dotarła do szpitala, znajdującego się w szczerym polu, pięć kilometrów od Berck-sur-Mer. Colin czekał na nią na ławce w poczekalni. Miał na sobie znoszoną czarną kurtkę i jedną ze swoich nieśmiertelnych koszul w kratę. Na oczy o stanowczym, szczerym spojrzeniu opadał niczym przecinek kosmyk ognistych włosów. Był policjantem z małego miasteczka, którego wszyscy mieli gdzieś, ale nie lekceważył swojej pracy i z jednakową powagą podchodził zarówno do banalnych spraw, jak i do bardziej

ekscytujących historii, które jednak w większości przypadków ostatecznie trafiły do wyższych instancji.

Kiedy ją zobaczył, wstał. Z szaloną ochotą by ją przytulił, ale zamiast tego poprowadził ją do automatu z napojami, do którego wrzucił monetę o nominale jednego euro. Zauważył napięcie na jej twarzy i opadające ze zmęczenia powieki. Miał wrażenie, że w ciągu dwóch ostatnich miesięcy bardzo schudła.

– Czekam na informacje od lekarza, niedługo powinien przyjść. Nie ma zagrożenia życia, ale... mimo wszystko było niebezpiecznie.

– Co się stało?

Colin podał jej słodzone espresso.

– Jakiś spacerowicz znalazł go około dziewiętnastej nieprzytomnego na promenadzie między zatoką a nabrzeżem, od strony latarni. Leżał na ziemi. Pogotowie przywiozło go tutaj. Miał ślady uderzeń na głowie i szyi, być może ktoś próbował go udusić, na razie więcej nie wiem. Nie wygląda to na napaść rabunkową: w kieszeni miał portfel, klucz od domu i komórkę. Znamy nawet trasę, którą szedł, bo w jego telefonie była uruchomiona aplikacja zdrowotna. Kończył właśnie pięciokilometrowy spacer wzdłuż nabrzeża, który zaczął godzinę wcześniej, i miał wracać do domu.

Léane usiłowała zrozumieć. Od jak dawna Jullian korzystał z tego rodzaju aplikacji? Nienawidził technologicznych nowinek kontrolujących życie człowieka, dzięki którym można schudnąć, lepiej się poczuć i poznać liczbę kroków zrobionych w ciągu dnia. Śmiał się nawet, że dojdzie do tego, że ludzie będą wysyłać telefon, żeby za nich pobiegał.

– Dlaczego ktoś mu to zrobił?

– Nie mam pojęcia, ale Jullian miał nie tylko przyjaciół. Twój mąż kwestionował wszystko: wymiar sprawiedliwości, śledztwo, świadków. Pewnie o tym nie wiesz, ale niecałe trzy tygodnie temu z powodu jego zachowania na komisariacie o mało nie zamknęliśmy go w izbie wytrzeźwień. Był pijany, wyzywał nas. Gdyby nie był tym, kim jest, byłbym go zapuszkował.

– Szuka ciała Sary.

– Możliwe. Ale minęły już cztery lata, a on krąży po ulicach Berck jak jakiś duch. Jego poszukiwania są odbierane jako nękanie i nie wszystko da się nimi usprawiedliwić. Niezależnie od tego, co sobie myśli, my pracujemy.

– Dopóki Jeanson nie zdradzi, gdzie pogrzebał naszą córkę, Jullian nie przestanie niszczyć wszystkiego, co go otacza. Z sobą włącznie.

Jej oczy zaszyły mgłą.

– Chodź tutaj.

Colin objął ją ramieniem. Miał wrażenie, jakby przytulał kamienny słupek. Léane odsunęła się od niego dość gwałtownie i sięgnęła po kubek z kawą.

– Przepraszam cię, Colin, ale...

– Nie przejmuj się. Rozumiem.

Policjant, również zakłopotany, spojrział w stronę drzwi wejściowych, za którymi migotał kogut wozu strażackiego albo ambulansu, po czym znowu popatrzył na Léane.

– Przejrzałem historię połączeń w jego telefonie. Widziałem, że kilka razy, wczoraj i przedwczoraj, próbowałaś się do niego dodzwonić.

– Nagrał mi wiadomość. Dam ci odsłuchać.

Głos Julliana w słuchawkach był niski, monotony. Mężczyzna mówił, że ma ważną informację na temat Sary.

– Od tamtej pory się nie odezwał, nie odbierał moich telefonów.

Colin zapisał coś w notesie. Od lat nosił go w wewnętrznej kieszeni kurtki razem z tanim długopisem o pogryzionej zatyczce, którą teraz włożył sobie między wargi.

– Trzy dni temu dzwonił do niego jego ojciec z informacją, że jedzie na święta do Montpellier. Odsłuchałem wiadomość w komórce twojego męża, którą zatrzymamy na potrzeby śledztwa. Kiedy byłaś w drodze, oddzwoniłem do twojego teścia i powiedziałem mu o napadzie. Jutro tu będzie.

Léane skinęła głową. Sześć miesięcy wcześniej Jacques Morgan stracił żonę: popełniła samobójstwo poprzez przedawkowanie leków. Léane nigdy nie widziała, żeby jej teściowa była szczęśliwa. W jej oczach zawsze tlił się straszliwy smutek, którego źródła ani ona, ani nawet Jullian nie znali. Alkohol, antydepresanty i leki przeciwlękowe były stałymi towarzyszami jej życia. Pisarka często zastanawiała się, jak Jacques jest w stanie to wytrzymać.

Colin wyrwał ją z zamyślenia:

– Skoro już jesteśmy przy zwierzeniach, powinnaś wiedzieć jeszcze o jednym. Jakies dwa miesiące temu Jullian zadzwonił do nas rano i zgłosił włamanie.

Léane zamarła. Jej dłoń z kubkiem zatrzymała się na wysokości podbródka.

– Włamanie?

– Wolał ci o tym nie mówić i poprosił mnie o dyskrecję. Nie chciał, żebyś się martwiła, wiedział, że niedługo wychodzi twoja książka i masz inne rzeczy na głowie. Poszedłem do willi na wizję lokalną, ale... – Wyglądał na zakłopotanego. Léane spijała z jego warg każde słowo. – Ale śladów włamania nie było. Jullian spał na piętrze i niczego nie słyszał. Powiedział nam, że ktoś grzebał w jego rzeczach, że papiery nie leżały na swoim miejscu, że włamywacz wszedł do łazienki i ukradł przedmioty codziennego użytku, takie jak mydła czy szczotki do włosów. Oraz że z biblioteczki zniknęło kilka egzemplarzy twoich książek.

Léane miała wrażenie, jakby obrywała cios za ciosem w ostatniej rundzie bokserskiego meczu. Wyrzuciła kubek z resztką kawy do kosza. W gardle pozostał

jej metaliczny posmak napoju.

– To jakiś obłąd. Mydła? Moje książki? Dlaczego ktoś miałby coś takiego zrobić?

– Tym bardziej że nie było żadnych oznak włamania. Jullian potwierdził, że wszystkie drzwi były zamknięte. Włamywacz, zakładając, że był jakiś włamywacz, musiałby mieć klucz.

– Myślisz, że sobie to ubzdurał?

– Pił poprzedniego dnia, Léane. I dwa dni wcześniej również. W zlewie walało się sporo butelek. Mówię ci, w ostatnim czasie nieraz zgarnialiśmy go spod tutejszych knajp. Szczotki do włosów, co za pomysł! I kto miałby interes w tym, żeby kraść twoje książki, skoro można je kupić w księgarni? Po co ryzykować włamanie do waszego domu i robić takie rzeczy? Przyjąłem jego zgłoszenie, ale muszę się przyznać, że nie nadałem biegu sprawie.

Léane zadrżała. Od czasu zaginięcia Sary Jullian nie był sobą. Alkohol, rozpacz, daremne poszukiwania. Ile razy wzduż i wszecz przemierzył kilometry wydm, nawet wiele miesięcy później? Ile kilometrów kwadratowych morskiego dna sprawdził? Czy istnieją w Berck jakieś drzwi, do których by nie zapukał? Czy ktokolwiek w mieście nie czytał ulotki ze zdjęciem ich córki? Jak może dalej mieszkać w domu, do którego sześć miesięcy po zniknięciu Sary przyszła koperta z jej włosami? I w którym po półtora roku dowiedzieli się, że ich córka została zabita przez Andy'ego Jeanson, mrocznego podróżnika jeżdżącego kamperem, który gwałcił, mordował i grzebał swoje ofiary w lasach, a jakby tego było mało, wysyłał rodzicom kosmyki ich włosów?

Ona sama uciekła z Natchnien. Te dni spędzone na kręceniu się w kółko w czterech ścianach, te koszmary z dzieciństwa, które nagle wypłynęły na wierzch i z których budziła się z krzykiem w środku nocy, te godziny spędzone przed drzwiami pokoju ich córki, ta niezdolność do wykrzesania z siebie jakiegokolwiek pomysłu na powieść, to oczekiwanie na nowe informacje w śledztwie, to odtwarzanie scenariusza zaginięcia... I strach przed tym domem, a zwłaszcza wyobrażanie sobie, że Jeanson czai się za wydmami, ukryty w piasku, gotów wejść do willi i wślizgnąć się do jej łóżka. Niewidzialna postać, która ją przerażała, jak Horla Maupassanta.

Wyjechała więc, a Jullian nie chciał z nią zamieszkać w paryskim apartamencie, wolał czekać na powrót Sary, przekonany, że któregoś dnia córka się pojawi. Zamknął się we własnych obsesjach. Dopóki nie zobaczy ciała, nie chciał wierzyć, że Jeanson zabił ją tak jak inne ofiary i zakopał. Pracował już tylko tyle, by przeżyć, pił, by ukryć prawdę, a w pozostałym czasie szukał: w internecie, na forach, na drogach, zamieścił jej zdjęcie na wszystkich portalach społecznościowych, w witrynach sklepów, na stacjach benzynowych – z nadzieją,

że wreszcie ktoś mu powie „tak, spotkałem ją” albo „wiem, gdzie jest, wszystko u niej w porządku”. Samobójstwo jego matki w żaden sposób nie zmieniło sytuacji.

Kiedy tylko Léane znalazła się w Paryżu, natchnienie wróciło: postanowiła stworzyć historię o pisarzu – zwyrodnialcu, gwałcicielu i mordercy uwięzionym przez wariatkę, która każe mu dokończyć książkę. Zanim napisała pierwszą linijkę, już знаła tytuł: *Niedokończony rękopis*. Książka stała się jednym z bestsellerów końcówki roku.

Do rzeczywistości przywrócił ją głos Colina:

– Zamierzasz trochę zostać w Berck?

– Tak, wzięłam część rzeczy.

– A promocja twojej powieści?

– Książka się dobrze sprzedaje. Są ważniejsze sprawy.

Ze sposobu, w jaki na nią patrzył, Léane wnioskowała, że ta informacja raczej go ucieszyła. Przyszedł doktor Grzeskowiak. Pisarka знаła go od dawna: kilka lat temu dostarczał jej informacji na temat zaburzeń pamięci i odpowiadał na pytania, które zadawała mu w związku z pisaną książką. Serdecznie uścisnął jej dłoń.

– Zaraz zabierzemy pani męża na dodatkowe badania, ale wiem, że ma pani za sobą podróż, więc może pani się z nim zobaczyć przez kilka minut. Wyjdzie z tego.

– Czy jest poważnie ranny?

– Fizycznie idzie ku dobremu. Nie ma złamań, ale poważne uszkodzenia na wysokości gardła wywołały opuchliznę, która może przytłumić mu głos i utrudnić mówienie jeszcze przez kilka dni. Nie jest to nic nieodwracalnego. Jeśli chodzi o czaszkę, a to była nasza główna obawa, nie znaleźliśmy uszkodzeń ani obrzęku. Jego reakcje werbalne i ruchowe są raczej zadowolające. Zrobimy dodatkowe badania, żeby sprawdzić, czy nie ma powikłań w mózgu. Bo mimo wszystko w wyniku napadu stracił przytomność.

Colin wyjął notes.

– Został uderzony od tyłu?

– Tak sędzę. Moim zdaniem ktoś próbował go udusić, a potem uderzył w czubek głowy. Nie ma uszkodzeń skóry, a ślad po uderzeniu ma dwa, trzy centymetry: to znaczy, że zaatakowano go jakimś tępym narzędziem w stylu kija bejsbolowego.

Każde z tych słów sprawiało Léane ból. Była na siebie strasznie zła, wyobrażała sobie, jak jej mąż zupełnie sam leży nieprzytomny na ziemi, podczas gdy ona popija białe wino po trzydzieści euro za butelkę. Dlaczego nie wsiadła w samochód dwa dni wcześniej, po tym jak nagrał jej wiadomość? Dlaczego w jego głosie nie wyczuła przynaglenia ani tego, że być może już wtedy czuł się zagrożony? Co zamierzał jej powiedzieć na temat ich córki?

Weszli w korytarz. Przed drzwiami z numerem dwieście dwadzieścia dwa Léane przycisnęła obie pięści do ciała, po czym weszła do środka. Jullian leżał pod kołdrą w białej piżamie, nieruchomy, pod kroplówką, z twarzą zwróconą w stronę sufitu i z grubym opatrunkiem na głowie. Odwrócił się w jej stronę: jego prawe oko było opuchnięte i czerwone z powodu popękanych naczyń krwionośnych. Miał krótko ścięte włosy.

Żołądek palił Léane jak rozżarzony piec. Nie miała przed sobą jakiegoś tam pacjenta, ale swojego męża, ojca Sary, mężczyznę, z którym spędziła prawie połowę życia, który znosił jej obsesje z większą cierpliwością, niż ona akceptowała jego – te długie tygodnie, kiedy zamykała się w pokoju i we własnej głowie, bez słowa, bez uśmiechu – tego samego mężczyznę, który z każdym dniem coraz bardziej się od niej oddalał. Przypadła do niego i wierzchem dłoni pogładziła go po policzku. Drżały jej palce.

– Jestem tutaj, dobrze?

Przyjrzał jej się z wyraźną paniką w oczach i zniekształconym głosem, który Léane z trudem rozpoznała, wydusił:

– Kim pani jest?

Wśród stu dwudziestu siedmiu ofiar, które Vic miał okazję oglądać na stołach sekcyjnych, było siedemdziesięciu dwóch mężczyzn, czterdzieści trzy kobiety, jedenaścioro dzieci i jeden noworodek. Piętrzące się statystyki przygniatały mu umysł; topielcy, ofiary poparzeń, wypadków, blondyni, bruneci, łysi – pamiętał adres każdej ofiary, miejsce i datę znalezienia zwłok, ich wagę i wzrost, warunki meteorologiczne i, co najgorsze, twarze: upiorną galerię martwych oczu, połamanych nosów, zapadnięte policzki, zielonkawe, niebieskawe czy po prostu szare. Wszystko to nie czyniło go nieszczęśliwym, szaleńcem ani maniakiem, ale przeobrażało w starą szafę na akta kryminalne i obciążało pamięć.

Vic cierpiał na hipermnęzę – zdolność do zapamiętywania wszystkiego, czy raczej niezdolność do zapomnienia czegokolwiek. Wyjątkowa pamięć długo była dla niego atutem. We wczesnym dzieciństwie czytał, pisał, uczył się, liczył szybciej niż wszyscy rówieśnicy. Ale gąbka w jego głowie, z początku całkiem sucha, zbyt szybko napęczniała. Jego rodzice, świadomi niewiarygodnego potencjału syna, zapisywali go do klubów szachowych, astronomicznych, na lekcje skrzypiec i pianina oraz do szkoły dla wybitnie uzdolnionych dzieci. Zaprenumerowali dla niego kilkadziesiąt czasopism z zakresu nauk ścisłych, historii i geografii, na gwiazdkę kupowali mu słowniki i dobrze się bawili, wyobrażając go sobie jako wybitnego naukowca, laureata Nagrody Nobla z fizyki czy cudownego pianistę. Vic natomiast marzył o tym, żeby grać w nogę, ganiać się z kolegami i bawić w chowanego, ale na to nie dano mu czasu. W wieku dwunastu lat recytował wartość liczby pi z dokładnością do tysiąca czterystu miejsc po przecinku i po raz pierwszy został zwycięzcą konkursu na najlepszą pamięć, pokonując zajadle walczących dorosłych, którzy traktowali go jak prawdziwego przeciwnika, a nie jak dziecko, którym w istocie był.

Ale później, zwłaszcza w okresie dojrzewania, wszystko wymknęło się spod kontroli. Nienawidził szkoły, nie mógł już patrzeć na szachy i nie zamierzał znać

wartości pierwiastka kwadratowego z dwóch ponad to, co mógł wyświetlić kalkulator. Grał Mozarta, Schuberta i Vivaldiego, ale nie był w stanie odczytać partytury – grywał wyłącznie utwory, które znał na pamięć. Jego głód wiedzy wygasł, w mózgu brakowało miejsca i tlenu: Vic miał już więcej wspomnień niż niektórzy ludzie u kresu życia. Uwielbiano go – to prawdziwy zaszczyt mieć przyjaciela, który potrafi przyswoić sobie zasady gry całą talią kart w mniej niż minutę – ale jeszcze bardziej nienawidzono. Nie było z nim normalnego życia, równowagi. Pierwsze związki przeżywał w przyśpieszonym tempie, potrafił uwodzić i wzruszać, wiedział, gdzie uderzyć, żeby zabołało; wykrywał kłamstwa – nie umykały mu różne odpowiedzi udzielane na te same pytania w odstępach kilku miesięcy. Gdyby życie składało się z sumy osobistych wspomnień, Vic miałby kilka żyć. Albo żadnego.

Podobał mu się rok spędzony w wojsku. Ćwiczenia, dyscyplina, nauka posługiwania się bronią, taki sam mundur dla wszystkich, traktowanie na równi z kolegami, którzy nic o nim nie wiedzieli. Wędrówki w błocie zimą, zakrwawione stopy. Ciosy otrzymywane na ringu. To było jak objawienie. Postanowił, że nie zostanie naukowcem ani astrofizykiem, ale będzie służył swojemu krajowi w szarej masie mundurów. W koszarowej sypialni ktoś mu opowiedział o zawodzie policjanta. Szybko podjął decyzję. Encyklopedyczna pamięć miała mu pomóc w prowadzeniu śledztw i ściganiu przestępców.

Po trzech latach opuścił szkołę policyjną w Cannes-Écluse w randze porucznika i wybrał przydział do Grenoble, gdzie się wychował. Po kolejnym roku wyprowadzili się stamtąd jego rodzice, nie przyszli też na jego ślub. Postawili na synu krzyżyk, a ostatnim słowem, jakie usłyszał z ust matki, był epitet „żałosny”. Wiele lat później Vic zgodził się na udział w pewnym teleturnieju z nadzieją, że rodzice go zobaczą, będą z niego dumni i odnowią kontakt. Odniósł osiemdziesiąt trzy zwycięstwa z rzędu, skończył czterdzieści lat, a oni wciąż do niego nie zadzwonili. Przegrał więc następną partię i wrócił do swoich umarłaków.

I oto czekał na niego sto dwudziesty ósmy trup, wyjęty z lodówki i rozciągnięty na stalowym blacie, kłany zbyt ostrym blaskiem lampy bezcieniowej – trup znaleziony ponad dwadzieścia cztery godziny wcześniej w samochodowym bagażniku.

Kiedy około pierwszej w nocy V&V stawili się w recepcji, Ophélie Ehre, jedna z patolożek Instytutu Medycyny Sądowej w Grenoble, już się uwijała wokół zwłok. Nie była to normalna pora na wykonywanie sekcji, ale wypadek autokaru w Chamrousse stał się numerem jeden w mediach i na najwyższych szczeblach władzy. Autobus spłonął wraz ze znajdującymi się w nim ludźmi. Wydano nakaz,

aby badania pięćdziesięciu dwóch ofiar – sekcje zwłok, analizy DNA – potraktowano priorytetowo w stosunku do wszystkich innych spraw.

Ehre miała na twarzy papierową maseczkę.

– Zaczęłam bez was. Zważyłam, ogoliłam, zaczęłam otwierać czaszkę. Przepraszam, ale to moja siódma klientka od ósmej rano i jedyne, na co mam ochotę, to położyć się spać. A jeśli chodzi o gościa, który roztrzaskał się na skałach, sekcja będzie mogła się odbyć nie wcześniej niż za dwa, trzy dni: mamy jeszcze sporo roboty z Chamrousse.

– On jest mniej pilny. Wiemy, co mu się stało. I że po prostu ukradł niewłaściwy samochód.

Rose miał się zatem dalej chłodzić w swojej szufladzie. Policjanci umieścili jego rzeczy – pieniądze, beretę, smartfon znaleziony w kabinie i drugi w jego kieszeni – w zapieczętowanych torebkach, które zamknęli w szafie w pomieszczeniach brygady. Na razie chłopak ich nie interesował, skupiali się przede wszystkim na ofierze z bagażnika i na poszukiwaniu nieznanego ze stacji benzynowej.

– Tym lepiej. Okej, już wam wszystko wyjaśniam. Mamy przed sobą denatkę rasy kaukaskiej, wzrost metr siedemdziesiąt, waga około pięćdziesięciu ośmiu kilo. Naturalna blondynka, włosy krótkie. Na oko dwudziestolatka, antroposkopia na pewno dostarczy nam dokładniejszych informacji. Ubrana w zwykłe majtki i brudny biały podkoszulek. Żadnych znaków szczególnych, które pozwoliłyby na jej identyfikację, żadnego tatuażu czy piercingu. Niedawno wyjęto kolczyki, otwory w płatkach uszu są niezarośnięte. Poważne uszkodzenie z tyłu czaszki: ofiarę uderzono ciężkim narzędziem w rodzaju młotka, co wywołało rozległy krwotok wewnątrzczaszkowy. Z całej powierzchni twarzy zerwano skórę. Tutaj widać miejsca odcięcia. Ktoś musiał wykonać cięcie skalpelem po owalnej linii dookoła, przechodzącej przez czoło, skronie i podbródek, a potem pociągnął, tak jak ja to robię podczas sekcji. Oczy usunięto z dużą wprawą, gałki zostały równo odcięte.

Vic podszedł bliżej, marszcząc nos. Czaszka była ogolona i otwarta, ale w miejscu uderzenia widać było pogruchotaną kość. Rozejrzał się za mózgiem i zauważył go na wadze autopsyjnej. Obok leżały odcięte dłonie: wyglądały jak dwa białawe pająki gotowe w każdej chwili rzucić się na człowieka. Wrócił do zwłok.

– Jakież stosunki seksualne?

– Powiem wam za pół godziny. Tutaj, na tym przedramieniu, w okolicy cięcia, i tam, na nadgarstkach, są ślady po więzach. Pobrałam też kilka próbek do badania toksykologicznego. Być może włosy, paznokcie i ciało szkliste dadzą nam więcej informacji na temat jej diety w ostatnich tygodniach i obecności substancji

psychoaktywnych albo leków w organizmie. Ale na to też trzeba będzie poczekać, myślę, że jakiś tydzień. Laboratorium jest zaważone pracą w związku z Chamrousse.

Vadim stał bez ruchu z rękami w kieszeniach. Vic zrozumiał, że jego kolega marznie tu jeszcze bardziej niż na zewnątrz. Vadim brzydził się sekcji zwłok – ale kto by je lubił? W dodatku ofiara była mniej więcej w wieku ich córek. Coralie i Hélène, szesnastolatki, mogły się znaleźć na jej miejscu.

Vic odegnał tę nieznośną wizję i po wyrazie twarzy partnera rozpoznał, że pomyśleli o tym samym. Coś takiego mógł zrobić tylko szaleniec. Lekarka podeszła z nimi do dłoni ofiary i wskazała na ślad tuszu wokół nadgarstków, dokładnie na poziomie cięcia.

– Wygląda na to, że dla precyzji wyrysował linie na nadgarstkach. Trzymał się ich niemal co do milimetra. – Pokazała im bliznę na grzbiecie prawej dłoni. – A to stara rana, musi mieć kilka lat. Wyślę to wszystko do patomorfologa, na pewno powie nam więcej na ten temat.

Wrócili do denatki. Lekarka wykonała nacięcie w kształcie litery Y. Vic stwierdził, że trzeba być potworem, żeby pozbawić drugą osobę twarzy, dręczyć i torturować ją w taki sposób. Przypomniawszy sobie mężczyznę w kaszkiecie zakutanego w puchówkę, który spokojnie stał przy dystrybutorze. Niektórych drapieżców tak trudno złapać dlatego, że wyglądają zupełnie zwyczajnie. Podobnie jak Andy Jeanson mogą być dobrymi sąsiadami, przyjaciółmi, kochankami i prowadzić perfekcyjnie podwójne życie. Za dnia robotnicy, nocą oprawcy.

Kiedy patolożka rozchyliła duże płaty skóry po obu stronach żołądka i reszty tułowia, w nozdrza uderzyły go wyziewy, w których zdała się zawierać cała zgnilizna tego świata. Trupy są trochę jak whisky, wydzielają rozmaite zapachy w zależności od tego, jak długo nie żyją, otoczenia, w którym były przechowywane, i wilgotności powietrza. Vic się odsunął, by lekarka mogła prowadzić swoje czynności. Patrząc, jak manipuluje narzędziami, jak uwija się między stołem sekcyjnym a blatami, wyobraził sobie dyrygentkę makabrycznej orkiestry, badaczkę śmierci, przed którą śpiewają narządy, a ścięgnięta wibrują jak skrzypcowe smyczki. Ehre zatrzymała wzrok na narządach rozrodczych, które zważyła i rozczłonkowała. Potwierdziła obecność jakiegoś lubrykantu plemnikobójczego. Okaleczamy, ale się zabezpieczamy, pomyślał ze zgrozą Vic. To cecha charakterystyczna metodycznych zabójców, którzy potrafią nad sobą zapanować mimo rosnącego podniecenia i żądzy mordy.

Po badaniu Ophélie Ehre najlepiej, jak potrafiła, zaszyła puste opakowanie, zwykłą lalkę z ciała, która miała wylądować w wysuwanej szufladzie – być może na lata, do czasu, aż ktoś ją zidentyfikuje albo przemówi jej DNA. Vic przyglądał

się przedramionom denatki. Po co ktoś je odciął w ten sposób, oddzielając dłonie od reszty ciała? Kilka razy przeszedł tam i z powrotem między stołem a blatem roboczym, pełen wątpliwości, z nagłym poczuciem, że coś tu nie gra.

– Macie tu miarkę?

Lekarka podała mu elastyczną taśmę.

– Wiesz, co to jest *misdirection*?

Ehre uniosła brwi.

– To technika iluzjonistyczna, która polega na skupieniu uwagi widowni na określonym punkcie, podczas gdy w ukryciu robi się coś innego. To działa, ponieważ człowiek nie jest w stanie precyzyjnie przetworzyć wszystkich bodźców, które do niego docierają. Mam wrażenie, że...

Vic zmierzył średnicę odciętej lewej ręki, a następnie jej obwód, po czym zrobił to samo z nadgarstkami odciętych dłoni. Z przestachem spojrzął na patolożkę.

– ...że właśnie to się tutaj stało. *Misdirection*. Wszyscy widzieliśmy to ciało. Zgodnie z logiką przyporządkowaliśmy do niego dłonie i nie zwróciliśmy uwagi... To nie nasza wina, to mózg płata nam figle. – Vic sięgnął po dłonie. –

Jeśli się dobrze przyjrzeć, widać, że ręka i nadgarstek różnią się grubością o ponad centymetr.

Przysunął dłonie jak najbliżej do kikutów przedramion. Ehre jednym ruchem zdarła z nosa papierową maseczkę. Nagle pojęła, do czego zmierza Vic.

– Cholera. To nie jej.

Z lewej strony perłowymi oczami patrzył na niego posąg przypominający greckiego boga. Kawałek dalej stał wypchany dzik z futrem poplamionym ludzką krwią i oparte o niego olbrzymie koło ciężarówki z odłamkami kości wbitymi w oponę. Jeszcze dalej rozwalone motocykle, powyginane rowery i dzieła sztuki – opakowane, zabezpieczone, każde opatrzone żółtą etykietą z numerem. Śmierć emanowała ze wszystkich przedmiotów, była w zapachach wosku, kurzu i zimnego metalu.

Po zdarzeniu w Instytucie Medycyny Sądowej i błyskawicznej wizycie na komisariacie Vic postanowił spędzić resztę nocy samotnie, w zabezpieczonym magazynie dowodów, gdzie przechowywano duże przedmioty, które nie mieściły się w kopertach, pudełkach czy torebkach. Każdy ważny dowód niezależnie od rozmiaru powinien być przechowywany w bezpiecznym miejscu co najmniej sześć miesięcy od wyroku. Magazyn przypominał emanację mózgu Vica: zbiór pamiątek ze śledztw kryminalnych.

Nocny strażnik w pierwszej chwili był zaskoczony wizytą, ale wpuścił go do środka. Vic lubił pracować z Morelem, miał jednak potrzebę podążać również własną ścieżką, zwłaszcza o czwartej nad ranem. Często wyrzucano mu te samotne wycieczki i zbyt samotniczy jak na policjanta charakter, ale takie chwile odseparowania były dla niego niezbędne. Zapewniały spokój, w którym nikt nie zawracał mu głowy i dodatkowo nie obciążał pamięci. Poza tym przychodząc tutaj, unikał powrotu do swojej klitki.

W blasku jarzeniówek ruszył w stronę samochodu, który przed dwoma dniami zderzył się z barierą, co spowodowało śmierć młodego Quentina Rose'a i uwolniło piekło zamknięte w bagażniku. Ford stał z prawej strony pod ścianą, dziesięć metrów od wejścia; technicy już zdążyli go obejrzeć.

Vic przeczytał raport: gościowi z jednostki identyfikacji kryminalnej udało się zdjąć włos z dywanika po stronie kierowcy i ślady spermy z kierownicy,

z tapicerki fotela i z wewnętrznej klamki. Laboratorium dysponowało więc materiałem genetycznym mężczyzny w kaszkiecie. Szef kryminalnych Alain Manzato naciskał, by jak najszybciej wykonano badania DNA.

Bagażnik okazał się nieskazitelnie czysty, dało się w nim dostrzec tylko ledwie widoczne plamki białej farby. Technicy pobrali próbki krwi z mokrych szmat i wiader. Vic przypomniał sobie o środkach czystości i wybielaczu. Podejrzany najwyraźniej coś sprzątał – pewnie miejsce zbrodni – i uważał, żeby nie zostawić po sobie śladów. A palone wapno i łopata jasno wskazywały, że zamierzał pochować zwłoki gdzie indziej. Pedant. Porucznik zawisł nad bagażnikiem, opierając się dłońmi o tylne zderzaki, wciąż pod wrażeniem odkrycia, którego dwie godziny wcześniej dokonał w prosektorium.

Dłonie obcej osoby, zapakowane i ukryte w przegródce na lewarek, wskazywały, że prawdopodobnie była druga ofiara. Inna bezimienna dziewczyna, której obecność potwierdzało tylko to okaleczenie – bez twarzy, bez wzrostu, bez koloru włosów. Dwie dłonie wyrwane z nicości, które zmieniały postać rzeczy: sprawca ranił i zamordował co najmniej dwie osoby. Czy były to jego pierwsze ofiary? Czy zabił kogoś jeszcze? Czyżby – zważywszy na niezwykle cechy zbrodni – mieli do czynienia z jakąś makabryczną serią? Czyżby na wolności był jakiś inny Andy Jeanson, który również najpierw gwałci i morduje ofiary, a potem je grzebie? Czyżby Podróżnik miał następców?

Vic nie odczuwał najmniejszej ekscytacji, jedynie odrazę i ból wynikający z bezradności. Nawet jeśli znajdą przestępcę, nic nie przywróci ofiar rodzinom. W każdym miejscu mordu ci złoczyńcy zostawiają za sobą gryzące opary i kiedy zamyka się jednego, pałeczkę przejmuje kolejny, jeszcze gorszy.

Najpierw dokładnie obejrzał tablice rejestracyjne. Powyginane, brudne, stare; za to nity były nowe. Przeciągnął palcem po ich konturach i zarówno z przodu, jak i z tyłu zauważył drobniutkie opiłki żelaza. Pozostały po wierceniu – to jedyny sposób na zdjęcie tablicy bez uszkodzenia. Dla Vica było oczywiste, że zabójca raz używał prawdziwych, a raz fałszywych numerów: potwierdzała to różnica między śladami zużycia zderzaków i powierzchni wokół nitów. Zazwyczaj nieznanomy ze stacji benzynowej jeździł przepisowo, samochód był średniej klasy, popularny model. Dobry stan opon świadczył o tym, że były regularnie wymieniane. Mężczyzna nie chciał mieć żadnych problemów z siłami porządkowymi. Osobnik lambda.

Obszedł wgnieciony po lewej stronie samochód, usiadł na fotelu pasażera i nagle go zmroziło. Miał przed sobą rzeźbę z brązu o wystających kościach policzkowych i spłaszczonym obliczu, która przypominała mu dzieło Giacomettiego. Wrażenie, że posąg na niego patrzy, rozproszyło go i sprowadziło do tu i teraz: był samotnym facetem siedzącym w zadaszonym falistą blachą

magazynie po to, żeby odwlec moment powrotu do mieszkania, w którym nie czeka na niego ani żona, ani córka.

Rozejrzył się po kabinie. Samochody mówią w imieniu swoich właścicieli. I tak jak samochód Vica opowiadał o chaosie panującym w jego głowie i życiu, tak ten emanował porządkiem. Zresztą technicy nie znaleźli w nim ani skrawków paznokci, ani włosów, ani niedopałków, ani rozgniecionych gum do żucia. Popielniczka i boczne przegródki były puste. W schowku znajdowały się alkomat, trójkąt i żółta kamizelka – wszystko jeszcze nierozpakowane. Fotel pasażera nowy, nieużyte oparcie i zagłówek. Żadnych papierków po cukierkach czy opakowań po ciastkach, tylne pasy zablokowane między siedzeniami, nigdy nieużywane. Czyli dzieci brak.

Technicy znaleźli natomiast ślady rozpuszczalnika na kierownicy – coś w stylu produktów do dezynfekcji rąk – a na klamkach, podobnie jak w bagażniku, drobne plamki białej farby. Spomiędzy pedałów wyjęli potwierdzenie opłaty za autostradę: wynikało z niego, że mężczyzna wjechał przez bramki na wysokości Chambéry o dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć, dwadzieścia minut przed pojawieniem się na stacji paliw. Jechał więc ostrożnie, ze średnią prędkością sto dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę.

Vic zrobił telefonem zdjęcie krzyżyka na złotym łańcuszku wiszącego na wstecznym lusterku i pomyślał o śladach spermy znalezionych na fotelu za pomocą oświetlacza kryminalistycznego. Wyobraził sobie, jak kierowca się masturbuje, siedząc naprzeciw Jezusa. Spuszczał się w samochodzie, być może patrząc na przyszłe ofiary. Albo rozmyślając o tym, że wieczorem, po pracy, wróci do nich, by znowu je dręczyć. To by wyjaśniało przyciemniane szyby: patrzeć, samemu pozostając niezauważonym, i oddawać się tej obrzydliwej czynności. Vic wydedukował, że chodzi o seksualnego drapieżcę. O automat do porywania, gwałcenia i zabijania, odpad natury, jakich tysiące chodzą po tym świecie.

Przeczytał mnóstwo pozycji z dziedziny kryminologii, znał na pamięć sprawę Jeansoną prowadzoną przez brygadę z Lyonu i wiedział, że tego rodzaju przestępców, zorganizowanych i skrupulatnych, złapać najtrudniej, ponieważ rozpływają się w tłumie. Ale kiedy tylko są sami, kiedy narasta w nich podniecenie, zmieniają się w straszliwe maszyny do zabijania. Podróżnik działał w ten sposób przez ponad dwa lata, aż wreszcie przez głupi błąd wpadł w sieci kryminalnych z Lyonu. Dlaczego właściciel samochodu odcinał dłonie i wydłubywał oczy? Co robił z twarzą? Fetyszysta? Kolekcjoner?

Vic przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił radio. W odtwarzaczu była płyta CD. Kabinę wypełniły dźwięki koncertu Mozarta. Zamknął oczy i wyobraził sobie prawą dłoń pianisty poruszającą się na tle lekkiej melodii skrzypiec. Osobliwa finezja kierowcy zdziwiła go tak samo jak obecność krzyżyka: *XXII Koncert*

fortepianowy, część trzecia, był jednym z najmniej znanych utworów kompozytora.

Czyżby miał do czynienia z koneserem? Głośniki i sprzęt audio nie były jednak wysokiej jakości i nie licowały z wymaganiami melomana. Vic nie znosił, gdy jakiś szczegół, tak jak tutaj, nie pasował do reszty. Mogło to dla niego oznaczać całonocne buksowanie mózgu.

Podkręcił głośność i wbił wzrok w podróbkę Giacomettiego. Magazyn wypełniły dźwięki instrumentów strunowych. Czy podczas jazdy zabójca puszczał muzykę klasyczną na cały regulator? Wtedy do głowy przyszła mu pewna myśl: może mężczyzna najpierw wpakował zwłoki i dłonie do bagażnika, a następnie ruszył i włożył płytę do odtwarzacza?

Vic na próżno szukał okładki. Musiała wypaść z samochodu w chwili uderzenia albo morderca zostawił ją w domu. Policjant cofnął utwór na początek i zmierzył czas odtwarzania aż do *allegro vivace assai XXII Koncertu fortepianowego*. Mniej więcej czterdzieści dwie minuty.

Czterdzieści dwie minuty... Jak można było wywnioskować z biletu, droga od bramek w Chambéry do stacji benzynowej zajęła dwadzieścia dwie. Jeśli teoria Vica okaże się słuszna oraz jeżeli Rose wyłączył odtwarzacz zaraz po kradzieży, mężczyzna musiał mieszkać w bliskich okolicach Chambéry, być może w jednej z niezliczonych wioch rozsianych w górach. Czyli autochton.

Vic uznał, że samochód już więcej mu nie powie. Mają DNA zabójcy, jego ogólny wygląd, samochód i trasę, jaką prawdopodobnie przejechał tamtej nocy. Jeśli jest inteligentny – a w to Vic nie wątpił – to o tym wszystkim wie, choćby z gazet: o wypadku Rose'a i trupie znalezionym w bagażniku już pisano. A to czyniło zeń poszukiwanego, niebezpiecznego drapieżcę.

Policjant podziękował strażnikowi i wyszedł. Ruszył w stronę parku handlowego położonego kwadrans od centrum Grenoble. Na asfalcie rozlewały się kałużami niebiesko-czerwone odbicia neonów, niczym fragmenty zorzy polarnej, które spadły z nieba. Uliczki i sklepy wyglądały jak wyblakłe malowidła. Jeśli ktoś chce popełnić samobójstwo, nie powinien skakać z mostu, tylko przyjechać tutaj.

Zatrzymał się na hotelowym parkingu i wszedł do niskobudżetowego przybytku w stylu Formule 1 z pierwszych lat dwudziestego pierwszego wieku. Portier – figurant o aparycji angielskiego lorda – westchnął na jego widok. Położył na ladzie klucz i kopertę.

– Wczorajem wpadła tu pańska żona i kazała to panu przekazać. Wyglądała na wściekłą.

Vic się zaczerwienił. A więc Nathalie wie, że jej mąż śpi w podrzędnym hotelu ze wspólną łazienką i toaletą, gdzie nocleg ze śniadaniem kosztuje dwadzieścia

dwa euro. Od kiedy? Skąd się dowiedziała? Spanikowanym wzrokiem spojrzął na portiera i zachęcił go, by mówił dalej.

– Pytała o pańskiego psa. Powiedziałem, że nie wiem, że... Nie, niech się pan nie martwi, siedzi sobie w budzie, dobrze schowany w moim ogrodzie. A skoro już o nim mówimy: musiałem kupić paczkę karmy, tania nie jest.

Vic złapał się za głowę.

– Tak, tak, wiem, znowu zapomniałem.

Wyjął dwadzieścia euro i położył na ladzie.

– Dziękuję, Romualdzie.

Zabrał klucz i kopertę i zniknął w korytarzu, gdzie otworzył list. W środku była tylko kartka z wypisanym wielkimi literami słowem ŻENADA.

Léane poczuła czyjaś dłoń na ramieniu i podskoczyła. Ocknęła się i omiotła wzrokiem pomieszczenie. Obok niej stał Colin, miał bladą, zmęczoną twarz. A na łóżku po prawej spał głęboko Jullian. Natarczywe pikanie aparatury, niebieskawe cienie w pokoju, gwiazdki szronu na szybie. Czyli ten cholerny napad nie był tylko kolejnym koszmarem. Krzywiąc się, pomasowała sobie kark.

– Która godzina?

– Siódma rano.

Policjant podniósł zdjęcie Sary, które leżało obok stóp Léane, i podał jej. Zasnęła z podobizną córki w dłoniach. Z odbitki na wymiętym lśniąącym papierze uśmiechała się Sarah w sportowym stroju, w zielono-niebieskiej czapce z wielkim pomponem naciągniętej prawie na oczy, z palcami ułożonymi w zwycięski kształt litery V. Tę fotografię przesłała w dniu swojego zaginięcia, to było ostatnie jej zdjęcie zrobione za życia, które Jullian zamieścił na tysiącach ulotek. Léane, rozgoryczona, schowała je do portfela.

– Chodź, zawiozę cię do domu – powiedział Colin, ruchem głowy wskazując na drzwi. – Chcę się upewnić, że wszystko tam w porządku i że będziesz bezpieczna.

– Nie, wolę zostać z nim.

– Niedługo zabierają go na następne badania, to potrwa kilka godzin. Lekarz wołałby, żeby przed diagnostyką za bardzo Julliana nie męczyć. Poza tym powinnaś trochę odpocząć.

– Nie, jednak zostanę. Zaczekam przy recepcji. – Léane ze smutkiem spojrzała na męża. – Nawet jej nie rozpoznał. Własnej córki. Wszystko zapomniał. Jak można zapomnieć o takiej tragedii? O tragedii, która rozdziera najgłębsze warstwy twojej istoty?

Czule ucałowała męża w czoło. Cierpiała razem z nim. I była zła. Kto mógł go zaatakować? I z jakiego powodu?

Odpięła jeden z zapasowych kluczy od domu leżących na szafce nocnej, wyszła i w milczeniu dołączyła do policjanta. Colin próbował ją pocieszyć, jak potrafił.

– Jullian otrzymał silny cios w głowę. Komu jak komu, ale tobie nie będę mówił, że taka utrata pamięci może się zdarzyć. Przynajmniej pamięta, kim jest. Amnezja nie jest całkowita.

– Tak, ale to może trwać wiele tygodni, nawet jeśli tomografia tego nie pokazuje. Możliwe nawet, że niektóre fragmenty życia nie przypomną mu się wcale. Że na zawsze straci wspomnienia.

– Dobrze wiesz, że lekarze zawsze są ostrożni i unikają zbyt wielkiego optymizmu.

– Strasznie mnie korciło, żeby mu opowiedzieć o śmierci Sary, może to podziałałoby na niego jak elektrowstrząs. To straszne patrzeć na niego jak na pustą kopertę, a przecież tyle walczył, nie odpuszczał. Jak ja mam to zrobić? W jaki sposób nauczyć człowieka, żeby sobie przypominał tak traumatyczne zdarzenia? Jak mu wytłumaczyć, co Jeanson zrobił naszej córce? Tego się przecież wytłumaczyć nie da.

Colin uśmiechnął się do niej blado.

– Nie są to najlepsze okoliczności do powrotu w te okolice, ale trochę odpoczynku w spokoju, z dala od zgiełku dobrze ci zrobi. Daj czasowi czas, a przede wszystkim pozwól lekarzom, żeby wykonywali swoją robotę, okej? Jullian z tego wyjdzie, odzyska pamięć i wszystko będzie jak dawniej. On tutaj, ty w Paryżu, czyli cóż: normalnie. – W jego głosie słychać było rozgoryczenie.

Został z nią na czas badań Julliana. Kiedy późnym rankiem lekarz do nich wyszedł, Léane nie dowiedziała się wiele więcej. Teraz trzeba było przeanalizować wyniki, a przede wszystkim pozwolić Jullianowi odpocząć. Gdy lekarz się oddalił, Colin zadzwonił kluczykami od samochodu.

– Dobra, jadę za tobą. Bądź ostrożna, wiatr przegonił mgłę i bardzo wieje.

Kiedy Léane wsiadła do swojego auta, miała wrażenie, jakby rozwarła się pod nią bezdenne otchłań. Jej mąż został pozbawiony wspomnień. Znała mechanizmy rządzące pamięcią, przed sześciu laty napisała powieść o kobiecie, która została napadnięta, zgwałcona i doznała amnezji. Niepamięć wsteczna jest wynikiem szoku fizycznego lub psychicznego. Jazda na rowerze, chodzenie, recytowanie tabliczki mnożenia czy nazwisk prezydentów Francji to bułka z masłem, ale przywołanie wspomnień z własnego życia staje się niemożliwe. Choć znali się dwadzieścia lat, Jullian jej nie pamiętał. W jego zimnych jak węgiel oczach nie dostrzegła żadnego błysku. Wystarczyłoby, żeby włożyła lekarską bluzę, a wzięłby ją za kogoś z personelu. Za obcą osobę.

Nie mogła znieść tej myśli. Jak bardzo pamięć jej męża jest uszkodzona? Co się stanie, kiedy Jullian się dowie, jaka tragedia spotkała ich córkę? Czy poczuje

jakieś emocje, czy może zareaguje obojętnie, jak na informację o wizycie ambasadora Patagonii we Francji?

Kiedy za przednią szybą ukazała się sylwetka latarni w Berck i samochód wjechał na wąską wyboistą drogę prowadzącą do willi, Léane poczuła dławienie w gardle. Dom przypominał zmiennokształtny organizm, groźne zwierzę z opowiadania fantasy. To było gorsze niż strach: wewnętrzny ucisk, który miazdżył jej trzewia – doświadczała go za każdym razem, ilekroć mijając kemping, widziała, jak wiązka światła latarni omiata czarny brzeg, przesuwa się po kempingu i maluje cienie na skałach. Miała wrażenie, że całe to miasto jest jak pasożyt, który wyrósł jej w żołądku i zniósł w niej zatrute jaja. Znowu miała wizję czarnej dłoni Enaëla Miraure'a wypełzającej jej przez gardło – i zrobiło jej się niedobrze.

Na asfalcie wiły się węże z piasku, które oplatały dziury w drodze, wydmy tłoczyły się wokół niej, jakby chciały ją zasypać, zdusić. Ciągłe i wszędzie ten piach, jakby wypluwały go piekielne kuźnie. Léane zerknęła w lusterko wsteczne, by się upewnić, że Colin nadal za nią jedzie. Najbliższy sąsiad mieszkał ponad trzysta metrów od willi: choćby człowiek zdierał sobie gardło na śmierć, nikt by go nie usłyszał.

Droga kończyła się zatoczką przed Natchnieniem. Jullian nie wstawił terenówki do garażu, co u niego jako maniaka porządku nie było normalnym zachowaniem. Léane zaparkowała za samochodem męża, wysiadła i owinęła się płaszczem. Colin zrobił to samo, po czym, pochylony, by ochronić się od wiatru, pomógł jej przenieść bagaże. W listwy zewnętrznych żaluzji uderzały fragmenty muszli, kamieni i wszystkiego, co na przestrzeni wieków wyżarła erozja – hałas, jaki przy tym powstawał, przypominał dźwięk kija deszczowego. Od zatoki niósł się zapach soli i wodorostów, w naturalny szum Authie wdzierały się odgłosy zabłąkanych fal. Dźwięki, zapachy... Léane już czuła przyływ złych wspomnień. Szybko weszła po tekowych schodach i wsunęła klucz do zamka, jednak drzwi się nie otworzyły.

- Cholera, wygląda na to, że zmienił zamek.
- Pewnie w związku z włamaniem.
- Chyba wzięłam jego klucz z szafki nocnej, sprawdzę.

Wygrzebała klucz z kieszeni, chuchnęła w zgrabiące dłonie i spróbowała: zadziałało. Kiedy otworzyła drzwi, usłyszała pięć krótkich sygnałów, a potem rozległ się ogłuszający dźwięk alarmu. Léane zatkała uszy dłońmi. Zauważyła białą konsolę z przyciskami: na ekranie wyświetlało się żądanie kodu. Spróbowała czterech czy pięciu nietrafionych kombinacji cyfr i wyszła. Dźwięk był tak silny, że nie dało się zostać w środku.

Schronili się w samochodzie Colina, który kończył rozmawiać przez telefon.

– Zadzwoń na numer ze skrzynki alarmu. Gość z agencji ochrony już dostał sygnał, przyjedzie za dziesięć minut. – Uruchomił silnik, by włączyć ogrzewanie. – A jeśli chodzi o śledztwo, kontaktowaliśmy się z operatorem twojego męża i wyciągnęliśmy jego billingi z ostatnich trzydziestu dni. Nic szczególnego, ale zauważyliśmy jedno dziwne połączenie wykonane w ostatni piątek. Jullian dzwonił do psychiatry w Reims i wykasował tę rozmowę z historii, dlatego na początku tego nie widzieliśmy.

– Do psychiatry? W Reims?

– Tak. Dodzwoniłem się do niego, nazywa się John Bartholomeus. Powiedział mi tylko, że nic więcej nie wie oprócz tego, że Jullian miał się z nim spotkać dziś rano. Ale z wiadomych powodów się nie spotkał.

– Jullian i wizyta u psychiatry? A nawet gdyby, to dlaczego miałby jeździć tak daleko?

– No właśnie, zważywszy na dystans, wątpię, żeby twój mąż zażyczył sobie spotkania w związku z jakimś problemem psychicznym. Ale Bartholomeus jest też biegłym psychiatrą sądowym. Kiedy trzeba, przemieszcza się po całej Francji. Zapytałem, czy przypadkiem nie pracował nad sprawą Jeansona, ale nie. Być może jednak tutaj trzeba będzie pogrzebać. Zajmę się tym.

Alarm wciąż wył. Léane zastanawiała się, do czego on właściwie służy: nikt go nie słyszy, a w ciągu dziesięciu minut dużo może się stać. W każdym razie gość z firmy ochroniarskiej wreszcie się pojawił. Colin pokazał legitymację policyjną, a Léane wylegitymowała się dowodem osobistym, by potwierdzić, że jest właścicielką domu, wytłumaczyła też, nie wchodząc zbyt w szczegóły, że jej mąż jest nieobecny. Technik nie wyglądał na dociekliwego i w mniej niż minutę uciszył wycie. Léane i Colin mogli wejść do środka. Kobieta otrzepała ubrania z piachu.

– Od kiedy jest tutaj alarm?

– Agencja zainstalowała go jakieś dwa miesiące temu, po włamaniu. System jest z najwyższej półki. Czujniki są przy wszystkich drzwiach, nie da się wejść do domu, żeby go nie uruchomić. Podam pani nowy kod: dwa-osiem-osiem-dwa.

Léane zanotowała tę informację w telefonie.

– Dlaczego nowy? Musicie go zmieniać przy każdej interwencji?

– Nie, pan Morgan poprosił nas o to po wydarzeniach z wczorajszej nocy.

– A co się stało?

– Około pierwszej alarm się włączył. W ciągu minuty zadzwoniłem na komórkę pana Morgana. Odebrał i powiedział, że alarm uruchomił się po jego wejściu do domu. Zgodnie z procedurą zapytałem go o nazwisko i hasło, ale nie potrafił sobie przypomnieć ani kodu, ani hasła. Wydawał się taki, ekhm, wesolutki.

– Był pijany?

– Tak, i to solidnie. Więc przyjechałem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Colin zmarszczył brwi i wyjął notes. Léane rozcierała sobie ramiona. Mimo że w domu było gorąco, nie potrafiła się rozgrzać, dziwne zdarzenia następowały jedno po drugim, szybciej niż w thrillerach.

– I tak było? Żadnych komplikacji?

– Żadnych. Pan Morgan musiał wrócić z któregoś z barów w Berck. Drzwi były nietknięte, sprawdziłem instalacje, wszystko działało. Poprosił, żebym zmienił kod na nowy numer, który mi podał: dwa-osiem-osiem-dwa. Z trudem podpisał papier i odjechałem. Chce pani, żebym sprawdził dom?

– Nie, nie trzeba.

Technik poprosił Léane o podpis na protokole interwencji, a następnie wytłumaczył jej działanie alarmu. Kiedy wsiadał do samochodu, pisarka dogoniła go i zapytała:

– A właśnie, jakie było hasło, które miał wam podać przez telefon?

– Sarah Poussin. Nie zmieniał go, poda nam je pani w razie problemów.

Kiedy odjechał, Léane rozejrzała się dookoła, mrużąc oczy. Lśniący piasek wlatywał znad wydmy jak garstka złotego pyłu zdmuchnięta przez olbrzyma. Wróciła do domu i dwukrotnie przekręciła klucz w drzwiach. W międzyczasie Colin dokonał pobieżnej wizji lokalnej parteru.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Jeśli jutro rano chcesz gdzieś jechać, powinnaś wprowadzić samochody. Ten piach, co za zaraza! Choćby dlatego nigdy nie kupiłbym tego domu, nawet gdybym miał środki.

– Natchnienie i tak nie jest na sprzedaż. Okej, idę zajrzeć do zamrażarki. Powinna się tam walać jakaś pizza. Może być?

– Jasne.

W porównaniu z paryskim mieszkaniem pokoje wydały jej się zbyt duże i zbyt puste. O obecności Julliana świadczyły subtelne ślady – tu marynarka przerzucona przez fotel, tam para butów na dywanie, na stole kupka jego płyt DVD z tancerką flamenco, która nazywała się Sara Baras – ale nie było bałaganu, chaosu, którego mogłaby się spodziewać. Uświadomiła sobie, jak bardzo Natchnienie, ten dom, który wszystko jej dał i wszystko odebrał, stało się dla niej obce.

Odgrzała pizzę w mikrofalówce i wróciła do Colina. Czytał instrukcję obsługi alarmu, wciskał guziki. Podała mu talerz.

– Zostaw, zajmę się tym później.

– Chcę mieć pewność, że będziesz tutaj bezpieczna.

– Nie martw się. Zamki są wymienione, no i jest ta piekielna syrena, która zniechęciłaby nawet głuchego.

Zjedli w ciszy, co dobrze im zrobiło. Léane była znowu u siebie, w tej wspaniałej willi, której nie potrafiła już lubić.

– Dzięki, Colin. Za wszystko.

– Nie ma za co. Wiesz, to dopiero początek ferii, a ja już zaczynałem się nudzić.

– Ach tak, przecież ty...

– Nie ma problemu, jadę do rodziców dopiero trzydziestego, na Nowy Rok. Zastanawiałem się, co będę robił. Nie zamierzam pozwolić, żeby sprawca takiego napadu pozostał bezkarny.

Léane się do niego uśmiechnęła. Trzeba było być ślepym, żeby nie zauważyć, że Colin czuje do niej miętę, i to od samego początku, kiedy po zaginięciu Sary pojawił się w ich życiu. W jedną jedyną noc dała się ponieść rozpacz i wyładowała z nim w łóżku. Potem, kiedy mu oznajmiła, że wyjeżdża do Paryża i nie wróci już do tego domu, wyczytała w jego oczach smutek. W stolicy znikła dla niego bezpowrotnie. W Barck jednak, choć u boku Julliana, była na miejscu, dostępna – choćby w snach.

Aby położyć kres zakłopotaniu, które wkradło się między nich, ruszyła w stronę znajdującej się na drugim końcu salonu biblioteczki, urządzonej w postaci nisz wydrążonych w ścianie. Za dużym oknem po lewej przy ładnej pogodzie widać było część zatoki, która lśniła w blasku wschodzącego słońca. Léane wcisnęła guzik, by opuścić wszystkie rolety, i przystąpiła do przeglądania półek.

– Zostawiałam sobie po cztery egzemplarze każdej mojej książki. Teraz są po trzy. Myślę, że Jullian miał rację: ktoś tutaj wszedł.

Colin sięgnął po ramkę stojącą obok biblioteczki. Za szybką znajdowało się zdjęcie Julliana w stroju wędkarskim – żółty sztormiak, kalosze – zbierającego małże.

– A może to Jullian gdzieś je przełożył? Może chciał jeszcze raz przeczytać twoje książki?

– Nie chodzi tylko o napad, dzieją się dziwne rzeczy. Jullian używał hasła Sarah Poussin wszędzie: do komputera, do kont internetowych... Nawet jeśli wypił, jak mógłby je zapomnieć? Nazywał w ten sposób naszą córkę! I dlaczego nie mógł sobie przypomnieć kodu do alarmu?

– Alkohol potrafi płatać paskudne figle. Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak bardzo Jullian się stoczył. – Odstawił zdjęcie na miejsce i spojrzął na zegarek. – Prawie piętnasta. Będę się zbierał. Od wczoraj od południa nie spałem, a mój kot pewnie nie ma co jeść. A kiedy nie je, to broi. Możliwe, że to jakieś sceny zazdrości albo nie wiem co, powinienem z nim pójść do weta. – Sięgnął na komodę po kluczyki od terenówki. – Wstawmy najpierw te samochody.

Léane zeszła do piwnicy schodami na końcu korytarza i podniosła drzwi od garażu. Colin już wjeżdżał wozem Julliana, ustawił go obok rowerów. Kobieta wprowadziła swój mały miejski samochód, po czym zamknęła garaż. Kiedy wróciła na górę i odwróciła się, zauważyła, że Colina za nią nie ma.

– Colin?

Żadnej odpowiedzi. Zeszła jeden stopień niżej.

– Colin?

– Tutaj jestem. Ja... Chodź zobacz. Znalazłem coś.

Jego głos brzmiał poważnie. Léane poczuła narastający stres. Co on jeszcze chce jej pokazać? Znowu coś dziwnego? Nad otwartym bagażnikiem terenówki zobaczyła jego rozczochrane i trochę przerzedzone włosy. Colin z poważną miną robił zdjęcia telefonem.

– Chciałem zajrzeć do bagażnika, ot tak, na wszelki wypadek.

Pisarka podeszła bliżej i ukryła twarz w dłoniach. Miała przed oczami ciąg koślawych liter wypisanych na metalowej ścianie bagażnika, a dookoła ślady drapania paznokciami. Ktoś był w środku i za wszelką cenę usiłował się wydostać.

Krwawe litery układały się w słowo – słowo, które dla umysłu Léane było jak cios maczugą.

ŻYWA.

Léane siedziała na sofie zszokowana. Wypiła ziołową herbatę, po czym sięgnęła po whisky. Dręczył ją przerażający, niezrozumiały obraz: Sarah zamknięta w samochodzie Julliana, drapiąca blachę, zakrwawionymi palcami usiłująca zostawić wiadomość. Nie, co za brednie, przecież Sarah zaginęła cztery lata temu i nie żyje, została zamordowana, tak jak pozostałe ofiary Andy'ego Jeanson. Nie żyje!

– Colin, to wszystko, co się dzieje, jest niemożliwe. Widziałeś, jak mój mąż rujnował własne życie, szukając naszej córki. Jak przez lata żył jedynie nadzieją, że ją znajdzie. Nie dalej jak trzy miesiące temu był na komisariacie w Lyonie, próbując wyciągnąć dowody w sprawie Jeanson. Ale to słowo wymalowane krwią, te ślady paznokci... Ktoś był w bagażniku jego samochodu, i to niedawno, bo przecież zauważyłabym to, kiedy tu jeszcze mieszkałam. Kobieta, która zdarła sobie palce i wybrała właśnie to słowo. Nie napisała „pomocy” ani „ratunku”, ale „żywa”.

Colin zachowywał posągowy spokój, pochylony, pogrążony w myślach i milczeniu, które wreszcie przerwał:

– Trzeba będzie działać sprawnie. Napad na twojego męża pozwolił na otwarcie śledztwa, które daje nam sporo możliwości. Na jego użytek zlecę badania DNA tej krwi. Wezmę próbkę krwi Julliana ze szpitala, wtedy ty nie będziesz musiała oddawać, i będziemy mogli wykonać test pokrewieństwa między jego DNA a DNA osoby z bagażnika.

Léane skinęła głową. Monotonny, formalny sposób mówienia policjanta sprawiał jej ból.

– Po co to wszystko, skoro wystarczyłoby porównać DNA krwi z bagażnika z profilem genetycznym Sary z bazy śladów genetycznych?

– Nie chcę znowu stracić śledztwa. Jeśli wejdziemy do bazy FNAEG³, na profil waszej córki, lyońska policja zwróci na to uwagę i zjedzie tutaj, a tego nie

chę. Dopóki możemy zajmować się napaścią jako taką, dopóty sprawa jest w naszych rękach. Samochód należy do twojego męża, więc mój wniosek do sędziego jest uzasadniony.

Léane obracała szklankę w otwartych dłoniach: Colin boi się, że odbiorą mu sprawę. Wpatrywała się w kupkę popiołu w palenisku kominka.

– Jeśli sądzisz, że... że to mogłaby być krew Sary albo że to ona miałaby napisać tę wiadomość, to znaczy, że nadal, po czterech latach uważasz, że Jullian mógłby być w to zamieszany? I że z Andym Jeansonem to jedna wielka pomyłka? Colin, czy ty siebie słyszysz?

– W bagażniku samochodu twojego męża jest krew, moim obowiązkiem jest wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

Zapał się w fotelu, podpierając głowę dłonią jak stary myśliciel.

– Posłuchaj... Przez te wszystkie lata miałem tutaj dużo czasu na rozmyślanie. Zimą w Berck nie ma nic do roboty, można tylko dumać. Więc dumałem, zadawałem sobie pytania. Dzień po dniu składałem elementy śledztwa. Ale kiedy jest się takim małym prowincjonalnym gliną jak ja, trudno posuwać się naprzód, bo nie masz dostępu do kulis sprawy i nawet jeśli jesteś w samym środku, to stajesz się niemal obcy. Kiedy prosisz o możliwość przeczytania akt albo przedstawiasz swoje teorie, dają ci do zrozumienia, że lepiej będzie, jeśli zajmiesz się bójkami pijaczków na swoim zadupiu. Kryminalni z Lyonu nie są szczególnie sympatyczni. – Wyjął notes, którym pomachał jej przed oczami. – Trzeba więc sobie radzić, zbierać informacje bocznymi kanałami. To ten sam notes od czterech lat. Przeznaczony specjalnie na twoją rodzinę. Jest w nim wszystko, moje spostrzeżenia, chronologia sprawy. Nie wyobrażasz sobie, ile razy to wszystko czytałem, ile razy przemyślałem każdą informację. Chcesz wiedzieć, co dzisiaj poczułem? W sprawie Jeasona i zaginięcia twojej córki coś nie gra.

Léane znowu poczuła dreszcz. Colin nigdy nie zakwestionował żadnej decyzji w śledztwie, ale czy mógł? Jak sam mówił, jest nikim.

– Mów.

– Jesteś gotowa usłyszeć tę historię jeszcze raz? Wrócić do początku, do wszystkiego, co wiemy o tej pamiętnej nocy, kiedy zniknęła Sarah? I... Cóż, wszystkie te mroczne szczegóły, to nie jest łatwe, nie chciałbym, żebyś...

– Minęły cztery lata, Colin. Razem z Jullianem poradziłem sobie z tą tragedią i jestem gotowa. Wiem, co Jeanson zrobił mojej córce i innym porwanym kobietom, próbuję nauczyć się z tym żyć. Więc mów.

Rozmowa z Colinem i zagryzłone strony jego notatnika wydobyły z pamięci Léane bolesne wspomnienia. Wieczór z dwudziestego trzeciego stycznia dwa tysiące czternastego roku stanął jej przed oczami, jakby to było wczoraj. Przypomniała sobie spacer po pustej plaży w poszukiwaniu pomysłu na książkę, który nie przychodził, plusk fal, długą prostą linię na mokrym piasku – trasę ucieczki krabów między kamienie – grube kłęby mgły przywianej znad morza. Dostała wiadomość i selfie od Sary chwilę przed siedemnastą trzydzieści, kiedy dochodziła do bunkra usytuowanego w południowej części zatoki, jakiś kilometr od willi. O dziewiętnastej czterdzieści pięć próbowała się dodzwonić na komórkę Julliana, zaniepokojona, że po ponad dwóch godzinach od wyjścia córki wciąż nie ma w domu, i nagrała mu kilka wiadomości. Oddzwonił dopiero około dwudziestej trzydzieści, tłumacząc się, że pracował do późna w bazylice Notre-Dame w Boulogne-sur-Mer, czterdzieści kilometrów od Berck.

– Szybko odkryliśmy, że Jullian skłamał. Kiedy twoja córka zniknęła, nie był w pracy, ale z Natachą Dambrine, swoją szefową, regionalną konserwatką zabytków. Przyznanie się do prawdy trochę mu zajęło i o mało nie trafił do więzienia za tę wyssaną z palca historię.

Léane upiła łyk alkoholu. Przypominała sobie te nieznośne oskarżenia wobec swojego męża, a także to, jaki Jullian był załosny, kiedy musiał się przyznać do cudzołóstwa przed nią i przed policją. Ten przygniatający go wstyd i zstąpienie do piekieł zaraz później. I siebie: nic nie widziała, zaabsorbowana poszukiwaniem pomysłów na książkę, która powstała cztery lata później jako *Niedokończony rękopis*. Mimo złości i zawodu wspierała go i pozostała przy nim – liczyło się tylko zaginięcie ich córki. Ale spoivo ich związku się wykruszyło.

– Alibi twojego męża opiera się na trzech filarach. Po pierwsze, słowo Dambrine. Po drugie, istnienie ich przytulnego gniazdka, które znaleźliśmy w wieży fortu Ambleteuse. I po trzecie, lokalizacja jego telefonu, która

rzeczywiście wskazywała na Ambleteuse, sześćdziesiąt kilometrów stąd, wtedy gdy dzwoniłaś, żeby powiedzieć, że Sarah się spóźnia.

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by zauważyć, że Colin, choć nie okazywał tego otwarcie, nie znosił Julliana.

– Kryminalni porzucili trop twojego męża. Trzeba by być takim psycholem jak bohaterowie twoich książek, żeby porwać własną córkę, zostawić komórkę w forcie Ambleteuse, udać, że się tam było, i jeszcze wciągnąć w kłamstwo swoją kochankę, robiąc z niej współniczkę.

– Jullian uwielbiał Sarę, nigdy by jej nie skrzywdził. Jest moim mężem. To niemożliwe.

– Jest wiele powodów, dla których możemy zrobić komuś krzywdę, nawet jeśli go uwielbiamy. Ale zostawmy to, nie było się do czego przyczepić, dowody przemawiały za ich wersją zdarzeń z tamtego wieczoru. Wtedy skończyło się na gadaniu. Brak świadków, brak podejrzanego, brak motywu, przez sześć miesięcy nic, aż do czasu, kiedy dostaliście tamten kosmyk włosów wysłany z Drôme dwudziestego lipca dwa tysiące czternastego roku. Informacja krąży po policyjnej sieci i trafia do kryminalnych w Lyonie, którzy od półtora roku prowadzą śledztwo w sprawie trzech zaginięć. Pierwsze w okolicy Villefranche-sur-Saône w styczniu dwa tysiące trzynastego, drugie w Arcachon w lipcu tego samego roku, trzecie w Gap w listopadzie. Jedynym punktem wspólnym, jaki łączy wszystkie te sprawy w jedno, jest kosmyk włosów wysyłany pocztą do domu rodzinnego ofiary kilka miesięcy po porwaniu.

Léane wpatrywała się w jeden punkt na stoliku. Ta straszliwa chwila, kiedy otworzyła kopertę i znalazła w niej długie blond włosy, odcisnęła się w jej pamięci i będzie tam tkwiła do końca jej dni. Jullian, zdruzgotany, zasłabł i trafił do szpitala.

– I wtedy na ringu pojawia się ten, którego nazwiska jeszcze nie znamy. Andy Jeanson.

– Tak. Ładne, młode dziewczyny znikają bez śladu. Istnieją podejrzenia, że sprawcy udaje się wejść do domu niektórych ofiar, ale nigdy nie ma śladów włamania. Miejsca porwań są od siebie oddalone, listy są wysyłane z różnych miast, ale pieczętki na kopertach zawsze wskazują na ten sam departament, Drôme, w którym prawdopodobnie mieszka porywacz. A przede wszystkim są kosmyki włosów, które w sposób jednoznaczny łączą ze sobą te cztery zaginięcia.

– Stuknął palcem wskazującym w liczbę widniejącą na samym środku strony. –

Pięćset dwanaście. Pewien policjant wpadł jednak na pomysł, żeby je policzyć, i odkrył, że za każdym razem jest ich pięćset dwanaście. Ani jednego mniej, ani jednego więcej. W każdym wysłanym kosmyku było pięćset dwanaście włosów. Nasz porywacz dba o detale. Policja próbuje sporządzić jego profil

psychologiczny. Sądzi, że mężczyzna jest wędrownym drapieżcą, który podróżuje, ale ma jakiś punkt zaczepienia w Drôme. Przyczają się i atakuje, kiedy nadarzy się okazja. Stąd przydomek Podróżnik. Co nas prowadzi do położonego pięćset metrów stąd kempingu dla kamperów. Powstaje więc hipoteza: a jeśli porywacz Sary był jedną z osób przebywających tam w noc jej zaginięcia?

Przewrócił kartkę notatnika. Oczywiście znał sprawę na pamięć, ale własne pismo pomagało mu wracać do konkretnych chwil, miejsc, atmosfery.

– Do tych kamperów jeszcze wrócimy. Idźmy dalej. W dwa tysiące czternastym i dwa tysiące piętnastym, po Sarze, znika pięć kolejnych dziewcząt. Mieszkają w Saint-Malo, Toulon, Trappes, Vannest i Creil. Liczba zaginionych łącznie z twoją córką wzrasta do dziewięciu. Dziewięć zwyczajnych młodych kobiet, dobrze zintegrowanych ze społeczeństwem, które zniknęły bez śladu. Pod koniec dwa tysiące piętnastego następuje przełom. W Marsylii znika Laure Bourdon, dwadzieścia dwa lata. Dwa dni po porwaniu, w trakcie postoju w szczerym polu w celu zmiany koła, udaje jej się uciec z kampera, w którym więził ją porywacz. Biegnie drogą, zgarnia ją jakiś samochód, a kierowca wykazuje się refleksem i zapisuje numery rejestracyjne kampera. Kilka godzin później policja zatrzymuje porywacza na bramkach na autostradzie.

– Andy Jeanson, lat czterdzieści pięć.

– Tak, bezrobotny kierownik budowy, maniak łamigłówek i zagadek logicznych. Ściany pokoju w jego w domu niedaleko Lyonu są pokryte cyfrą dwa i jej wielokrotnościami, a także rozrysowanymi ruchami szachowymi. Całe pokoje wypełnione są setkami metalowych i drewnianych konstrukcji oraz kłódkami na szyfr. Prawdziwy świr. Sprawę prowadzi najpierw żandarmeria, ale szybko zostają w nią wprowadzeni kryminalni z Lyonu, przekonani, że wreszcie złapali porywacza, niewidzialnego gościa, który od trzech lat wodzi ich za nos. Andy'ego Jeansona.

Léane spojrzała w czarne oczy Podróżnika jeden jedyny raz, podczas rekonstrukcji porwania w Villefranche-sur-Saône. Ją i jej męża oddzielał od zabójcy kordon policji, a ostatecznie odprowadzono ich na bok, ponieważ Jullian stracił nad sobą kontrolę i chciał się rzucić na Jeansona. Morderca patrzył na nich wzrokiem zupełnie pozbawionym emocji. Ani twarz z szarym wąsem, ani przygasłe oczy nie zdradzały odrobiny współczucia.

Colin wrócił z dwiema szklankami wody, wypił swoją duszkę i mówił dalej:

– Problem w tym, że Jeanson nie mówi od razu całej prawdy, tylko wydziela informacje po kropelce. Nie kwestionuje dziewięciu porwań, ale w pierwszych tygodniach po zatrzymaniu nie zdradza miejsca ukrycia zwłok. Jednak nawet bez tego nie ma najmniejszych wątpliwości, że to on. W jego domu, w szufladzie komody, policja znajduje takie same koperty jak te, w których rodziny ofiar

otrzymywały kosmyki włosów. Własnoręcznie zrobione przez niego schowki w kamperze pełne są sznurów, rolek taśmy klejącej, leków uspokajających i wszelkiej maści narkotyków, a pod łóżkiem znajduje się sprytna kryjówka o wymiarach człowieka, w której zamykał ofiary.

Léane odwróciła się w stronę zamkniętych okiennic, wsłuchując się w bębnienie piasku o listewki. Wyobraziła sobie panujące na zewnątrz ciemności i cienie, które się w nich czają.

– W końcu, już za kratami, zaczyna mówić. Po trzech miesiącach od uwięzienia wskazuje miejsce pochówku trzech trupów w alpejskich lasach. Ten drań podaje policjantom dokładne współrzędne GPS ich grobów. Z powodu...

Zawahał się. Léane skinęła na niego, by kontynuował.

– Mogę tego słuchać, Colin, już ci mówiłam.

– Okej. Z powodu stopnia rozkładu ciał w wyniku wilgotności gleby i zastosowania palonego wapna nie da się ich zidentyfikować, ale z analizy DNA wynika, że chodzi o pierwszą, trzecią i siódmą z porwanych dziewcząt. Jeanson przyznaje się do gwałtów i tortur, z obrzydliwą satysfakcją podaje wszystkie szczegóły. Oto jego sposób działania: przez kilka dni przetrzymuje dziewczyny w kamperze, zmusza je do współżycia, a potem gołymi rękami zabija, najczęściej poprzez uduszenie lub uderzenie w głowę podczas snu. Następnie pozbywa się ciał: grzebie je w głębokich dołach i posypuje palonym wapnem, które kupuje w sklepach ogrodniczych tu i tam, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Łajdak, który rozkoszuje się własnymi słowami i uwielbia zabawę z policją.

Léane głośno westchnęła. Kiedy Jeanson został zatrzymany, chciała wiedzieć wszystko o męczarniach, jakie przeszła jej córka; stanąć oko w oko z tą bestią – podobnie jak Jullian i pozostali rodzice. Policjanci nie zdołali ukryć przed nimi prawdy.

– Siedział w więzieniu, ale z dokładnością niemal co do cyfry pamiętał współrzędne GPS wszystkich miejsc, w których ukrył zwłoki.

– Tak. I do dziś podał lokalizację ośmiu spośród dziewięciu ciał, przy czym ostatnią ujawnił ponad rok temu. Brakuje miejsca pochówku jednej ofiary, a jest nią Sarah. – Léane spuściła wzrok. Miała łzy w oczach. Oddałaby wszystko, żeby wiedzieć, jak inni rodzice. Upewnić się, raz na zawsze. Ale ktoś musiał być ostatni i to ona i Jullian mieli cierpieć aż do końca, do chwili, gdy ten drań zdecyduje się przemówić. – Zdradza miejsca pochówku w przypadkowej kolejności. Zacierza ślady, bawi się. Lubi skupiać na sobie uwagę wszystkich, więc przeciąga te wyznania; to dla niego jeszcze jedna gra, dzięki której za kratami może się rozerwać i znowu przeżywać swoje fantazje. Każde ujawnienie lokalizacji zwłok wykorzystuje jako okazję, by odetchnąć świeżym powietrzem.

I pomyśleć, że do tego cholernego mordercy piszą oczarowane kobiety w każdym wieku. To wszystko jest dla mnie odrażające – powiedziała, krzywiąc się.

– W jego domu nie znaleziono żadnych śladów tych dziewcząt, nigdy ich tam nie zabierał. Jest pedantem, często sprzątał samochód. Technicy niewiele w nim znaleźli. To prawdziwa gnida, kiedy podetkniesz mu pod nos zdjęcia ofiar, patrzy na nie z obojętną miną. Jakby dawał kryminalnym kolejną zagadkę do rozwiązania. Od dwóch lat siedzi w areszcie, a sprawa jest tak skomplikowana, że jego proces nawet się nie zaczął. Ale dlaczego nie zdradzi, gdzie jest Sarah, skoro zaginęła jako jedna z pierwszych? Dlaczego powiedział o wszystkich innych, a o niej nie?

Zatrzasnął notes w dłoni i z ponurą miną popatrzył na Léane. Kobieta kręciła szklanką, nie potrafiła zapomnieć o śladach paznokci w bagażniku terenówki. Wiadomość, którą nagrał jej Jullian, nie dawała jej spokoju. „Musimy porozmawiać o Sarze. Odkryłem coś bardzo ważnego”.

– Może nie powinienem ci tego mówić, ale po tym, co znaleźliśmy w bagażniku... No wiesz, jedynym prawdziwym dowodem, który łączy Jeansoną z Sarą, jest ten kosmyk pięciuset dwunastu włosów. To istotny związek, nie można go podważyć. Ale czy znaczy, że facet na pewno jest winny? Przesyłkę mógł nadać każdy, kto wiedział o sprawie. A takich ludzi jest sporo. Policjanci, sędziowie, rodziny ofiar.

– Chcesz mi powiedzieć, że mogła to zrobić każda z tych osób, żeby zrobić Jeansoną?

– Dlaczego mielibyśmy pomijać ten trop? Porywacz, który nie ma z Jeansonem nic wspólnego, więzi Sarę, obcina jej kosmyk włosów, wysyła do was i załatwione. Było kilka przecieków, ludzie mogli się dowiedzieć o sprawie. To by wyjaśniało, dlaczego Jeanson jeszcze nie zdradził, gdzie jest ciało: bo tego nie wie. Sama opisujesz w swoich książkach takie porąbane historie. Kto jak kto, ale ty akurat najlepiej wiesz, że niektóre jednostki mają nieograniczoną wyobraźnię w dziedzinie przestępczości.

Léane zerknęła na biblioteczkę.

– Czyli włączasz do tej grupy Julliana. Ciągle go podejrzewasz. Nie, to się nie trzyma kupy, Jullian nie mógł wiedzieć o włosach, zanim dostaliśmy ten kosmyk. Nigdy nie jeździł do Valence czy gdziekolwiek indziej, żeby wysyłać te cholerne listy. Jeanson znał to miejsce, był w Berck. Opisał Sarę tak, jak opisywał pozostałe ofiary, mówił o zatoce, o wydmach, o domu. Jak to wytłumaczysz?

– Żeby była jasność: nie oskarżam Julliana. Po prostu mówię, że być może Jeanson nie ma z tym nic wspólnego. Wiesz, jak wygląda przesłuchanie na policji. Próbuje się zapędzić podejrzanego w kozi róg, żeby się przyznał, podsuwamy mu pod nos zdjęcie i stosujemy presję w stylu: „No już, mów! To ty ją porwałeś, co?”

Schowales się za wydmami, żeby ją zaskoczyć? Patrz na te zdjęcia i mów!”. Wiesz, jak to jest. Jeanson mógł spokojnie zapamiętać wszystkie te informacje i je powtórzyć. Dodać do swojej galerii chwały jeszcze jedną ofiarę.

– Dobra, założmy, choć to niemożliwe, że Jeanson nie porwał Sary. A co zrobisz z tą parą, która twierdzi, że w wieczór zaginięcia mojej córki widziała jego kamper na parkingu? Sam ich znalazłeś, parkowali na kempingu dwudziestego trzeciego stycznia dwa tysiące czternastego. Zeznali to pod przysięgą.

– Po dwóch latach, Léane. Pokazano im zdjęcie kampera po dwóch latach.

Otworzył notatnik i pokazał jej przyklejoną fotografię wozu, chaussona welcome pięćdziesiąt pięć.

– Widzieli to. Jestem na tym kempingu co najmniej trzy razy w tygodniu. Wiesz, ile widzę takich kamperów? To jeden z najpopularniejszych modeli. Nasi świadkowie widzieli samochód, nie jego mieszkańca. Tak, twierdzą, że taki sam model jak kamper Jeansona wyjechał w środku nocy, i rzeczywiście może się to wydawać dziwne, ale czy regulamin każe opuszczać parking o jakiejś konkretnej godzinie? Może właściciel samochodu następnego dnia szedł do pracy, może miał coś pilnego do załatwienia albo po prostu wolał prowadzić nocą?

Ton głosu Colina się zmienił, drżał teraz z podniecenia, jakby te dziwne zwroty akcji w postaci napadu i odkrycia w bagażniku były okazją, by wyrwać się ze szponów hibernacji.

– Kiedy jesteśmy o czymś przekonani, wszystkie zbiegi okoliczności, na które normalnie nawet nie zwrócilibyśmy uwagi, zmieniają się w poszlaki. Przemawiają jak informacje przeznaczone specjalnie dla nas. Ale to w dalszym ciągu tylko zbiegi okoliczności. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, rozumiem, takie jest twoje zdanie. Ale ja go nie podzielam.

Léane miała dość, ledwie trzymała się na nogach, a od ostatniej w całości przespanej nocy, którą pamiętała, minęła wieczność. Porozmawiali jeszcze pięć minut, po czym odprowadziła Colina do drzwi. Oddał jej kluczyki od terenówki.

– Zamknąłem drzwi i bagażnik, jutro późnym rankiem albo wczesnym popołudniem przyjadę po próbki krwi i ślady DNA. Nie dotykaj samochodu.

Spuścił wzrok, a po chwili znowu na nią spojrzął.

– Dobrze, że przyjechałaś.

Kiedy odjechał, Léane zostawiła swoje rzeczy i weszła na piętro, żeby jak najszybciej się położyć. Drzwi do pokoju Sary były uchylone. Ze ściśniętym gardłem zajrzała do środka. Nic się nie zmieniło. Te same plakaty ze sportowcami, te same ubrania na brzegu łóżka, po czterech latach ten sam ból. Otwarta rana w domu, która nie przestawała krwawić. Nic dziwnego, że Julian się stoczył.

Weszła do sypialni małżeńskiej, odstawiła walizkę i nie zdjęwszy nawet ubrań, wyciągnęła się na łóżku z rozkrzyżowanymi ramionami. Sama w tej wielkiej willi na odludziu, wrzucona jak któryś z jej bohaterów w środek nawałnicy. Zagubiona, zdezorientowana, wstrząśnięta. Wyobraziła sobie pisarza, który dla własnej rozkoszy manipuluje nią, doprowadza do szaleństwa. Widziała siebie, jak niczym Arpageon w *Niedokończonym rękopisie* opowiada własną historię, wypełniając ją całym mrokiem tego świata. Czerń, wciąż ten sam kolor, od tak dawna: czerń ubrań, które nosiła jako nastolatka, czerń, którą lubiła, a mimo to przez którą tak często krzyczała w nocy.

Nagle przeniknęło ją zimno i zerwała się jednym susem. Musnęła ją niewidzialna lodowata dłoń. Naprawdę to poczuła. To w twojej głowie, skarciła się. Objęła się ramionami, by się rozgrzać, i weszła do łazienki na szybką kąpiel. Nie była w stanie stwierdzić, czy czegoś brakuje, czy ktoś korzystał z ich prywatnych rzeczy. Szczegółami zajmie się później. Zrobiło jej się jednak przykro: Jullian przełożył jej kremy, mydła i szampony w głąb szafki. Wymazał jej obecność.

Zastanawiała się, czy dla tego dawnego Julliana w ogóle istniała. I co będzie teraz, z nowym Jullianem, pozbawionym pamięci? Czy w tym nieszczęściu istnieje możliwość odbudowania wspólnego życia? Czy jest jakaś druga szansa?

Była środa, około dwudziestej. Położyła się w pustym łóżku na połówce Julliana i podkurczyła nogi, przyjmując pozycję embrionalną, jakby chciała sobie dodać otuchy. Popatrzyła na drzwi otwarte na ciemny korytarz, wstała, by je zamknąć, i znowu zakopała się w pościeli.

Poduszka pachniała piżmem. Pieszczota zapachu męża, wspomnienie jego spokojnej siły. Zanim przygasiła światło – pisała horrory, ale nie chciała spać w ciemności, nie tej nocy – zdjęła zegarek, by go włożyć do szuflady w szafce nocnej. Nagle serce podskoczyło jej do gardła: w szufladzie była broń.

Od razu ją rozpoznała, zetknęła się już z tym modelem w trakcie własnych kwerend: sig sauer 9 milimetrów parabellum. Wiedziała, że to broń policyjna – w jej książce z takiego pistoletu Judith zabiła Arpageona. Chwyciła za kolbę. Prawdziwa splota, strzelała z tego modelu w ośrodku szkoleniowym. Numer seryjny nie został zeszlifowany, z całą pewnością nie chodziło więc o zabawkę, którą można było kupić na rynkach równoległych czy zdobyć za garść banknotów. Co to śmiertcionośne narzędzie robi w tym miejscu? Skąd Jullian je wziął? I dlaczego jest to dokładnie ten sam model, który opisała w *Niedokończonym rękopisie*?

Wcisnęła guzik i wysunęła magazynek. Był prawie pełny. Prawie. Jak w książce: brakowało tylko jednego pocisku.

Był czwartek po południu. Vic nie wiedział, gdzie stanąć na chodniku przed liceum ani jak się zachować; miał wrażenie, że wszyscy ci młodzi ludzie na niego patrzą, dlatego chodził wte i wewte z telefonem przy uchu. Żeby się czymś zająć i obserwować wychodzących uczniów, odsłuchiwał w kółko pocztę głosową. We wrześniu, na początku roku szkolnego, uświadomił sobie, że w całym tym bajzlu, w jaki zmieniło się jego życie, nigdy nie odebrał córki ze szkoły. To odkrycie go przybiło.

Kiedy zauważył Coralie w otoczeniu koleżanek, schował komórkę do kieszeni i zaczął do niej machać. Nie zauważyła go, pogrążona w rozmowie.

– Coralie!

Dziewczyna z torbą na ramieniu odwróciła się i rzuciła mu spojrzenie tak mroczne jak makijaż wokół jej oczu, ale szła dalej i jeszcze przyśpieszyła kroku. Vic podbiegł i chwycił ją za ramię.

– Musimy porozmawiać.

– A niby o czym? Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Ale ja mam.

Zrozumiała, że ojciec nie odpuści. A ponieważ wiedziała też, że inni na nich patrzą i że przez starego, którego nikt nigdy nie widział – z włosami w nieładzie, ubranego w znoszoną kurtkę – mogłaby się najeść wstydu, odeszła z nim na trawnik, w pobliże bezlistnych drzew i pustych ławek. Vic, widząc ją tutaj, w swoim żywiole, wśród tych prawie dorosłych ludzi, uświadomił sobie, jak bardzo Coralie nie jest już tą dziewczynką, która dorastała u jego boku. Zadzwoił kluczykami od samochodu.

– O której wracasz na lekcje? Może byśmy wyskoczyli coś zjeść?

– Nie mam czasu, ale nie poszłabym, nawet gdybym miała.

– Wiesz, co zrobiła matka? Wiesz o liście?

Skrzyżowała ręce na piersi, nadymając się pod grubym płaszczem, jakby chciała stworzyć między sobą a ojcem jeszcze solidniejszą barierę.

– Tato, to nie jest fajne, że mieszkasz w dziadowskim hotelu, a ściemniasz, że nocujesz w mieszkaniu.

– Nie chciałem, żebyś... Cóż, nie jest zabawne mieć ojca, który śpi w hotelu, chciałem ci tego oszczędzić.

– Dziękuję za troskę. Ale wiesz, największym świństwem jest fakt, że zapomniałaś o moim pokazie tańca. Nie prosiłam cię nawet, żebyś wziął w nim udział, wiem, że to ponad twoje siły, chciałam tylko, żebyś mnie tam podwiózł. Ale wtedy, kiedy najbardziej na to liczyłam, ciebie nie było.

– Wiem, przepraszam... Zwaliło mi się na głowę to śledztwo, różne historie z twoją matką i pełno innych rzeczy. Ale, kurczę, dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Przyjechałbym natychmiast, ja...

– Mama nie chciała, żebym do ciebie dzwoniła. Ale okej, nie martw się, poradziłyśmy sobie jak zwykle.

– Skarbie, przez cały weekend myślałem o twoim pokazie, przysięgam. Zapisałem sobie to nawet dużymi literami na drzwiach pokoju.

– Na drzwiach pokoju? Nie mogłeś sobie ustawić jakiejś przypominajki, nie wiem, w telefonie?

– Mam tam za dużo rzeczy, poza tym zapomniałbym na niego spojrzeć. Wiesz, jak to jest... Te urządzenia, które mają zastąpić pamięć, nie są dla mnie. Słuchaj, chciałem cię tam odwiedzić i przyjść na występ, ale wczoraj wieczorem za późno wróciłem do miesz... do hotelu. Mama i ja mamy teraz trudny okres. A ty jesteś w środku tego wszystkiego.

Popatrzył na zieloną ławkę naprzeciwko. Dwadzieścia równoległych listewek umieszczonych w odległości pięciu, może sześciu centymetrów od siebie. Czy podobnie jest w przypadku ławki po prawej stronie i tej, która znajduje się za nią? Otrząsnął się i spojrzął córce w oczy.

– Wolałbym, żebyś nie mówiła o tym sędziemu.

– Mama już się o to zatroszczy. Ma to w notesie zaznaczone na czerwono. Kto jak kto, ale ona nie zapomni.

Telefon Vica zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Vadim. Policjant chciał wyłączyć dzwonek, ale ponieważ miał na dłoniach rękawiczki, aparat wyslizgnął się i upadł na chodnik. Coralie westchnęła jak typowa nastolatka.

– Tato, nie potrafisz nawet ogarnąć samego siebie ani wynająć sobie mieszkania, a przecież to nie jest skomplikowane. Kiedyś zapomnisz nakarmić MammaM i ktoś ją znajdzie martwą z głodu, dlatego nie może z tobą zostać. Masz pamięć dziesięciu słoni, a mimo to mógłbyś zapomnieć o oddychaniu. Mama jest zmęczona, już sobie z tym nie daje rady.

Zręcząc pod nosem, policjant podniósł telefon, a kiedy się wyprostował, zobaczył, że Coralie się oddala. Uszedł za nią kilka kroków, ale już przechodziła na drugą stronę.

– Spędzisz ze mną Wigilię? Moglibyśmy gdzieś pójść, nie wiem, może do chińskiej knajpy? Niedaleko hotelu jest jedna i...

Córka odwróciła się i pokręciła głową, zaciskając wargi – które chciały powiedzieć „tak”, ale stawiały opór – po czym odeszła pośpiesznym krokiem. Vic nie zareagował. Stał pośród płatków śniegu, który właśnie zaczął padać, otoczony rodzicami, obserwującymi z samochodów ten żalosny spektakl o wyrodnym ojcu. Spojrzał na potrzaskany wyświetlacz komórki.

– Szlag!

Dzięki Bogu urządzenie działało, a ekran dotykowy jeszcze reagował. Vic odsłuchał wiadomość Vadima, a kiedy wrócił do auta, wiedział już, ile listewek mają pozostałe ławki. Teraz, ilekroć będzie mijał liceum, przypomni sobie tę liczbę, każde słowo z rozmowy w parku, płatki śniegu, który zaczął padać o dwunastej dwadzieścia dwie, i pokaz tańca, o którym zapomniał, dając popis własnej beznadziejności.

Pół godziny później duet V&V spotkał się ponownie przed zakładem patomorfologii i patocytologii, niedaleko parku Hoche'a. Julien Ferrigno, patomorfolog wyznaczony przez zastępcę prokuratora, chciał się pilnie z nimi zobaczyć. Stał przy blacie, na którym leżały dwie dłonie z odciętymi skalpelem końcówkami palców.

– Nadal nie wiadomo, czyje to ręce?

– Nie. Wyniki badań DNA dostaniemy najwcześniej za dwa albo trzy dni. Laboratorium jest przeciążone w związku z Chamrousse. Wkurzające jest to gadanie o priorytetach, tak jakby podwójne morderstwo nie było ważne. Na razie nie mamy wystarczająco dużo elementów, by szukać czegokolwiek w bazie osób zaginionych. SALVAC⁴ nie pokazuje żadnego podobnego przestępstwa popełnionego w ostatnich latach. Przy obecnym stanie wiedzy obie nasze ofiary pozostają anonimowe.

Ferrigno miał woskowoblada cerę; był ubrany w bluzę zapiętą po samą szyję, a lateksowe rękawiczki opinały jego dłonie jak druga skóra.

– Mam dla was kilka informacji.

Sięgnął po piłkę do metalu, którą wręczył Vicowi.

– Po pierwsze, kończyny obu ofiar, czyli właścicielki tych dłoni oraz tej, której dłoni brakuje, zostały odcięte piłką tego typu, z naprzemiennymi zębami. Widać to po kształcie nacięć na kościach, znalazłem też ślady niebieskiej powłoki antykorozyjnej. Zabezpieczyłem kilka opiłków z ostrza, przekażę je wam do badań, jeśli uznacie, że się przydadzą.

Vic przyjrzał się piłce: zwykłe narzędzie, do kupienia w pierwszym z rzędu sklepie dla majsterkowiczów. Zabójca stosował chałupnicze metody. Lekarz sięgnął po lewą dłoń.

– Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?

Vadim był szybszy.

– Od dobrej.

– Okej. Być może znalazłem coś, co pomoże wam w śledztwie. – Umieścił dłoń pod soczewką lupy zamocowanej na przegubowym ramieniu. – Dobrze, no więc mamy tę dużą, nieestetyczną bliznę na grzbiecie dłoni, jest stara, wiele nam nie powie. Ale – odwrócił dłoń – widzicie te nacięcia od środka? Powstały niedawno.

Vic zmarszczył brwi. Blizny wyglądały na pogrupowane i równomiernie rozłożone.

– Jakby ktoś zrobił je specjalnie, układają się we wzory.

Ferrigno przytaknął.

– Ma pan rację. Na drugiej dłoni jest podobnie. Wzory są identyczne. Nic tu nie jest przypadkowe, właścicielka tych dłoni zadała sobie te rany, żeby coś przekazać.

– Albo zrobił to morderca.

Ferrigno uśmiechnął się szczerze.

– Byłbym kiepskim gliną. To nie wszystko. Chodźmy.

Poprowadził ich do mikroskopu. Pod soczewkami leżały wsunięte między szybki kawałki skóry. Specjalista włączył ekran, na którym ukazał się ślad linii papilarnych.

– Przeanalizowałem, powiększyłem i zdigitalizowałem obrazy ostatnich paliczków, plasterek po plasterku, jakbym obieraczką zdejmował warstwy o grubości kilku mikronów. Tutaj na przykład są różne warstwy linii papilarnych z jej prawego kciuka. Wgłębienia są całkiem normalne, identyczne w każdej warstwie. – Wcisnął coś na klawiaturze. – A teraz palec wskazujący.

Vic się wzdrygnął. Na niektórych warstwach brakowało linii papilarnych, jakby zostały starte gumką.

– Gołym okiem prawie tego nie widać, ale warstwy komórek, które tworzą powierzchnię naskórka, nie są równej grubości. Sprawdziłem to na wszystkich palcach: jest tak tylko na ostatnich palczkach palców wskazujących prawej i lewej dłoni.

– Jakby uszkodziła sobie opuszki, pocierając o coś. Ale o co? O drewno? O papier ścierny?

– To by spowodowało większe szkody, zniszczenia naskórka byłyby głębsze, bardziej nieregularne. Tutaj są subtelniejsze. Delikatne. Może ma to związek z wykonywanym zawodem, w którym używa się tych dwóch palców? Może zajmowała się krawiectwem, miała kontakt z tkaninami czy coś w tym stylu. Mam nadzieję, że te obserwacje trochę wam pomogą.

Vadim pomachał ręką, jakby chciał powiedzieć, że tak sobie.

– Lepsze to niż nic, ale nie nazwałbym tego dobrą nowiną. Wolę nie pytać o tę złą.

Ferrigno zdjął rękawiczki, strzelając lateksem.

– Dochodzimy do tego. Dostałem wyniki toksykologii obu ofiar. We krwi tej z rozwaloną czaszką nie ma nic szczególnego poza niedoborami żelaza, soli mineralnych i tego typu rzeczy, co wiąże się z długotrwałym uwięzieniem, zobaczycie szczegółowy raport. Ale właścicielka tych dłoni to zupełnie inna bajka. Badania wykazały obecność dużych ilości karwedilolu.

Vic skinął głową.

– Beta-bloker, który zmniejsza ciśnienie tętnicze i spowalnia rytm serca.

– Tak. Warto wiedzieć, że ten lek zabiera krew z kończyn, osoby, które go przyjmują, często mają zimne stopy i dłonie. Były też ślady buflomedylu, substancji rozszerzającej naczynia obwodowe, również stosowanej w celu zmniejszenia ciśnienia.

– Może ofiara się leczyła?

– Nie takimi dawkami. Poza tym badanie keratyny w paznokciach nie wykazało wcześniejszych śladów tych substancji. Ale to nie wszystko, znaleźliśmy też bardzo dużo morfiny. Nie muszę wam tłumaczyć, to jest bardzo silny środek przeciwbólowy, który stosuje się przy mocnych bólach albo wręcz takich nie do zniesienia.

– Takich jak po amputacji...

– Tak, z tym że skoro znaleźliśmy morfinę w dłoniach, to by oznaczało, że ofiara miała ją w ciele, zanim je straciła.

Vadim nie był pewien, czy zrozumiał.

– Chyba nie zamierza nam pan powiedzieć, że kiedy odcięto jej dłonie, żyła?

– Owszem. Mam nawet wrażenie, że wasz morderca zrobił wszystko, by zmniejszyć ból i krwawienie. Innymi słowy, nie jest wykluczone, że teraz, kiedy rozmawiamy, właścicielka tych dłoni żyje.

Vadim siedział na ławce w parku Hoche'a, pod rzędem topoli o rosochatych koronach, w których igrały płatki śniegu. Góry już kilka tygodni wcześniej przyodziały się w biały płaszcz i miały nie zdejmować go co najmniej do kwietnia. Policjant wyjął papierosa i wetknął go sobie między mięsiste wargi.

– Zawsze kiedy człowiek postanawia rzucić palenie, dzieje się coś paskudnego, co sprawia, że znowu zaczyna. Myślałem, że okolice świąt będą spokojne, w sam raz dla dobrych postanowień. No i masz!

Vic stał przed nim z rękami w kieszeniach. Jego włosy i ramiona pokrywała cieniutka warstwa białego puchu. Ogród, zazwyczaj pełen życia, był opustoszały. Tylko w oddali widać było gościa spacerującego z psem. Vic pomyślał, że w każdym parku, niezależnie od godziny i pogody, zawsze są jacyś ludzie wyprowadzający psy.

– Vic, słyszałeś, co powiedział Ferrigno. Jeśli krwawienie zostało zatamowane w chwili amputacji, przy użyciu dobrych leków i regularnej zmianie opatrunków, to kobieta mogła przeżyć. Ale bez odpowiedniej higieny umrze od jakiejś infekcji, a w każdym razie będzie strasznie cierpieć. Kiedy znaleziono te dłonie w bagażniku?

– W poniedziałek o dwudziestej drugiej... dziewięć.

– Kurde, mam gdzieś minuty! Ważne, że minęły prawie trzy dni. Trzy dni od momentu, gdy... – Zaciągnął się papierosem. – Stary, co to ma być? Co to za popieprzony drań? Chłopcy zamknęli Jeanson'a dwa lata temu, a gnida wciąż daje im popalić, nawet za kratkami. A teraz trafiamy na Skórownika, świra, który nie zostaje za nim w tyle.

Andy Jeanson, Podróżnik... Vic na bieżąco obserwował to śledztwo, łączyła go też z zabójcą osobliwa więź. Kiedy jakieś półtora roku wcześniej był w Lyonie na czterodniowym szkoleniu antyterrorystycznym, tamtejsi policjanci zajmujący się sprawą Jeanson'a tkwili w martwym punkcie. Vic miał okazję obejrzeć zdjęcia

kosmyków włosów różnych jego ofiar. Rankiem ostatniego dnia szkolenia poprosił o dostęp do dowodów, by policzyć, ile włosów jest w każdym kosmyku. Dlaczego? Sam nie wiedział. Odparł, że po prostu ma ochotę je policzyć. Koledzy zaśmiali mu się w twarz i powiedzieli, żeby wracał do siebie.

Po dwóch dniach zadzwonili do niego z gratulacjami: ktoś jednak policzył i okazało się, że w każdym kosmyku jest pięćset dwanaście włosów. Zapytali Jeanson: dlaczego pięćset dwanaście? Morderca nie odpowiedział, ale chciał się spotkać z policjantem, który był w stanie odkryć „drzwi do jego świata”, jak się wyraził. Wtedy Vic otrzymał dostęp do akt Jeanson, do rozmaitych protokołów, do całego zestawu raportów sporządzonych przez patologów, kryminalnych, psychiatrów – aby móc się lepiej wczuć w osobowość zabójcy. Andy Jeanson był inteligentnym człowiekiem, ale miał za sobą trudne dzieciństwo: przemocowy ojciec, dręczenie w szkole z powodu nieatrakcyjnej powierzchowności, kilka lat spędzonych w położonym głęboko w górach internacie o złej reputacji, w którym dzieci wychowywały się w nieprzyjaznej atmosferze. Kiedy dorósł, nigdy nie udało mu się znaleźć stabilnego zatrudnienia.

Spotkanie zorganizowano w pomieszczeniach brygady kryminalnej w Lyonie z nadzieją, że Jeanson bardziej otworzy się przed Vicem i ujawni mu miejsce pochówku ostatnich zwłok. Nic z tego. Nie powiedział niczego, o czym policjanci by nie wiedzieli. Pod koniec rozmowy poprosił o kartkę i ołówek i napisał: „Kasparow–Topałow, 1999”, po czym wrócił do celi. Wychodząc z sali przesłuchań, wypowiedział tylko jedno słowo: *misdirection*. Czyli zmyłka.

Vic, podobnie jak jego koledzy, łamał sobie głowę nad partią szachów rozegraną między Kasparowem a Topałowem, jednym z najbardziej spektakularnych pojedynków, wygranym w czterdziestu czterech ruchach przez Garriego Kasparowa. Nazywano ją też „nieśmiertelną”. Nikt do tej pory nie rozwikłał tej zagadki. Czy gdyby udało się ją rozwiązać dzisiaj, Jeanson byłby wreszcie skłonny zdradzić, gdzie jest ostatnie ciało – Sary Morgan?

Pokręcił głową, tymczasem Vadim mówił dalej:

– To jednocześnie długo i krótko. Myślisz, że do tego dąży ten świat? Do takiego przyspieszenia przemocy?

Vic pomyślał o tym, jak żona podsumowała go na kartce, którą zostawiła mu w hotelu, o rozwodzie, o rozmowie z Coralie przed liceum, o politykach, celebrytach i dziennikarzach, którzy walczyli ze sobą za pośrednictwem mediów czy hejtu na portalach społecznościowych, a także o tym, że w wieku czterdziestu pięciu lat spędzi święta samotnie w lichym pokoju, z nosem w aktach kryminalnych zamiast w talerzu z indykiem.

– Ten świat toczy się za szybko. Przemoc tylko się do tego dostosowuje, przyjmuje jego rytm.

– Dlaczego on ją utrzymuje przy życiu? I dlaczego rozwalił głowę tej drugiej? Jej też odciął dłonie, ale Ferrigno mówi, że już nie żyła. Nie mogę pojąć jego logiki.

– Ale jakąś musi mieć. Gość nie działa na oślep. Kiedy na stacji benzynowej ktoś ukradł mu samochód z trupem w środku, nie spanikował. Musimy tylko przeniknąć do jego mózgu.

– Przeniknąć do jego mózgu. Spoko. Jak ci się uda, daj mi jego adres.

Vic zaczął chodzić tam i z powrotem, wpatrując się w swoją otwartą rękę. Przypomniawszy sobie równomiernie rozłożone mikrozranienia na wewnętrznej stronie dłoni ofiary. Specjalnie wykonane nacięcia, motywy, które nie były ani cyframi, ani literami. Jakiś kod?

– Musimy się skupić na tym, co mamy. Na tych dłoniach... Co według ciebie mogłoby tak delikatnie zmodyfikować powierzchnię linii papilarnych na prawym i lewym palcu wskazującym?

– Nie mam pojęcia, może tak jak wszyscy stukała w klawiaturę.

– Samymi palcami wskazującymi?

– Może klikała w samoloty na ekranach radaru albo wkładała palce do słoików z pastą modelarską? Cholera, Vic, skąd mamy to wiedzieć? I co nam po takich bzdurnych informacjach? Lepiej byśmy zrobili, gdybyśmy pomogli tamtym poszukać, skąd może pochodzić ten cholerny ford.

– Mimolette i Dupuis przeglądają wszystkie nagrania ze stacji benzynowej z dwóch ostatnich miesięcy. Jak na razie wygląda na to, że ten samochód nigdy się tam nie zatrzymał.

– No i? Powinniśmy na przykład odwiedzać domy w miejscowościach za stacją. Ruszyć tyłek, zamiast latać od jednego laboratorium do drugiego.

– Ale właśnie to robimy. Ruszamy tyłek. Zastanawiamy się.

– Wolałbym się zastanawiać w terenie, skopać dupę temu świrowi. Nie jestem taki jak ty, nie mam mózgu jak gąbka. Po prostu muszę rozprostować nogi.

Vic potarł jednym palcem wskazującym o drugi.

– Pocierała o coś, ale to coś nie przywierało do skóry. Ferrigno mówił o jakiejś tkaninie. To był powtarzający się ruch, od którego ścierała się powierzchnia linii papilarnych. Te palce... Same końcówki.

W jego głowie niczym przewracające się w przyspieszonym tempie stronicie encyklopedii przewijały się obrazy różnych zawodów. Vadim wstał i przydepnął ledwie rozpoczętego papierosa. Strzepnął kurtkę i ruszył w stronę wyjścia z parku.

– Później nad tym pomyślimy, okej?

Odwrócił się i zauważył, że Vic wciąż stoi w tym samym miejscu i nieruchomo wpatruje się w mężczyznę z psem, zmierzającego w ich kierunku. Morel znał

swojego partnera wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że w jego głowie zaczęły się kręcić trybiki neuronowej maszyny, która być może wypluje rozwiązanie, jakie może powstać tylko w tym mózgu. Jako glina Vic był tragiczny – z tym swoim nonszalanckim podejściem do procedur i papierologii, a w dodatku strzelał z pistoletu jak ciamajda. Potrafił jednak rozmawiać z ludźmi i miał nieoczekiwane spostrzeżenia, dzięki którym śledztwa często ruszały z miejsca i nie lądowały w szafie. Jak wtedy, kiedy wpadł na pomysł, by policzyć włosy w kosmykach.

Morel wrócił do niego ciężkim krokiem.

– No dawaj. Jaki to zawód?

Vic gestem kazał mu zaczekać. Następnie odwrócił w stronę kolegi wyświetlacz swojego telefonu.

– Wszystkie te stare nacięcia na dłoniach układają się w znaki alfabetu Braille’a. Tam jest napisane: LITOŚCI.

– Braille’a? Odwaliło ci?

– Pismo brajlowskie czyta się opuszkami palców wskazujących obu dłoni. Taki powtarzający się ruch przesuwania po wypukłościach stopniowo ściera linie papilarne.

Wymienili poważne spojrzenia.

– Dziewczyna jest niewidoma.

— **M**yślę, że ją mam. Vic rzucił się do komputera Vadima – urządzenie stało na blacie naprzeciwko jego biurka. Mężczyźni od dziesięciu lat pracowali w tym samym pokoju brygady kryminalnej w Grenoble, która podobnie jak jednostki z Chambéry, Annecy, Valence i Saint-Étienne podlegała międzyregionalnej dyrekcji policji kryminalnej w Lyonie. Pomieszczenie nie miało w sobie nic spektakularnego – niezbyt już białe cztery ściany oklejone plakatami i zdjęciami, zbyt gorące latem i trochę zbyt chłodne zimą – ale to było ich gniazdo i czuli się w nim dobrze. Morel odwrócił swój monitor.

– Apolline Rina, osiemnaście lat, zaginiona półtora miesiąca temu. To pierwszy przypadek dziwnego zaginięcia niewidomej kobiety w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Są duże szanse, że to ona.

Morel odchylił się na oparcie. Zgromadzone informacje wskazywały na to, że młoda kobieta została uprowadzona z domu rodzinnego w Saint-Gervais-les-Bains, miście położonym w odległości około stu kilometrów od Grenoble.

– Sprawą zajmują się koledzy z Annecy.

Vic stanął przy oknie, za którym wirowały rzadkie płatki śniegu. Ofiara nie była już jedynie parą dłoni, miała teraz imię, twarz, uśmiech. Apolline miała długie, kręcone włosy i lekko rozchylone usta. Ładna dziewczyna o delikatnych rysach. Policjant spojrział na zegarek. Było po piętnastej.

– Okej, jadę do Annecy. Zadzwoń do nich, powiedz o dłoniach i uprzedź, że się zjawię. I daj o wszystkim znać szefowi, niech się z nimi porozumie, tak żebyśmy jak najszybciej mogli się wymienić aktami. W grę może wchodzić życie tej dziewczyny.

Ledwie Morel zdążył skinąć głową, jego partner już wychodził ze zdjęciami w kieszeni. Zazwyczaj Vic lubił te dni, kiedy śledztwo nabierało właściwego rytmu, pojawiały się tropy, a czas mknął niczym spadająca gwiazda. Ale tym

razem było inaczej. Oddalał się od Coralie, a przybliżał do demona, który więził, torturował i dręczył co najmniej dwie dziewczyny. Niewidomą Apolline i nieboszczkę o oderwanej twarzy i wydłubanych oczach. Fakt, iż w obu przypadkach pewną rolę grał narząd zmysłu wzroku, wskazywał na jakąś prawidłowość. Obsesja mordercy? Czyżby tak bardzo się bał, iż ktoś go obserwuje i osądza, że pozbawił swoją ofiarę oczu i zniszczył jej twarz?

Policjant przypomniał sobie też słowo napisane brajlem na wewnętrznej stronie dłoni. LITOŚCI. To był sposób Apolline na wołanie o pomoc. I nikt jej nie odpowiedział. Była sama, pogrążona w ciemnościach, pozbawiona kończyn, i czekała, że może ktoś ją uratuje.

Aix-les-Bains-Annecy: gaz do dechy. Godzinę później Vic jechał brzegiem jeziora Annecy, szarego i nieruchomego. Górskie szczyty tonęły w nisko wiszących chmurach nabrzmiałych wilgocią. Zwinięte u ich stóp miasto wyglądało jak skulony chory człowiek. Zimą górskie miasta same stają się jak góry.

Przywitał go policjant w randze kapitana, nazywał się Philippe Boulgronier i był szefem grupy zajmującej się sprawą Riny. Zabrał go do swojego biura, wytapetowanego połączonymi strzałkami fotografiami dziewczyny, szkicami, nazwiskami i nazwami miejsc, i podał mu kawę. Pomieszczenie było ciemne i zagracone jak komórka. Kapitan usiadł na krześle komputerowym, a Vic pokazał mu zdjęcia bagażnika forda i dokumentację fotograficzną z sekcji zwłok.

– Kiedy człowiek rozpracowuje takie zaginięcie, zawsze spodziewa się najgorszego. Ale to... Dłonie bez ciała i ciało bez dłoni. Dwie ofiary. I mówi pan, że Apolline być może wciąż żyje, mimo obciętych rąk? To nie do pomyślenia.

Vadim opowiedział mu o wszystkim przez telefon. O kradzieży forda, o zwłokach w bagażniku, o amputowanych kończynach, o opuszkach palców startych od czytania brajla. Oczywiście trzeba było poczekać na wyniki badań DNA, ale istniały duże szanse, że dłonie należały do Apolline.

Boulgronier położył prawą rękę na opasłych aktach.

– Apolline cierpiała na retinopatię pigmentową, chorobę degeneracyjną, która niszczy komórki siatkówki. W wieku dwunastu lat zaczęła tracić wzrok i pogrążyć się w całkowitych ciemnościach.

Vic wpatrywał się w zdjęcie dziewczyny ubranej w kwiecistą sukienkę.

– W jaki sposób zginęła?

– To się stało u jej rodziców, późnym popołudniem drugiego listopada tego roku. Mieszkają w pięknym domu nad Saint-Gervais. To odludne miejsce. Rodzice wyszli, Apolline została sama z Valkanem, swoim psem przewodnikiem. Kiedy wrócili, labrador stał przed domem i wył, a Apolline zniknęła. Podejrzewamy, że

porywacz uprowadził ją, gdy wyszła na spacer. Lubiała chodzić z psem po okolicznych lasach.

– Macie jakiś trop?

– Śledztwo jest skomplikowane. Nie ma śladów, żadnego świadka. W Saint-Gervais i okolicy nigdy nie było podobnego przypadku. Pies nie skrzywdziłby muchy, więc trudno powiedzieć, czy porywacz znał ofiarę czy nie. – Podeszedł do wiszącej na ścianie mapy regionu. – Akurat trwały ferie z okazji Wszystkich Świętych. W normalnym czasie Apolline przebywa w internacie ośrodka dla niewidomej młodzieży w Senones w gminie Montagnole, kilka kilometrów od Chambéry. Placówka przyjmuje osoby w wieku od czternastu do dwudziestu lat.

Wskazał na zdjęcie ośrodka – wysokiego budynku z kamienia, z granitowymi arkadami. Budowla z ubiegłego wieku przypominała formację skalną. W wyobraźni Vica pojawił się klasztor z siostrami w kornetach i kantyki odbijające się echem od surowych murów.

– Młodzi ludzie z ubytkami wzroku mieszkają tam przez cały rok z wyjątkiem ferii szkolnych i część z nich uczęszcza do szkół na zewnątrz, w Chambéry, w ramach państwowego systemu edukacji. Mimo inwalidztwa starają się wieść normalne życie adekwatne do ich wieku.

Vic zwrócił uwagę na lewą część zdjęcia.

– To kaplica?

– Owszem. W Senones mieściła się dawniej szkoła katolicka, tradycje religijne częściowo przetrwały. Spora część tej niewidomej młodzieży przychodzi do kaplicy, żeby się pomodlić albo wyciszyć. Kiedy wszystko dookoła jest ciemnością, człowiek potrzebuje jakiegoś punktu odniesienia.

Vicowi przypomniał się połyskujący krzyżyk na łańcuszku, który wisiał na wstecznym lusterku forda. A jeśli zabójca ma coś wspólnego z ośrodkiem? Może tam pracuje?

– Przyjrzelście się personelowi?

– Powoli posuwamy się do przodu. Trudno wszystko wyjaśnić w kilka minut, przeczyta pan sobie akta. Młodzież ma wiele zajęć, spotyka sporo ludzi: nauczycieli, lekarzy, wychowawców, zwykłych pracowników, rodziców. Nie wiemy, czy porywacz znał Apolline, czy chodzi o uprowadzenie przypadkowej osoby. W każdym razie nie możemy wykluczyć takiej możliwości. Oczywiście przesłuchaliśmy kolegów i koleżanki Apolline w Senones. Nic podejrzanego, żadnych sekretów, żadnego chłopaka, zwyczajne relacje z otoczeniem. Możliwe, że porywacz po prostu był przejazdem w Saint-Gervais i mijał jej dom, że był drapieżcą, który zobaczył bezbronną młodą kobietę i ją uprowadził. Zaatakować niewidomą osobę to nic trudnego.

– Nie, nie sędzę. Elementy tej sprawy wskazują, że sprawca mieszka w okolicach Chambéry.

– Jakie elementy?

– To coś w rodzaju przeczucia.

– Coś w rodzaju przeczucia? Tak mam powiedzieć rodzicom?

– Czuję, że poznał Apolline w szkole albo nawet w ośrodku. Wiedział, gdzie mieszka, musiał ją dobrze znać albo mieć dostęp do jej dokumentacji. Może zaczekał do ferii, żeby uniknąć zbyt oczywistego skojarzenia z Chambéry lub Montagnole. Żeby przekierować waszą uwagę i poszukiwania w inne miejsce.

– Sugeruje się pan tylko przeczuciami czy ma pan jakieś dowody?

– Poczyta pan nasze raporty i sam sobie pan wyrobi opinię. Mam nadzieję, że nasi szefowie porozumieli się w sprawie szybkiej wymiany akt?

– Cóż, zważywszy na fakt, że to sprawa niecierpiąca zwłoki, w naszym interesie jest współpracować.

Vic wstał. W jego głowie zrodził się pewien pomysł. Na zewnątrz zapadła już noc i śnieg sypał wielkimi płatkami.

– Powinienem już ruszać, jeśli nie chcę utknąć tu na dobre.

Boulgronier po raz ostatni spojrzął na zdjęcia z miejsca zbrodni i oddał je Vicowi.

– Co pańskim zdaniem łączy Apolline z ofiarą z bagażnika?

– Jest zbyt wcześnie, by o tym mówić.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

– Poruczniku Altran? – Miejscowy policjant zatrzymał Vica w drzwiach.

Podał mu szalik. Vic sięgnął po niego z uśmiechem.

– To co najmniej piąty w tym roku. Mam tendencję do gubienia przedmiotów. I pamięci – powiedział, muskając dłonią skroń.

– Wszyscy wiemy, jak to jest. I z wiekiem się nie poprawi. Ale, ale, odkąd pan przyjechał, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Czy pan nie występował w telewizji? W jakimś teleturnieju czy czymś takim?

– Musi mnie pan z kimś mylić.

Vic wrócił na autostradę i ruszył w kierunku Grenoble. Po jakiejś półgodzinie zjechał na drogę departamentalną D tysiąc sześć. Przez telefon w trybie głośnomówiącym rozmawiał z Vadimem.

– I naprawdę uważasz, że sprawca należy do personelu tego ośrodka? Chyba masz świadomość, że koledzy z Annecy już tam byli!

– Placówka prowadzi nauczanie religii, a na lusterku forda był krzyżyk na łańcuszku. Senones mam prawie po drodze. Zresztą nic się nie stanie, jeśli zapytam dyrektora, czy rozpoznaje szarego forda. Taka grzecznościowa wizyta.

– Grzecznościowa wizyta? Tylko nie narób głupot, Vic, okej? Nie chcemy mieć na karku kolegów z Annecy, a nie mamy jeszcze papierów, żeby móc działać na własną rękę.

– A, o to chodzi: o papiery! Pomyśl o Apolline, Vadim. Choć przez chwilę pomyśl o Apolline.

Rozłączył się, poirytowany. Miał powyżej uszu tych procedur. Jakiś drań odciął dłoń dziewczynie, której życie wisi na włosku. Jak można zwlekać z powodu pieprzonych papierów? Uliczne latarnie były coraz rzadsze: wyglądały jak rozbłyśki życia pośród odwiecznej skalistej nocy. Drogi zaczęły się wic i stopniowo zwężać, jakby zanurzały się w chaotycznym świecie, niepodzielnie opanowanym przez ciemności. Śnieg pokrywał asfalt cienką połyskującą warstwą.

Wkrótce w blasku samochodowych świateł ukazała się tablica: MONTAGNOLE, a następnie leżąca u stóp masywu Chartreuse pokraczna bryła ośrodka Senones. Przez mrok przebijały się nieliczne światła w oknach dwupiętrowego budynku. Vic pomyślał, że jest ich zbyt mało, ale przypomniał sobie, jaki jest cel jego podróży: świat, w którym światło nie istnieje.

Kiedy w czwartek po południu Léane przyjechała do szpitala, Jullian czytał. Colin i zespół techników krzatali się przy bagażniku terenówki, ona jednak wolała wyjść z domu. Miała za sobą koszmarną noc, spędzoną na zadreczaniu się rozmyślaniami na temat przyczyn obecności sig sauera w szufladzie szafki. Nie powiedziała o tym Colinowi; postanowiła poczekać, aż trochę rozjaśni jej się w głowie.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła obok łóżka.

– Jak się czujesz?

Jullian pokazał jej książkę: *Niedokończony rękopis*.

– Lekarz dał mi ją dziś rano po badaniach, już prawie skończyłem. Przyniesie mi inne twoje powieści. To trochę dziwne poznawać swoją żonę za pośrednictwem książek, zwłaszcza że autor jest mężczyzną. Podobno nie można zdradzać, że to ty?

– Parę osób tutaj siłą rzeczy jest poinformowanych, ale tak, zależy mi na anonimowości. Tobie też.

– Muszę się oderwać od tej bohaterki, Judith Moderoi, która więzi pisarza, bo jeszcze pomyślę, że mam ją przed sobą. To, co piszesz, jest takie pogmatwane i takie... potworne. Powiedz, że ta kobieta nie jest do ciebie podobna.

– Ani trochę. To po prostu wytwór mojej wyobraźni.

Odłożył książkę i pokręcił obrączką na palcu. Léane rozumiała jego słowa, choć brzmiały tak, jakby wydobywały się z wola pelikana.

– Od kiedy jesteście małżeństwem? Jak to się stało, że nie uciekłem w te pędy? Przecież mieszkam z cholerną psychopatką!

Léane zmusiła się do uśmiechu.

– Piszę dopiero od dziesięciu lat. *Niedokończony rękopis* to moja piąta książka. Zanim zostałam pisarką, dziesięć lat się znaliśmy. Wychowałam się w Dunkierce i byłam nauczycielką w Berck, tak jak moi rodzice. Nie będziesz ich

często widywał, na emeryturze przeprowadzili się na Tajlandię. Nie żeby nas porzucili. Chcą żyć swoim życiem, korzystać... – Zaszklily jej się oczy. – Kiedy się poznaliśmy, zajmowałaś się już renowacją architektury. W mojej szkole była pracownia i tam się spotkaliśmy.

Podniósł się i usiadł naprzeciwko niej.

– Po pierwsze, żyję ze sławną osobą. Po drugie, będę miał co czytać. Pięć książek, mówisz? Liczę na to, że będę mógł je pochłonać, madame Enaël Mirraure⁵. Mirraure jak *miroir*, lustro?

Léane nie widziała dlaczego, ale kiedy wypowiedział jej pseudonim, poczuła się nieswojo. Czy to dlatego, że wyartykułował go w inny sposób, czy też dlatego, że patrzył na nią tak, jakby dopiero ją poznawał – jak na nową powieść, na której wydanie czekało się wiele miesięcy i kiedy wreszcie się ją ma, człowiek od razu chciałby ją pochłonać? Próbowała ukryć skrępowanie.

– Można tak powiedzieć.

– A skąd ten pomysł? Chodzi mi o męski pseudonim. I o pisanie takich mrocznych rzeczy.

Léane nigdy nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie ani pojąć tajemniczych ścieżek swojej twórczości. Była nauczycielką, tak jak wcześniej jej rodzice. Jako dziecko nie przypalała muchom skrzydełek, a w młodości nie była fanką horrorów. Oczywiście, czytała sporo kryminałów, ale to nie tłumaczyło jej mrocznego pióra. Zrobiła unik.

– Rozmawiałam z lekarzem. Był bardziej optymistyczny niż wczoraj. Inne twoje wspomnienia, te związane z nauką, automatyczne gesty, są nietknięte. Nie zauważyli krwotoków w mózgu. Podobno miałaś dziś rano coś w stylu flashbacku?

– Logopeda podawał mi owoce, pojedynczo, i był wśród nich banan. Trwało to ułamek sekundy, ale zobaczyłem siebie ubranego w niebieskie szorty na plantacji bananów. Ty byłaś ze mną. Czy to możliwe?

Léane zajrzała w głąb swojej pamięci, ale niczego takiego nie znalazła. Udała jednak, że sobie przypomina.

– Najstarsze wspomnienia są najsolidniejsze. Na pewno one wrócą jako pierwsze.

– Mam nadzieję. Opowiedz mi wszystko o nas. Gdzie mieszkamy, kim jestem, kim jesteście z zawodu. Czy podróżowaliśmy też w inne miejsca? Czy mamy dzieci? Powiedz, mamy wnuki? Na zdjęciu, które mi wczoraj pokazywałaś, jest nasza córka, tak? Gdzie ona jest?

Léane poczuła potrzebę, by się do niego przytulić, przyłgnąć twarzą do jego ramienia. Kiedy się od niej odsunął, płakała. Otarł palcami jej łzę, pogładził ją po policzku. Czułe gesty, jakich nie było między nimi od wieków.

– Co się dzieje?

– Wybacz, dziwnie mi z tym... Ta twoja amnezja i wrażenie, że nic o nas nie wiesz. Twoje drobne gesty, spojrzenia. To tak, jakbyśmy wszystko zatrzymali, cofnęli się w czasie i zaczęli naszą historię od początku.

Potrząsnął książką.

– Jak w *Niedokończonym rękopisie*. Historie, które zaczynają się od nowa i nigdy się nie kończą. – Uśmiechnął się. – Lekarz mówi, że większość pacjentów z amnezją się boi. Ja nie. Bo ty jesteś przy mnie.

– Wracając do twojego pytania, tak, mamy córkę, która...

Lekarz zalecił, by nie przekazywać Jullianowi wstrząsających informacji. Jego mózg – zarówno pamięć, jak i psychika – był kruchy. Należało z nim postępować delikatnie. Wyjęła z portfela zdjęcie i pokazała mu.

– To jest Sarah. Studiuje w Saint-Luc, w Belgii. Jej konikiem jest fotografia, uwielbia to, ciągle robi zdjęcia, zobaczysz ją! Nie mówiłam jej o napadzie. Jeszcze nie. Za kilka dni ma egzaminy próbne, nie chciałam jej martwić.

Jullian musnął lśniący papier. Léane czuła się fatalnie z tymi kłamstwami, o mało nie pękła i nie powiedziała mu prawdy. Czy istnieje coś gorszego niż kłamstwo w sprawie śmierci własnego dziecka? Mąż popatrzył na nią.

– Jest do ciebie bardzo podobna.

– Jest podobna do nas obojga.

– Mogę je sobie zostawić? Może łatwiej mi będzie sobie przypomnieć.

– Dam ci inne. To zawsze noszę przy sobie.

Jullian skinął głową i oddał jej zdjęcie.

– To, co mi się stało, ten napad... Czy były jakieś powody? Czy byliśmy zamieszani w jakieś groźne sprawy? Policjant, który przyszedł tutaj przed południem, jak mu tam?

– Colin Bercheron.

– Tak, Colin Bercheron. Powiedział, że nic mi nie ukradli, że to się stało podczas spaceru. Ale... jakby miał o coś pretensje. Nie wygląda na to, żeby mnie lubił. A mówi do mnie po imieniu.

– Mieszkamy w małym miasteczku. Colin to skrupulatny glina, który po prostu wykonuje swoją pracę. Na razie nikt nie rozumie tego, co się wydarzyło.

Jullian spojrzał ponad ramieniem Léane. Za jej plecami stał jakiś mężczyzna. Jacques Morgan, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, podszedł bliżej, by uściskać syna.

– Co ci dranie z tobą zrobili!

Szybko zdał sobie sprawę z katastrofalnego stanu pamięci Julliana i porozmawiał z Léane w korytarzu. Jego łysina, usiana brązowymi plamkami, lśniła w blasku jarzeniówek. Z wiekiem trochę się skurczył, ale mimo swoich

sześcioletniemu dwóm lat wciąż emanował prawdziwą siłą. Jullian odziedziczył po nim duże oczy w kolorze orzechów laskowych i sercowaty kształt dolnej wargi – te same geny, ta sama wada produkcyjna. Léane wyjaśniła mu, jaka jest sytuacja i co opowiedziała Jullianowi o Sarze. Jacques był szczerzy i nie owijał w bawełnę. Spuścił głowę jak tryk.

– Żeby kłamać w takiej sprawie, to potworne.

– Na początku tak jest lepiej, to dla jego dobra. Powinniśmy trzymać jeden front. Unikaj mówienia o Sarze, o naszym rozstaniu. Dla niego mieszkamy razem w willi, a Sarah studiuje w Saint-Luc, okej? Musimy działać stopniowo. Co do reszty... Nie ma powodu, żeby kłamać.

– A w sprawie jego matki? Jej samobójstwa?

– Nie wiem, może trzeba mu o tym powiedzieć. Zapytaj lekarzy.

– W porządku.

– W ostatnim czasie niewiele się odzywałam, przepraszam. Jak się trzymasz?

– Daje radę. Po śmierci Jeanne została pustka, to jasne. Ale wolę tę pustkę niż to, jaka się stała.

Cofnął podbródek, wcisnął dłonie do kieszeni płaszcza. Léane nie nalegała. Historia Jeanne Morgan i więzi, która mimo wszystko przez ponad czterdzieści lat spajała to małżeństwo, miała dla niej pozostać tajemnicą. Ruszyli z powrotem w kierunku pokoju.

– Jeżeli chcesz, możesz się zatrzymać w domu.

– Nie trzeba, nie chcę robić kłopotu. Będę kursował między szpitalem a Domem Rybaka na drugim końcu zatoki. Wziąłem ze sobą pracę, muszę pozamykać księgowość klientów na koniec roku. Może Jullian wyjdzie stąd na Wigilię? A może zanim wyjadę, nie wiem, moglibyśmy coś wspólnie zorganizować u was?

Léane skinęła głową. Do Bożego Narodzenia zostały tylko cztery dni. Jacques wszedł do pokoju, tymczasem ona odebrała telefon.

– Colin? Możesz zadzwonić później? Jestem w szpitalu i...

– Oglądamy samochód z technikami. Musisz przyjechać, znalazłem coś jeszcze.

– Co?

– Wolalbym, żebyś sama to zobaczyła. Czekam w waszym garażu.

Rozłączył się. Ściskając męża, Léane poczuła skurcz żołądka: obawiała się wyników tego cholernego badania DNA krwi z bagażnika. Pomyślała o broni i braku jednego naboju. A jeżeli Jullian przekroczył granicę? Jeżeli z zemsty, gniewu, nienawiści zrobił coś, czego jeszcze nie rozumiała?

Pożegnała się z teściem i umierając ze strachu, ruszyła w drogę powrotną. Oddzwoniła do swojej agentki, która dopytywała, gdzie Léane się podziewa. Wyjaśniła, że jej mąż padł ofiarą napaści i stracił pamięć, więc zamierza zostać

przy nim przez nieokreślony czas. Powieść, której napisanie zajęło jej ponad cztery lata, którą wydarła ze swoich trzewi, z czarnej otchłani własnego wnętrza, jest teraz jej najmniejszym problemem.

– Rozumiem, weź wolne na tak długo, jak trzeba, z książką wszystko okej, przed świętami sprzedaż poszybowała w górę. Ale dzwonię dlatego, że tak naprawdę mamy z nią poważny problem. François się z tobą skontaktuje. Chodzi o coś... Kurde, ale syf.

— **M**ów, co jest grane.
— Jakiś gość, nie wiadomo skąd, złożył doniesienie o plagiacie – odparowała Pam.

Léane zaparkowała na poboczu.

– O plagiacie? To jakiś żart?

– Michel Eastwood, coś ci to mówi? *Krwawy krąg*?

– Nigdy o tym nie słyszałam.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Nie wróżyło to niczego dobrego.

– Facet jest kompletnie nieznany, ale ponad dwadzieścia lat temu napisał pod pseudonimem dwa kryminały, w tym rzeczony *Krwawy krąg*, który wyszedł w dziewięćdziesiątym pierwszym. Nieduża książka, dwieście pięćdziesiąt stron.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy. Jej młodość. Léane czytała już wtedy dużo kryminałów, ale w kwestii lektur miała doskonałą pamięć. Ani tytuł, ani nazwisko autora nic jej nie mówiły.

– Sprawdziłam sprzedaż, nie była wielka. Ale nieważne, ile egzemplarzy się rozeszło, właśnie przeczytałam tę książkę i podobieństwa do *Niedokończonego rękopisu* są bardziej niż niepokojące.

Léane oparła się przemożnej chęci rzucenia słuchawką. Miała na głowie inne problemy niż zajmowanie się ludźmi, którzy chcieli się na niej dorobić.

– Na przykład?

– Główny bohater również jest pisarzem uznanym za zaginionego na morzu. Ale w rzeczywistości jest przetrzymywany przez jakąś wariatkę, która zmusza go, by dla niej pisał. Po zakończeniu pisania kobieta go zabija i wydaje książkę pod swoim nazwiskiem. Jej tytuł to *Koniec historii*.

– No i? To jest największe podobieństwo? A czy on się nie inspirował *Misery* Stephena Kinga? A skoro już o tym rozmawiamy, powinniśmy też oskarżyć wszystkich pisarzy, którzy tworzą historie na temat niespełnionej miłości, o plagiat

Romea i Julii. Naprawdę nie rozumiem, w czym problem. Poza tym tytuły *Koniec historii* i *Niedokończony rękopis* nie mają ze sobą nic wspólnego.

– No nie wiem, doklejasz niedokończony rękopis do końca historii i masz kompletną książkę.

– Ha, ha, ha...

– Ja nie żartuję. Chcę powiedzieć, że podobieństwa można znaleźć. Ale co ważniejsze, Michel Eastwood i jego wydawca od razu zwrócili nam uwagę na inne szczegóły. Niby nic wielkiego, ale: jego pisarz nazywa się Orpojon, nie mieszka wprawdzie w Bréhat, ale na wyspie Île Grande, w Bretanii. Twój Arpageon ma za sobą przeszłość seryjnego mordercy, jego był pedofilem. Wiem, to nie są podobieństwa, jednak...

– To znaczy, że nie ma żadnego związku!

– Też tak uważam. Ale ci upierdliwcy sprawdzają teraz drobiazgowo oba teksty. Znajdą punkty wspólne tam, gdzie będą chcieli, nawet w kompletnie różnych miejscach.

– Arpageon, Orpojon, Bretania: to zwykły zbieg okoliczności, nic więcej. Nigdy nikomu nie ukradłam pomysłu.

– Oczywiście, wiem o tym, Léane. Ale po śmierci córki przechodziłaś trudny okres, nie dawałaś rady pisać i...

– A nie sądzisz, że gdybym ukradła jego pomysł, wykazałabym się większym sprytem? Zastanów się. Raczej nazwałabym pisarza Martin albo Boulanger i osiedliłabym go na południu, a nie w Bretanii.

– Trzeba będzie im to wszystko wyjaśnić. Siedzą nam na karku. Plagiat zawsze trudno udowodnić, możliwe, że im się to nie uda, ale ta sprawa może się za nami ciągnąć przez wiele miesięcy. Przesłałam ci jego książkę, w księgarni już jej nie kupisz. Przeczytaj ją. W dwie godziny zdążysz.

Rozłączyła się. Léane nie mogła dojechać do siebie. Wydarła tę powieść z własnych trzewi, poświęciła jej bezsenne noce i wiele miesięcy samotnej pracy w swoim mieszkaniu. Imię Arpageon po prostu do niej przyszło, nie wiedziała nawet, czy naprawdę istnieje. Bez zastanowienia zapisała je na kartce. To tylko zbieg okoliczności, nic więcej.

Ruszyła w dalszą drogę mimo przemożnej ochoty, by wrócić do Paryża, zażyć xanax i spać, spać, a potem obudzić się z nadzieją, że wszystko będzie lepiej. Pół godziny później spotkała się z Colinem; czekał na nią przed garażem z nieprzeniknioną miną. Colin, który musiał się troszczyć jedynie o zdrowie swojego kota. Przez chwilę pozazdrościła mu prostego życia policjanta.

Zespoły techników zdążyły już odjechać razem ze swoimi reflektorami i sprzętem.

– Trochę ci zajęło.

– Musiałam rozwiązać mały problem. Z wydawcą.

Policjant pociągnął ją do garażu i zamknął drzwi.

– Wygląda na to, że sprawy się komplikują.

Léane patrzyła na niego z zaciśniętymi ustami. Miała ochotę zawołać: „No bez jaj?”. Mężczyzna otworzył bagażnik. Kawałek wykładziny, pod którym znajdował się schowek na koło zapasowe, był złożony na dwoje. Colin wyjął z kieszeni kurtki zapieczętowaną torebkę.

– Znaleźliśmy to pod wykładziną. Czy kiedy Sarah zaginęła, miała to na sobie?

Léane straciła dech w piersi. Chwyciła torebkę drżącymi dłońmi. W środku znajdowała się niebiesko-zielona wełniana czapka z pomponem. Czapka Sary.

Było już późno, a coraz silniejsze porywy wiatru miały piachem w balkonowe okna. Poprzedniego dnia zaczęły się wielkie pływy o historycznie wysokich skokach. W takich chwilach pogoda się zmienia – staje się ostrzejsza, pojawiają się gwałtowne wiatry, a okolicę spowijają ciemności. Całe Opalowe Wybrzeże – falochrony i biegnące brzegiem drogi – zalewają wielometrowe fale. Bywa, że przy najwyższych stanach morza zatoka Authie w ogóle znika. Tym razem fale podmywały wydmy w odległości zaledwie dziesięciu metrów od Natchnienia.

Léane siedziała na sofie i przeglądała albumy z wakacji w poszukiwaniu zdjęcia plantacji bananów, o której mówił Jullian. Jeśli zwykły banan mógł przywołać tę scenę z przeszłości, to może widok i dotyk dwukolorowej czapki ożywią jego wspomnienia związane z Sarą? Może jej mąż będzie nawet w stanie wyjaśnić, skąd wziął czapkę, którą ich córka miała na głowie w chwili porwania?

Zdaniem Colina była to zwykła dwukolorowa czapka, jakich wiele, ale Léane nigdy nie widziała w sklepach takiego modelu: była wyjątkowa, ponieważ wydzięgała ją na drutach babcia Sary. Oczywiście policjant zabrał ją do badań. Miał nadzieję, że w pozostawionych na niej śladach potu, naskórka czy nawet włosów znajdą DNA.

Przewracała kartki, poszukując również własnych ukrytych głęboko wspomnień. Nie była w stanie sobie wyobrazić, żeby mężczyzna, którego znała od ponad dwudziestu lat, mógł zrobić komuś krzywdę, zamknąć w bagażniku kobietę, kimkolwiek by była. Zresztą obecność czapki Sary w tym miejscu nie miała żadnego sensu. Skoro należała do ich córki, co robiła w bagażniku cztery lata później?

„Żywa”. Léane nie chciała dopuścić do siebie tej hipotezy. Jej córka na pewno nie żyje. Jeanson ją porwał, zabił, pochował gdzieś na dziko i prędzej czy później zdradzi, gdzie zakopał ciało. Jej mąż nie może być w to zamieszany. Colin

obiecał, że wyniki badań DNA będą gotowe nazajutrz, a jeśli niemożliwe okaże się rzeczywistością, to znaczy jeśli czapka naprawdę należy do jej córki, policjant zarządzi przeszukanie domu, ponieważ Julliana nie da się przesłuchać. Pozostawało jej przetrwać tę ostatnią, straszną, pełną obaw noc.

Wreszcie trafiła na zdjęcie, które mogło wskazywać na to, że Jullian się nie pomylił. Rzeczywiście stała u jego boku na plantacji bananów, a jej mąż miał na sobie niebieskie szorty. Przystojny, opalony, uśmiechał się do obiektywu. Przez uchylone okienko do jej głowy napłynęły wspomnienia. Wyspy Kanaryjskie: ich pierwsza podróż, miłość, plany.

Skoro nie pamiętała tego zdarzenia z wakacji, to może tak samo było z tamtą książką? Może słyszała o Michelu Eastwoodzie? Ale jak mogłaby zapomnieć całą powieść? Stworzyła *Niedokończony rękopis* od początku do końca, pamięta, jak pojawiały się pomysły, jak w miarę rozmyślania w jej głowie zapalały się światełka. Ta książka była owocem jej pracy, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wpisała jednak w wyszukiwarce internetowej słowa „plagiat”, „kradzież pomysłów”, „zapominanie”. Po półgodzinie bezowocnych poszukiwań, gdy już miała dać temu spokój, trafiła na termin, o którym nigdy nie słyszała: kryptomnezja. Opisuje on zjawisko z zakresu psychologii polegające na tym, że człowiek nieświadomie przywłaszcza sobie wspomnienia innych.

Léane nie wierzyła własnym oczom. W niektórych dziedzinach sztuki, takich jak twórczość filmowa czy literacka, kryptomnezja może być przyczyną tak zwanych nieświadomych plagiatów: utracone wspomnienia pojawiają się w świadomości i zasilają napęd twórczy. Człowiek jest przekonany, że coś, co czytał, widział, z czym się zetknął, pochodzi od niego.

Utracone wspomnienia. Léane zastanawiała się, czy to zjawisko, ten mentalny wampiryzm w odniesieniu do cudzej pracy może dotyczyć jej. Czy naprawdę mogła zapomnieć o tej powieści, więcej, ukraść jej fragmenty, by stworzyć własną historię? Czy ona też, tak jak Jullian, utraciła część swojej pamięci? Niemożliwe.

Zmusiła się, by wrócić do albumu, i przerzucała jego kartki. Zdjęcia były jak fragmenty pamięci, niemal wystarczały, by odtworzyć życie małżeńskie z jego wzlotami i upadkami, chwilami radości i cierpienia. Była z Jullianem szczęśliwa, kochała go, mimo trudnych okresów zawsze był przy niej. Namiętność z czasem wygasła, ale jej miejsce zajęły inne, równie silne uczucia: zaufanie, czułość, zwykła radość płynąca z bycia razem i niemyślenia o niczym. Ta kolekcja zdjęć mogła o tym zaświadczyć. Léane nadal kochała Julliana mimo przepaści cierpienia, które ich rozdzieliły.

Zastanawiała się, jak będą wyglądać kolejne dni, kiedy mąż wróci do domu. Czy będzie w stanie odbudować z nim terazniejszość bez Sary? Zacząć nowe

życie u jego boku? Pozostawić to obecne jak ten niedokończony rękopis i rozpocząć następne?

Sięgnęła po nowsze albumy, z córką, i otarła łzy z kącików oczu. Jakże za nią tęskniła! Jak można spełniać się w życiu po stracie dziecka? Czy da się pokonać czyjąś nieobecność? W najlepszym wypadku człowiek zadowala się przetrwaniem, jak ona. W najgorszym – stacza się, jak Jullian. Nagle się wzdrygnęła: zauważyła w albumach wiele pustych miejsc. Zdjęcia jej i Julliana były nietknięte, ale wszystkie fotografie Sary zniknęły. Nadaremnie przekopywała wszystkie szuflady. Pomyślała o włamaniu sprzed dwóch miesięcy. Czy zdjęcia zostały skradzione razem z książkami i przedmiotami z łazienki?

Poszła do gabinetu męża z postanowieniem, że dowie się więcej. Co on ukrywa? Co robił w tym domu, samotny, przez ostatnie tygodnie? Czy pełen podejrzeń wobec całego świata osunął się w szaleństwo, w paranoję? Podniosła monitor laptopa, by rzucić okiem na historię jego korespondencji i przeglądania stron internetowych. Ale do niczego nie miała dostępu, dane zostały usunięte.

Nie było to jednak jej ostatnie słowo. Zawiozła laptop do miasta, do Maxime'a Père'a, starego kolegi i zaufanego przyjaciela, prawdziwego informatycznego magika. Maxime ucieszył się, że ją widzi, wypili po szybkim drinku. Léane opowiedziała mu o napadzie na Julliana i zapytała, czy mógłby zbadać laptop. Obiecał jej, że przystąpi do pracy, kiedy tylko się pożegnają.

Wróciła do domu i kontynuowała przeszukiwanie, zwłaszcza w szafie znajdującej się w gabinecie Julliana. Jej mąż notował wszystko, co dotyczyło jego prywatnego śledztwa i tropów, a wszystkie papiery gromadził w dużych segregatorach. Ale szafa była pusta. Gdzie się podziały dokumenty? Co z nimi zrobił? Przypomniała sobie, że w kominku, którego nigdy nie używali, widziała kupkę popiołu. Czyżby spalił efekty własnej pracy? Skąd w nim ta straszna chęć, by wszystko wymazać? Wspięła się na palce, przesunęła dłonią po gzymsie kominka i trafiła na zapomniany plik kartek.

Kartki okazały się kopią książki, którą natychmiast rozpoznała: *Zaginiony rękopis*. Na miesiąc przed wydaniem wysłała ją mężowi, by wypowiedział się na temat powieści, co zawsze robił. Nie oddzwonił do niej, ale z całą pewnością przeczytał: zaznaczył fragmenty, w których opisywała najgorsze tortury oraz podawała przepis na budowę drewnianych i metalowych narzędzi służących do łamania kości stóp.

Poczuła ochotę, by wrócić do szpitala i uderzyć go, tak żeby zaczął mówić. Przerazały ją własne myśli. Musi zrozumieć tajemnice, które zagnieździły się w tym domu pod jej nieobecność. Włożyła płaszcz i z latarką w dłoni ruszyła w stronę drewnianej szopy na żaglowozy, znajdującej się jakieś dziesięć metrów

od willi. Jullian trzymał tam swoje narzędzia i od czasu do czasu majsterkował. Gdyby zamierzał zbudować coś na podstawie jej opisów, zrobiłby to właśnie tam.

Góra nawianego piasku pod zachodnią ścianą sprawiała wrażenie, jakby budynek był przechylony. Drzwi były zamknięte na dużą kłódkę, która wyglądała na nową. Zawahała się, po czym uchwytem latarki wybiła jedyną szybę. Usunęła kawałki szkła i weszła do środka.

Wozy stały w swoim kącie ze zwiniętymi, schowanymi w pokrowcach żaglami. Pod sufitem wisiały latawce, lekko się obracając i rzucając ponure cienie na ściany i stojące pod nimi w nieładzie wędki. W powietrze wzbijała się chmura trocin i Léane kichnęła. Nad warsztatowym blatem, na którym znajdowały się piła tarczowa, gwoździe i wkręty, unosił się pył. Léane się pochyliła. Zauważyła przyciśnięty młotkiem szkic przyrządu do miażdżenia stóp. Samego przedmiotu nie było. Tylko kawałki drewna i wióry. A więc zrobił to. Wykonał narzędzie tortur, które opisała w książce, i gdzieś je zabrał.

„Żywa”.

Zwalczyła w sobie pokusę ucieczki. Oddychając z trudem, omiotła światłem latarki żółtą pelerynę z kapturem i nieprzemakalne spodnie wędkarskie na szelkach wiszące na lewej ścianie. Na podłodze w kałuży zamrożonej wody stały brudne kalosze. Nie było wątpliwości, że Jullian korzystał z tego stroju niedawno, i to nie do połowu małży. Wróciła do peleryny, dokładnie obejrzała całą jej powierzchnię, sprawdziła kieszenie spodni. Gdy natrafiła na jakiś stary klucz, poczuła, że ściska jej się serce.

Obejrzała przedmiot w świetle latarki. Widziała już podobny klucz przed czterema laty, kiedy Julliana przesłuchiwała policja. Léane była prawie pewna, że to jeden z kluczy od fortu Ambleteuse, położonego sześćdziesiąt kilometrów od willi.

Co on tam robił? Natacha Dambrine, w tamtym czasie jego kochanka, opuściła okolicę dawno temu, a sam fort, na ile Léane się orientowała, został zamknięty z zakazem wstępu, ponieważ był zrujnowany i groził zawaleniem. Wiedziała, że Jullian otrzymał kontrakt na badanie hydroizolacji i wzmocnienia wału obronnego, ale prace miały się zacząć dopiero wiosną. Dlaczego więc nosił klucz w kieszeni mokrych gumowanych spodni? Dlaczego pojechał tam przed napadem?

Dziesięć minut później ruszyła do Ambleteuse. Rozmyślała o trocinach, o gwoździach, o rewolwerze, o krwi, o czapce w bagażniku samochodu. Ten klucz miał otworzyć nie tylko kratę do opuszczonego fortu. Miał otworzyć bramy piekła.

Dyrektor ośrodka w Senones zbierał się już do wyjścia, kiedy jeden z wychowawców przyprowadził Vica do jego biura. Florent Leviel nie miał w sobie nic ze starego niedźwiedzia, o co można by podejrzewać szefa placówki położonej głęboko w górach. Był mężczyzną około trzydziestki, swobodnym, o czarnych nażelowanych włosach zaczesanych do tyłu, w koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci i bezrękawniku z dekoltem w serek. Trzymał w ręku kurtkę puchową, którą przed chwilą zdjął z wieszaka.

– Kryminalni? Jak to się stało, że nigdy pana nie widziałem?

Vic pokazał mu trójkolorową legitymację.

– Jestem z Grenoble. Nie mogę panu podać wszystkich szczegółów, ale pracujemy między innymi nad sprawą, która, jak wszystko wskazuje, jest powiązana z zaginięciem Apolline. – Wyjął z kieszeni zdjęcia i podał je dyrektorowi. – Elementem łączącym jest samochód człowieka, który naszym zdaniem porwał pańską pensjonariuszkę. Chodzi o szarego forda mondeo, w tamtym momencie na fałszywych numerach. Wóz jest u nas, w magazynie dowodów.

Leviel uważnie przyjrzał się odbitkom.

– Mamy też zdjęcia tego gościa z kamery monitoringu na stacji benzynowej na wysokości zjazdu w Touvet, między Grenoble a Chambéry. Obraz nie jest wyraźny, ale może panu pomogą. Sylwetka, kaszkiet.

Dyrektor pokręcił głową.

– W ciągu dnia parkuje tutaj nawet trzydzieści samochodów, ale sądzę, że zauważyłbym ten wóz, gdyby tu stał. Ale kompletnie go nie kojarzę. A ta postać... Jest zbyt niewyraźna. I o ile wiem, nikt u nas nie nosi kaszkietu. Przynajmniej do pracy. – Oddał mu zdjęcia. – Pana koledzy z Annecy już tu węszyli, nie ma tygodnia, żeby któryś nie przyjechał i nie zadawał nam pytań. Musi pan wiedzieć, że mój personel został gruntownie przesłuchany i jest uczciwy. To

wykwalifikowani ludzie, pasjonaci, którzy kochają swój zawód i młodzież. Obecność policji i niekończące się roztrząsanie tego zaginięcia stresują naszych niewidomych podopiecznych i mogą podkopać ich zaufanie do wychowawców. To okropna tragedia, Apolline jest tutaj powszechnie lubiana i mamy nadzieję, że ją znajdziecie, ale mój ośrodek nie ma sobie nic do zarzucenia.

Vic schował zdjęcia, zawiedziony, że jego przeczucie się nie potwierdziło.

– Czy od ostatniego poniedziałku wśród pana kadry nie zaszło nic szczególnego? Może ktoś nie przyszedł do pracy, wszystko jedno, z jakiego powodu?

– Nie, nikt nie zgłaszał nieobecności. A jeśli o to chodzi, od jutrzejszego wieczora wszyscy mamy wolne, młodzież wraca do rodzin na ferie świąteczne i ośrodek będzie zamknięty. Więc nie ma sensu tu przyjeżdżać w najbliższych dniach. Ale może pan do mnie dzwonić, będę pod telefonem. – Podał Vicowi swoją wizytówkę. – Jeśli tylko będę mógł w jakiś sposób pomóc w odnalezieniu Apolline. – Włożył kurtkę. – Przepraszam, naprawdę muszę już iść. Mam zebranie w Chambéry, a zważywszy na ten śnieg...

– Chciałbym jeszcze rzucić okiem na pokój Apolline.

Dyrektor zaprosił Vica do drzwi i zamknął gabinet na klucz.

– Tak jak pana koledzy. Co się pan spodziewa tam znaleźć? Przekopali już ten pokój wzdłuż i wszerz.

– To nie potrwa długo. Chcę tylko zobaczyć, gdzie spędzała sporą część swojego czasu.

– Ma pan dwie minuty.

Szli korytarzami ośrodka. Vic spodziewał się zimnych murów, surowych pomieszczeń, porozwieszanych wszędzie krzyży, tymczasem sale zajęć tryskały kolorami, a ich wystrój był jasny i nowoczesny. W pracowni transkrypcji brajla i w salach prac ręcznych stały wielkie bożonarodzeniowe choinki. Uszedłszy kawałek dalej, usłyszeli dźwięk instrumentów perkusyjnych. Chłopcy siedzący w kręgu uderzali w djembe, w środku tańczyły dziewczęta, a nad wszystkim czuwali nauczyciele, którzy nadawali rytm, klaszcząc w dłonie. Skulony pod śnieżnym płaszczem i odcięty od świata ośrodek tętnił życiem.

Pokój Apolline był taki jak inne pomieszczenia: przytulna, ciepła osobista przestrzeń zwyczajnej osiemnastolatki. iPod, słuchawki, kolekcja flakoników z perfumami. Dyrektor zatrzymał się przy drzwiach.

– Tego, że jest niewidoma, można się domyślić tylko przy uważnej obserwacji.

Dopiero wtedy Vincent zdał sobie sprawę z braku zdjęć czy plakatów na ścianach, zauważył zaokrąglone krawędzie mebli, taśmy dotykowe na podłodze przy wejściu do pokoju i obok łóżka, komody o różnokształtnych uchwytach –

wszystkie te szczegóły, których dookoła było mnóstwo, a których początkowo nie widział.

– Mamy nadzieję, że wróci, więc niczego nie dotykaliśmy.

Vic wziął do ręki pluszowego pieska, który leżał na łóżku, i się odwrócił. Nad oknem wychodzącym na kaplicę zauważył krzyż.

– Apolline jest wierząca.

– Tak. Wiele czasu spędzała w bibliotece. Mamy tam Biblię napisaną brajlem, zajmuje cały regał. Raz czy dwa razy w tygodniu chodziła też do kaplicy, żeby się pomodlić. Ale pana koledzy już o to wszystko pytali, przesłuchali nawet Bertranda, naszego portiera, który mieszka tu w ciągu roku i odpowiada za zaplecze techniczne. I nic z tego nie wynikło. Gdyby pan pytał, Bertrand ma starego Citroëna, stoi zaparkowany przy samej kaplicy.

– Kolor szary taupe, rejestracja dwa tysiące dwadzieścia dwa TA sześćdziesiąt dziewięć. Słuczone tylne lewe światło. – Vic pokręcił zwiniętą dłonią na wysokości skroni. – To moja pamięć.

– Aha... Robi wrażenie.

– Tak, robi. Z tym że w dziewięćdziesięciu pięciu procentach do niczego nie służy, co najwyżej jeszcze bardziej zagraca mój wewnętrzny składzik. Zapamiętuję wszystko, ale z biegiem lat już niekoniecznie wiem, do czego przyporządkować te wszystkie cyfry i nazwiska. Innymi słowy, moja pamięć to prawdziwy śmietnik.

Policjant ruszył ku zamkniętej szafie, na której znajdowała się brajlowska klawiatura. Dyrektor podszedł i wcisnął kilka guzików.

– Jej kod to dwa-dziewięć-sześć-dwa. W świecie, w którym wszystko jest ciemnością, nasi pensjonariusze czują potrzebę, by ich osobiste rzeczy były choć odrobinę zabezpieczone.

Vic otworzył drzwi szafy. Pojemniki o różnych kształtach, inny dla każdego rodzaju ubrań. Tajemnicza szkatułka, do której zajrzał. Fantazyjna biżuteria, medalik z Matką Boską, bez łańcuszka.

– Wie pan, gdzie jest łańcuszek?

– Apolline mówiła nam, że go zgubiła. Nigdy się nie znalazł.

Vic wyjął telefon i pokazał dyrektorowi zdjęcie łańcuszka wiszącego na wstecznym lusterku forda.

– To ten?

Leviel z poważną miną spojrział na fotografię.

– Cienki złoty łańcuszek... Nie jestem w stanie panu powiedzieć. Ale jeśli to ten, to co by tam robił?

– Kiedy go zgubiła?

– Jakoś w czerwcu. Tuż przed wakacjami.

Vic zaczął przeglądać kupkę audiobooków – Verne, Dumas, Traskman – spojrzął na płyty CD na półce powyżej i wyjął pierwsze z brzegu pudełko. Odwrócił się do Leviela.

– Lubiała muzykę poważną?

– Tak, bardzo. Nie słuchała niczego innego i grała na pianinie. Jej ulubionym kompozytorem był Mozart. To była... jest wybitna dziewczyna. Straszne: kiedy ktoś zginie, nie wiadomo, czy mówić o nim w czasie teraźniejszym, czy przeszłym.

– Teraźniejszy jest okej.

Vic pośpiesznie omiótł wzrokiem inne okładki. Wyjął pudełko na płytę z *XXI i XXII Koncertem fortepianowym Mozarta* i otworzył je. Było puste. Odwrócił się do Leviela.

– On tutaj był, w tym pokoju. Dostał się do szafy, ukradł płytę i odłożył pudełko na miejsce.

Dyrektor placówki nerwowo przeciągnął dłonią po twarzy.

– Nie... Pan się myli.

– Tę płytę znaleźliśmy w odtwarzaczu samochodu, wspomnianego forda.

Leviel wyglądał na zszokowanego. Vic odczekał chwilę, po czym mówił dalej:

– Apolline to ładna, inteligentna, wykształcona dziewczyna. On tutaj bywa, wchodzi do jej pokoju. Albo Apolline zna porywacza, skoro dopuszcza go tak blisko, albo dostaje się on tutaj pod jej nieobecność, podejrzewam, że to dość łatwe. Fantazjuje o niej, wie, że jest bezbronna. Zapamiętuje kod: może widział, jak dziewczyna otwierała szafę? Najpierw kradnie należące do niej przedmioty, rzeczy, które Apolline lubi. Za kierownicą każdego dnia słucha tego, czego słucha ona. Możliwe, że myśląc o niej, masturbuje się, w samochodzie znaleźliśmy ślady spermy.

– To potworne.

– Mijają tygodnie. Przychodzi taki moment, kiedy pożądanie jest zbyt wielkie, kiedy fantazje ani przedmioty nie wystarczają. Facet musi zdobyć Apolline. Postanawia przejść do działania. Ale nie rzuca się na oślep, obserwuje, zastanawia się. Nie atakuje tutaj, w ośrodku, to byłoby zbyt ryzykowne, lista podejrzanych jest ograniczona. Nie, czeka, aż dziewczyna wróci do rodziców, do Saint-Gervais, na listopadowe ferie. Jest cierpliwy, ostrożny. Dopada ją tam, kilka miesięcy po kradzieży, i ma ją w garści. – Vic włożył mu pudełko do ręki. –

Mężczyzna, którego szukam, regularnie przychodził do tego pokoju. Mówił pan, że złoty łańcuszek zniknął w czerwcu. Być może nie zauważył pan szarego forda mondeo dlatego, że gość miał wtedy samochód służbowy? Albo przyjeżdżał tylko od czasu do czasu? Jakiś terapeuta? Lekarz specjalista? Nauczyciel gry na fortepianie? Panie Leviel, niech się pan zastanowi i powie mi, kto to jest.

– Nie wiem, ale... – Zamilkł zamyślony, z pięścią przy ustach. – Cóż, jest taka mała firma remontowo-porządkowa, która pracowała tu przez miesiąc od połowy maja do połowy czerwca.

– Proszę mówić dalej.

– Ubiegłej zimy zauważyliśmy, że w kilku miejscach przecieka dach, i wymieniliśmy jego część. Trzeba było jeszcze uzupełnić tynki i odmalować niektóre pokoje. Między innymi pokój Apolline. Nawet nie pomyślałem, żeby o tym wspomnieć policjantom z Annecy, to było przed wakacjami i...

– Nazwa firmy?

Leviel skinął na Vica, by poszedł za nim. Szybkim krokiem przemierzili korytarze.

– Delambre Déco. Było ich dwóch. Chudzielec i gość około czterdziestki, o wiele solidniej zbudowany, który mógłby ewentualnie być podobny do faceta z pana zdjęcia. Poza tym...

– Poza tym?

– Jeśli dobrze pamiętam, rzeczywiście nosił kaszkiet. To on zajmował się pokojem Apolline. Przypominam sobie, że nie był zbyt gadatliwy, raczej zamknięty w sobie. Ale pracował szybko i dobrze. Rozmawiałem z nim przy okazji, bo miałem dla niego robotę u siebie na czarno: zostawił mi prywatne namiary.

Gdy weszli do gabinetu, dyrektor pogrzebał w szufladzie i wyjął z niej kartkę, którą podał Vicowi. Widniało na niej nazwisko i numer telefonu komórkowego. Skórownik miał teraz tożsamość: nazywał się Félix Delpierre.

Policjant podziękował i wybiegł z ośrodka. Usiadł w kabinie samochodu, włączył wycieraczkę, by usunąć z szyby warstwę śniegu, i zadzwonił do Vadima.

– Tu Vic. Myślę, że go mamy.

Félix Delpierre, lat czterdzieści dwa, mieszkał na górskim zboczu w Aillon-le-Vieux, miejscinie leżącej w masywie Bagues, piętnaście kilometrów od Chambéry.

Vic od czterech niekończących się godzin czekał w samochodzie na parkingu przy drodze departamentalnej D dwieście sześć na posiłki. Raz po raz włączał silnik, by się ogrzać i roztopić śnieg na przedniej szybie. Czuł się sam jak palec na tej zagubionej górskiej trasie, trzy dni przed wigilią Bożego Narodzenia. Pomyślał o żonie, która mimo wszystko też cierpiała, i o Coralie, która będzie dźwigać na swoich słabych barkach ciężar ich rozstania.

Miał tylko nadzieję, że córka nie opuści się w szkole, że nie zbłądzi w tej ogromnej przestrzeni wolności, jaką stwarza liceum. Wszystko wydawało mu się takie skomplikowane. Na zaparowanej szybie napisał palcem: „Żałosny”. Żałosny Vic. Czy w spojrzeniu, które posłała mu córka przed szkołą, była litość? Czy właśnie tak o nim myśli? Że jest żałosny? Rozgoryczony, chuchnął na szybę i litery zniknęły.

We wstecznym lusterku widział w ciemności wyłaniające się zza zakrętów rozbłyśki czterech par samochodowych świateł. Auta, w tym ambulans ratunkowy, podjechały powoli, na zimowych oponach. Z jednego z wozów wyskoczył Morel i usiadł obok Vica. Był ubrany jak na ciężkie mrozy: w kurtkę zapinaną pod samą brodę, czarną czapkę, ocieplane rękawice. Ruszyli śliską jak lodowisko drogą, zamykając konwój.

– Nie śpieszyliście się!

Morel zdjął zębami rękawice i położył przed nim na kierownicy jakieś zdjęcie.

– Oto i nasz Skórownik. Piękny okaz, jak widzisz.

Félix Delpierre miał wysokie czoło, a na głowie kępy czarnych włosów wyrastające niczym palmowe liście. Doskonale okrągłe, rozdzielone wąskim nosem oczy chroniła gruba linia brwi. Vic rozumiał teraz, co miał na myśli

dyrektor, gdy nazwał mężczyznę zamkniętym w sobie. Delpierre miał fizjonomię człowieka urodzonego pod ziemią.

– Właśnie spłynęły informacje. Jest już kartoteka Félixa Delpierre’a, facet miał problemy z prawem. Sprawa sprzed siedmiu lat, nie my się nią zajmowaliśmy.

– A kto?

– Zespół Krawicka. Opowiem ci. Delpierre wychował się w gospodarstwie na odludziu, jedziemy tam. Od osiemnastego roku życia pracuje w kostnicach Grenoble czy Chambéry, z nikim nie rozmawia, zimny jak bryła lodu. Jest uczciwy, a swój zawód wykonuje dokładnie i z pasją, nigdy się nie spóźnia i nie stwarza żadnych problemów. W końcu trafił do laboratorium anatomii Akademii Medycznej w Grenoble, gdzie otrzymał złotą posadę: pracował przy przygotowywaniu zwłok. W skrócie: zajmował się rozcłunkowywaniem ciał, na których trenowali studenci chirurgii. Nie wiem, czy widziałeś, jak to tam wygląda.

– Jak w rzeźni. Używa się siekiery albo piły.

– Tak, coś w tym stylu. Którejś nocy Delpierre’a przyłapano, jak pakował nieboszczyka do bagażnika swojego samochodu. Do użytku prywatnego.

– Do użytku prywatnego?

– Nekrofilia, fetyszyzm i tak dalej. Ten facet to świr. Kradł kończyny, tułowie, raz nawet głowę, i to od miesięcy, i nikt niczego nie zauważył. Najwyraźniej za bardzo tego nie kontrolują. Chłopaki od Krawicka myśleli, że trafili na gościa z *Masakry piłą mechaniczną*. To było w środku lata, znaleźli rozkładające się szczątki zapakowane w worki na śmieci w hangarze, w którym było tyle much, że nie dało się otworzyć ust, żeby którejs nie połknąć. Spędził cały rok w psychiatryku w Bonneville, wyszedł, wrócił do życia i wyuczył się budowlanki. Od trzech lat pracuje dla Delambre Déco, zaszył się głęboko w górach, poza zasięgiem policyjnych radarów. Obejrzelśmy to dokładnie na Google Earth. Zawsze mieszkał w gospodarstwie leżącym dwa kilometry od Aillon-le-Vieux. –

Morel wyjął z kieszeni sig sauera i sprawdził magazynek. – Odkąd skonfiskowaliśmy jego samochód, Delpierre wie, że jest w potrzasku i to tylko kwestia czasu, kiedy się u niego pojawimy. Na pewno spodziewa się naszej wizyty.

Vic nie odpowiedział. Z nosem przyklejonym do przedniej szyby, na której na najwyższym biegu pracowały wycieraczki, wpatrywał się w tylne światła wozów brygady interwencyjnej, pogrążony w rozmyślaniach na temat osobliwości ludzkiej natury i tajemnic genetyki. Tam, gdzie on musiał się układać z anomaliami własnej pamięci, inni z pewnością zmagali się z o wiele mroczniejszymi przypadłościami. Dla osobników pokroju Delpierre’a czy Jeansona porwanie dziewczyny czy gwałt na nieboszczyku były równie naturalne jak gra w tryktraka.

Ludzkich siedzib mijali coraz mniej, góry przypominały wyszczerzone kły, a trzy kilometry dalej dookoła nie było żywej duszy. Vic wpatrywał się w płatki śniegu: unosiły się w blasku latarni i przyduszały roślinność białym płaszczem. Kto na tej skalistej pustyni mógłby usłyszeć krzyk ofiar? Jak długo jeszcze Delpierre działałby absolutnie bezkarnie, gdyby nie kradzież forda?

Samochody wjechały pod górę drogą wciśniętą między ściany pobielonych świerków, a następnie zaparkowały na poboczu, na którym tworzyły się już zaspę. Komendant Alain Manzato podszedł do ich wozu i ręką latarki zapukał w szybę.

– Zgaście światła. Dalej idziemy pieszo. Z przodu ludzie z interwencji, my za nimi. Od teraz gęba na kłódkę, V&V, zrozumiano? A ty, Altran, trzymaj się z tyłu, lepiej, żebyś nie zarobił kulki w stopę.

Manzato w całej okazałości, Vic był przyzwyczajony. Pozostali koledzy z grupy, Jocelyn Mangematin i Ethan Dupuis, szli razem z nimi. Kolumna czarnych, uzbrojonych postaci rozpostarła się na śniegu jak skrzydło kruka. Przed Vikiem szedł człowiek w kurtce z napisem NEGOCJATOR. Wokół panowała cisza, którą przerywało tylko skrzypienie śniegu pod grubymi podszwami głanów brygady interwencyjnej i sapanie zestresowanych mężczyzn, wdychających w płuca przemrożone powietrze. Zapowiadała się ryzykowna misja: mieli unieszkodliwić Delpierre'a i uratować żywe osoby, jeśli jakieś znajdą.

Mężczyźni szli dalej. Po około dwóch minutach ich oczom ukazał się w oddali kamienny budynek z prostokątem światła na piętrze. Za pomocą szczyptic przecięli łańcuch zamykający bramę. Na podwórku obok masywnych zabudowań gospodarstwa stał samochód służbowy Delambre Déco. Delpierre przemieszczał się mimo braku swojego forda i najwyraźniej nie zamierzał ani uciekać, ani się ukrywać.

Vic miał złe przeczucia: to wszystko wydało mu się zbyt proste, jakby facet rozwinął przed nimi czerwony dywan i prosił, by przed wejściem wytarli w niego buty. Podeszli bliżej. Kiedy jeden z funkcjonariuszy rzucił snop światła na drzwi stodoły po lewej, zamarli i wycelowali broń w postać ukrzyżowaną bezpośrednio na ścianie. Minęło kilka chwil, zanim Vic zrozumiał: to było zwierzę, niewielkich rozmiarów świnia, ubrana w długą, lekką sukienkę w kwiaty. Udręczone, przybite gwoździami ciało, przypudrowane cienką warstwą śniegu, występujące w roli stracha na wróble. Vic zmrużył oczy: widział już tę sukienkę na zdjęciu w biurze w Annecy.

– Sukienka Apolline – powiedział do Vadima.

Morel w końcu odwrócił głowę. Był zde gustowany.

– Tak nas wita!

Policjanci czym prędzej obstawili wyjścia z gospodarstwa, a dowódca kolumny ruchami rąk dał sygnał do ataku. Główne drzwi ustąpiły po trzech uderzeniach taranem.

Dokładnie w tej samej chwili okno na piętrze rozświetliły dwa rozbłyski. Rozległy się strzały. Kolumna wpadła na schody, niemożliwa do zatrzymania, ukryta za tarczą balistyczną. Spośród wszystkich zamkniętych drzwi w korytarzu tylko spod jednych wydobywał się strumień światła.

Skórownik zamknął się w jednym z pomieszczeń. Vic stał na schodach za plecami jakiegoś kolosa, z lękiem czekając na następną chwilę, która mogła

zmienić wszystko. Na całej klatce schodowej na ścianach wisały wypchane popiersia zwierząt – jeleni, dzików, a nawet wilków – o pustych oczodołach pokrytych kurzem. Pyski zwierząt nie były spokojne, neutralne, ale wykrzywione, z połamanymi zębami. Delpierre był myśliwym, zabójcą, tropicielem. Vic wyobrażał go sobie, jak stoi za drzwiami ze strzelbą. Te dwa wystrzały w chwili, gdy weszli. Czyżby zabił Apolline, a potem skierował broń przeciw sobie?

Nagle część drzwi została wyrwana przez pocisk, który uderzył o przeciwną ścianę.

– Walcie się, dupki!

Negocjator nie zdążył otworzyć ust, by podjąć próbę przywołania szaleńca do porządku. Padł kolejny strzał, a za nim rozległ głuchy dźwięk, jakby coś ciężkiego uderzyło o podłogę. Cisza. Ledwie oddychali. Odczekali jeszcze dwadzieścia sekund i weszli do środka.

Zastali obraz jak z horroru. Na podłodze leżała strzelba myśliwska. Wszystko, aż po sufit, obryzgane było krwią i kawałkami mózgu. Na szpitalnym łóżku leżały inne zwłoki – nie była to jednak Apolline, ale stara kobieta o śmiertelnie zapadniętej twarzy, siwych włosach w nieładzie, pomarszczonej skórze o barwie perłowobiałej wpadającej w niebieski. Na pościeli, na wysokości jej serca, leżały dwa czerwone kwiaty.

W ciągu następnej minuty brygada interwencyjna jak burza wypadła na korytarz, by sprawdzić pozostałe pomieszczenia. Vic i Vadim zostali w pokoju. Śmierdziało moczem i krwią. Wyglądało na to, że Delpierre najpierw zadał śmierć matce, a następnie popełnił samobójstwo. Na nocnej szafce zobaczyli figurkę Maryi, Biblię i dziesiątki opakowań leków, w tym morfinę.

Vic wyszedł z pokoju bojowym krokiem. Ten potwór mieszkał w ponurej norze z chorą matką i zanim popełnił samobójstwo, zrobił porządki. Gdzie jest Apolline?

Léane minęła Boulogne-sur-Mer. Miała wrażenie, że jedzie na koniec świata. Wąska wstęga asfaltu, oświetlona tylko reflektorami samochodu, prowadziła w głąb parku krajobrazowego Caps, między polami i klifami. Był to świat wilgotnej brunatnej ziemi, kredowych urwisk, otoczków kołysanych ruchem fal, opuszczonych małych uzdrowisk i ognisk palonych wzdłuż niezmiennej, niebezpiecznej, poszarpanej linii brzegowej.

O ile latem miasteczko tryskało życiem, o tyle zimą drzemało, smagane do krwi uderzeniami przyływów, bryzgami piany i soli. Domy, zbudowane frontem do morza, w większości puste, tuliły się do siebie, jakby chciały się ogrzać i dać odpór żywiołom – gwałtownym wiatrom, ulewom i nieustannej mżawce. Kolorowe łodzie, które zawsze rozweselały wybrzeże, kurzyły się w garażach pozamykanych na klucz. Wszystko było anemiczne i nieruchome z wyjątkiem wiecznych przyływów i odpływów, niosących hipnotyczną melodię przysuwających się kamieni, skrzypiącego piasku oraz smętnych krzyków mew, które przylatywały tak naprawdę nie wiadomo skąd.

Léane zaparkowała w uliczce na południowym skraju miasta, na brzegu rzeczki Slack, podczas odpływów z trudem dosięgającej wód zatoki. Miejsce było odludne, pogrążone w ciemności i odcięte od wzroku ewentualnych gapiów niewielkim uskokiem terenu. Z wyłączoną latarką w dłoni ruszyła dalej pieszo, minęła parking dla łodzi, na którym stały naczepy, i zobaczyła fort – budowlę obronną otoczoną wałami w kształcie podkowy, zaprojektowaną ponad trzysta lat wcześniej przez Vaubana. Szło się tam chodnikiem z kamieni pokrytych muszelkami i mięczakami, który podczas przyływów znikał pod wodą – wtedy fort był odcięty od lądu. Przed obiektem ustawiono kilka tablic z zakazem wstępu dla nieupoważnionych i informacją o pracach konserwatorskich, z pewnością tych, które miała podjąć firma Julliana.

Nie przejmując się zakazami, przeszła na drugą stronę łańcucha wiszącego między dwoma słupkami i ostrożnie ruszyła w stronę fortu. Zza skał dochodził do niej zapach mułu, wodorostów, soli. Nie знаła godzin pływów, ale widziała morze flirtujące w oddali z horyzontem: miała czas. Nie zamierzała ugrzęznąć w budynku na sześć godzin w otoczeniu miotanego gwałtownymi prądami morza. Pokonała ciąg schodów i wsunęła klucz do zamka w masywnych drewnianych drzwiach. Gdy rozległ się szcęk mechanizmu, poczuła narastający strach. Ciągle miała przed oczami żółtą pelerynę z kapturem, ubłocone kalosze, pozaznaczone fragmenty swojej ostatniej książki, ślady wskazujące na konstrukcję narzędzia tortur.

Znalazszy się w wartowni, włączyła latarkę i omiotła wzrokiem różne pomieszczenia. Przecięła wewnętrzny dziedziniec i ruszyła na eksplorację wieży. W okresie gdy Dambrine prowadziła badania w forcie, Jullian wielokrotnie sypiał z nią w lochu na drugim piętrze.

Pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć zardzewiałej armaty wepchniętej w kąt i stojących na podłodze wypełnionych w trzech czwartych wiader, do których kapąła woda ze stropu. Léane zeszła na dół i obejrzała budynek, chwilami schylając głowę pod łukowym sklepieniem. Wilgoć trawiła bielone wapnem ściany, ściekała z kamieni, pokrywała stopnie śliską warstwą.

Gdy była na środku schodów, usłyszała jakiś dźwięk. Zamarła. Wycelowała latarkę przed siebie i wstrzymała oddech. Czyżby jej się zdawało? Dźwięk rozległ się znowu, pełniejszy, wyraźniejszy. Jakby chrobotanie stali o kamień. Dochodził z dołu. Nie była sama.

– Jest tu kto?

Wokół wszystko ucichło. Wiatr? Niemożliwe. Zebrała się na odwagę i zeszła w głąb fortu. Przypomniała sobie, że na końcu tych schodów jest ślepe kamienne pomieszczenie, które dawniej służyło do przechowywania żywności dla żołnierzy. Nagle stanęła jak wryta: na ścianie po prawej zauważyła powieszzone na gwoździu zdjęcie Sary w wieku trzynastu lat. Niżej kolejne. I jeszcze jedno. Wszędzie Sarah. Wszystkie zdjęcia, których brakowało w albumach, były tutaj, wisiły dziesiątkami na kamiennym murze. Przedsiónek szaleństwa.

Weszła głębiej, krok za krokiem, z duszą na ramieniu. Blask latarki rozjaśnił mrok panujący w komórce. Omiotła strumieniem światła ścianę naprzeciwko i prawie dostała zawału, gdy jasny krąg trafił na zakute w kajdanki nadgarstki, a następnie twarz – tak obrzmiała, że trudno w niej było rozpoznać człowieka.

Ilekcioć jakiś przestępca kończył ze sobą, nie zapłaciwszy za swoje zbrodnie, Vic odczuwał wściekłą ochotę, by rzucić to wszystko w diabły. Takie porażki – a to właśnie była porażka, i to jedna z większych – były dla niego niczym cios nożem w samo serce.

Wykończony, przekopywał szopę, przesuwiał snopki słomy, omiatał snopem światła ciemne zakamarki. Czy istniała choćby drobna szansa, że Apolline, zamknięta gdzieś, jeszcze żyje? Trójka ludzi pocila się, usiłując zdjąć prosiaka z drewnianych drzwi – żeby go przymocować, oprawca użył pistoletu pneumatycznego, który znaleźli u stóp zwierzęcia odzianego w sukienkę Apolline. W policji nie uczą takich rzeczy.

Technicy, którzy przed chwilą przyjechali, rozpierzchli się po całym gospodarstwie. Zbierali łuski, zabezpieczali broń, pobierali próbki krwi, fotografowali ułożenie zwłok i przedmiotów. Pod wielką czarną łapą gór, zaciśniętą wokół tej makabrycznej farmy, strzelały flesze. Vic patrzył na mężczyzn, jak z niewiarygodną delikatnością zdejmują ze świni sukienkę – scena ta była jednocześnie śmieszna i przerażająca – po czym ciężkim krokiem bez słowa wrócił do środka. Żona zawsze wyrzucała mu milczenie i brak chęci do rozmowy, ale co odpowiadać na pytania w stylu „Jak ci minął dzień?”, kiedy człowiek przeżywa takie chwile?

Jocelyn Mangematin, największy formalista w grupie – rudy jak ser mimolette, tak go zresztą przezywali – pakował dowody do zapieczętowanych torebek, a dowódca załatwiał telefony. Morel i Dupuis nadal przeszukiwali gospodarstwo. W budynku panowała taka cisza, że kiedy telefon leżący w widocznym miejscu na stole w salonie zaskrzeczał jak żaba, Vic aż podskoczył. Na ekranie wyświetlił się esemes od Pascala Delambre’a: „Początek roboty u pani Fourneuil o 8.30. Miłego wieczoru i do jutra”.

Normalka, pomyślał Vic. Facet jak każdy inny, codziennie wchodził ludziom do domów, uśmiechał się, dekorował wnętrza, odmalowywał pokoje – a miał przy tym krew na rękach. Ilu takich jak on kryje się za swoimi maskami? Morel podszedł, by przeczytać wiadomość, i zaśmiał się nerwowo, a jego twarz wykrzywił dziwny grymas.

– Gościu, twój dzielny pracownik jutro nie przyjdzie. Twój pierdolony gwałciciel trupów załatwił sobie bilet do piekła. Niech się wali!

By uniknąć piorunującego wzroku kolegi, Vadim wyszedł z pokoju. Od czasu do czasu zdarzały mu się wybuchy w stylu Gilles'a de la Tourette'a. Mimo twarzy jak z gliny modelarskiej i aparycji kukiełki był nerwusem. Vic włożył rękawiczki, wpakował telefon Delpierre'a do torebki na dowody i szybko rzucił na niego okiem. Było w nim trochę kontaktów z etykietami „klienci” albo „koledzy” i wiadomości, które wyglądały na służbowe. Nic zaskakującego czy dziwnego, poza ostatnim esemesem, wysłanym przez Delpierre'a późnym wieczorem poprzedniego dnia na numer spoza listy kontaktów. „Do ciebie, który wkrótce wtargniesz bez pozwolenia do mojego domu: kiedy zejdziesz na sam dół, zakręć kołem fortuny. I wygraj niespodziankę!”

Vic nie zrozumiał, o co chodzi, ale miał wrażenie, że wiadomość była skierowana do nich, policjantów. Podał telefon Mimolette'owi, a ten zapieczętował torebkę. Specjaliści od identyfikacji rozłożą urządzenie na czynniki pierwsze.

Poszedł do Vadima, na piętro, gdzie znajdował się badany pokój. Ciało zabrano, ale na pościeli i ścianach widać było jeszcze ślady przemocy w postaci plam i kropli krwi: część z nich, oszukując siłę grawitacji, wylądowała wyżej. Vic spojrzał na tacę leżącą na stoliku przy łóżku – miseczka z zupą, trochę chleba – a następnie na opakowania leków. Gdy ujrzał ich nazwy i sprzęt medyczny, nie miał wątpliwości.

– Miała raka w fazie terminalnej.

Morel zgrzytnął zębami.

– Delpierre się nią opiekował. Przynosił jej posiłki, dbał o jej higienę, prawdopodobnie kilka razy w tygodniu przyjmował tu lekarza albo pielęgniarkę. Grzeczny, usłużny, a jednocześnie...

Wrócił na korytarz i podszedł do okna, za którym widać było rozgwieżdżone nocne niebo. W oddali majaczyły góry o grzbietach otoczonych łagodną bursztynową poświatą.

– Drań kochał swoją matkę. Strzelił w serce, nie w głowę. Nie był bitym czy maltretowanym dzieckiem, Vic, przez cały czas opiekował się chorą matką. Po prostu taki był. Bestia. A najgorsze, że to się nigdy nie wyjaśni. Co powiemy rodzicom Apolline? Że jej nie znaleźliśmy?

W takich chwilach Vadim nienawidził swojej roboty i Vic o tym wiedział.

– A może Delpierre był na tej ziemi tylko przelotem, żeby zrobić to, co miał do zrobienia, i odejść. Jak śmieć, jak bubel, który miesza się z innymi przedmiotami, a w końcu trafia do kosza. Istnieją jeszcze inni podobni do niego, musimy sobie z nimi radzić. Dobrze, jeśli uda się ich złapać. Bo w przeciwnym razie...

Vic podszedł do niego z rękami w kieszeniach.

– Wyobrażasz to sobie, za trzy dni święta, a ja nie mam jeszcze prezentu dla Coralie?

– Cholera, Vic, ja tu mówię o poważnych sprawach, a ty wyskakujesz z prezentem dla córki. Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Bo akurat o tym myślę. Bo moja pieprzona pamięć kładzie przede mną takie karty, jak chce, nie przestrzega żadnych zasad. Codziennie mówię sobie, że muszę się zatrzymać pod jakimś sklepem, wszystko jedno jakim, i coś jej kupić, choć sam nie wiem co. I codziennie zapominam. Za to pamiętam teraz, prawie o północy, wśród flaków i krwi. – Jego ciemne oczy na chwilę niczym welon przesłonił cień żalu. – Co ze mnie za ojciec, że zapominam o takich rzeczach? Ona jest moją córką.

– Zrób tak jak Martine i ja: daj jej pieniądze. Nie odbierze tego źle, wręcz przeciwnie. Wiesz, w tym wieku kasa jest okej. Później zresztą też. No dobra, wracajmy do Delpierre'a. Sprawdziliśmy górę i dół. Widziałem, że jest jeszcze piwnica. Chłopaki z grupy interwencyjnej już tam byli, ale krótko. Zajrzymy tam?

– Zajrzymy.

W milczeniu wrócili na parter. Po schodach w górę i w dół chodzili ludzie, nosząc sprzęt lub próbki. Na zewnątrz stał nawet samochód „Dauphiné libéré” ze zmarzniętym dziennikarzem w środku. W domu Delpierre'a na pewno nigdy nie panowało takie ożywienie.

Policjanci zeszli po stopniach do piwnicy. Z powodu niskiego stropu musieli się schylać. Pokonali krótki tunel, po czym znaleźli się w dużym kwadratowym pomieszczeniu oświetlonym dwiema żarówkami, wypełnionym zapachem wędzonego mięsa i soli. Z sufitu zwisały dziesiątki jelenich poroży związanych razem liną, a także szynki zawinięte w duże kawałki białego płótna, prawie muskającego podłogę. Vic wstrzymał oddech, by uchylić rąbek materiału i stwierdzić, że rzeczywiście chodzi o wieprzowinę. Morel znowu zareagował nerwowym, pochodzącym z głębi trzewi śmiechem.

Przeszli przez ten las duchów, które kołysały się lekko jak worki bokserskie. Dalej zauważyli zapasy żywności, krzesła stojące jedne na drugich, stos wypchanych popiersi i głów zwierząt, obok szklane oczy, pędzle, bele słomy. Było tam też trochę metalowych sprzętów i tablica rejestracyjna – z pewnością oryginalne numery fordą. Pod ścianą w głębi stał stary kuchenny kredens, a na

murze wisiała elektryczna wkrętarka i stary, zardzewiały dziecięcy rower z rzemiennymi uchwytami kierownicy. Na tylnej części siodełka widniał napis: FÉLIX DELPIERRE. Vic pokręcił kołem i przez kilka długich sekund wpatrywał się w nie z zakłopotaniem.

Z oddali odezwał się głos Morela, brzmiący jak zza grobu.

– ...oszaleli? Wracamy.

Vic uważnie przyglądał się rowerowi, pocierając dłonią podbródek.

– Na komórce Delpierre’a był esemes wysłany na nieznany numer. Było napisane: „Do ciebie, który wkrótce wtargniesz bez pozwolenia do mojego domu: kiedy zejdiesz na sam dół, zakręć kołem fortuny. I wygraj niespodziankę!” Telefon leżał na widoku, na środku stołu w salonie, bez kodu dostępu. Jakbyśmy mieli go zauważyć.

Vadim wrócił do kolegi. Dokładnie obejrzał rower, zdjął go ze ściany. Vic chodził wte i wewte z telefonem w ręku.

– Piwnica, rower, koło... Wygląda na to, że się zgadza, ale nie rozumiem. Gdzie jest niespodzianka?

– Świerzbi cię, żeby zadzwonić na numer, na który Delpierre wysłał esemesa, co?

– Może właśnie to trzeba zrobić, żeby zrozumieć?

– Tak, możliwe, ale to może też być pułapka. Nie możemy ryzykować, lepiej poczekać na wyniki ekspertyzy i dowiedzieć się, co się kryje za tym numerem.

Pograżyli się w myślach. Dlaczego ten esemes? Czemu Delpierre nie wysłał tej wiadomości do siebie, skoro chciał się zwrócić bezpośrednio do nich? Albo czemu nie użył po prostu ołówka i kartki? Kto był po drugiej stronie?

Nagle Vic zatrzymał się przy starym kredensie i przykucnął: w nóżkach mebla były ukryte kółka. Stał z boku i pchnął go. Ich oczom ukazała się przykręcona do ściany sklejka o wymiarach metr na metr.

Vadim bez słowa sięgnął po elektryczną wkrętarce i przykłęknął. W piwnicy rozległ się ostry dźwięk. V&V poczuli na twarzy prąd powietrza. Mieli przed sobą otwór o wymiarach niewiele mniejszych od sklejki.

To nie mogła być prawda. Léane pomyślała, że to po prostu nocny koszmar. Wkrótce obudzi się u siebie, w swoim przytulnym paryskim mieszkaniu. W chuście na szyi pójdzie na kawę na boulevard Iéna, poczyta gazetę i będzie obserwować ludzi, rozmyślając już nad kolejną historią, nowym thrillerem, który wbije czytelników w fotel.

Ale kolejnej opowieści wcale nie musiała wymyślać. Właśnie ją przeżywała. Znaleziony w kieszeni spodni Julliana klucz od fortu zaprowadził ją do zakutego w kajdanki mężczyzny o zakrwawionej twarzy, który bezwolnie siedział naprzeciwko niej, nieruchomy, z podbródkiem opartym o klatkę piersiową. Jak Arpageon w jej książce, ręce miał wyciągnięte nad głową, podtrzymywane przez kajdanki i łańcuchy. W poświęcanej latarki po lewej stronie zobaczyła worek na śmieci, wiadro, butelki z wodą, konserwy w puszkach – wszystko jak w *Niedokończonym rękopisie*, książce, którą przeczytał Jullian i w której „ktoś” pozaznaczał fragmenty przypominające to, co działo się tutaj.

Zrobiło jej się niedobrze. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: wszystko wskazywało na to, że tym „kimś” jest Jullian. Jednak coś w jej wnętrzu nie chciało w to uwierzyć. Jej wyobrażenie sprawcy ani trochę nie pasowało do mężczyzny, jakim był jej mąż. Nawet na samym dnie, zrozpaczony i chory, Jullian nie mógł być winny.

Nie potrafiła stać beczynnym. Gdy ruszyła w stronę nieszczęśnika, uderzyła ją woń moczu. Mężczyzna nie miał butów, a jego lewa stopa była dwukrotnie większa od prawej, sina, o czarnych paznokciach i palcach spuchniętych jak balony. Musiały być połamane. Przyłożyła dwa drżące palce do jego szyi i wtedy nagle z jego ust wydobyła się bańka śliny. Żył.

Léane odruchowo się cofnęła. Wargi nieznanego zaczęły się poruszać, a z jego gardła popłynął niezrozumiały pomruk. Powracający dźwięk, słowo, które mężczyzna powtarzał raz za razem.

– Wody.

Odłożyła latarkę na podłogę i rzuciła się po nieotwartą butelkę. Zapaliła lampkę zwisającą z sufitu na kablu i przykleiła przed mężczyzną. Delikatnie przystawiła szyjkę butelki do spękanych warg. Z powodu niebieskawego sińca nieszczęśnik nie mógł otworzyć prawego oka. Do czoła przykleił mu się kosmyk czarnych włosów, miał wystające kości policzkowe i nadgarstki drwała. Silny, szeroki w barach, w wieku od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat. Smród sprawiał, że Léane zbierało się na wymioty. Na próżno usiłowała zidentyfikować mężczyznę – nie znała go.

– Proszę... Powoli.

Po opróżnieniu jednej trzeciej butelki zaniósł się kaszlem dudniącym jak letnia burza, po czym jego głowa znowu opadła na klatkę piersiową. Léane wiedziała, że przy takim ułożeniu ramion mężczyzna czuje potworny ból mięśni szyi. W ten sam sposób wisiał jej Arpageon.

Wyjęła z kieszeni paczkę chusteczek higienicznych, zwilżyła kilka z nich i ostrożnie przetarła jego policzki, łuki brwiowe i nos. Krew na twarzy pochodziła z rany w czole. Wytarła je najlepiej, jak potrafiła, i wtedy zobaczyła na ścianie ślad po pocisku. Ktoś musiał strzelać z bliska, z pewnością z broni znalezionej w szufladzie. Widać było, że krew wypłynęła też z prawego ucha mężczyzny.

Okryła go własnym płaszczem, by mógł się trochę ogrzać, po czym wstała i zaczęła obmacywać jego głowę. W kącie dostrzegła narzędzie tortur: trzewik ze śrubami, które z każdym obrotem zmniejszały jego rozmiar – jak w jej książce. Z trudem wyobrażała sobie, przez jakie piekło musiał przejść ten człowiek. Zranienie kogoś w stopę to odebranie mu możliwości ucieczki. Najlepszy sposób, by go sobie podporządkować.

Sięgnęła po telefon. Powinna zadzwonić do Colina. Zawahała się jednak. Zawiadomienie policji oznaczało wprost oskarżenie Julliana. A on stracił pamięć, nie mógł się bronić. On, ojciec Sary, jej mąż, za kratami. To by go zabiło. Nie mogła jednak pozwolić, by mężczyzna umarł. Nie było zasięgu. Już miała wyjść na zewnątrz, gdy odezwał się błagalnym głosem:

– Pomocy.

Wróciła do niego. Podniósł głowę i otworzył lewe oko.

– Niech mnie pani nie zostawia.

– Wrócę tu, muszę tylko znaleźć sieć, żeby wezwać pomoc.

Słabo poruszył skutymi rękami.

– Klucz od kajdanek... Jest tam, w rogu, pod kamieniem.

Kajdanki były przytwierdzone do ściany za pomocą łańcucha i kłódki.

– Okej, okej.

Szybko ruszyła do kąta, uniosła kostkę brukową leżącą za zgrzewkami wody i konserw i rzeczywiście znalazła klucz. Spoczywał na zdjęciu Sary, na którym dziewczyna pozowała z ojcem nad zatoką Authie z fokami w tle. Jullian zawsze nosił to zdjęcie w portfelu. Obydwoje na nim promienieją. Podniosła je i przeczytała notatkę u dołu: „Cokolwiek mówi, kłamie”. I zaraz pod spodem: „Daj mi siłę, żebym nigdy nie zapomniał o tym, co zrobił”. To było pismo jej męża.

Léane poczuła, jak uginają się pod nią nogi, i musiała przykucnąć. Miała wrażenie, jakby zalała ją fala denna, która obracała nią we wszystkich kierunkach i uniemożliwiała wynurzenie na powierzchnię. Odwróciła wzrok w stronę nieznanego: wpatrywał się w nią, na wpół ukrytą za zapasami jedzenia. Napłynęły jej do głowy mrozące krew w żyłach myśli.

A jeśli facet ma jakiś związek z porwaniem Sary? A jeśli jej mąż trafił na główny trop i właśnie to skłoniło go do porwania i torturowania mężczyzny? Czy to dlatego na dwa dni przed pobiciem zostawił jej wiadomość na poczcie głosowej? „Musimy porozmawiać o Sarze. Odkryłem coś bardzo ważnego”.

Wstała, zszokowana, ściskając w dłoni klucz – kawałek metalu, który miał moc uwolnić jednego człowieka i uwięzić innego. Nieznajomy patrzył na nią, zwracając ku niej biało-niebiesko-szarą, obitą, poranioną twarz, tak że prawie widziała w jego oczach błysk odradzającej się nadziei.

– Dziękuję... dziękuję.

Léane zniżyła się do jego poziomu.

– Dlaczego pan tutaj jest?

Zamilkł, zaskoczony tym nagłym, zadany spokojnie pytaniem, a także faktem, że kobieta rzuciła na ziemię, całkiem blisko, klucz, obiekt budzący pożądlivość w jego zgaszonych oczach. Zwilżył wargi językiem i skrzywił się, chcąc poruszyć nogą.

– A więc pani jest z nim. Z tym szaleńcem. No jasne.

– Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego pan tutaj jest.

Patrzył na nią w milczeniu. Przez grube mury fortu nie docierały odgłosy ani morza, ani wiatru. Było tu jak w grobowcu. Po dłuższej chwili mężczyzna zebrał siły, szarpnął poobdzieranymi nadgarstkami w kajdankach i zawołał:

– Nie mam pojęcia! Przysięgam, że nie wiem! Rzucił się na mnie, a potem obudziłem się w tej jamie!

– Skoro pana porwał i torturował, musiał mieć jakiś powód.

– Jest kompletnym świrem, to jest powód. Myśli, że mam coś wspólnego z porwaniem jego córki. Ale ja nawet nie wiem, kim ona jest. Niech pani posłucha, nic z tego nie rozumiem i mam tego dość. Od jak dawna mnie tutaj

trzyma? Ile dni, ile nocy? Przestał przychodzić, myślałem, że... Błagam, niech pani otworzy tę kłódkę.

Rozpłakał się. Léane ścisnęło się serce na widok złamanego, zdruzgotanego mężczyzny. Jedyne, czego chciała, to uwolnić go z tych więzów. Ale co, jeśli Jullian miał racje? Co, jeśli ten mężczyzna może jej powiedzieć, gdzie jest Sarah? Albo jej zwłoki? I co jej zrobiono?

Wyjęła telefon, wyświetliła zdjęcie córki zrobione w wieczór jej zaginięcia i pokazała mu.

– Niech się pan dobrze przyjrzy. Rozpoznaje ją pan?

Szeroko otworzył lewe oko, a powieka prawego poruszyła się, odsłaniając kawałek czarnej tęczówki. Wykrzywił twarz.

– Szlag, to pani córka... A pani jest jego żoną, tak? Tą pisarką, o której mi opowiadał. Miraure. Czyli pani nie wiedziała, że tutaj jestem? Nie wiedziała pani, że pani mąż dręczy niewinnego człowieka?

Léane nie straciła zimnej krwi. Wciąż trzymała telefon przed jego obrzmią twarzą.

– To pan był zamknięty w bagażniku jego samochodu. To pana porwał. I wydrapał pan słowo „żywa” na ścianie bagażnika. Dlaczego?

– No nie. Jest pani tak samo szalona jak on.

– I to nie Jullian, ale pan miał czapkę mojej córki. Dlatego pana porwał, co? Co pan robił z tą czapką? Gdzie ona jest? Gdzie jest Sarah?

Poruszył rękami.

– Nie wiem, co się stało z pani mężem. Nie wiem, dlaczego przyszła tu pani zamiast niego, ale najwyraźniej pani o tym wszystkim nie wie, więc... – Wykrzywił twarz przy każdym wypowiedzianym słowie. – Więc zaraz zadzwoni pani na policję i wyjaśni im. Wszystko powiem, opowiem o wszystkim, co się wydarzyło. Powiem prawdę. Że widzę panią pierwszy raz i że pani o niczym nie wiedziała.

Léane już nie słuchała. Kostki domina padały jedna po drugiej.

– To by też wyjaśniało, dlaczego ktoś na niego napadł tamtego wieczoru. Może ten ktoś wiedział, że mój mąż pana przetrzymuje, i pana szukał. Kto to był? Pieprzony współnik? Mój mąż nic nie powiedział, dlatego tamten go pobił i zostawił na plaży, żeby tam umierał.

Mężczyzna pociągnął nosem i wytarł go o rękaw.

– Nie rozumiem nic z tego, co pani opowiada. Klucz. Niech pani otwiera, już.

Léane włożyła dłoń do kieszeni jego spodni, a następnie do kieszeni zakrwawionej rozpiętej koszuli. Wstała i przejrzała zapasy żywności. Nic, żadnych papierów. Wróciła do niego zdecydowanym krokiem.

– Niech pan mówi, kim pan jest.

– Nie może pani tego zrobić. Będzie... będzie pani oskarżona o współudział. Niech pani zadzwoni na policję. Albo niech mnie pani uwolni, ale proszę mnie tak nie zostawiać.

– Dlaczego odmawia pan podania nazwiska? Dlaczego nie mówi pan, skąd pan miał czapkę mojej córki? – krzyknęła.

Mężczyzna schował głowę w ramiona, zmarszczył brwi.

– Nazywam się Grégory Giordano. I jestem policjantem.

Léane się zachwiała. Usiłowała ustać, ale nogi prawie odmówiły jej posłuszeństwa.

– Policjantem?

– Tak, policjantem. Zadzwoń pani po pomoc i wszystko skończy się dobrze, dla pani i dla mnie. Jeśli będzie się pani upierać, będzie pani współwinna, a ja zdechnę tutaj, co i tak nie zmieni niczego w sprawie pani córki.

Mężczyzna szczął zębami i trząsł się z zimna. Mówił z przerwami.

– Dlaczego pan tutaj jest? Gdzie pan pracuje? W jaki sposób mój mąż pana znalazł?

Zacisnął usta i nic więcej nie mówił, ale nie spuszczał jej z oczu. Choć Léane zadawała mu pytania, nie odpowiadał, na wpół przytomny. Wróciła do kostki brukowej, wzięła do ręki zdjęcie. „Cokolwiek mówi, kłamie”. Była zła na Julliana i na siebie, że nie udało jej się dodzwonić do niego na czas. Nie potrafiła podjąć decyzji, każdy wybór wydawał jej się gorszy niż to, co zamierzała zrobić przed chwilą.

Wysłać własnego męża do więzienia.

Uwięzić niewinnego człowieka.

Uwolnić winowajcę.

Stać się współniczką porwania, tortur i uwięzienia.

Zrobiła głęboki wdech i odwróciła się do mężczyzny.

– Sprawdzę, czy pan nie kłamie. Zanim cokolwiek zrobię, muszę potwierdzić pana tożsamość. Okej?

Skierowała telefon w jego stronę i zrobiła zdjęcie. Oślepiiony lampą błyskową, odwrócił głowę i się skrzywił.

– Muszę się zastanowić. Wrócę tu. Jeśli mówi pan prawdę, wezwę policję. Obiecuję.

Okryła płaszczem ramiona i klatkę piersiową mężczyzny, zdjęła sweter i delikatnie otuliła jego zmaltretowane stopy. Przyniosła bliżej dwie butelki wody i puszki, a następnie uwolniła z kajdanek jedną jego dłoń. Lewa strona jego ciała opadła. Otworzyła konserwy i przysunęła do niego.

– Do mojego powrotu będzie pan mógł się napić i zjeść. I jeszcze... – przyniosła metalowe wiadro – to na pana potrzeby. Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

– Niech mnie pani tutaj nie zostawia! Mam pieniądze, jeżeli o to pani chodzi!

Zatykając sobie uszy, wróciła wytapetowanym zdjęciami córki korytarzem, bliska mdłości, pędem wybiegła na dziedziniec, przypadła do muru i głośno krzyknęła w przestrzeń. Morze z szumem zbliżało się do fortu, delikatnie ozłoczone blaskiem księżyca. Spokój panujący na zewnątrz kontrastował z piekłem, które przeżywała.

Drżąc z zimna, zamknęła za sobą na klucz ciężkie drzwi i biegiem opuściła fort. Jej mąż stracił pamięć i złożył w jej ręce najpotworniejszą z niedokończonych powieści. Miała dopisać jej dalszy ciąg.

Badanie spoiny między cegłami, które wyglądały na względnie nowe, potwierdziło, że Félix Delpierre musiał sam podzielić piwnicę na dwie części: przestrzeń na szynki i sprzęt oraz tajny schowek. Za pośrednictwem esemesa zapraszał ich, by „wygrali niespodziankę”. Vadim i Vic obawiali się najgorszego.

– Panowie przodem – powiedział Vic, wskazując koledze otwór.

Vadim nie podziękował. Trzymając przed sobą broń, na czworakach przeszedł na drugą stronę. Trafił dłońmi na gruby, czerwony dywan. Miły w dotyku. Nagle rozległo się pstryknięcie i rozbłysła lampa Wooda o czarnym świetle. Serce podskoczyło Vadimowi do gardła. Kiedy wstał, musiał ze sobą walczyć, żeby nie uciec.

– Ożeż, kurwa, Jezus Maria!

W blasku lampy ujrzeli pokiereszowane ciało z widocznymi bliznami i szwami, z kończynami rozłożonymi w pozycji człowieka witruwiańskiego. Postać wisiała dziesięć centymetrów nad ziemią, jakby lewitowała. Po usunięciu efektu wywołanego przez lampę widać było, że jest zamocowana wewnątrz dużej drewnianej ramy za pomocą bardzo cienkiej żyłki wędkarskiej, rozpiętej jak gigantyczna pajęczyna. Ciało i żyłkę łączyły wbite w nie, regularnie rozmieszczone haczyki, ledwie widoczne.

Nie był to mężczyzna ani kobieta. Vic przyjrzał się twarzy otoczonej ładnymi blond włosami i na wpół przymkniętym oczom. Tułów nie należał do tej samej osoby. Ani dłonie. Ani też lewa stopa, prawa noga oraz żadna inna część tego czegoś, co policjanci mieli przed sobą. To coś było zarazem całością oraz nicością. Efektem zarówno dekonstrukcji, jak i kompilacji kawałków zestawionych ze sobą i połączonych przezroczystymi szwami, agrafkami, śrubami. Mimo zgrzebności niedokończonego dzieła Félix Delpierre starał się upiększyć całość za pomocą warstw podkładu, czerwonego lakieru do paznokci, biżuterii na

palcach i szyi. Głowa była uczesana, włosy spięte czerwoną kłamrą, po obu stronach głowy widniały doskonale proste przedziałki. Nogi opinały pończochy kończące się niemal co do centymetra na tej samej wysokości.

Vadim podszedł bliżej, prawie się chwiejąc, a Vic ruszył w stronę metalowego stołu podobnego do stołów sekcyjnych i oglądał ułożone na nim sprzęty – od skalpela poprzez centymetr krawiecki aż po golarkę – a także cewniki, igły i lekarstwa. Na podłodze zobaczył kanistry z wybielaczem, puste, włożone jedna w drugą miski, rolki worków na śmieci, liny, plandeki, paczki soli i kory drzewnej. Wrócił do „obiektu” i pomacał go z obrzydzeniem.

– Zobacz, twarz, dłonie i oczy są prawdziwe, ale reszta... – Poskrobał trochę na wysokości szwów i odkrył lśniąca substancję. – Robota Skórownika. Kawałki wygarbowanej skóry, niegnijącej, pozszywane ze sobą, opięte na... nie wiem czym, metalowym szkielecie, czymś w tym stylu. Myślę, że znaleźliśmy twarz i oczy dziewczyny z bagażnika, Vadim.

Pachniało taniną i korą drzewną. Vadim klęczał na dywanie z lampką przed sobą, wykrzywiając twarz.

– Myślę, że... że Delpierre gwałcił... to coś. W czarnym świetle widać białe plamy. Ślady spermy. Wszędzie. Tutaj, między nogami, na dywanie.

Vic podszedł do niego. Trudno mu było sobie wyobrazić tę scenę. Dolna część ramy była umieszczona na rolkach, dzięki czemu Delpierre mógł dowolnie przesuwając swoje dzieło. Ściany dookoła ozdabiał czerwony materiał, powiewny jak lekkie sukienki. Na regale stały nawet butelki z alkoholem, wieża i monitor, a w kącie stojak z kamerą. Vic zauważył też przytwierdzony do ściany krótki łańcuch, a na jego końcu stalową obręcz. Na cegłach obok łańcucha widać było ślady po drapaniu paznokciami i trochę krwi. Na podłodze – resztki jedzenia i pusty nocnik.

– To tutaj więził żywe kobiety. Pewnie zakuwał je w tę obręcz za kostkę.

Wrócił do „obiektu” i przyjrzał się klatce piersiowej: dwóm ogromnym silikonowym kulom obszytym skórą. Całość pokryta była podkładem, spod którego delikatnie prześwitywały niebieskie, czarne i brązowe plamy. Vic pociągnął nosem.

– Ładny zapach. Uperfumował ją... Włosy pachną szamponem.

– „Ją”? – Vadim wstał, rozsierdzony, z uniesionymi wargami, błyskając kłami w ultrafioletowej poświacie. – O kim ty, kurwa, mówisz? O właścicielce twarzy? O tych kawałkach skóry pozszywanych na pieprzonym żelaznym manekinie? Jak możesz nazywać to „nią”?

– Trzeba to jakoś nazwać. Skóra na twarzy i dłonie są świeże. Reszta wygląda na o wiele starszą.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego. A przecież widziałem w życiu wiele smutnych rzeczy. Ale to jest szczyt. – Morel zaczął krążyć wokół ramy, uważnie oglądając wszystkie szwy. – Ile ludzkich istot obdarł ze skóry, żeby stworzyć to coś?

Zrozpaczony glina to z pewnością najgorsze, co można zobaczyć. Przypomina psa, który przed zastrzeleniem kieruje na zabójcę ostatnie spojrzenie.

– Szukaliśmy Apolline. Myślę, że ją znaleźliśmy... Może to ta stopa, ta ręka, kawałek pleców...

Vic podszedł do regału, na którym stały wieża i telewizor. Kawałek dalej na widoku leżała kupka anonimowych pudełek po płytach DVD, a na ostatnim z nich koperta. Odwrócił ją, była częściowo otwarta. Przywołał Vadima.

– Myślisz, że to dla nas? List pożegnalny?

– Ten drań dalej się z nami bawi. Otwórz.

Ze ściśniętym gardłem poprawił rękawiczki i ostrożnie odchylił zamknięcie koperty, przekonany, że może z niej wyskoczyć wąż. Ale w środku znalazł tylko postrzępiony kawałek papieru, na którym było napisane: „Niespodzianka się podobała? No to teraz moja spuścizna. Miłego oglądania, jebane psy”.

Wbrew słowom umieszczonym na zdjęciu Sary więzień z fortu nie kłamał. Na monitorze laptopa Léane widniał jego portret w przybliżeniu. Wygląd Ala Pacino, taka sama ponura, kanciasta gęba. Zgodnie z informacjami, które pisarka znalazła w internecie, Grégory Giordano miał czterdzieści sześć lat i był porucznikiem policji, członkiem brygady do spraw zwalczania stręczycielstwa w Lyonie. Jego nazwisko pojawiało się na wielu stronach, głównie w starych artykułach prasowych na temat ścigania handlu ludźmi. Zajmował się siatkami czerpiącymi korzyść z prostytucji z krajów Europy Wschodniej i współczesnym niewolnictwem. Jego ostatnie śledztwo, o którym pisały media, zostało przeprowadzone przed siedmiu laty i chodziło w nim o rozpracowanie gangu przybyłego z Rumunii. Od tamtego czasu nic.

Zadzwoił telefon. Colin. To nie był dobry moment. Nie odebrała.

Choć próbowała różnych wyszukiwarek, nie znalazła żadnych wpisów na temat Giordana po dwa tysiące dziesiątym roku ani żadnych prywatnych informacji na jego temat. Gdzie mieszka? Czy ma żonę? Dzieci? Chciała sprawdzić, czy policjant ma konto na Facebooku, ale się powstrzymała. Może jego zaginięcie zostało zgłoszone i właśnie teraz sprawdzane są wejścia na jego profil? Léane dowiedziała się o takich niuansach dzięki kwerendzie do swoich thrillerów i bliskim kontaktom z policjantami: musiała być ostrożna i zadowolić się tymi okruchami informacji.

Zdjęła okulary do czytania i opadła na fotel. Jej mąż, inspirując się jej książkami, więził, karmił konserwami, bił i pozostawił na śmierć funkcjonariusza policji kryminalnej. Mimo piasku pod powiekami próbowała się zastanowić. Giordano pracował w siedzibie policji kryminalnej w Lyonie, czyli tam, gdzie brygada kryminalna rozpracowywała sprawę Jeansona. Ale brygada do spraw zwalczania stręczycielstwa i kryminalni to dwie odrębne jednostki, a komenda policji miała rozmiary sporej kamienicy. Jullian wielokrotnie tam bywał

w związku z zaginięciem córki. Czy spotkał tam Giordana? Czy usłyszał jakieś kularowe rozmowy, które zwróciły jego uwagę? Wydawało się to niemożliwe. Ale jak, do cholery, wpadł na to, żeby porwać glinę chwalonego w prasie za osiągnięcia?

„Cokolwiek mówi, kłamie”. Ale nie, nie skłamał. W tej sprawie Jullian się pomylił. Wstała i spojrzała na balkonowe okno z poczuciem, jakby nad jej głową wisiał miecz Damoklesa. Oczywiście, myślała o tym, co powiedział Colin: o jego przekonaniu, że seryjny morderca Jeanson mógł nie mieć nic wspólnego z porwaniem Sary. Wydawało jej się to szalone, ale... Colin mówił, że przesyłkę mógł nadać każdy, kto wiedział o włosach i o zaginięciu ich córki.

Grégory Giordano, choć pracował w innej jednostce, z pewnością był poinformowany o wrażliwych elementach sprawy Jeansona. Policjanci zawsze rozmawiają ze sobą o trwających śledztwach. Ale czy to czyni go winnym?

Między wydrami widać było zbliżającą się do brzegu falę, czarną jak kałuża oleju. Za dwie godziny do fortu nie będzie dostępu, fale wielkiego przypływu zatopią groblę i Giordano spędzi kolejną noc w piwnicy, zakuty w kajdany, czekając na uwolnienie. Co robić? Léane miała dość – zarówno swojej bezradności, jak i swojej władzy. W jej rękach była przyszłość trzech istnień: własnego, Julliana i Giordana. Trzy losy połączone ze sobą jak w niemożliwym do rozplątania motku wełny. Zanim podejmie decyzję, zdąży spróbować jeszcze jednego. Wydrukowała zdjęcie Giordana z internetu, wyjęła z szuflady w garderobie swoją starą bluzę i ruszyła do szpitala.

Dochodziła dwudziesta druga trzydzieści, korytarze były prawie puste. Słychać było tylko pikanie aparatury, szuranie miękkich chodaków pielęgniarek na linoleum, trzaskanie drzwi. Zanim weszła do pokoju Julliana, przyszedł do niej esemes od Colina.

„Wpadłem do ciebie wczesnym wieczorem, ale nikogo nie zastałem. Próbowałem dzwonić: nie odebrałaś. Pierwsza informacja z laboratorium: w czapce znaleźli włos. Jest naturalnie jasny, ale zafarbowany na czarno. Jutro dalszy ciąg, w tym wynik badania krwi znalezionej w bagażniku. Mam nadzieję, że wszystko w porządku, zadzwoń do mnie, żebyśmy byli spokojni. Colin”.

Kolejny szok. Léane znowu poczuła się oszołomiona, a jej wątpliwości się pogłębiły. W chwili porwania Sarah była blondynką, ale co, jeśli ktoś przefarbował jej włosy na czarno? Czy to naprawdę był jej włos? Zastanawiała się, czy nie zawrócić i od razu nie oddzwonić do Colina. Zostawić to wszystko. Weszła jednak do pokoju. Jullian spał. Podeszła cicho do łóżka i usiadła na krześle naprzeciw niego. Jego spokój trochę jej się udzielił. Od wielu lat nie widziała go śpiącego.

Rzuciła okiem na kupkę książek na szafce nocnej. Jej powieści. Zakładka w jednej z nich wskazywała na to, że jej mąż jest w trakcie lektury *Człowieka z cmentarza*, drugiego thrillera jej autorstwa, w którym pojawia się bohaterka z amnezją. Jullian mógł w nim dostrzec silne podobieństwo do własnej historii. On także został napadnięty i stracił pamięć. Léane nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w ostatnich dniach fikcja zbyt mocno miesza się z rzeczywistością.

Patrzyła na odpoczywającego męża, ale gdy tylko sobie wyobraziła, jak Jullian więził i torturował Giordana, dostała gęziej skórki. On, Jullian, pacyfista, który robił latawce, przemierzał dno zatoki żaglowozem, miłośnik przyrody, zapalony obrońca miejscowej kolonii fok, niezdolny zabić mrówkę. Jak mógłby płonąć tak wielką nienawiścią? Z drugiej strony, jak ona może wątpić w jego niewinność i zaangażowanie w poszukiwania ich córki? Jullian był gotów na wszystko i z pewnością musiał mieć cholernie ważny powód, żeby zaatakować policjanta. Może nawet uznał, że ta czapka jest dowodem jego winy?

Ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy: pomylił się, ona również, czapka mogła należeć do obcej osoby. Ta historia z pewnością skończy się źle. Uwolnienie Giordana oznaczało przypieczerowanie przyszłości mężczyzny, którego zawsze kochała. Zostawić glinę w forcie? Bomba ze spóźnionym zapłonem. Kiedyś i tak trzeba będzie go wypuścić.

Inne rozwiązanie. Nie robić nic, pozwolić mu zdechnąć w tej dziurze. Pozbyć się ciała. Ona i Jullian będą wolni. Zacznie się dla nich nowe życie. Przegnała te zatrute myśli, dziwny głosik, który szeptał jej do ucha. Jasne, w swoich książkach zabija, jej bohaterowie pozbywają się zwłok, ale przecież ona sama nie jest morderczynią.

Zakasała. Jullian, wyrwany ze snu, otworzył oczy. Podniósł się.

– Śnił mi się koszmar, byłaś w nim. Pływałaś z żółwiami, leżałaś na jednym z nich, a on zanurkował w stronę dna. Nie potrafiłaś wypłynąć na powierzchnię, twoje dłonie były przyklejone do jego skorupy i zniknęłaś w ciemnościach, błagając mnie o pomoc. A ja nie mogłem nic zrobić, bo nie miałem dość powietrza, żeby zanurkować. Patrzyłem, jak umierasz.

Przytulił się do niej. Léane poczuła napięcie w ciele – jakby ją od niego odrzucało – i starała się je powstrzymać. Tak naprawdę miała mu za złe, że wplątał ją w tę sytuację, że posłużył się jej twórczością – przez co w pewnym sensie stała się jego zakładniczką – żeby skrzywdzić człowieka.

Jullian mówił dalej:

– To było straszne. Tak bardzo się o ciebie bałem. A jednak jeszcze nie do końca cię rozpoznaję. Ale wiem, że... w głębi mnie jest coś, co znało cię od zawsze.

Léane wreszcie powierzyła się objęciom męża.

– Pływaliśmy z żółwiami, dawno temu. To było... daleko stąd, na wakacjach. Chciałeś mnie zabrać gdzieś, gdzie jest słońce, światło, bo w tamtym okresie miałam koszmary, moja głowa nie całkiem dobrze funkcjonowała.

– Dlaczego? Co się stało?

Wzruszyła ramionami.

– Nic specjalnego. Miałam lęki.

– W trakcie zajęć z logopedą znowu bawiłem się przedmiotami. Przywołują wspomnienia. Dotykając miniaturowego autka, przypomniałem sobie szary samochód, renault cztery L. Podobnie było z pluszakami, zobaczyłem krótkowłosego brązowego psa, który wszędzie biegał.

– Ranzor, nasz pierwszy psiak.

Jullian podziękował jej autentycznym uśmiechem, którego od dawna u niego nie widziała. I to sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej.

– Wspomnienia przychodzą trochę nie wiadomo jak, ale dzięki tym przedmiotom wracają. Logopeda jest raczej zadowolony. À propos, czy mogłabyś jutro przynieść nasze zdjęcia? Mówią, że to się przyda na sesjach.

Skinęła głową. Pogładził ją po twarzy, zamknął oczy.

– Tak bardzo chciałbym już być przy tobie, w domu. Odkrywać cię na nowo... To okropne stracić pamięć, ale jednocześnie takie wyjątkowe. Jak odrodzenie. Odnajdywać miejsca, twarze, zapachy, jakby miało się z nimi do czynienia pierwszy raz. Jesteś taka piękna. A Sarah? Spędzi z nami święta?

Léane usiłowała się uśmiechnąć i przytaknąć.

– Coś nie tak? Czuję, że jesteś strasznie rozdrażniona. Czy powinienem wiedzieć o czymś, co ma związek z naszą córką?

Pisarka wyjęła z kieszeni poskładaną kartkę z portretem Giordana.

– Rozpoznasz tę twarz?

Wziął zdjęcie, przyjrzał mu się i oddał jej z niewzruszoną miną.

– Kompletnie nic mi nie mówi.

– Jesteś pewien? Powiedz prawdę.

– Nie, nie, nic. Kto to jest?

Wahała się, czy brnąć dalej, czy pokazać mu zrobione komórką zdjęcie zmasakrowanego mężczyzny, skonfrontować go z tym, co zrobił. Włożyła kartkę z powrotem do kieszeni.

– Zapomnij o tym. Zapomnij, że tu byłam.

– Zapomnieć? Nie sądzisz, że już wystarczająco dużo zapomniałem? Léane, co się dzieje? Mój ojciec też się dziwnie zachowuje, kiedy poruszam temat Sary. Co się stało naszej córce?

– Nie żyje!

Słowa wymknęły jej się z ust zupełnie poza kontrolą. Léane drżała z emocji, cała w nerwach. Chciała wstać, ale miała nogi jak z ołowiu. Elektrowstrząs – teraz albo nigdy. Jullian zamarł, oszołomiony.

– Nie żyje? Ale mówiłaś, że...

– Została porwana cztery lata temu. Wracała z biegania, ty byłeś... w pracy, a ja spacerowałam po plaży. To się stało w naszym domu. Niecałe dwa lata temu złapali seryjnego zabójcę, Andy'ego Jeanson, siedzi w więzieniu i czeka na proces.

Jullian wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale słowa nie przychodziły. Léane wyobraziła sobie burzę, która trwała w jego głowie.

– To on zniszczył nasze życie. Przyznał się do porwania i zabicia Sary, ale nie chce powiedzieć, gdzie ją pochował. Już zza krat stopniowo ujawniał miejsca, w których zakopał wszystkie ciała poza ciałem naszej córki. Wiele miesięcy czekamy, aż zdecyduje się mówić. – Ze wszystkich sił ścisnęła jego dłonie. – A ty przez te wszystkie lata jej szukasz, aż od tego wariujesz. Nie mogłeś o tym zapomnieć. Powiedz, że coś ci się przypomina, powiedz, że pamiętasz nie tylko banany i żółwie z dalekiej przeszłości.

Jullian ściągnął usta i pochylił głowę do przodu. Teraz on chwycił dłonie Léane.

– Przykro mi...

Wstał i wziął ją w ramiona. Była na skraju rozsyпки. Pocałowała go w usta – długo, namiętnie, z miłością, po czym wyswobodziła się z jego objęć. Popatrzył na nią osłupiały, przykładając do warg dwa palce, jakby chciał pochwycić ten pocałunek i nie pozwolić, by zniknął.

– To było jak pocałunek na pożegnanie.

– Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz...

Wyszła i usłyszała, jak Jullian ją woła. Zostawiła go z jego pytaniami.

Co ona zrobiła? Zamknęła się w samochodzie. Miała dość. Nie mogła czekać ileś tam dni czy tygodni, aż jej mąż odzyska pamięć, gdy tymczasem tamten człowiek umierał w piwnicy. Nawet informacja o porwaniu Sary w niczym nie pomogła. Westchnęła z bólem, sięgnęła po telefon i wyszukała numer Colina. Najgorsza decyzja w jej życiu. Może miejscowy policjant znajdzie rozwiązanie, które zminimalizuje straty? Pomoże jej się wypłatać z tej sytuacji?

Kiedy zamierzała nawiązać połączenie, zadzwonił inny numer. Maxime Père, jej spec od informatyki. Komputer Julliana... Zapomniała o nim. Odebrała.

– Udało ci się?

– Tak, odzyskałem niektóre dane. Nie mogę o tym rozmawiać przez telefon. Musisz przyjechać i zobaczyć to na własne oczy. Chodzi o czapkę twojej córki. Wiem, kto ją nosił.

Maxime Père mieszkał niedaleko szpitala – tego, w którym kręcono film *Motyl i skafander* – w niebiesko-białym domu, urządzonym w rybackim stylu, w zaułku, gdzie nigdy nie docierało światło. W dalszym ciągu pracował w jednej z lokalnych szkół podstawowych, tej samej, w której Léane także uczyła przez ponad dziesięć lat. Zaprosił ją do środka, dwukrotnie przekręcił klucz w drzwiach, po czym prowadził ją do gabinetu. Poruszanie się było tu sztuką – książki, sprzęt informatyczny, płyty DVD zawaływały każdy kąt.

– Kawy? Kielicha na wzmocnienie? Nie wyglądasz najlepiej.

– Dam radę. Jest późno, jestem zmęczona, a przede wszystkim w ostatnim czasie niewiele spałam.

Ustawił przed komputerem Julliana krzesło, na którym mogła usiąść, a sam zajął miejsce obok niej z puszką piwa w ręce.

– No więc tak. Wszystko zostało metodycznie wyczyszczone: ciasteczka, historia wyszukiwania, maile, pliki dźwiękowe, zdjęcia. Miałem wrażenie, jakby komputer był prawie nowy.

– Tak, komputer z amnezją, wszystkie wyniki wyszukiwania zniknęły. Jakby sam Jullian albo włamywacz chciał wymazać jego przeszłość.

– Otóż to. Ale tak samo jak w przypadku pamięci, nie da się całkowicie wyczyścić twardego dysku, jeśli się go nie sformatuje. Większość danych zostaje gdzieś w systemie. I dopóki nie zainstalowano nowych aplikacji, nie zapchało dysku gigabajtami filmów, można mieć nadzieję, że część danych uda się odzyskać.

– Mówiłeś o czapce. Co znalazłeś?

– Zanim przejdziemy do czapki, pokażę ci inne rzeczy. – Wystukał coś na klawiaturze. – Najpierw portale społecznościowe. Wiedziałaś o tym, że Jullian stworzył kilka grup wsparcia, w których regularnie publikował zdjęcia Sary?

– Tak, tak, zawsze byłam temu przeciwna. Zadręczał internautów prośbami, żeby udostępniali jego posty, opowiadali o sprawie, drukowali ulotki i jeśli sądzą, że mogą pomóc, kontaktowali się z nim w wiadomościach prywatnych. Instagram, Twitter, Facebook... Jullian był wszędzie i udało mu się zdobyć tysiące obserwujących. Oczywiście ja też byłam wśród nich, żeby trochę kontrolować tę jego twórczość. Ludzie śledzili jego poszukiwania, jego nastroje, nawet jeśli ostatnio niewiele zamieszczał. Jullian nie rozumiał, że interesowali się nim z chęci podglądania. Po prostu oglądali serial o staczającym się ojcu. Żałosne widowisko.

– Też tak sądziłem. Ale wygląda na to, że twój mąż dobrze zrobił, że nie odpuścił i ufał w pomoc ludzi.

Kliknął kilka razy, aż pojawił się katalog o niekończącej się, nieczytelnej nazwie.

– Mój program do odzyskiwania danych stworzył ten katalog. To trochę wiedza techniczna, oszczędzę ci wyjaśnień. No więc tak. Przejrzałem na szybko ostatnie maile, które zostały usunięte. Nic szczególnego, najwyraźniej Jullian nie miał wiele komputerowych aktywności ani ludzi, z którymi by korespondował. Same reklamy i spam. Potem spróbowałem dołączyć do jego grup wsparcia i zorientowałem się, że wszystkie są niedostępne. Twój mąż wszystko pozamykał, nie wcześniej niż dwa dni temu.

Léane podniosła okulary na czoło.

– Kiedy dokładnie?

– We wtorek około południa. Za jednym zamachem usunięto z komputera wszystkie dane.

Kobieta próbowała uporządkować chronologię zdarzeń.

– W nocy z poniedziałku na wtorek, około pierwszej, agencja ochroniarska dzwoni do Julliana, ponieważ w domu włączył się alarm. Pił, nie pamięta kodów. Mówisz, że w ten sam wtorek około południa zamyka konta na platformach społecznościowych i czyści komputer. Potem, o osiemnastej, jak wskazuje aplikacja zdrowotna w jego smartfonie, wyrusza w stronę nabrzeża na pięciokilometrową przechadzkę. Godzinę później zostaje znaleziony niedaleko latarni, nieprzytomny w wyniku napaści. – Próbując przegnać z pamięci nieznośny widok zakrwawionej twarzy Grégory’ego Giordana, podparła brodę pięścią i myślała na głos: – Zamykasz konta, usuwasz dane z komputera, zapominasz hasła, które zastępujesz innymi, jakby nagle pojawiła się taka pilna potrzeba, i po tym wszystkim idziesz spokojnie na spacer?

– Może się kogoś bał?

– Ale przecież gdyby się bał, nie walałaby się po ciemku z pieprzonym krokomierzem! Zamknąłby się w domu albo... nie wiem, uciekłby samochodem!

Ale wybierać się na spacer? Nic z tego nie rozumiem, w jego zachowaniu jest coś nielogicznego.

Léane myślała o Giordanie. Może Jullian chciał zaczerpnąć powietrza, żeby podjąć decyzję w sprawie losu policjanta uwięzionego w forcie? Ale po co włączył aplikację? Wróciła do powodu, dla którego przyjechała do dawnego kolegi.

– Mówiłeś o czapce Sary.

Z powagą skinął głową.

– Tak, ale najpierw jeszcze jedna rzecz. Chodzi o coś, co było w historii wyszukiwania, którą udało mi się odzyskać. Głupio mi mówić ci o tym, ale...

– Dawaj.

– Twój mąż odwiedzał pewną osobliwą witrynę, Donjon noir. To prywatny, elitarny klub w Lyonie, w trzeciej dzielnicy.

Wszedł na stronę.

– Nic szczególnego, ale z tego, co udało mi się wyczytać tu i tam, wynika, że to takie miejsce, w którym praktykuje się dość ekstremalne rozrywki w stylu sado-maso i organizuje specyficzne imprezy. Odkryłem, że czasem też gorsze rzeczy: podwieszanie na hakach, te sprawy...

Léane zmarszczyła nos. Lyon. Miasto, w którym pracował Giordano. Dlaczego Jullian odwiedził tę stronę? A może ten glina zasugerował mu, żeby to zrobił?

– Możesz powiedzieć coś więcej? Nie ma jakichś nazwisk, kontaktów, które wskazywałyby, czego tam szukał?

– Nie, przykro mi.

Umilkł i zamknął okno.

– Wiem, że niewiele ci to pomaga, ale wolałem ci o tym powiedzieć.

– Dobrze zrobiłeś.

– A teraz przejdźmy do czapki. Odzyskałem usunięte zdjęcie, od którego być może wszystko się zaczęło. Usiądź wygodnie, to naprawdę mocne.

Kliknął plik: na ekranie wyświetlił się zeskanowany artykuł z jakiejś gazety albo czasopisma. Na połowie strony znajdowało się kolorowe zdjęcie grupy młodych ludzi stojących na stadionie, na czterystumetrowej bieżni. Unoszą ramiona ku niebu. Wśród nich jedna twarz otoczona jest czerwonym markerem. Na głowie ma niebiesko-zieloną czapkę z pomponem, spod której wystają czarne włosy.

Maxime zrobił zbliżenie i popatrzył na Léane z poważną miną.

– Wygląda jak czapka Sary, nie?

Léane pochyliła się w stronę monitora i z nadzieją przyjrzała się twarzy. Ale nie, to oczywiście nie była Sarah, mimo jakiegoś nieokreślonego podobieństwa. Dziewczyna wydawała się o wiele niższa. Tematem artykułu były akcja

charytatywna Telethon oraz młodzi sportowcy z Mâcon, którzy biegli przez dwadzieścia cztery godziny, by przekazać uzbierane pieniądze na stowarzyszenie Drogi Nadziei. Odsunęła się od blatu.

– Pompon, kolory... Tak, to jest czapka Sary. Ręczna robota, jedyny egzemplarz.

– Co w takim razie robi cztery lata później na głowie tej dziewczyny?

Maxime wydrukował stronę w kolorze i podał jej.

– Artykuł pochodzi z lokalnego magazynu wydawanego w Mâcon, sprzed dwóch tygodni. Być może jeden z internautów obserwujących twojego męża na platformach społecznościowych przez przypadek przeczytał tę gazetę, rozpoznał czapkę, którą Sarah miała na głowie w dniu zaginięcia, i przesłał mu skan w wiadomości prywatnej?

Léane wpatrywała się w szeroko uśmiechniętą twarz na kartce. Kim jest ta dziewczyna? Teraz lepiej rozumiała, skąd pochodził włos znaleziony w czapce przez Colina. Wygląda na to, że zdjęcie uruchomiło lawinę zdarzeń: porwanie Giordana, napad...

Czuła się coraz gorzej, targana wątpliwościami, miotana na wszystkie strony jak butelka na morskich falach.

– Nie masz czegoś więcej?

– To i tak nieźle, prawda?

Złożyła zdjęcie i wsunęła do kieszeni. Maxime wyjął kabel podłączony do komputera i spojrzał Léane w oczy.

– Ta czapka może w ogóle nic nie znaczyć. Wszyscy wiemy, że sprawcą jest Andy Jeanson. W końcu powie, gdzie pochował Sarę. Na to musisz się przygotować, zamiast żywić próżne nadzieje. To już cztery lata.

Léane wstała.

– A co ty byś zrobił na moim miejscu?

– Ach, ja, no wiesz... Znajac Julliana, na pewno pojechał spotkać się z tą dziewczyną. Wiedział, o które miasto chodzi, znał nazwę stowarzyszenia, datę publikacji artykułu, łatwo było ją odnaleźć. Oto dowód.

Podał jej kartkę, na której napisano: „Roxanne Braquet, 17 lat, rue Pillet 8 bis, Mâcon”. Léane wytrzeszczyła oczy.

– To nie było skomplikowane, numer telefonu stowarzyszenia jest w internecie. Jedna rozmowa i załatwione. Szef nie przypomina sobie innego telefonu w sprawie Roxanne, ale Jullian mógł otrzymać jej dane za pośrednictwem merostwa albo w inny sposób. Jest jednak pewne, że tam pojechał. Co się wydarzyło potem? Nie mam pojęcia. Jeśli chodzi o ten klub Donjon noir, to trudno zdobyć o nim więcej informacji, kiedy człowiek nie wie, czego szukać. Léane, twój mąż padł ofiarą napadu, prawdopodobnie wpakował się w nieźle kłopoty

z powodu tego zdjęcia albo swoich poszukiwań. Gdybym był tobą, poszedłbym jutro rano na policję. Oni się zajmą przesłuchaniem dziewczyny, a ta z pewnością będzie mogła im udzielić konkretnej odpowiedzi i zobaczysz, że to nie ma nic wspólnego z zaginięciem Sary. – Położył jej laptop na rękach i uśmiechnął się półgębkiem. – Dobrze wiedzieć, że tu jesteś, nawet jeśli okoliczności nie są najmiłsze. Czytałem twoją ostatnią książkę, wiesz? Jest ciężka, ale wspaniała. W szkole ciągle o niej opowiadam.

– Dziękuję, Maxime. Za wszystko. Miałabym do ciebie jeszcze ostatnią prośbę.

– Słucham cię.

Wzięła kartkę z jego rąk.

– Nikomu o tym nie mów. Ani o mojej wizycie, ani o twoich odkryciach. Nigdy nie widziałeś laptopa Julliana i nie słyszałeś o Roxanne Braquet. To bardzo ważne.

Zmrużył oczy i przez chwilę milczał.

– Nie zamierzasz iść na policję, o to chodzi?

– Czy mogę na ciebie liczyć?

– Jestem gotów ci pomóc. Gdybyś mnie potrzebowała, nie wahaj się. Ale przede wszystkim bądź ostrożna.

Léane podziękowała mu i wróciła do samochodu. Upłynęło sporo czasu, zbliżała się północ. Morze przybierało – wielka czarna paszcza gotowa pożreć wszystko, co znajdzie na swojej drodze. Wkrótce dolna część murów fortu zacznie znikać pod wodą. Kiedy Léane tam dotrze, kamienie między brzegiem a główną bramą będą zalane. Zbyt późno, by jechać tam dzisiaj.

Spojrzała na kartkę z danymi i adresem. Aby poradzić sobie z faktem, że Giordano ma spędzić kolejną noc w piekle, uczepliła się nadziei, że jutro otrzyma odpowiedź na swoje pytania.

Pierwszą płytę DVD obejrzeli w pięciu o czwartej nad ranem w sali spotkań brygady. Po konfrontacji z dziewięćdziesięciominutowym spektaklem czystego obłędu mężczyźni zebrani wokół stołu byli zdruzgotani. Za pomocą umieszczonej na statywie kamery Félix Delpierre sfilmował akty, których dopuszczał się w piwnicy. Kotłowanina potworności, spiętrzenie najmakabryczniejszych i najbardziej bestialskich ludzkich instynktów, zapisane na wieki na poliwęglanowym krążku w sekwencji zer i jedynek.

Vicowi od razu powierzono misję spędzenia dnia na przeglądaniu ośmiu pozostałych filmów i wyłapania w nich istotnych momentów, które będzie można włączyć do akt. Był bowiem uważany za najlepszego obserwatora w grupie, za prawdziwy magnetowid zaklęty w ludzkiej postaci. Świetny prezent!

Sprawca zbrodni nie żył, trzeba było jednak odtworzyć jego mroczną epopeję, policzyć i zidentyfikować wszystkie ofiary, odnaleźć ich ciała – w tym ciało Apolline. Rano koparki i ludzie wyposażeni w wykrywacze przekopią okolice gospodarstwa, a patolożka zajmie się „obiektem”, który dwójka ludzi przez dwie godziny rozbrajała z nitek i haczyków, by go odczepić od ramy.

Koledzy życzyli Vicowi powodzenia, po czym po dwudziestu godzinach nieprzerwanej pracy policjant wrócił do siebie z kopiami filmów i odtwarzaczem pod pachą. Wszedł do hotelowego pokoju, gdzie z powodu kartonów z rzeczami, których nie chciał zostawić w boksie, trudno było się poruszać. Dziewięć metrów kwadratowych przestrzeni życiowej, z czego pięć – zawalonych starymi pamiątkami, w większości niepotrzebnymi, ale Vic nie lubił niczego wyrzucać. Na stole leżała rozłożona szachownica, z rozpoczętą „nieśmiertelną” partią Kasparowa, którą Vic obsesyjnie rozgrywał raz za razem, rozmyślając nad tajemnicami Jeansona. Pani z firmy sprzątajacej została o tym uprzedzona, a kierownik hotelu tolerował tę nietypową sytuację – Vic był klientem bezproblemowym, hojnie rozdającym napiwki, dzięki któremu, za sprawą

honorarium za przechowanie MammaM, mężczyzna kończył miesiące z górką na koncie.

Wczesnym rankiem Vic otworzył okno, żeby przewietrzyć pokój, i opadł na umieszczone na antresoli łóżko, prawie dotykające sufitu. Włożył do uszu zatyczki i szybko zasnął, a po czterech godzinach obudził się zziębnięty: zapomniał zamknąć okno. Podkręcił grzejnik elektryczny na cały regulator, wypił dwie kawy z rzędu, pochłonał kromkę chleba z dżemem, który wyniósł ze śniadania, podłączył odtwarzacz DVD i usiadł przed telewizorem. Była dziewiąta rano – czas, by spojrzeć Félixowi Delpierre'owi w oczy. Pogłaskać mrok.

Ponieważ ściany zrobiono z kartonu i dochodziły do niego odgłosy awantury małżeńskiej rozgrywającej się trzy pokoje dalej, Vic założył słuchawki. Filmów było dziewięć. Włączył następny w kolejności po tym, który obejrzelili razem z brygadą. Nagranie było w podobnym stylu.

W pierwszej sekwencji Félix Delpierre wchodzi ze zwłokami dziewczyny na ramieniu i rzuca je na metalowy stół, jakby to był kawał mięsa. Ofiara ma na głowie foliową torbę owiniętą na wysokości szyi taśmą klejącą. Delpierre przybliży kamerę i upewnia się, że scena jest dobrze widoczna.

Vic uważnie przyjrzał się nagiemu ciału. Łatwość, z jaką zabójca nim manipulował, wskazywała na to, że było jeszcze miękkie, czyli morderstwo nastąpiło mniej niż sześć godzin wcześniej. Ofiara dużo przeszła: widać było posiniaczone kończyny, strupy. Dlaczego Delpierre nie sfilmował porwania, tortur, morderstwa? Czyżby żywi interesowali go mniej niż martwi?

Zmusił się, by nie przyśpieszyć odtwarzania, kiedy Delpierre gwałcił nieboszczkę, która w dalszym ciągu miała na głowie plastikową torbę. Czoło oprawcy lśniło od potu. Kiedy tylko był w stanie, spoglądał w obiektyw. Każdy szczegół, każde słowo, jakie wypowiadał do siebie lub do kamery, mogły być istotne. Policjant siedział z dłońmi zwiniętymi w pięści i wciśniętymi między poduszki, walczył ze sobą, by się nie poddać. Nie przewinął też sceny, w której zwyrodnialec za pomocą brzytwy albo skrawarki – takiej, jakiej używa się do kebabów – zdejmuje skórę z ramion i pleców, a potem rozwiesza świeże płaty, by ociekły z krwi.

Następnie morderca podchodzi do manekina – metalowego szkieletu bez głowy i dłoni: część tułowia najprawdopodobniej została pokryta skórą ofiary z pierwszego DVD. Używając pędzelków, wacików, produktów do makijażu, nadaje matowej skórze różowawy odcień i maskuje szwy. Chce nadać śmierci pozory życia. Wreszcie wyłącza nagrywanie.

Półtorej godziny absolutnego plugastwa. Prace garbarskie musiały zająć wiele dni, więc montując film – ze wszystkimi cięciami, ujęciami sekwencyjnymi, efektami mającymi za zadanie zredukować jego długość – wykonał robotę godną

profesjonalisty. Kiedy go nakręcił? Nagranie nie zawierało żadnych oznaczeń czasowych. Mogło mieć kilka tygodni, miesięcy, a nawet lat. W każdym razie były to początki powstawania „obiektu”.

Vic wyszedł, by zaczerpnąć powietrza. Miał na sobie jedynie koszulę: mimo dwóch stopni poniżej zera było mu gorąco od straszliwych obrazów; paliły go od wewnątrz. Żałował, że z powodu folii na głowach ofiar nie widział ich twarzy. Kim były? Kiedy zostały porwane? Nie było żadnych kryteriów, na podstawie których mogliby przeszukać dane. W samej Francji każdego roku w niewyjaśnionych okolicznościach giną dziesiątki tysięcy osób. Gdzie szukać?

Minął rząd samochodów zaparkowanych przed hotelem. Wiele z nich należało do młodych ludzi, którzy przyjechali tu na seks, albo do starszych par cudzołożników, których nie stać na luksusowy pokój. Doszedł do piekarni na terenie galerii handlowej, znajdującej się dwieście metrów dalej. Na widok jego stroju przechodnie zerkali na niego ukradkiem, jak na pacjenta, który uciekł z psychiatryka, albo przybysza z innej planety. Kupił sobie kanapkę i paczkę czipsów na lunch, spojrzął na dzieci bawiące się w śniegu między hotelem a sklepami. Rzuciły w siebie śnieżkami, ganiały się i śmiały, gdy udało im się trafić. Mimo ich młodego wieku zachowania instynktowne widać było jak na dłoni: pogoń, ucieczka, przetrwanie.

Przemarznięty, wrócił do pokoju i znowu zabrał się do pracy. Kolejne nagrania przeglądał już w przyśpieszonym tempie. Delpierre wnosił zwłoki z owiniętymi głowami, brał miarę, rysował linie na plecach i klatce piersiowej. Pozostawiał ciała niemal nietknięte, nie masakrował ich, zdejmował tylko z niektórych powierzchni płyty skóry, a następnie zawijał ofiary w plandeki. Jego dzieło nabierało rozmachu, metalowy szkielet stopniowo znikał pod skórą. Obserwując go przy pracy, policjant pomyślał o rzemiośle projektantów mody.

O trzynastej zjadł kanapkę i czipsy – mechanicznie i bez apetytu, wyłącznie dlatego, że musiał dalej żyć. W trakcie jednego z filmów przemknęło mu przez głowę, że zwłoki, na które patrzy, mogłyby należeć do jego córki. Wykorzystał ten przeblysk i piętnaście minut później krążył wśród świątecznych półek centrum handlowego w poszukiwaniu prezentu dla Coralie. Ponieważ nie wiedział, co kupić – jakie zainteresowania ma szesnastolatka? – wybrał pudełko czekoladek i bon prezentowy do zrealizowania w dowolnym sklepie galerii. Na pewno lepsze to od podarowania pieniędzy, co sugerował Vadim. Albo gorsze.

Zanim wrócił do hotelu, zadzwonił do niego technik, który zajmował się analizą danych z telefonu znalezionej na stole w salonie.

– Dziwny esemes o „kole fortuny” został przez Delpierre’a wysłany do niejakiego Doktora Watsona, zamieszkałego w Hyères. To nie jest żart.

– Fałszywa tożsamość.

– Jak często bywa. Numer telefonu tego Doktora Watsona należy do operatora sieci LionMobile, istniejącego tylko w internecie. Prawdziwa plaga ci operatorzy.

Vic wiedział, że kartę SIM i numer telefonu można dostać bez trudu, wystarczy wypełnić formularz online, podając jakiegokolwiek dane. Dilerzy, gangi przerzucające narkotyki metodą *go fast*, handlarze bronią, a nawet terroryści zawsze mają przy sobie dwie albo trzy komórki zarejestrowane na fałszywą tożsamość, co sprawia, że trudno ich zidentyfikować.

– Miejmy nadzieję, że uda się namierzyć telefon tego Doktora Watsona, pod warunkiem że numer jest jeszcze aktywny, ale to trochę potrwa. Na razie jest całkowicie anonimowy.

Vic podziękował i rozłączył się, zbity z tropu. Kto ukrywa się za tożsamością bohatera powieści Conana Doyle'a? I dlaczego Delpierre wysłał do niego tę jedną jedyną wiadomość na temat roweru w piwnicy? Wiadomość, której adresatami byli – jak się zdaje – oni, policjanci. Prawdziwa zagadka na miarę Sherlocka Holmesa.

Z tymi pytaniami wrócił do piekła, które znajdowało się za drzwiami jego pokoju. Zaczął przesuwając kolejne obrazy nie do wytrzymania. Niektóre ciała były posiniaczone, poprzypalane papierosami, zauważył nawet ślady pogryzień. Delpierre działał z przerażającym opanowaniem, okrucieństwem i pedantycznością. Myśliwy, pomyślał znowu Vic. Nawykł do zabijania, skórowania i oprawiania zwierzęcych skór. To samo robił z ludźmi.

Na dziewiątym i ostatnim DVD pojawiła się Apolline. Żywa. Vic odkleił się od oparcia krzesła i zbliżył do ekranu, opierając dłonie na kolanach. Niewidoma dziewczyna była przykuta do łańcucha w głębi pokoju, siedziała na poduszkach w odcieniach czerwieni. Jeszcze nie została pobita. Płakała, rozebrana do połowy, z kneblem w ustach. Widok był nie do zniesienia i Vic musiał się przemóc, by oglądać dalej. Film na pewno został nakręcony później niż w listopadzie, kiedy ją porwano. Delpierre podchodził do Apolline, głaskał ją, wicherzył jej włosy, szeptał słowa, które nawet po ustawieniu dźwięku na cały regulator były niesłyszalne. To jego lalka, pomyślał Vic. Była jego lalką. Oko kamery najechało na niemal ukończony „obiekt” obciągnięty skórą – brakowało tylko dłoni i twarzy na polistyrenowej głowie.

W kolejnym ujęciu, nakręconym jakiś czas później, Apolline miała nieco dłuższe włosy i leżała na metalowym stole, na którym Delpierre skórował ofiary. Nie ruszała się, mimo światła jej źrenice były rozszerzone, ale w przeciwieństwie do innych żyła, nie miała też siniaków ani krwawych wybroczyn. Delpierre właśnie kończył wstrzykiwać jej jakiś płyn – z pewnością morfinę. Kiedy oprawca odcinał jej dłonie i przyżegał przedramiona, Vic musiał wyłączyć dźwięk

i spuścić wzrok. Gdy ponownie zerknął na ekran, Apolline była nieprzytomna i znowu się nie ruszała.

Delpierre przyłożył prawą dłoń do prawego kikutu swojego „obiektu” i wpadł w furję: zobaczył znaki alfabetu Braille’a, które Apolline wyryła sobie na skórze. Takie same blizny odkrył na lewej dłoni. Wyglądał na zbitego z tropu, zaczął chodzić wte i wewte, podpierając podbródek zaciśniętą pięścią. Vic zrozumiał, że świeże blizny, które miały nigdy nie zniknąć, przeszkadzały katowi; że mimo całej potworności swojej konstrukcji chciał, by elementy, z których ją tworzył, były doskonałe: żadnych oparzeń, nacięć, siniaków. Policjant odkrył, że to jest punkt wspólny wszystkich części składowych „obiektu”: Delpierre używał wyłącznie płatów skóry pozbawionych śladów przemocy. To dlatego potrzebował aż tylu ciał.

Nie zdążył wyciągnąć wniosków z tego spostrzeżenia. Nagle Delpierre wściekłym krokiem podszedł do Apolline, jakby zamierzał ją zabić. Dziewczyna ledwie się poruszała, ale żyła. I wtedy rozległ się dźwięk – Vic rozpoznał popularny sygnał nadchodzącego esemesa – oprawca zamarł, a następnie wyszedł poza zasięg kamery i nagranie się skończyło. Koniec odcinka. I koniec serialu.

Policjant przycisnął dłonie do twarzy i zrobił długi wydech. Miał wrażenie, że w miejscu czaszki ma czajnik. Wstał, by napić się wody z butelki, i tak już został, osłupiały, wlepiając wzrok w okno. Dzieci już dawno zniknęły i bałwan został sam. Zebrały i uformowały śnieg, przyniosły marchewkę, guziki, kapelusz. One także stworzyły swój „obiekt”. Tak to jest, człowiek ma potrzebę istnienia za pośrednictwem swoich dzieł.

Vic zamknął oczy i przypomniał sobie, jak w ostatni poniedziałek w środku nocy stał nad otwartym bagażnikiem. Dłonie, które znaleźli, jeszcze świeże i ze śladami morfiny, należały do Apolline. Od chwili, gdy Delpierre nagrał w piwnicy scenę okaleczania dziewczyny, do kradzieży jego forda upłynęło może kilka godzin. W tym czasie sprawca odciął obie dłonie i zdjął skórę z twarzy oraz wydlubał niebieskie oczy kolejnej ofierze, którą następnie umieścił w bagażniku obok uszkodzonych dłoni Apolline. Vic nie rozumiał jednej rzeczy: gdzie Delpierre przetrzymywał ofiarę z bagażnika? Nie widział jej na DVD. W jakimś pomieszczeniu na farmie, którego nie znaleźli? A może wiele kilometrów stamtąd?

Policjant w dalszym ciągu miał zamknięte oczy i zatyczki w uszach. Odcięty od świata, rozmyślał o Apolline i o „obiekcie”. Na podstawie tego, co widział na miejscu, i filmów na DVD wnioskował, że dziewczyna nie została wykorzystana do straszliwej mozaiki ze skór. Czy Delpierre mimo to ją zabił? Czy gdzieś ją ukrył? Czy to możliwe, by jeszcze żyła?

Następnie spróbował odtworzyć działania Delpierre’a w wieczór, gdy skradziono mu samochód. Mężczyzna jest w swojej piwnicy, pozbawia kolejną

ofiarę oczu, twarzy i dłoni, po czym pakuje ją i wkłada do bagażnika. Następnie rusza autostradą w kierunku Grenoble z zamiarem pozbycia się ciała i dłoni, ale zatrzymuje się na stacji benzynowej, by zatankować.

Vic zerwał się na równe nogi, uderzając głową w belkę łóżka. Zgiął się wpół, zaciskając szczęki, ale myśl, na którą wpadł, była bardziej dojmująca niż ból. Skoro Delpierre był tak świetnie zorganizowany, skoro przed każdym wyjazdem zmieniał tablice, nie przekraczał dozwolonej prędkości i pakował zwłoki w taki sposób, by nie zostawić żadnych śladów, to jak mógł ryzykować wizytę na stacji benzynowej z takim ładunkiem? Dlaczego nie zatankował wcześniej? Vic przypomniał sobie liczbę na cyfrowym wyświetlaczu dystrybutora: pięćdziesiąt siedem. Sprawdził w internecie: ten model, ford mondeo, ma bak o pojemności sześćdziesięciu litrów. Delpierre o mało się nie rozkraczył na środku drogi.

– Nie przewidział tego! To nie był planowany wyjazd!

Vic chodził wte i wewte wśród kartonów, nie przestając pstrykać palcami. Zachowanie, które Morel uznał za oznakę nadgorliwości albo prowokację, wynikało tak naprawdę z pośpiechu. Delpierre działał tamtej nocy w stanie wyższej konieczności.

Policjant jeszcze raz włączył końcową scenę ostatniego DVD: morderca jest wściekły, bo właśnie odkrył rany na dłoniach Apolline. Przypada do niej, żeby ją zabić, ale rozlega się ów charakterystyczny dźwięk telefonu. I dalej nie ma już nic. Vic niemal usłyszał kliknięcie przekładni uruchamiających się w głowie Skórownika. Nagle wszystko stało się jasne. Delpierre nie działał w pojedynkę.

O d szóstej rano Léane stała naprzeciw domu pod numerem osiem przy rue Pillet w Mâcon. Trzy godziny jazdy, nieprzespana noc, ból w karku i stawach. Przysypiała, ale za każdym razem, gdy opadały jej powieki, pojawiały się obrazy. Grégory Giordano – krzyczący, błagający, z podbitym okiem i zakrwawionym czołem. Wydrapujący w bagażniku słowo ŻYWA. Zdruzgotana twarz Julliana – Julliana, który bawił się latawcami; Julliana, który zakochany, pewnego dnia ot tak zamówił dla niej sto jeden róż. Julliana, który często krytykował przemoc i mroczność w jej powieściach, a potem pobił swojego więźnia i powoli kręcąc korbą – ponieważ tego narzędzia nie dało się obsługiwać szybko – pośród strasznego trzasku kości zmiażdżył mu stopę.

Odgłos kroków na chodniku wyrwał ją z letargu. Najważniejsze to nie zasnąć, pomyślała. Znowu skierowała wzrok na drzwi kamienicy, wypatrując mieszkańców. Był piątek, dwudziestego drugiego grudnia, ostatni dzień przed feriami szkolnymi. Roxanne Braquet ma siedemnaście lat, na pewno chodzi do liceum, zatem w końcu się pojawi.

Léane znowu pomyślała o mężu, o informacjach na temat Sary, które mu przekazała, o tym, jak zostawiła go z jego pytaniami. Niedługo miał wrócić do domu – w tej sytuacji to prawdziwa katastrofa. Będzie się domagał wyjaśnień w sprawie zaginięcia ich córki, Jeansona, zdarzeń z ostatnich czterech lat. Zobaczy walizki w jej pokoju i zrozumie, że już nie są razem. Co ona mu powie?

Wszystko w swoim czasie. Postanowiła o tym nie myśleć i skupiła się na budynku. Wychodziły z niego postaci okutane w zimowe ubrania, w czapkach na głowach, szalikach na twarzach, rękawiczkach. Léane próbowała się skoncentrować na widocznych częściach ich twarzy, na sposobie, w jaki się poruszały. Niewiele wiedziała o Roxanne – miała jedynie zeskanowany artykuł.

W pewnym momencie wydawało jej się, że ją widzi. Wskoczyła z samochodu i złapała za ramię młodego mężczyznę o długich włosach, który z pewnością wziął

ją za wariatkę. Cała w nerwach wróciła za kierownicę: za wszelką cenę musi się uspokoić i – jeśli nie chce przestraszyć dziewczyny – działać delikatniej.

O siódmej dwadzieścia dwie z bramy szybkim krokiem wyszła szczupła postać z torbą na ramieniu. Czarne włosy wysypywały jej się spod niebieskiej czapki i opadały na kołnierz krótkiego płaszcza. Léane nie była w stanie dostrzec jej twarzy, ale nie mogła pozwolić, by dziewczyna jej umknęła. Tym razem przeszła przez ulicę z większą dyskrecją i przyśpieszyła kroku, aż zbliżyła się do celu.

– Roxanne Braquet? – rzuciła.

Młoda kobieta, nie zatrzymując się, odwróciła głowę. Léane poczuła niepokój: Roxanne była dziewczyną wyjątkowej urody, miała niebieskie oczy w kształcie migdałów, o rzadko spotykanym odcieniu niebieskiego, tak jak jej córka. Przez chwilę nawet wyobraziła ją sobie jako blondynkę i zastanawiała się, co skłoniło tak młodą osobę do ufarbowania włosów na czarno.

– Tak?

Pisarka zrównała się z Roxanne. Sama ubrana była neutralnie, na szyi miała szalik, a na głowie czarną czapkę całkowicie zasłaniającą włosy. Wiedziała, że musi jak najmniej rzucać się w oczy i ważyć każde słowo.

– Od kilku dni pracuję dla stowarzyszenia Drogi Nadziei, chyba dobrze je znasz, prawda?

Roxanne zwolniła kroku.

– Tak, a o co chodzi? Jakiś problem?

Dziewczyna była nieufna – normalne, zważywszy na miejsce i porę.

– Nie, nie, żaden problem. Wiem, że jest wcześniej i pojawia się nie wiadomo skąd, ale... chciałabym ci zadać jedno pytanie, to nie potrwa długo. Na początku miesiąca w lokalnej gazecie był taki artykuł. – Léane wyjęła z kieszeni wydruk i pokazała dziewczynie. – Jesteś na zdjęciu i...

– Ale co to ma być, do kurwy nędzy? Niech się pani ode mnie odczepi, okej?

Przyśpieszyła kroku, ale Léane nie odpuszczała.

– Ktoś ci to już pokazywał, tak? Brunet około czterdziestki, metr osiemdziesiąt wzrostu?

– Tak, prawdziwy czubek. O mało się nie pobili z moim ojcem.

Czyli Jullian tu był. Léane czuła, że dziewczyna jest gotowa, by mówić. Bez zastanowienia wyjęła z portfela pięćdziesiąt euro i wetknęła jej do ręki. Mało eleganckie, ale skuteczne.

– Opowiedz mi o tym.

Nastolatka zawahała się przez chwilę, po czym włożyła banknot do kieszeni.

– To nie było w ten weekend, ale w poprzedni. Spędzałam go u ojca. W sobotę rano wracaliśmy z zakupów. Przed domem czekał ten brunet, o którym pani mówi. Gość był zdenerwowany. Kiedy nas zobaczył, chciał ze mną rozmawiać. Mój

ojciec zapytał go, czego chce, a on wyjął ten artykuł, tak jak pani, i zapytał mnie, skąd wzięłam czapkę. Tę czapkę – powiedziała, wskazując palcem na zdjęcie, i przeszła na drugą stronę ulicy.

Léane ruszyła za nią.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Nic. Wtrącił się mój ojciec i kazał mi wejść do domu, więc weszłam. Ale oni zaczęli się kłócić, mówię pani, o mało się nie pobili. Trwało to minutę czy dwie i w końcu facet sobie poszedł.

– I nigdy więcej go nie widziałaś?

– Nie. I nie miałam jak się dowiedzieć, kto to był. Ojciec powiedział mi tylko, że to wariat, i więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Léane zastanawiała się przez chwilę: niemożliwe, żeby Jullian porzucił trop. Nie on. Prędzej czy później musiał wrócić do sprawy.

– Mówiłaś, że spędzałaś tamten weekend u ojca. Twoi rodzice nie są razem?

– Rozwiedli się jakiś czas temu. Ojciec został w Écully, na przedmieściach Lyonu, a matka przeprowadziła się tutaj, do Mâcon. Jestem pod jej opieką. Ojca często nie widuję, bo...

– Bo?

Roxanne zacisnęła usta, a następnie zmieniła temat:

– Może do niego pojedę na Nowy Rok. Ale ostatnio specjalnie się mną nie interesuje. Nie dzwoni ani nic. Pewnie uważa, że wystarczy mi jego czeki.

Dziewczyna schowała nos w szalik. W głowie Léane migotały czerwone lampki.

– Przedmieścia Lyonu, tak? Braquet to nazwisko po ojcu?

Roxanne prychnęła. Stała się nieufna.

– Nie, posługuję się nazwiskiem matki. Ale moje prawdziwe, rodowe nazwisko to Giordano.

Léane nie wierzyła własnym uszom. Włożyła dłonie do kieszeni, żeby się nie trzęsły. Oczami wyobraźni ujrzała, jak Jullian przypuszcza atak – nie na Roxanne, ale na Grégory’ego Giordana. Ostatecznie go porwał, musiało to nastąpić po powrocie dziewczyny do Mâcon. Roxanne nie miała od niego wieści, nie była poinformowana o zaginięciu ojca.

Bez trudu wyobraziła sobie dalszy ciąg: Jullian zamknął Giordana w bagażniku razem z czapką, a potem skuł go w forcie. Możliwe, że pobity i zmalretowany Giordano tkwi w lodowatym pomieszczeniu już od dziesięciu dni, a ona właśnie rozmawia z jego córką! Usiłowała kontrolować swój głos.

– A ta czapka? Skąd ją miałaś?

– Więc pani też... Co jest nie tak z tą czapką? Na pewno nie jest pani ze stowarzyszenia. Kim pani jest?

Léane znowu sięgnęła do portfela. Najlepsza odpowiedź.

– Roxanne, proszę cię. To bardzo ważne.

– Czyli to tak jak w filmach, tak? Daje mi pani kasę, a ja mam mówić?

– Coś w tym stylu.

– Przykro mi, że panią rozczaruję, ale nie mam nic do powiedzenia na temat tej czapki. Mój ojciec ją znalazł, to wszystko. Włożył mi ją na głowę, o tak, na czapkę, którą już miałam. Wyglądałam jak trufla, mieliśmy niezły ubaw. Czapka była fajna, więc ją zabraliśmy. Ojciec lubi, kiedy ją noszę. Swoją drogą, właśnie sobie przypominałam, że ostatnim razem zostawiłam ją u niego.

Léane miała w głowie wiele pytań, ale przeszła do sedna. Wiedziała, że jej czas jest ograniczony: wystarczy, że Roxanne zamknie się w sobie, i koniec.

– Kiedy ją znaleźliście? Gdzie?

– Ostatniej zimy, w lutym, w czasie ferii. Ojciec zabrał mnie na wycieczkę w masyw Vercors. Uwielbia przyrodę.

– Czy ta czapka... mogła leżeć w miejscu, w którym ją znaleźliście, od dawna? Kilka lat? Była brudna, leżała pod liśćmi?

– Nie. Była tylko trochę przyprószone śniegiem. Musiało minąć, nie wiem, maksymalnie dwa albo trzy dni, odkąd ktoś ją zgubił, inaczej byłaby całkowicie zakopana. Zimy są tam ostre i mroźne. Często sypie śnieg.

Jeanson został aresztowany w styczniu dwa tysiące szesnastego. Jeśli rzeczywiście zabił Sarę, to jak to możliwe, że Roxanne znalazła czapkę jej córki prawie rok później w górach? A gdyby czapka leżała tam kilka miesięcy, byłaby uszkodzona, dziurawa, naturalnie zniszczona.

Doszły do przystanku autobusowego. Roxanne spojrzała na Léane z ukosa.

– To czapka osoby, którą pani zna, tak?

– A czy... Czy pamiętasz dokładnie, w którym miejscu ją znaleźliście?

– A jak mam pamiętać? Ojciec często wynajmuje mieszkanie w apartamentowcu w Saint-Agnan-en-Vercors, w departamencie Drôme, niedaleko tras narciarskich. Znaleźliśmy ją przy jakiejś ścieżce, nie wiem, w okolicach Chapelle-en-Vercors czy innej z tych wioch. Przykro mi, dokładniej nie potrafię.

Podjechał szkolny autobus. Drzwi się otworzyły.

– Muszę jechać.

– Chciałabym się jeszcze z tobą skontaktować i porozmawiać dłużej. Możesz mi podać numer?

– Przykro mi. Rozumie pani, nie powinno się ufać nieznajomym, bla, bla, bla. Nie powinnam nawet z panią rozmawiać.

– Jeszcze jedno pytanie. Masz czarne włosy: dlaczego je farbujesz?

Roxanne spojrzała na nią i zmrużyła oczy, a jej twarz nagle przybrała mroczny wyraz. Bardzo szybko odwróciła się do niej plecami. W chwili gdy wsiadała do autobusu, Léane zawołała ją ostatni raz i zrobiła jej zdjęcie komórką.

– Hej! Niech pani tego nie robi!

Dziewczyna spiorunowała ją wzrokiem i prawie wysiadła, ale ponieważ kierowca się niecierpliwił, zniknęła w głębi autobusu. Pisarka z goryczą patrzyła na oddalający się pojazd. Chciałaby otrzymać więcej odpowiedzi. Trop nie mógł się urwać w tym miejscu. Możliwe, że Sarah została wywieziona w góry, gdy Jeanson był już w więzieniu. Być może zgodnie z przypuszczeniami Colina seryjny morderca nie miał z jej zaginięciem nic wspólnego. A jeśli Sarah żyje? Może Jullian, prowadząc walkę przez wszystkie te lata, miał rację?

Spojrzała na zdjęcie, które zrobiła przed chwilą. Jeśli Roxanne mówi prawdę, Grégory Giordano znalazł czapkę przez przypadek, podczas wycieczki w masywie Vercors. Może wyznał to na torturach, ale Jullian nie był w stanie tego przyjąć. A fakt, że policjant był z Lyonu i pracował w komendzie, która prowadziła

śledztwo w sprawie Jeanson, musiał jeszcze wzmocnić wewnętrzne przekonanie jej męża.

A jednak... W głębi serca Léane wciąż czaiła się wątpliwość, która nie pozwalała jej całkowicie uwierzyć w niewinność Giordana. Cała ta historia z pieczę, z rozwodem, milczenie Roxanne, kiedy zagadnęła ją na ten temat... To normalne, Léane była osobą znikąd, ale mimo wszystko.

Sprawdziła godzinę i wystukała coś na klawiaturze smartfona. Znalezienie adresu policjanta zajęło jej mniej niż pięć minut: mieszkał około godziny drogi od Mâcon. Ruszyła i skierowała się na południe. W końcu musi przekonać samą siebie, że więzi niewinnego człowieka. W głębi duszy miała jednak świadomość, że ta podróż to tylko ucieczka przed powrotem do Berck i zmierzeniem się z tym, co tam na nią czeka.

Grégory Giordano mieszkał w pięknym wolnostojącym domku, zadaszonym strzechą w kształcie grzyba, o dużych owalnych oknach i w dużym ogrodzie. Léane zaparkowała w pewnej odległości i ze spuszczoną głową, niczym cień, pieszo pokonała drogę do budynku. Lyon wraz z przedmieściami tonął pod śniegiem. Na ulicy słychać było nieprzyjemne, wysokie dźwięki ciężarówki posypującej jezdnię grubą solą. Miejsce wydawało się spokojne i mało uczęszczane. Było jeszcze ciemnawo. Léane wiedziała, że to nie będzie słoneczny dzień.

Żwawym krokiem skręciła w alejkę. Na śniegu widać było tylko ślady porannego kota. Pokonała cztery schodki i stanęła przed drzwiami. Dla spokoju sumienia zapukała i rozejrzała się dookoła. W końcu Giordano mógł żyć w związku.

Żadnej odpowiedzi. Nacisnęła na klamkę dłonią w rękawiczce. Zamknięte. Zeszła po stopniach i okrążyła dom. Śnieg tak skrzypiał pod jej stopami, że obawiała się, iż postawi na nogi całą dzielnicę. Żadna szyba nie była wybita, weranda z tyłu budynku zamknięta, bez śladów włamania. Czyżby więc Jullian porwał Giordana z innego miejsca? Gdy jednak doszła do garażu, otrzymała odpowiedź: klamka obracała się bez oporu, jakby ją wyłamano.

Weszła do środka, zamknęła za sobą i na betonowej wylewce otupała buty ze śniegu. W garażu stał samochód. Na wszelki wypadek zajrzała do bagażnika. Nic. Znalazła drzwi, które wychodziły na tylną część ogrodu, i drugie, prowadzące do hallu. Ileż to razy opisywała podobną scenę w swoich książkach? Bohaterka na bakier z prawem, w ciemnościach przemierzająca obcy dom. Na samą myśl o tym zadrżała i zadała sobie pytanie, czego właściwie szuka. Śladów Sary? Dowodów winy Giordana? Baneru z napisem „To on” / „To nie on”?

W salonie zauważyła albumy ze zdjęciami leżące w nieładzie na blacie komody, rozrzucone papiery, meble z pootwieranymi szufladami i drzwiczkami.

Oczywiście, Jullian tu był. I węszył. Ponieważ żaluzje były zamknięte, włączyła halogenową latarkę, regulując intensywność światła do minimum. Albumy były pootwierane na rodzinnych zdjęciach. Grégory Giordano w towarzystwie żony, wysokiej blondyny, a pomiędzy nimi córka, również o jasnych, słomianych włosach. Léane poruszyła surowość emanująca ze zdjęcia: nikt się nie uśmiechał. Twarze były zacięte, prawie agresywne, spojrzenia uciekające. Przekartkowała albumy, cofając się w czasie. Patrząc na miny całej trójki na coraz rzadszych wspólnych zdjęciach, zrozumiała, że szczęśliwa rodzina wkrótce miała się rozpaść. Roxanne wspominała o rozwodzie.

Kontynuując przeszukiwanie, na podłodze, obok zgrzewki papierosów i srebrnej zapalniczki Zippo, znalazła rozsypane wizytówki. Kolejne spore zaskoczenie: Grégory Giordano nie pracował już w policji, ale u jednego z dilerów samochodowych w Lyonie. Dlaczego zmienił pracę? Kiedy? Artykuły, które znalazła na jego temat w internecie, wskazywały, że musiało to być po roku dwa tysiące dziesiątym.

A jeśli to wszystko się ze sobą wiązało? Rozwód, zmiana zatrudnienia, Sarah? A może przeciwnie, te sprawy nie miały ze sobą żadnego związku? Léane wiedziała, że jeśli człowiek szuka punktów wspólnych, to w końcu zawsze jakieś znajdzie, choćby najbardziej absurdalne. Czyż najlepszym dowodem na to nie była ta historia z plagiatem, o której mówiła jej Pam?

Rundka po kuchni, potem po piętrze. Sypialnia Giordana. Niezaścielone łóżko, skotłowana kołdra. Podeszła bliżej. Na poszewce poduszki zauważyła smugę krwi. Wyobraziła sobie Julliana, jak wpada do pomieszczenia i uderza śpiącego mężczyznę w głowę. Tutaj również szafy były pootwierane. Wszystko bez wyjątku zostało wywrócone do góry nogami. Pogrzebała wśród ubrań, ale nie znalazła nic wyjątkowego.

Wyszła z pokoju i ruszyła do gabinetu. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby przeszło przez nie tornado. Po parkiecie wały się książki wyrzucone z biblioteczki i luźne kartki. Léane przywarła do ściany i złapała się za czoło. Docierało do niej, że z każdą upływającą minutą, z każdym nowym ruchem coraz bardziej staje się współniczką męża. Ona także włamała się do domu byłego gliny, grzebie w jego rzeczach. I wreszcie – ona również go więzi.

Jej wzrok padł na okładkę jednej z książek. Schyliła się. Ależ to *Człowiek z cmentarza*, jedna z jej powieści! Przyklękła i zaczęła przeglądać pozostałe pozycje. Otaczały ją kryminały, część z nich jej autorstwa. Nie były to jednak egzemplarze skradzione z jej domu, w jej książkach na pierwszej stronie każdego tomu widniał stempel: EGZEMPLARZ RECENZENCKI.

Wstała, oparła się o biurko. Obecność książek niczego nie oznaczała, Grégory Giordano był po prostu miłośnikiem kryminałów i czytelnikiem Enaëla Miraure'a,

takim samym jak tysiące innych. Odetchnęła i próbując się skupić, spojrzała na papiery rozrzucone po podłodze. Faktury, kserówki, brudnopisy. Zauważyła kable, ale nie dostrzegła komputera. Czyżby Jullian zabrał laptop do domu, żeby go sprawdzić? Nie było to niemożliwe. A potem na pewno się go pozbył.

Nagle zadzwonił jej telefon i o mało nie dostała zawału. To Colin. Nie odebrała. Odsłuchiwała wiadomość, którą zostawił jej na poczcie głosowej. „Léane? Odbierz, proszę. Chodzi o krew z bagażnika. Czekam na telefon od ciebie”.

Podeszła do okna, dyskretnie zerknęła na ulicę: wciąż była pusta. Od razu oddzwoniła do Colina.

– Odsłuchiwałam twoją wiadomość.

– Gdzie jesteś? Jest prawie dziesiąta, właśnie u ciebie byłem, znowu odbiłem się od drzwi. W szpitalu to samo: nikogo. Od dwóch dni bawisz się w ducha, nie pytasz mnie nawet o postępy w śledztwie. Już cię nie interesują? Co się dzieje?

– Miałam... pewien problem w Paryżu, musiałam pilnie wrócić, nie zdążyłam nikogo powiadomić, przykro mi. Jestem oskarżona o plagiat w związku z moją ostatnią książką.

– Plagiat? Jaki plagiat?

– Pewien nieznany autor chce po prostu na mnie zarobić. Czasem tak bywa. Wracam pojutrze. – Złapała się za czoło. – Oczywiście, że śledztwo mnie interesuje, o niczym innym nie myślę. Mówiłeś o krwi w bagażniku. Czy to... Czy to krew Sary?

– Nie. Grupa się zgadza, ale profil DNA jest inny.

Cisza. Léane już wiedziała, ale odparła:

– Nie wiem, czy powinnam poczuć ulgę czy nie. A czy może przez przypadek wiemy, czyja to krew?

– Żaden przypadek, Léane. Wiemy, czyja to krew, znamy jej właściciela. Trzymasz się mocno? Mam nadzieję, że przynajmniej nie prowadzisz?

Léane zamarła. Oczywiście. Grégory Giordano pracował w policji, jego profil genetyczny musiał być gdzieś w bazie. Policjanci podobnie jak przestępcy zostawiają czasem swoje DNA na miejscu zbrodni, technicy mogą je omyłkowo zabezpieczyć w charakterze śladu. Taka baza pomaga uniknąć fałszywych tropów i niepotrzebnych poszukiwań.

Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: ona i Jullian są zgubieni. Colin przyjedzie tu, stwierdzi zaginięcie oraz fakt, że dom został przeszukany, i nie będzie miał już żadnych wątpliwości co do ich winy. Odetchnęła głęboko, żeby nie drżał jej głos.

– Kto to jest?

– Jullian, twój mąż.

Léane, zszokowana, znieruchomiała na środku pokoju.
– Jullian? To niemożliwe.

– A jednak. To jego krew i jego DNA, Léane, jesteśmy tego na sto procent pewni. Porównaliśmy próbkę z krwią pobraną w szpitalu, jest identyczna. Choć może się to wydać niezrozumiałe, Jullian został zamknięty w bagażniku własnego samochodu. To on wydrapał krwawy napis: ŻYWA, i prawdopodobnie również on ukrył czapkę w przegrodzie na koło zapasowe, sądząc, że należy do twojej córki.

Léane usiadła na podłodze i podkurczyła nogi.

– Léane? Jesteś tam?

– Tak, tak... Próbuję to zrozumieć. Jullian był zamknięty w bagażniku swojej terenówki. A potem znaleziono go rannego po napadzie na nabrzeżu.

– Możliwe, że to wcale nie tam został napadnięty. Mam na ten temat pewną hipotezę, dość dziwną, ale być może trafną, choć wszystkiego nie wyjaśnia. Kiedyś powiedziałaś mi, że Jullian nie znosi aplikacji zdrowotnych, że nigdy ich nie używa, pamiętasz?

Léane mruknęła na potwierdzenie.

– Wyobraź to sobie. Ktoś go zamknął w bagażniku. Jullian ma przy sobie czapkę, którą wziął nie wiadomo skąd i którą bierze za czapkę Sary, i jest przekonany, że wasza córka żyje. Ukrywa ją w przegrodzie na koło zapasowe, żebyśmy ją później znaleźli, i tak jak potrafi, wyskrobuje dla nas wiadomość, słowo: ŻYWA. Może myśli, że zginie, że go załatwią. Może robi to w drodze, może samochód jedzie z innego miasta: tego, z którego Jullian zabrał czapkę? W każdym razie auto zatrzymuje się na skraju nabrzeża, niedaleko latarni, w ustronnym miejscu, jakich tutaj wiele. Napastnik otwiera bagażnik, ogłusza twojego męża, zabiera jego telefon i idzie kawałek przed siebie...

– ...żeby sprawić wrażenie, że to Jullian przeszedł tę trasę.

– Właśnie. Następnie wraca do bagażnika, przenosi Julliana w miejsce, w którym został znaleziony, i odprowadza terenówkę przed dom, a nie do garażu, jak zwykł to robić twój mąż. A potem znika.

Nagle Léane zobaczyła mroczki przed oczami i poczuła, że słabnie, jakby uszła z niej krew.

– Dlaczego sprawca miałby zrobić coś takiego?

– Żebyśmy nic z tego nie rozumieli, żeby nas zmylić, skierować na fałszywe tropy. Myślę, że to zdolny manipulator. Ktoś, kto jest wam bliższy, niż sądzicie; osoba, która krąży wokół was.

– Ale kto, do cholery?

– Odkryję to. Mam jeszcze jedną niewiarygodną wiadomość, słuchaj uważnie. Pojechałem do agencji ochrony, żeby spotkać się z gościem, który przyjechał wyłączyć alarm, kiedy wróciłaś do domu. Pamiętasz? Jullian zadzwonił do nich poprzedniej nocy około pierwszej i powiedział, że jest pijany i zapomniał kodów.

– Tak.

– Pokazałem facetowi zdjęcie Julliana. Niestety nie był w stanie potwierdzić, że tamtej nocy widział twój mąż, nie pamiętał.

– Czyli... Sądzisz, że to sprawca otworzył dom? To by wyjaśniało, dlaczego nie znał kodów.

– Jestem tego pewien. Ochroniarz powiedział, że mężczyzna miał klucz od drzwi wejściowych i że był wstawiony. Nie było włamania, więc pomyślał, że ma do czynienia z właścicielem, to zrozumiałe. Wyłączył alarm, a potem dał mu do podpisania protokół z interwencji, który mam przed sobą. To nie jest podpis Julliana. Facet się pod niego podszył.

Léane była kompletnie zdezorientowana. Kim był nieznajomy, który wtargnął do ich domu i napadł na jej męża? Czy to ten sam człowiek, który dwa miesiące temu włamał się do Natchniena i ukradł jej książki? Czy to on usunął wszystkie dokumenty, materiały na temat Sary? Pomyślała też o wyczyszczonym z zawartości komputerze Julliana. Usunięcie odkryć jej męża było w czyimś interesie. I tym kimś nie mógł być Grégory Giordano, który zgodnie z logiką został zamknięty w forcie przed napaścią na Julliana.

– Co zamierzasz?

– Poproszę o nakaz dokładniejszego przeszukania całego wnętrza samochodu i willi. Jeśli siedział za kierownicą i prowadził, a potem chodził po domu, to mógł zostawić odciski palców na meblach czy w aucie. Krótko mówiąc, może znajdzie się jakiś szczegół, który pozwoli nam zidentyfikować sprawcę. Myślę, że wpadniemy tam po południu. O szesnastej, pasuje ci?

Léane zerknęła na zegarek.

– Lepiej o osiemnastej, jeśli to możliwe. Żebym zdążyła załatwić sprawy w Paryżu.

– Okej. Ale gdybyś przyjechała wcześniej, staraj się nie zostawić wszędzie odcisków palców, szczególnie na klamkach. Wiem, że już sporo ich zostawiłaś od powrotu, ale chciałbym mieć szansę znalezienia obcych śladów.

Nagle od strony ulicy usłyszała trzaśnięcie samochodowych drzwi. Rzuciła się do okna. Z samochodu w barwach państwowych wysiedli kobieta i mężczyzna. Ona zapinała guziki, on obciągał kurtkę. Léane zobaczyła lśniący pistolet. Policja.

— Tylko sprzątał?

Był piątek wieczór. Za namową Vica obaj koledzy wrócili do sekretnego pomieszczenia w piwnicy Félix Delpierre'a. V&V znowu musieli stawić czoło szosom, zimnu, zakrętom, i choć większość dróg została odśnieżona, jazda, zwłaszcza w górach, wciąż była uciążliwa i niebezpieczna. Morel, zajęty sekcjami zwłok, nie brał udziału w briefingu, podczas którego Vic przedstawił grupie swoje wnioski po obejrzeniu płyt DVD. Wgryzał się teraz w drugą tego dnia kanapkę z tuńczykiem i majonezem, grzbietem dłoni strzepując okruszki z kołnierza kurtki. Vic zajrzał pod czerwoną tkaninę.

– Tak, tak myślę. Félix Delpierre pozbywał się zwłok, nie torturował ofiar. Na niektórych ciałach jest sporo oparzeń po papierosach, zwłaszcza w miejscach intymnych i na piersiach. Ehre ci mówiła, że Delpierre nie palił?

– Tak. Płuca i zęby czyste, brak śladów nikotyny na palcach. Oczywiście musi to potwierdzić badanie toksykologiczne. Ale może palił sporadycznie? Albo kupował papierosy tylko do tortur?

Morel spojrział niewyraźnym wzrokiem w kierunku miejsca, w którym poprzedniego dnia znaleźli ramę z ciałem rozpiętym w pozycji człowieka witrwiańskiego. Sekcje zwłok, zwłaszcza „obiekta” – jeśli w tym wypadku w ogóle można mówić o sekcji zwłok – były drogą przez mękę. Ehre z dwójką asystentów pieczołowicie rozbierali dzieło Delpierre'a, oddzielając każdy kawałek skóry zdjętej z metalowego szkieletu, po czym próbki pojechały na badania toksykologiczne i biologiczne. Makabryczne puzzle.

Policjant zebrał się w sobie, odgryzł solidny kawałek kanapki. Zgodnie ze swoim zwyczajem Vic nie powiedział mu, dlaczego wracają na farmę, i wciąż trzymał to w tajemnicy.

– Nie mów mi, że przyjechaliśmy do tej nory po ósmej wieczór, żeby szukać papierosów. Już sprawdzaliśmy, nie znajdziemy ich. Ani okruszka popiołu.

– Przecież ci mówiłem, że to nie Delpierre przypalał te dziewczyny. Chodzi o telefon komórkowy. Szukamy komórki.

Vadim się odwrócił.

– Komórki? Przecież już ją mamy. Leżała na środku stołu, kiedy tu przyjechaliśmy.

– Szukamy drugiej, nieprzypisanej. Musiał jej używać do innych celów. Dowód jest na ostatnim nagraniu. Kiedy się przygotowywał do zabicia Apolline, rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa, i nie było to kumkanie żaby jak w telefonie znalezionym w salonie. Od tamtej wiadomości wszystko się zaczęło. Musimy się dowiedzieć, o co chodziło.

– Delpierre czekał na nas ze spokojem. Zrobił porządki. Gdyby miał jakiś drugi, tajny telefon, pozbyłby się go. Albo zostawił na stole w salonie obok tego pierwszego, z wiadomością dla nas, tak jak było w przypadku DVD, czymś w stylu „bawcie się dobrze, chłopaki”.

Po dziesięciu minutach poszukiwań Vic zatarł dłonie.

– Sprawdźmy kosze na śmieci.

Bardzo romantyczne. Godzina drogi, żeby grzebać w śmieciach. Wrócili do kuchni.

– Czyli twoim zdaniem było ich dwóch?

– Tak. Delpierre nie torturował ofiar osobiście. Po pierwsze, żeby zdjąć skórę i stworzyć swój „obiekt”, wybierał części ciała pozbawione jakichkolwiek ran czy oparzeń. Na niektórych filmach widać, że te ślady mu przeszkadzają. Po drugie, zauważyłem to, obserwując jego zachowanie wobec Apolline: raczej o nią dbał, chciał ją uszkodzić najmniej, jak to możliwe. Jasne, była dla niego obiektem seksualnym, podniecała go, ale torturowanie jej nie sprawiało mu przyjemności. To go nie jarało.

– Jarał się tylko gwałceniem trupów i obdzieraniem ich ze skóry? A, to spoko.

– Morel westchnął, przeciągając dłońmi po twarzy. – Przepraszam, wczoraj żona pytała mnie, nad czym pracuję. Wracam późno, wykończony, zarywam Boże Narodzenie. Znowu musiałem kłamać, bo to, co tu przeżywamy, nie nadaje się do opowiedzenia. Szlag, moja córka jest w wieku tych ofiar. Podczas sekcji nie było ani jednej pieprzonej sekundy, żebym nie wyobrażał sobie Hélène na ich miejscu.

Machinalnie wepchnął resztę kanapki do torebki i położył ją na stole, po czym chwycił worek ze śmieciami i wyszedł z nim na podwórko, by wysypać zawartość. Vic zajął się dużym plastikowym koszem. Zapalił światło na ganku.

– Przykro mi. Co chwilę zapominam, że niedługo święta.

– W porządku. Wróćmy do tematu.

– Okej. W ostatni poniedziałek facet dostał esemesa chwilę po tym, jak odciął dłonie Apolline z zamiarem dokończenia swojego dzieła. To była pilna

wiadomość, ponieważ Delpierre, taki zorganizowany, zapomniał zatankować samochód. Poproszono go, żeby gdzieś przyjechał, sądzą, że miał odebrać jakieś zwłoki i posprzątać miejsce zbrodni: chodziło o dziewczynę z odciętą twarzą. Pamiętasz? W bagażniku były wilgotne, zakrwawione szmaty, butelki z wybielaczem, wiadra, a nawet wapno palone.

Morel skinął głową, nie przestając grzebać w odpadkach.

– Zmienił tablice, zapakował ciało i posprzątał, ale zamiast od razu pozbyć się ofiary, szybko wrócił do siebie, żeby wyłupić jej oczy i odciąć twarz i dłonie. Oczy Apolline mu się nie podobały, pewnie przeszkadzała mu jej ślepotą. Jej dłonie były ponacinane napisami w brajlu, musiał znaleźć inne. Tym razem nie miał czasu nagrać filmu zgodnie ze zwyczajem. Działał w pośpiechu. Odciął nowej ofierze dłonie i twarz, wydłubał oczy. Po czym spakował okaleczone zwłoki oraz nienadające się do użytku dłonie Apolline i ruszył autostradą, by wszystko razem pogrzebać. Ciąg dalszy z wizytą na stacji benzynowej znamy.

Morrel wstał.

– Nic nie znalazłem.

– Pozostaje pytanie, co zrobił z Apolline.

– Vic, ona nie żyje. Kurwa, odciął jej obie dłonie. Co ty sobie wyobrażasz?

– Skoro ją zabił, to dlaczego tamtego wieczoru nie było jej w bagażniku? Dlaczego nie znaleźliśmy jej zwłok na terenie gospodarstwa?

– Zabił ją później i pochował daleko stąd.

– Po co miałyby to robić, jeśli wiedział, że i tak da się złapać? Dlaczego przybił do szopy nie Apolline, ale świnię w jej sukience? Ona gdzieś jest, żywa. Jestem tego pewien.

Vic również nie znalazł w worku na śmieci nic poza paczką kopert, zeszytem eleganckiego papieru listowego i flakonikiem perfum. Wziął go do ręki i psiknął. Kobięcy zapach, drzewne nuty. Obejrzał papier listowy, żeby sprawdzić, czy nie ma tam żadnych notatek. Kilka kartek zostało wyrwanych. W rogu na okładce ktoś zapisał niebieskim tuszem cyfry 27654. Vic zmarszczył brwi: gdzieś już widział ten numer.

Vadim westchnął.

– Jednego nie rozumiem. Po co zawracał sobie głowę pozbywaniem się ciała gdzie indziej, całym transportem i resztą, skoro w piwnicy miał takie potworności? Dlaczego nie grzebał ich w ogrodzie?

Vic przetrząsał szufladki w swojej pamięci. Gdzie on spotkał ten cholerny numer? Kiedy? Zapytał Vadima, ale cyfry nic mu nie mówiły. Oderwał kawałek papieru i zawiązał worek ze śmieciami, poruszony, na próżno usiłując sobie przypomnieć. W końcu wrócił do rozmowy:

– Zwłoki to kłopot dla wszystkich przestępców. Wiesz przecież, że ogród to pierwsze miejsce, które się przeszukuje. Poza tym mogłyby zwabić dzikie zwierzęta, zwłaszcza tutaj. Nie mówiąc już o ludziach, którzy musieli tu przyjeżdżać do jego matki: lekarzu, pielęgniarkach. Delpierre zna się na śmierci, kroi zwłoki, potrafi pozbyć się trupa bez śladu. Ta, że tak powiem, umiejętność wyznacza jego rolę w tej historii. Nie ma ciała, nie ma zbrodni.

– Tak, ale chyba zapomniałeś o „obiekcie”?

– Nie zapomniałem. Delpierre miał się pozbyć całych zwłok, ale jego popęd był silniejszy. To nekrofil, Vadim, chory człowiek. Myślisz, że więzienie potrafi ugasić takie skłonności? Przed pogrzebaniem zwłok Bóg wie gdzie używa sobie z nimi i z każdych odcina kawałek skóry. Oczywiście, to jego mały tajemniczy ogród, jego niedoskonałość. A jego współnik, którym być może jest gość o ksywce Doktor Watson, o niej nie wie.

Morel milczał przez chwilę, by wreszcie skinąć głową.

– Tak, to się trzyma kupy. Ale co w tym wszystkim robi niewidoma dziewczyna?

Vic wzruszył ramionami i również wstał.

– Nie mam pojęcia. Może fakt, że w trakcie prac w ośrodku Senones codziennie ją widywał, podniecał go bardziej niż jego trupy i nagrywanie filmów na DVD. Niewidoma, bezbronna, słaba... I żywa. Powoli przenika do jej codzienności, kradnie jej rzeczy, fantazjuje na jej temat. Pewnego dnia przekracza granicę i porywa ją z Saint-Gervais. Chce ją mieć dla siebie. Nie zamierza być tylko gościem od sprzątanego, który ściera gównem po innych. On też pragnie władzy, chce pokazać, do czego jest zdolny.

Vic położył zawiązany worek ze śmieciami pod murem i wrócił do domu. Morel ruszył za nim.

– Czyli byłoby ich dwóch. Delpierre i pieprzony Doktor Watson, który torturuje dziewczyny.

Vic już nie słuchał. Stał nieruchomo pośrodku salonu, wpatrując się w wiszącą na ścianie kolekcję pistoletów. Morel na próżno pytał, co się dzieje: jego partner był już gdzie indziej. Vadim próbował podążyć jego śladem, zrozumieć, co Vic widzi w tej broni, co mu ona przywodzi na myśl. Szaleństwo, obsesję Delpierre'a? Jego zamiłowanie do krwi? A może jego kolega właśnie rozszyfrowuje partyturę czytelną tylko dla jego dziwnego umysłu? Kiedy tamten jak w transie wskoczył do samochodu, Morel po prostu zrobił to samo. Ruszyli w drogę, z pewnością ku nowemu odkryciu, którego tajemnica tkwiła w hiperwydajnym mózgu jego partnera.

Vic z zaciśniętymi ustami zajechał pod komendę policji. Przez całą drogę z rozkręconych do maksimum głośników leciały zapętlone *Cztery pory roku* Vivaldiego. Szybko zaparkował, zostawił otwarte drzwi i poprosił kolegę, żeby zaczekał w samochodzie. Po pięciu minutach wyszedł z budynku, niosąc pod kurtką jakiś przedmiot, którego Morel nie potrafił zidentyfikować.

– Możesz już skończyć z tymi durnymi zagadkami i wyjaśnić mi, co robisz?

– Cierpliwości. Jedziemy do prosektorium. Ehre tam na nas czeka, kończy pisać raport.

– Wiesz, że praca z tobą jest wkurzająca?

– Dzięki.

– Daj mi przynajmniej jakąś wskazówkę.

– Zobaczyłem kolekcję pistoletów Delpierre’a i pomyślałem o broni na fotelu pasażera w aucie, które prowadził Quentin Rose. A potem, drogą skojarzeń, o telefonie, który też tam znaleźliśmy.

– Okej. No i?

– Jak to? Nie rozumiesz? Delpierre wysłał tego esemesa do nas!

– Myślałem, że zrobił to Doktor Watson.

– To on jest Doktorem Watsonem.

– A ja jestem papieżem. Kurwa, Vic, nic z tego nie kumam.

– Cierpliwości.

Morel zamilkł. Zapatrzył się na przesuwające się za szybami latarnie, pomarańczową poświatę na zaśnieżonym chodniku, porozwieszane na wysokości dekoracje. Na żółte gwiazdy i migocące choinki, które przypomniały o tym, że prawdopodobnie czekają go najgorsze święta w życiu. Rozmyślał nad wnioskami z ostatniej wizyty na farmie. Możliwe, że Félix Delpierre był tylko najemnikiem, którego rola polegała jedynie na pozbywaniu się zwłok. Jego fantazje jednak zwyciężyły i skłoniły go do straszliwych czynów, jakich dopuszczał się na

zmarłych, oraz do porwania Apolline. Ale jeśli on tylko sprzątał, to kto zabijał? Kto okaleczał, mordował i dostarczał mu te biedne dziewczyny? Dlaczego spanikował tamtego wieczoru, gdy przez nieostrożność pozwolił na kradzież swojego samochodu?

Dojechali na parking przed Instytutem Medycyny Sądowej. Kiedy wysiadali, uderzył w nich lodowaty wiatr. Ehre wyszła po nich do drzwi.

– Nie możemy się rozstać, co? Najwyższy czas, jeszcze pięć minut, a wyjechałabym na wakacje pod palmami i wróciła po Nowym Roku.

– Ja oficjalnie mam wolne dziś od wieczora. Vadim również.

Vadim wzruszył ramionami.

– Tak, wszyscy jesteśmy na wakacjach. Z tym że my jutro nie będziemy siedzieć pod palmami. A kokosy będziemy mieć głęboko... sama wiesz gdzie.

Patolożka wybuchnęła śmiechem. Na prośbę Vica zeszli do kostnicy. W ciszy rozległo się trzaskanie uruchamiającej się jarzeniówki i rzędy stalowych szuflad zalśniły w mlecznobiałym, rażącym oczy blasku.

– Chcę zobaczyć Delpierre'a.

Lekarka skinęła głową i ruszyła ku jednej z szuflad. Szybkim ruchem pociągnęła za uchwyt i z przegrody niczym diabelski język wypadły nosze na kółkach. Zobaczyli czarny worek. Vadim drapał się po głowie, usiłując rozwiązać zagadkę. Vic rozsunął zamek błyskawiczny i odsłonił częściowo pozbawioną skóry twarz oprawcy.

– Witaj, Doktorze Watsonie.

Wyjął z kieszeni zapakowany w zabezpieczoną torebkę telefon z roztrzaskanym wyświetlaczem. Na potrzeby śledztwa bateria i karta SIM zostały z niego wyjęte. Morel zmarszczył brwi.

– Po co ci telefon Rose'a? Cholera, Vic, to jest dowód, nie wolno ci...

– Został znaleziony w fordzie pod siedzeniem pasażera, razem z pieniędzmi i beretką. Ale kto powiedział, że telefon należał do chłopaka?

Oczy Morela zalśniły.

– O kurwa! Czyli to...

– Pomyliliśmy się. Tamtego wieczoru Félix Delpierre się śpieszył. Możliwe, że wysyłał i odbierał wiadomości jednocześnie, trzymał ten drugi telefon pod ręką. Nic dziwnego, że kiedy wyszedł zatankować, zostawił go na fotelu obok.

– A my po wypadku zabraliśmy go razem z forszą i spluwą, sądząc, że należał do Rose'a, i już się nim nie zajmowaliśmy.

– Kiedy Delpierre wysłał tamtego esemesa ze swojego oficjalnego telefonu, wiedział, że mamy ten drugi, ponieważ mieliśmy jego samochód. Wysłał tę wiadomość bezpośrednio do nas, był świadom, że w końcu go znajdziemy.

Na oczach zszokowanego Morela Vic rozerwał opakowanie od dołu.

– Torebek na dowody mamy pod dostatkiem. Nie martw się, nie tknę karty SIM.

Ze względów proceduralnych nie wolno było przenosić dowodów i niszczyć danych, stąd zakaz uruchamiania karty SIM poza laboratorium kryminalistycznym. Vic włożył do telefonu samą baterię i uruchomił go. Urządzenie było zablokowane.

– Nowoczesny model. Identyfikacja za pomocą linii papilarnych.

Następnie sięgnął po dłoń trupa, pociągnął do siebie, by odsunąć ją od tułowia, złapał za palec wskazujący i nacisnął na ekran. Telefon został odblokowany i na rozbitym ekranie wyświetliły się nieczytelne dane. Vic z zadowoleniem spojrzał na kolegę.

– Doktor Watson otworzył przed nami drzwi do swojego domu. Tutaj jest wiadomość, którą dostał w chwili, gdy zamierzał zabić Apolline, i od której wszystko się zaczęło. Tak że ten.

Jeśli natychmiast nie opuści domu Giordana, będzie zgubiona.

Policjanci szli alejką. Zaraz zauważą ślady, obejdą budynek i wejdą do środka tak samo jak ona.

Léane nie zastanawiała się ani chwili dłużej. Zbiegła po schodach, wpadła do hallu, a stamtąd do garażu. Bezszelestnie otworzyła tylne drzwi i nie oglądając się za siebie, wybiegła do ogrodu. W ciężkich od śniegu butach wpadła między cyprysy, wspięła się na płot i przeskoczyła na sąsiednią posesję. Zdyszana, po szaleńczym biegu z przeszkodami w postaci siatki, płotków i barierek, znalazła się na chodniku.

Ruszyła przed siebie drobnymi krokami. Nareszcie mokry asfalt, ulica, samochody. Léane miała wrażenie, że dymi z niej jak ze starego kotła. Rozpięła kurtkę, by odzyskać dech w płucach, i wypuściła w powietrze obłok pary. Po pięciu minutach udało jej się zorientować w terenie i wróciła do samochodu.

Gdy mijała dom Giordana, policjanci wciąż byli na jego posesji. Kobieta rozmawiała przez telefon, jej kolega szedł w stronę garażu. Jeśli do tej pory nie zorientowali się, że Giordano zniknął, to za pięć minut będą już to wiedzieć. Przeszukają dom, znajdą ślady krwi i zaczną śledztwo w sprawie zaginięcia. Modliła się, by na miejscu nie było żadnych śladów czy odcisków palców Julliana. Jeśli ich nie zostawił, jedynym elementem łączącym ich z Giordanem pozostanie czapka. Policjanci na pewno przesłuchają Roxanne, która opowie im o dzisiejszym spotkaniu, ale nikt nie zrozumie tego zdarzenia.

Kiedy po odstaniu mnóstwa czasu w paskudnych korkach, spowodowanych między innymi pogodą, znalazła się na autostradzie, uświadomiła sobie, że ciągle trzęsą jej się dłonie. Od ściskania na kierownicy były kompletnie białe. Uciekła bez zastanowienia, ani przez chwilę nie pomyślała o tym, by oddać się w ręce policji i wyjaśnić sytuację, w którą została wplątana. I właśnie uświadomiła sobie, że przekroczyła granicę. Chroniła swoje małżeństwo.

Zaśnieżony krajobraz powoli ustępował miejsca niekończącym się połaciom zmarzniętej czarnej ziemi. Około południa zadzwonił ojciec Julliana z pytaniem, gdzie się podziała. Jak może nie być przy mężu? Jullian domagał się jej powrotu i ciągle pytał o Sarę. Jacques krzyczał do słuchawki, tak że w końcu się rozłączyła. Czują, że jej ucho płonie.

Około czternastej zatrzymała się w miejscu obsługi podróżnych przy autostradzie, zatankowała, zjadła coś w biegu i ruszyła w dalszą drogę. Gdy wyjechała na A1 – zaczynało się już ściemniać – dodała gazu i na szesnastą czterdzieści pięć dotarła do Natchmienia. Po długiej jeździe szumiało jej w uszach, mięśnie miała zmęczone i stwardniałe od przebywania w pozycji siedzącej. Wyrzuciła skserowane strony swojej książki, a pistolet ukryła w torebce, którą powiesiła wysoko w głębi garderoby. Ledwie skończyła, przyjechał Colin, przed czasem, w towarzystwie trzech techników. Léane machinalnie przyczesła włosy i otworzyła. Colin powitał ją skinieniem głowy.

– Udało ci się rozwiązać problemy z wydawcą?

– Tego się nie da załatwić z dnia na dzień. To przede wszystkim walka na prawników.

Colin wpatrywał się w nią podejrzliwie. Léane wiedziała, że nie wygląda normalnie, stres i strach sączyły się przez wszystkie pory w jej skórze. Mówiła obojętnym tonem i chciała tylko jednego: żeby spadał, by ona mogła wrócić do fortu i przepytać Giordana.

– Możesz zostać na sofie, ale niczego już nie dotykaj, dopóki nie pobierzemy próbek. Technik zdejmie twoje odciski palców.

– Moje?

– Boisz się, że cię zamkniemy?

– Nie, ale...

Colin uśmiechnął się do niej blado.

– Spokojnie, chodzi tylko o to, żeby porównać je z tymi, które pobierzemy z często dotykanych powierzchni, takich jak klamki, kierownica i drzwi terenówki, i wyeliminować je spośród badanych śladów. To samo zrobimy z odciskami Julliana, ale nie będziemy go niepokoić w szpitalu, bo pobraliśmy je już przy okazji włamania.

– Ile wam to zajmie?

– Około dwóch godzin. Okej?

Colin zdjął kurtkę i szalik, odłożył portfel na róg blatu kredensu i wskazał technikom miejsca, którymi mają się zająć. Léane obserwowała, jak pokrywają swoimi proszkami wszystko, łącznie z wyłącznikami światła. Żeby szło szybciej, Colin pracował razem z nimi.

Na prośbę jednego z techników zanurzyła palce w tuszu; mężczyzna przycisnął jej opuszki do kawałka papieru. Dyskretnie zajrzała na tabelę pływów w swoim smartfonie i dokonała szybkich obliczeń. Jeśli dotrze do Ambleteuse około dwudziestej pierwszej, będzie miała na przesłuchanie Giordana około dwóch godzin. Potem nastąpi przyływ. Nie mogła się guzdrać.

Colin zerkał na nią raz po raz, ale trzymał dystans. Podchodził do procedury zdejmowania odcisków bardzo poważnie – włączał się w nią, wydawał polecenia, przechodził z pokoju do pokoju. Skończyli chwilę przed dwudziestą. Policjant włożył kurtkę i zaczął czekać, aż technicy wyjdą. Stał w progu.

– Mamy wszystko, czego potrzeba. Przepraszam za ten proszek. Niestety sprzątanie nie jest wliczone w nasze usługi. Wyślij fakturę do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Léane nie wiedziała, czy Colin żartuje czy nie.

– Okej, poradzę sobie.

– Oczywiście poinformuję cię, jeśli badanie odcisków dostarczy nam informacji na temat tego pasożyta. Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Naprawdę kiepsko wyglądasz.

– To skomplikowane. Z jednej strony ta historia z wydawcą. Z drugiej myśl, że być może ktoś tutaj był. Rozumiesz, przy tym wszystkim, co się ostatnio dzieje, to nie jest łatwe.

– A może chciałabyś, żebym trochę z tobą pobyl? Mam w domu dobre białe wino i – zerknął na zegarek – miałem odebrać w rybnym dwa tuziny ostryg, sklep jest już zamknięty, ale znam właściciela, otworzy mi. Tak to jest, jak się ma znajomości.

Léane szerzej uchyliła drzwi.

– Colin, to miłe, ale innym razem. Jestem wykończona, przekąszę coś na szybko i położę się wcześniej.

Skinął głową, ale Léane zauważyła błysk wściekłości, który na chwilę pojawił się w jego oczach.

– Dobrze, innym razem. Nie zapomnij o alarmie.

Pożegnał ją skinieniem ręki i przez chwilę postął na ganku. Następnie ruszył w stronę szopy na żaglowozy. Léane zbladła: zapomniała o wybitym oknie. Jeśli Colin wejdzie do środka, znajdzie plany narzędzi tortur, ubłocone gumowce i zamrzniętą kałużę. Wybiegła za nim.

– Spokojnie, to ja zrobiłam! Nie wiedziałam, gdzie Jullian schował klucz od kłódki.

– Chciałaś pojeździć żaglowozem?

– Poobserwować foki, żeby się rozluźnić. Byłam tu wczoraj po lornetkę.

Zajrzał przez okno, ale niczego nie zobaczył.

– Rozumiem... Choć tu jest dość wilgotno, kiepskie miejsce na przechowywanie lornetki.

Machnął do niej ręką i ruszył do samochodu. Gdy był już w drodze, uświadomił sobie, że zapomniał portfela, zawrócił więc i po kwadransie od pożegnania znowu zastukał do drzwi. Okazały się jednak zamknięte. Światła były pogaszone, a samochód Léane, który wcześniej stał przed garażem, zniknął.

Dziesięć minut po wyjeździe Colina Léane, ze sportową torbą w ręku, wyszła z domu w takim napięciu, że podczas cofania o mało nie zakopała się w piachu. W Ambleteuse była mniej więcej po godzinie i piętnastu minutach. Czas jazdy się wydłużył, ponieważ tuż za Le Touquet pojawiła się gęsta mgła, która kompletnie przesłoniła krajobraz.

Obliczyła, że morze zacznie podchodzić do murów fortu około dwudziestej drugiej czterdzieści pięć, co oznaczało, że na rozmowę z Giordanem miała trochę ponad godzinę. Za mało. Zostawiła samochód na parkingu dla łodzi i zanurzyła się we mgle. Czuła, jakby jej nogi ważyły tony; jakaś jej część nie chciała tam wchodzić i patrzeć mu w oczy, ale była też druga, która pilnie potrzebowała odpowiedzi.

Masywna sylwetka fortu ukazała się dopiero w ostatniej chwili, jak orka wyłaniająca się z ciemności. Léane zebrała się w sobie, zamknęła się we wnętrzu potwora i ruszyła po stopniach do składziku z jedzeniem. Zdjęcia Sary, które mijала po drodze, dodawały jej odwagi.

Zaczerpnęła powietrza i weszła do pomieszczenia. W bladym świetle żarówki zobaczyła Grégory'ego Giordana: siedział z zamkniętymi oczami i głową opuszczoną na klatkę piersiową. Był powyginany jak kukła, Léane miała wrażenie, że zwichnął sobie prawy bark. Nadgarstek prawej ręki miał siny, a dłoń całą we krwi: widać było, że drapał kamień wokół obręczy, do której zamocowany był łańcuch, pół metra nad jego głową. Puszki po konserwach były puste, porozrzucane, na dnie jednej z butelek została resztką wody.

Léane podeszła bliżej i schowała nos za szalikiem. Bezszelestnie umieściła wolną rękę w obręczy kajdanek i zamknęła ją. Więzień się ocknął, mruknął coś, po czym zaczął się miotać jak dzikie zwierzę w klatce.

– Co pani robi?

Bez słowa złapała metalowe wiadro i wyszła na zewnątrz, by je opróżnić. Wróciła z pojemnikiem wypełnionym deszczówką, która kapała przez dziurawe sklepienie. Wyjęła z torby myjkę kąpielową, zanurzyła ją w wodzie i zbliżyła do twarzy Giordana, ten jednak odwrócił głowę.

– Proszę. Zobaczę, co panu jest.

– Niech mnie pani uwolni! Miała pani wrócić! Jak długo mam tu jeszcze gnić?

Nie pozwolił się dotknąć. Kaszlał coraz bardziej, aż rozdzierało mu piersi. W końcu ustąpił. Léane delikatnie zmyła zaschniętą krew, wyjęła z torby kompres i środek odkażający, oczyściła rany na czole, obok oka i na wysokości ucha.

– Oko jeszcze jest spuchnięte. Nie wygląda na to, żeby miał pan gorączkę, ale zostawię panu leki. Przyniosłam bieliznę i ciepłe ubrania. Należą do mojego męża, powinny na pana pasować. Za chwilę będzie pan mógł się umyć i przebrać.

Wyprostował się i skrzywił, usiłując wyciągnąć kark. Léane podała mu dwie łyżeczki syropu na kaszel, zaaplikowała sprej do gardła i podała dafalgan z wodą, który przełknął bez protestów. Przyjrzała się uszkodzonej stopie: była niemal fioletowa, dwukrotnie większa od drugiej, spękana od zimna. Léane nie miała na nią żadnego pomysłu i postanowiła się nad tym nie zastanawiać: jeszcze raz pogrzebała w torbie i wyjęła z niej paczkę marlboro oraz srebrną zapalniczkę Zippo.

– Poznaje pan?

Skinął głową. Wetknęła mu papierosa do ust i zapaliła. Mężczyzna zaciągnął się i zaniósł rozdzierającym kaszlem.

– Jaki... Jaki dziś dzień?

– Piątek, dwudziesty drugi, dochodzi dziesiąta wieczór.

– Piątek. A gdzie jesteśmy? Niech mi pani powie, gdzie jesteśmy.

Léane usiadła naprzeciw niego na torbie. Jullian nie powiedział mu nawet, gdzie go przetrzymuje, pozbawił go wszelkiej godności, odebrał nadzieję, by nie powstała między nimi żadna więź. Przystudiowała zagadnienie więzi między katem a ofiarą, opisała je dokładnie w *Niedokończonym rękopisie*. Bawiła się, obracając zapalniczkę w dłoni.

– Rozmawiałam z Roxanne, pana córką.

Giordano poruszył zakutymi w kajdanki dłońmi i na próżno szarpnął łańcuch.

– Niech pani tylko spróbuje ją tknąć!

Léane nie zareagowała. Czekala, aż mężczyzna się uspokoi. Kiedy była pewna, że Giordano jej słucha, mówiła dalej:

– Powiedziała mi, że znalazł pan tę czapkę w lutym w trakcie wycieczki w okolicy Chappelle-en-Vercors. Gdzie konkretnie?

Wypluł papierosa.

– Sądzi pani, że pani porąbany mąż mnie o to nie pytał? Niech mi pani najpierw powie, gdzie jesteśmy.

– Nie.

Znowu zaniósł się kaszlem i popatrzył na nią. W jego oczach widać było coś w rodzaju rezygnacji.

– Co mam pani powiedzieć? Tam wszystkie ścieżki są do siebie podobne. To było prawie rok temu. Wszędzie były drzewa, las. – Zrobił głęboki wdech. – Wiem o pani córce. Kiedy pani mąż mnie tutaj zamknął, kilka razy opowiedział mi tę historię ze szczegółami.

– Ale gdy pokazałam panu jej zdjęcie, powiedział pan, że jej pan nie zna.

– Chciałem wyjść. To chyba zrozumiałe, nie? – Wskazał podbródkiem na zapalniczkę. – Pokazuje mi pani tę zapalniczkę, żeby dać mi do zrozumienia, że była pani w moim domu. Przeszukała go pani, tak jak pani mąż. Wie pani już to, o czym pani opowiadam, tak? Testuje mnie pani.

Przy każdym ruchu krzywił się z bólu. Léane zachowała kamienną twarz, musiała pokonać w sobie odruch litości, a głosik w jej głowie podpowiadał jej, że mężczyzna jest niewinny. Przyniosła zdjęcie Sary, które leżało w rogu pomieszczenia, przyciśnięte kostką brukową, i pokazała mu.

– Twierdzi pan, że jedzie do jakiejś dziury na odludziu i znajduje czapkę mojej córki, tę czapkę. A pracował pan w sąsiedztwie jednostki prowadzącej śledztwo w sprawie zaginięcia Sary. Dziwne zbiegi okoliczności, które skłaniają mnie do myślenia, że mój mąż nie zamknął pana tutaj bez przyczyny.

Léane nie wiedziała, czy prawe oko Giordana łzawi z powodu zimna, czy z emocji. Mężczyzna nic nie odpowiedział i opuścił ciężką, obrzmiałą powiekę.

– Zbiegi okoliczności! Zbieg okoliczności nie oznacza winy. Pisze pani kryminały, powinna pani być tego świadoma.

– Skąd pan wie?

– Mam pani książki. Pani mąż był pewien, że ukradłem je z waszej biblioteczki. Ale to nieprawda, absolutna nieprawda, należą do mnie. To nie ma żadnego sensu. Przez dwadzieścia lat mojego życia wsadzałem za kratki różnych drani. Łajdaków, którzy traktują kobiety i dzieci jak rzeczy. Zwymiotowałyby pani, gdyby tylko pani posłuchała, jak opowiadają o swoich wyczynach. I teraz to ja jestem winny?

Giordano chrypiał. Léane poczuła, jak przenika ją chłód lochu. Ona także tkwiła w więzieniu – w więzieniu pamięci swojego męża i własnej niewiedzy. Giordano krztusił się flegmą.

– Jest pani tutaj i nic pani nie wie. Mąż nie opowiedział pani o naszych rozmowach. Dlaczego? Co się z nim stało?

– Został brutalnie napadnięty, stracił pamięć. A ja myślę, że mógł pan mieć z tym coś wspólnego.

Léane miała wrażenie, że w prawym kącie ust mężczyzny pojawił się cień uśmiechu. Ale jego usta się nie poruszały. Czyżby popadała w obłąd? A może to wynik braku snu? Giordano wskazał podbródkiem na łańcuchy.

– Oskarży mnie pani, że napadłem na niego, w czasie gdy byłem zamknięty tutaj?

– Może zrobił to jakiś pański wspólnik? Ktoś, kto pana szuka?

– Bredzi pani.

– Chcę wiedzieć, co się dokładnie zdarzyło w dniu pańskiego porwania.

– Nie mam żadnego interesu w tym, żeby pani odpowiadać.

– W dwa tysiące dziesiątym się pan rozwiódł. Dlaczego? I dlaczego zmienił pan pracę? Co takiego wstrząsnęło pana życiem?

– No jasne... Rozwodzę się, jak jedna osoba na trzy, odchodzę z zawodu, bo mam już dość roboty w najgorszej jednostce policji, a pani widzi w tym związek ze sprawą swojej córki! Co, nie wolno mi zmienić pracy? Cokolwiek powiem, będzie się pani dopatrywać powiązań. Jak pani stuknięty mąż. Będzie mnie pani bić? Proszę bardzo. – Zagrzechotał łańcuchami. – No już!

Léane nie czuła się do tego zdolna. Podniosła się i zrobiła kilka koków, by rozprostować nogi. Nie mogła ustąpić pola, musiała odzyskać przewagę.

– Sama się tego dowiem, a pan w międzyczasie posiedzi w tej dziurze. Zresztą mój mąż wkrótce odzyska pamięć. Nie chciałabym wtedy być w pana skórze.

– A dziś by pani chciała?

– W dalszym ciągu nie ma pan nic do powiedzenia?

Milczał. Przeszła w głąb pomieszczenia i rzuciła mu pod nogi trochę jedzenia i butelkę wody. Przy ścianie obok niego zostawiła leki i uwolniła jedną jego dłoń z kajdanek.

– Wzięłam coś, żeby pana umyć, ale nie ma czasu. Zostawiam panu lekarstwa. Wrócę jutro. Albo pojutrze. A może nigdy.

– Nie, nie! Proszę!

Zaczęła się oddalać. Usłyszała, jak woła za jej plecami:

– Pracowałem w terenie. Codziennie miałem do czynienia z kurwami i alfonsami.

Zatrzymała się.

– Spotykałem też ludzi z show-biznesu, grube ryby, bo to wszystko jest z sobą powiązane. Narkotyki, kasa, seks, chyba nie muszą pani tłumaczyć.

Léane odwróciła się i znowu do niego podeszła. Spojrzał na nią z pogardą, ale mówił dalej.

– Co mam pani opowiedzieć? Nocowałem w obskurnych hotelach, przez ścianę z dziewczynami, które tam odstawiano, albo w pałacach ze stadem prawników, którzy zamawiali dziewczyny po trzy tysiące za noc. Bo na tym polegała moja robota: obserwować, infiltrować, żeby móc ich przyskrzynić. Wracalem do domu co drugi dzień z resztkami pudru pod nosem. Stąd rozwód. Pasuje pani?

– Niech pan mówi dalej. Dlaczego odszedł pan z policji?

– Była połowa dwa tysiące dziesiątego, od kilku miesięcy obserwowaliśmy siatkę sutenerską, na której czele stało dwóch braci, Rumunów. Inwestowali zarobioną kasę w nieruchomości. Dwanaście prostytutek polowało na klientów między Grenoble a Chambéry. Jeśli się stawiały, bracia grozili ich rodzinom w kraju. Pilnowały ich dwie burdelmamy, które je zastraszaly i biły. Te dziewczyny mieszkały w obozowisku romskim na przedmieściach Grenoble. Sądziły, że we Francji będą pracować jako kelnerki albo sprzątaczk, a zostały niewolnicami seksualnymi. Tak to działa.

Patrzył teraz nieobecny wzrokiem. Był tam, razem z nimi. Léane stała bez ruchu, wyprostowana.

– Któregoś wieczoru przeprowadziliśmy interwencję. Żona właśnie mi oznajmiła, że odchodzi, tak że rozumie pani, nie byłem w formie. Kiedy zobaczyłem jedną z tych sutenek, nie wytrzymałem i... – Spojrzał na nią z wysiłkiem, jakby z trudem dźwigał ciężar własnych oczu. – To, co zrobił mi pani mąż, to nic przy tym, co ja zrobiłem jej. Gdyby nie jeden z kolegów, byłbym ją zabił. Proszę poszukać w internecie hasła „sprawa braci Popescu”, przekona się pani, że mówię prawdę. To było siedem lat temu. Moi szefowie wyciszyli skandal, przede wszystkim żeby chronić siebie, ale ja musiałem odejść z policji i znaleźć inną robotę. Więc widzi pani, kiedy zaczęła się sprawa Jeanson, nie pracowałem już w tym budynku. Nie mam z nią nic wspólnego.

Léane odruchowo gładziła opuszką kciuka zdjęcie Sary i notatkę, którą na nim zostawił jej mąż.

– Może mnie pan okłamywać.

Ciałem Giordana wstrząsnął długi kaszel.

– Niech pani zadzwoni na policję, to się pani przekona.

– Żeby mieć ich na karku? Dobre sobie. Donjon noir: co to jest?

– Nie mam pojęcia – odparował natychmiast.

– Pracuje pan w tym środowisku i pan nie wie?

– Pracowałem, to już przeszłość. Do cholery, czy znoszę to wszystko przez kilka zbiegów okoliczności? Szlag, ja tylko znalazłem czapkę na jakimś zadupiu. Zwykłą czapkę.

Léane miała dość.

– Przykro mi.

Rzuciła się ku schodom i – mimo krzyków i błagań mężczyzny – ze łzami ciekącymi po policzkach przecięła dziedziniec. Co ja zrobiłam? – pomyślała. Co myśmy zrobili?

Kiedy pchnęła ciężkie drewniane drzwi, prosto w twarz uderzył ją bryzg morskiej piany. Ostatnie stopnie zniknęły już pod wodą, u stóp wyłaniającego się z mgły muru obronnego kłębiły się gwałtowne prądy. Dalej, w brzemiennej w lodowate krople szarości, widać było jeszcze skały po obu stronach chodnika, ale i w nie uderzały co i rusz białe grzebienie fal. Fort zmienił się w wyspę.

Vic dostał od szefa reprimendę za numer z telefonem wyjętym z szafy na dowody i rozerwaną torebkę. Posypały się groźby – nagana, zawieszenie, zmiana wydziału – wiedział jednak, że Alain Manzato za bardzo go potrzebuje, by wcielić je w życie, zwłaszcza przy tym śledztwie. Już do tego przywykł: czas na wyrównanie rachunków przyjdzie później.

Przeprowadzono więc kilka administracyjnych kombinacji i niezarejestrowana komórka znaleziona w wozie Delpierre'a, którą początkowo wzięli za telefon Rose'a, jakby nigdy nic otrzymała pieczęć z nowym numerem. Następnie na mocy nakazu prokuratora urządzenie zostało przekazane do pilnej ekspertyzy specjalistom z sekcji technologii cyfrowej laboratorium kryminalistycznego w Écully niedaleko Lyonu.

Na dzień przed wigilią Bożego Narodzenia Vic i Vadim odwiedzili więc rzeczonoego specjalistę, Marina Tremblaya. Mężczyzna włożył do urządzenia wykonaną na potrzebę testów kopię karty SIM i włączył je.

– Telefon będzie teraz w takim stanie, w jakim był przed ostatnim użyciem. Właściciel stosował identyfikację za pomocą linii papilarnych, więc nie ustanowił kodu PIN, czyli mamy do pokonania o jedną przeszkodę mniej.

Ponieważ na popękany wyświetlaczu nie było nic widać, Tremblay podłączył telefon do komputera. Zainstalowane oprogramowanie pozwalało mu sterować urządzeniem za pomocą klawiatury i myszki. Wyświetliły się wiadomości tekstowe. Vadim skupił wzrok na ekranie.

– Miałeś rację. Ostatnią rzeczą, jaką Delpierre robił przed kradzieżą forda, było pisanie esemesów.

Specjalista przewinął w górę wymianę wiadomości między Delpierre'em alias Doktorem Watsonem i jego kontaktem o inicjałach P.M.

– Ponieważ mamy już Doktora Watsona, założę się, że to Profesor Moriarty – rzucił Vic. – Geniusz zła z powieści Conana Doyle'a.

– A to ci żartownisie.

Pierwsza wiadomość w tej dyskusji pochodziła z osiemnastego grudnia dwa tysiące siedemnastego, czyli dnia kradzieży samochodu.

16.02.23 P.M.: pilne. Połącz się.

16.03.12 D.W.: jakiś problem?

16.03.52 P.M.: sprzątanie. Nie pytaj. Napisz, czy wszystko ok

16.04.18 D.W.: wygląda na to, że tak

[...]

19.28.12 D.W.: paczka odebrana

19.31.23 P.M.: ok, potwierdź, jak będzie po wszystkim

[...]

22.31.02 P.M.: i jak? Zdjęcia?

22.47.22 P.M.: wszystko w porządku?

22.54.30 P.M.: dlaczego nie odpowiadasz? CO TY ODPIERDALASZ?

Marin Tremblay zmniejszył okienko.

– To wszystko.

Przejrzał aplikację z wiadomościami, a potem listę kontaktów. Co za niefart: osoba podpisana pełnym pseudonimem „Moriarty” była jedynym kontaktem, a wymiana esemesów, którą właśnie przeczytali – jedyną konwersacją zapisaną w telefonie Delpierre’a. Vadim obracał paczkę papierosów palcem wskazującym i kciukiem.

– Delpierre usuwał na bieżąco wszystkie wiadomości. Tylko tej konwersacji nie mógł usunąć, bo razem z samochodem ukradziono mu telefon.

– Wygląda na to, że używał tego telefonu tylko do kontaktów z Doktorem Watsonem. Damy radę odzyskać esemesy?

– Zobaczymy. Teoretycznie moduł pamięci telefonu komórkowego pamięta co do literki wszystkie wiadomości, nawet te, które zostały umieszczone w koszu. Ale, upraszczając, dane, które uda się odzyskać, będą w rozsypce. Trzeba będzie odwzorować ułożenie modułu pamięci, rozszyfrować kodowanie i wszystko uporządkować. Krótko mówiąc, zważywszy na model komórki i zapal konstruktorów do coraz lepszego zabezpieczania swoich urządzeń, trochę to potrwa, co najmniej tydzień, bez gwarancji rezultatu. Zdobędziemy też szczegółowy wykaz połączeń tego Moriarty’ego, to wszystko, co możemy zrobić, nie będąc w posiadaniu jego telefonu. Wszystkie ważne dane są na karcie SIM.

Vic wskazał na pierwszą wiadomość.

– Moriarty każe Delpierre’owi się połączyć. Może chodzi o jakąś stronę internetową?

– Sprawdzę to.

Technik dotknął przycisk w telefonie i pojawiły się wszystkie uruchomione aplikacje: oczywiście aplikacja obsługująca esemesy, przeglądarka internetowa otwarta na stronie internetowego sklepu z materiałami formierskimi oraz aplikacja, która miała w logo cebulę. Mężczyzna przełączył na tę ostatnią.

– Wasz Delpierre uruchomił przeglądarkę TOR. To brama do darknetu.

Vic i Vadim wiedzieli, co to oznacza. Darknet, głęboka sieć. Ukryta przestrzeń, nieznaną większości śmiertelników, oferująca możliwość anonimowego surfowania i dostęp do najgorszych perwersji. Można tam kupować i sprzedawać narkotyki, broń, organizować morderstwa, całkowicie bezkarnie zamieszczać i oglądać materiały pedofilskie. Terrorysty używają go do komunikacji, produkcji bomb, kształcenia. Żeby się tam dostać, trzeba zainstalować TOR, ale przede wszystkim znać adresy dostępu, losowy ciąg cyfr i liter, który można otrzymać tylko za pośrednictwem wtajemniczonych osób z konspiracyjnych siatek. System nie rejestruje ani historii wyszukiwania, ani hasła dostępu, i kiedy się otwiera, pojawia się tylko puste okienko z żądaniem adresu, ale szczęśliwie dla Vica i Vadima Delpierre nie zdążył się wylogować.

TOR był otwarty na czarnej stronie o niezrozumiałym adresie z dwiema animacjami pośrodku: z lewej siekiera, z której ostrza kapała krew, z prawej oko ze zwężającą się i rozszerzającą źrenicą. Kompletna amatorszczyzna – ale ci, którzy tworzyli te miejsca dostępu, mieli w nosie estetykę.

Ekspert sięgnął po karteczkę samoprzylepną i długopis.

– Zanim w to kliknę, zapiszę wam adres.

– Nie trzeba.

– Jest pan pewien?

Vadim pokręcił dłonią na wysokości skroni.

– Kolega już go zapamiętał i będzie mógł go panu podać nawet na łożu śmierci. Niech pan nie próbuje tego zrozumieć, on po prostu taki jest.

Tremblay spojrział na Vica zaskoczony i kliknął w ruchome oko. Otworzyła się strona logowania z żądaniem hasła. Wpisał cokolwiek i wcisnął „Zaloguj”. Nic z tego.

– Nie ma dostępu.

– Znajdzie pan jakiś sposób, żeby się tam dostać?

– Ten system jest tak skomplikowany, że bez hasła może to zająć kilka tygodni. Mamy roboty, które sprawdzają różne hasła, ale po każdym wpisaniu muszą czekać na odpowiedź i dopiero mogą wprowadzić następne.

Wrócił do strony głównej i tym razem kliknął w siekiere. Po chwili pojawiła się odpowiedź „Identyfikacja zakończyła się sukcesem” i system przekierował go na kolejną stronę, na której znajdowały się dwa odsyłacze: „Moriarty” i „Doktor Watson”.

- Mamy szczęście, że Delpierre zostawił otwartą sesję. Który pierwszy?
- Doktor Watson.

Wykonał polecenie. Pojawiła się galeria zdjęć. Technik odchylił się na oparcie, jakby widok, który miał przed oczami, sprawił mu fizyczny ból. Delpierre zamieścił na stronie zdjęcia zwłok leżących na plandekach, ich głowy jak zwykle owinięte były folią. Każde ze zdjęć zostało wykonane obok otworu wykopanego w ziemi, z lampą błyskową, na pewno w nocy, gdzieś w szczerym polu. Czasem fotografował ciała z przodu, czasem z tyłu, a czasem z profilu, tak żeby nie było widać oskórowanych partii. Najwyraźniej Delpierre nie chciał, by Moriarty dowiedział się, co z nimi robi przed ich pochowniem. Vic westchnął.

– Oto w jaki sposób nasz sprzątacznica dostarcza Profesorowi Moriarty’emu dowody dobrze wykonanej pracy. Wrzuca zdjęcia trupów zrobione obok dziur, w których je pochowa. Jednorazowe telefony, darknet, oszczędna wymiana wiadomości. Niewidzialni i świetnie zorganizowani. To nie są amatorzy.

– Osiem pochowanych trupów. A dziewięć w bagażniku. Gość skądś go odebrał i zamierzał się go pozbyć. Tamtej nocy Moriarty czekał na zdjęcia zwłok obok grobu.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Nie mieli nic oprócz zdjęć. Ani dat, ani tożsamości ofiar. Tremblay znowu wziął do ręki myszkę.

- Ściągnę te zdjęcia na twardego dysku i prześlę wam w ciągu dnia.

Wrócił do poprzedniej strony, zerknął na Vadima i Vica i kliknął w odnośnik „Moriarty”. Na czarnym tle, na samym środku ekranu, widniała tylko jedna wiadomość, zapisana białymi literami:

Sprzątanie odbędzie się w willi Edelweiss, stojącej na uboczu po prawej, na końcu drogi na wzgórze Serre Beau, w Chapelle-en-Vercors.

— Fort otoczony wodą w trakcie przyływu niedaleko Boulogne-sur-Mer. Więc to jest ta tajemnica! Wie pani, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Ponad dwadzieścia lat temu zacząłem moją karierę właśnie w Boulogne. Wiedziałem o tym forcie, ale nigdy go nie odwiedziłem. Można powiedzieć, że to powrót do źródeł, choć niestety w nie najmilszych okolicznościach. – Grégory Giordano odchrząknął i splunął w bok najdalej, jak potrafił. – Pani mąż też kilka razy dał się zaskoczyć morzu. Był tak zaabsorbowany torturowaniem mnie, że przegapiał godzinę przyływu. Nie rozumiałem, dlaczego znikał i po kilku minutach wracał, jeszcze bardziej wściekły niż przedtem.

Krzywiąc się, spojrział na obrzmiałą stopę. Léane siedziała pod ścianą naprzeciwko, przemarznięta, ciasno otulając ramionami podkurczone nogi. Patrzyła na niego bez słowa i usiłowała przeniknąć jego tajemnice.

– W takich chwilach obrywałem najmocniej, niech mi pani wierzy. – Ruchem głowy wskazał narzędzie tortur. – Oczywiście pani wie, co robił z moją stopą. Jak to pani pięknie opisała w swojej książce, wkładał ją do tej pieprzonej maszyny i powoli obracał. Te trzaski... Nie można od nich uciec, bo rozbrzmiewają w środku człowieka, jakby umysł jeszcze je potęgował. Jeszcze teraz je słyszę, nie zapomnę ich do końca życia. Nie wiem, czy kiedyś będę w stanie normalnie chodzić. Pani mąż był szalony, prawdziwy świr. Najbardziej był sobą, kiedy mnie bił. Ale pani nie jest taka jak on.

Léane próbowała się przekonać o winie Giordana, o tym, że w ten czy inny sposób jest zamieszany w zaginięcie Sary. Im dłużej jednak nad tym myślała, tym bardziej uświadamiała sobie, że jego uwięzienie opiera się na przesłankach, których nie jest w stanie udowodnić. Kiedy była na dziedzińcu, wyjęła smartfon i przeprowadziła szybkie dochodzenie: opowieść o rozpracowaniu siatki

sutenerskiej przez lyońską policję była prawdziwa, choć nie wspomniano tam o pobiciu burdelmamy, o którym mówił Giordano. Kazała mu to wyjaśnić.

– A co pani sobie myśli? Mieli o tym trąbić na placach? O tym, że policjant pobił stręczycielkę do nieprzytomności? Nie, powiedzieli, że to były porachunki między alfonsami, i wyciszyli sprawę, mówiłem pani. – Były policjant spojrzął na paczkę papierosów leżącą w pobliżu jej stóp. – Da mi pani jeszcze jednego?

Léane siedziała bez ruchu, bawiąc się kluczem od kajdanek. Giordano uśmiechnął się i machnął wolną ręką.

– Cóż, trudno.

– Czapka... Znajduje ją pan na ziemi, nie wiedząc, skąd się wzięła i czy nie jest brudna, i wkłada ją na głowę swojej córce. Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nie, litości. Niech już pani da spokój z tą czapką.

– Roxanne powiedziała mi, że to pan włożył jej ją na głowę.

– No i? Co z tego?

Léane milczała. Ledwie widoczna w blasku żarówki zwisającej z sufitu, wyglądała jak pajak pustelnik w swoim gnieździe. Zdrową nogą Giordano usiłował przysunąć do siebie paczkę papierosów. Prosty ruch, który dla niego był męką.

– W każdym moim słowie znajdzie pani pretekst, żeby się przyczepić. Bo wbrew pozorom to pani jest ofiarą. To pani znosi tortury, prawda?

Léane nie odpowiedziała, więc mówił dalej:

– Nie mogę się postawić na pani miejscu, ale mogę się domyślić, jak to jest stracić dziecko. Żeby pani wiedziała, ile razy miałem z tym do czynienia w pracy. Ci wszyscy rodzice, których musiałem poinformować, że ich dziecko spotkało najgorsze. Chyba właśnie to było najtrudniejsze: puste, zalęknione oczy rodziców ofiar. Gdy tylko się dowiadują, z ich oczu znika światło. I wiadomo, że już nigdy nie wróci.

Zdołał chwycić paczkę wolną ręką. Udało mu się wyciągnąć papierosa i wetknąć go sobie do ust, ale leżąca dwa metry dalej zapalniczka była poza jego zasięgiem. Parsknął śmiechem, a potem znowu zaniósł się kaszlem.

– Nawet bez palenia dobrze mi robi. Dziękuję przynajmniej za to.

– Niech mi pan nie dziękuje.

– Ależ tak, zależy mi na tym. Myśli pani, że mnie pani zna, osądza mnie pani a priori, bez procesu. Ja też mógłbym panią sądzić. Może nie powinienem pani tego mówić, ale znam panią lepiej, niż pani zna mnie. I niech mi pani wierzy, nie ma to nic wspólnego z zaginięciem pani córki. Znam panią dłużej. O wiele dłużej.

– Chętnie się dowiem.

– Najpierw ogień. Proszę. Wyjaśnię pani.

Po chwili wahania Léane podeszła do niego i zapaliła papierosa. Zaciągnął się głęboko, wypuścił dym nosem i zamruczał z zadowolenia.

– Jakie to dobre.

– Słucham pana.

Nie zareagował od razu, delektował się smakiem tytoniu. Po dwóch minutach odpowiedział:

– Ma pani tajemnicę. Straszliwą tajemnicę, którą ukrywa pani nawet przed mężem: bo opowiadał mi o pani, ale o tym nie wspominał. A zważywszy na to, o co mnie oskarżał, jestem przekonany, że gdyby znał pani tajemnicę, powiedziałby o niej. Powiedzmy, że byliśmy blisko tego tematu.

Léane poczuła ukłucie. Jakby ostrzeżenie z głębi podświadomości.

– Nie mam tajemnic.

– Ależ oczywiście, że pani ma, jak każdy z nas. Przeżyła pani ciężkie chwile. I to nie tylko z powodu zaginięcia córki. Wystarczy czytać pani książki, żeby zrozumieć, że pani dzieciństwo nie było łatwe.

– Pudło. Kto jak kto, ale akurat ja miałam normalne dzieciństwo.

– Naprawdę? A tematy, które pani porusza, ponury nastrój, precyzja mrocznych opisów? W jednej książce, nie pamiętam już w której, opisuje pani scenę gwałtu. Jako człowiek, który robił w tym temacie przez tyle lat, pomyślałem: trzeba być cholernie dobrze poinformowanym, prawie to przeżyć, żeby mówić o tym w taki sposób.

Léane milczała. Nie wiedziała, do czego Giordano zmierza.

– Ukrywa się pani za pseudonimem, za swoimi powieściami. Kiedy siedem czy osiem lat temu po raz pierwszy trafiłem na jedną z pani książek, pomyślałem: gość musiał wiele przejść, skoro tworzy takie rzeczy. Ten gość, Enaël Miraure. Miraure, niezbyt popularne nazwisko. Skąd je pani wzięła?

Léane zeszywniała. Ta dłoń, która wypełza jej z gardła, palce, które wczepiają się w jej język, rozwierają szczęki z każdym przyływym natchnieniem. Zawsze gdy Enaël przychodzi, by w niej zamieszkać. Usiłowała zachować zimną krew.

– To całkiem proste. Miraure od *miroir*. Czyli lustro. Tak samo jak w przypadku imienia: Léane i Enaël. Samo do mnie przyszło.

– Samo... To gotowa odpowiedź na użytek dziennikarzy? Mnie się to nazwisko z czymś kojarzyło. Z jakąś starą sprawą, zakopaną głęboko w pamięci.

Léane nie rozumiała. Mimo zasłony z dymu widziała lśniące niczym wielki diament na dnie wykopu czarne oko Giordana. Postanowiła mieć się na baczności. Czuła, że coraz bardziej daje się wciągać w jego grę i zaczyna się robić niebezpiecznie.

– Kiedyś w Lyonie siedziałem przy biurku z jedną z pani książek, przed komputerem, w którym była otwarta baza akt policyjnych. Postanowiłem więc

sprawdzić. I znalazłem. Gość nazywał się Nathan Miraure. Trafiłem?

– O czym pan, do cholery, mówi?

– Musiała pani być bardzo młoda. Piętnaście, szesnaście lat? Nie pamięta pani?

Piętnaście, szesnaście lat... I wtedy skojarzyła: rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy, data publikacji powieści Michela Eastwooda *Krwawy krąg*, książki, którą najwyraźniej przeczytała i wskutek kryptomnezji zapomniała. Kolejny zbieg okoliczności? Miała dość. Podeszła do torby, sięgnęła po pistolet, odbezpieczyła go ruchem kciuka i wycelowała w Giordana. By uspokoić drżenie dłoni, chwyciła kolbę jak trzonek siekiery,

– O czym pan mówi? Co się zdarzyło w dziewięćdziesiątym pierwszym?

Giordano nie odpowiedział, uniósł tylko wolną rękę.

– Wybrała pani ten pseudonim w ramach pokuty? Żeby nigdy nie zapomnieć?

Léane głośno oddychała, gardło i żołądek paliły ją od kwasu. Uświadomiła sobie, że trzyma palec wskazujący na cynglu. Do czego on zmierza?

– O czym, kurwa, nie zapomnieć?

Mężczyzna zacisnął wargi i nic więcej nie mówił. Wiedział, że go nie zabije. Czyżby zobaczył słabość w jej oczach? Wróciła na swoje miejsce i położyła broń obok siebie. Patrzyła na niego jak na rywala podczas partii szachów. W co on gra? Próbuje ją wyprowadzić z równowagi? W takim razie udało mu się.

Zacząła rozmyślać nad tym, co powiedział. Kim był Nathan Miraure? Léane przypomniała sobie swoją pierwszą książkę. Kiedy szukała pseudonimu, nazwisko „Miraure” przyszło jej do głowy naturalnie, jako wyjaśnienie imienia. Ale skąd taka dziwna pisownia? Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

Czas mijał, czuła jego ciężar na ramionach, w lędźwiach. Jak długo była na nogach? Choć walczyła z sennością, oczy w końcu jej się zamknęły, a kiedy je otworzyła, stwierdziła, że leży na ziemi zwinięta w kłębek jak kot. Zerknęła na zegarek: trzecia nad ranem.

Wstała niespokojna, z obolałymi mięśniami i wrażeniem, że ona także została uwięziona w forcie. To miejsce budziło poczucie opresji. Brakowało powietrza. Teraz to Giordano patrzył na nią bez ruchu i bez słowa, z dziwną miną, wzrokiem ofiary albo drapieżcy – nie potrafiła tego stwierdzić.

Poszła się wysikać. Noc była lodowata. Mgła odcinała Léane od niej samej, była tak szara i gęsta, że kobieta miała wrażenie, jakby jej kończyny nie należały do niej. Wspięła się na szczyt wieży. Nie było kompletnie nic widać, ale szum fal wydał jej się odległy. Morze cofnęło się i wypuściło fort ze swoich objęć. Zaczerpnęła duży haust powietrza i wróciła do podziemi.

Podniosła pistolet.

– Zdejmę panu kajdanki, żeby mógł się pan umyć i przebrać. W torbie jest wszystko, co potrzebne. Chyba nie muszę panu mówić, że doskonale znam tę spluwę. Takie są plusy pisania kryminałów i posiadania kontaktów w środowisku.

Rzuciła kluczyk na jego klatkę piersiową i odsunęła się w głąb pomieszczenia, nie opuszczając broni. Nie bała się: z nogą w tym stanie Giordano nie dałby rady jej zaatakować. Zdjął kajdanki i z wyrazem ulgi na twarzy masował sobie dłonie i nadgarstki.

– Dziękuję.

– Zamknij się.

Chciała być twarda, ale kiedy próbując stanąć na nodze, z głuchym łoskotem opadł na kolana, pękło jej serce. Jakaś jej część chciała mu pomóc, ukoić go, zabrać do szpitala. Żaden człowiek, winny czy niewinny, nie zasługuje na takie traktowanie. Zebrała się w sobie. Musi zachować dystans.

Na czworakach, jak pies, Giordano wygrzebał z torby ręcznik, mydło, myjkę i komplet starych ubrań Julliana.

– Nic do golenia?

– Za dużo pan wymaga. Niech się pan pośpieszy.

Posłał jej coś na kształt uśmiechu. Miał białe, ładnie osadzone zęby. Po raz pierwszy Léane dostrzegła w jego twarzy coś innego niż rozpacz. Stawał się zbyt ludzki. Usiłowała pozostać twarda.

– Będzie pani patrzeć?

– Widziałam już dupę. Wystarczy, że się pan odwróci.

Odwrócił się i rozebrał w ślimaczym tempie, zacisnął zęby, kiedy tkanina musnęła zmaltretowaną stopę, zadrżał, gdy poczuł na skórze dotyk zimnej wody. Na prawym ramieniu miał tatuaż – pomarańczową rybę z długą płetwą ogonową. Był wychudzony, ale czysta odzież przywróciła mu trochę godności, czego Léane żałowała: tym trudniej będzie jej zostawić go zamkniętego w tym lochu. Ale co miała robić?

– A teraz proszę z powrotem włożyć kajdanki. Wystarczy na jeden nadgarstek. Chcę usłyszeć kliknięcie.

Wykonał polecenie i zanim zdążyła o to poprosić, odrzucił jej klucz. Przyniosła mu jedzenie i wodę.

– Następnym razem przywiozę jakąś szynę na tę pana stopę i leki, żeby złamania mniej pana bolały. Powinnam mieć takie rzeczy. Mój mąż jeździł zagłozem i ciągle miał jakieś kontuzje. Tak czy inaczej, niewiele można zrobić przy takim urazie.

– Kiedy pani wróci?

Léane poczuła się zbyt słaba, mało brakowało, by odpuściła. Musi wyjść. Wepchnęła do torby brudne rzeczy, zasunęła zamek i nie patrząc na niego, ruszyła

do drzwi.

– Léane?

Na dźwięk swojego imienia nie wytrzymała i odwróciła się.

– Niech pani pamięta, że ja też mam córkę. I że ona się upomni o swojego ojca.

Pęknie, jeśli zostanie tu choćby sekundę dłużej. Wbiegła na klatkę schodową. Tym razem nie wołał za nią, gdy odchodziła. Słyszała tylko ciszę.

Strumień wody parzył jej kark. Obrazy wychudzonego ciała Giordana napływały jej przed oczy i raniły niczym ostrza. Mówił o zbiegach okoliczności: czapka, miejsce, w którym pracował, i cała reszta. Niezależne od siebie elementy, które zestawione ze sobą, mogły rodzić podejrzenie o jego winie. Ale w gruncie rzeczy miał rację: człowiek widzi to, co chce zobaczyć. W tym wypadku Giordano musiał być winny, a Sarah wolna.

Walczyło w niej kilka głosów. Jeden wrzeszczał, że więzi niewinnego człowieka, drugi mówił, że Giordano jest winny. Tylko czego? Porwania Sary przed czterema laty? Zabójstwa? On, znany glina z policji kryminalnej?

Włożyła świeże ubrania – dzinsy, golf, kickersy – uczesała się i spojrzała w lustro. Przestraszyła się siebie. Światło ledowej lampki uwypuklało jej kości policzkowe, a wokół jasnych oczu malowało ciemne cienie. Przez niepogodę i brak snu wyglądała jak kartka starego papieru.

Przed wyjazdem do szpitala szukała w internecie informacji na temat Nathana Miraure’a, ale nie znalazła niczego, nawet linijki. Kto to, do cholery, jest? Giordano twierdził, że znalazł go w bazie danych policji. Miraure miał kartotekę? A może uwięziony policjant wszystko wymyślił? Zastanawiała się przez chwilę. Mogła poprosić Colina o zebranie informacji, ale mieszanie go do tej sprawy i wzbudzanie w nim podejrzeń nie wchodziło w grę.

A jeśli Giordano zastawił na nią pułapkę, by przyciągnąć jej uwagę? Może nią manipuluje, jak policjanci w trakcie przesłuchania? Zawołał ją po imieniu, powiedział o swojej córce, żeby ją zmiękczyć. Wie, jak się zabrać do rzeczy.

Wahała się, ale głód wiedzy okazał się silniejszy. Przekartkowała notatnik z adresami i skontaktowała się z Danielem Évrardem z policji kryminalnej w Lille – to on nauczył ją strzelać i był jej konsultantem w sprawach związanych z policyjnymi procedurami i śledztwami. Zapytała, czy mógłby namierzyć

niejakiego Nathana Miraure'a, czy jego nazwisko figuruje w rejestrze sprawców przestępstw, czy ma kartotekę.

– Po co ci te informacje?

– Jeden czytelnik wspomniał mi o nim na spotkaniu autorskim. Mówił, że dawno temu, co najmniej dwadzieścia lat, spotkał Nathana Miraure'a i pamięta, że gość miał wtedy problemy z prawem. Używam jego nazwiska jako pseudonimu, dlatego chciałabym się o nim dowiedzieć trochę więcej.

– Okej, zrobię, co w mojej mocy. Poza tym wszystko u ciebie w porządku?

Porozmawiała z nim przez chwilę, podziękowała, rozłączyła się i westchnęła: nie przepuścił okazji, żeby ją zaprosić na lampkę wina.

Wyszła z domu i zajrzała do skrzynki na listy. Znalazła w niej książkę wysłaną przez Pam: Michel Eastwood, *Krwawy krąg*. Ściskając ją w dłoniach, doznała dziwnego uczucia. Przeczytała czwartą stronę okładki i była zaskoczona streszczeniem, w którym bez najmniejszych wątpliwości widać było punkty wspólne z jej ostatnią powieścią.

Położyła ją na fotelu pasażera obok koperty z pamiątkowymi zdjęciami i ruszyła do szpitala. Zaparkowała i weszła na piętro. Zostawiła zdjęcia u pielęgniarki, wyjaśniając, że są przeznaczone dla logopedy, który prowadzi ćwiczenia z zapamiętywania, po czym weszła do pokoju Julliana. Właśnie jadł śniadanie. Bez żadnych wstępów odsunęła stół, na którym leżała taca z jedzeniem, i położyła się obok męża.

– Tak bardzo cię potrzebuję...

Umilkła. Mogłaby się tak zatracić na wiele godzin, śpiąc u jego boku. Pocałowała go. Gwałtowność tego pocałunku wyrażała jej ogromną chęć, by mu powiedzieć, że prawdopodobnie mają tego drania, byłego glinę, który może im powiedzieć, gdzie jest ich córka, że po tych niekończących się latach może się okazać, że ich córka żyje, ale równie dobrze cały ten trop może być od początku do końca błędny, a wtedy wyjdzie na to, że znowu nabrali nadziei na próżno. Od nadziei można stracić głowę.

Jullian bez słowa przytulił ją do siebie, tak że poczuła jego erekcję. Podniosła się, zanim ich ciała zapłonęły na dobre.

– Nie możemy. Nie teraz, nie tutaj.

– A tak bym chciał. – Zamknął oczy i westchnął teatralnie. – Twój zapach... rozpoznaję go.

Podniósł się i usiadł obok niej.

– Tęskniłem za tobą wczoraj. Nie widziałem cię cały dzień. Ojciec mówił, że masz jakiś problem z wydawnictwem?

– Tak, ale to nic poważnego.

Wziął ją za rękę.

– Mówią, że niedługo będę mógł wyjść, jutro już na pewno. Według nich otoczenie rodzinne przyspieszy sprawę. Ale jest jeden warunek: codziennie będę musiał przyjeżdżać na oddział rehabilitacji na spotkania z logopedą i na początek ktoś będzie musiał się mną zająć w domu. Będiesz na miejscu?

– Będę, oczywiście. Po tym, co się wydarzyło, za bardzo się między nami nie układało, ale... Zaczniemy wszystko od nowa, zgoda? Jakby nowe życie. Jutro wigilia. – Ścisnęła jego dłoń. – Mimo tego wszystkiego, co się dzieje, chcę, żeby to była piękna wigilia. Zawsze przywiązywaliśmy dużą wagę do Bożego Narodzenia. Twój ojciec będzie z nami.

– Świetnie. Wczoraj spędziłem z nim dzień i, no cóż, najwyraźniej trudno mu po śmierci matki, ma czarne myśli, nie może się pozbierać, a moja amnezja ani trochę mu nie pomaga.

– Dlatego na wigilię nie możemy go zostawić samego.

– Léane, dlaczego moja matka popełniła samobójstwo? Ojciec prawie nic mi o niej nie opowiada. Kiedy go o to pytam, zachowuje się dziwnie, jakby chodziło o jakąś tajemnicę.

– Tak naprawdę nigdy dobrze jej nie znałam. Twój ojciec zawsze trzymał ją od nas na dystans, tak jakby... właśnie, jakby chodziło o jakąś tajemnicę, tak jak mówisz. Było między nimi coś nie do określenia, często się zastanawiałam, dlaczego się nie rozstali, bo było jasno widać, że twój ojciec jej nie kocha. Zawsze przyjeżdżał do nas sam. Ilekroć my przyjeżdżaliśmy do nich, twoja matka spała, nafaszerowana lekami. Trudno to wszystko wytłumaczyć w kilku słowach.

– A jednak to konieczne. Chcę odzyskać przeszłość. Rozmawiajmy też o pozostałych sprawach, okej? Mam na myśli Sarę i cztery ostatnie lata. Nie chcę czekać, aż moja pamięć postanowi zwrócić mi wspomnienia, ty musisz mi o tym opowiedzieć.

– Jullian, ale wiesz, że to, co zrobił Jeanson, jest straszne? To jest potwór i...

– Z pewnością, ale muszę w tym uczestniczyć razem z tobą, nawet jeśli to bolesne. Muszę wiedzieć wszystko. Absolutnie wszystko, rozumiesz?

Po chwili wahania Léane wyjęła ciężki klucz od bramy fortu i położyła go na dłoni męża. Metal był tak zimny, że Jullian się skrzywił.

– Obejrzyj go, podotyka. Pachnie morzem i solą i ma dla ciebie szczególne znaczenie. Spróbuj sobie przypomnieć.

Obracał klucz w dłoniach, powąchał go. Zamknął oczy. Léane uważnie śledziła każdą zmarszczkę, jaka pojawiała się na jego twarzy.

– Powiedz mi, że sobie przypominasz. Że coś widzisz.

– Wygląda jak klucz od jakiegoś dworu albo zamku.

– Od fortu. To jest klucz od fortu.

Pokręcił głową.

– Przepraszam. Powiesz mi?

– Nie mogę. Jeszcze nie.

Jullian spojrział ponad jej ramieniem.

– Mam wrażenie, że dopóki jestem w tym szpitalu, nie zaznamy spokoju.

Léane się odwróciła i z zaskoczeniem zobaczyła, że w drzwiach stoi Colin.

– Nie przeszkadzam?

Natychmiast sięgnęła po klucz, włożyła go do kieszeni i zakłopotana wstała. Colin widział, co zrobiła, ale nie mógł zobaczyć, o jaki przedmiot chodzi.

– Okej.

Policjant uściskał dłoń Julliana. Mężczyźni stali teraz naprzeciwko siebie.

– Jakież wieści w sprawie napadu?

– Powoli posuwamy się naprzód. Ale na razie nie mam nic konkretnego. – Zwrócił się do jego żony. – Możemy na minutkę?

Léane czule pocałowała męża.

– Mam trochę spraw do załatwienia po południu, zakupy i takie tam. Przyjadę wieczorem, okej?

– Dobrze.

Kiedy się odwróciła, Colin już szedł korytarzem. Dogoniła go przy automacie z kawą. Zrobił sobie espresso i po raz pierwszy nie zapytał jej, czego się napije. Po prostu zapomniał czy zrobił to celowo?

– Chciałem z tobą porozmawiać o dwóch sprawach. Po pierwsze, przejrzałem konto bankowe twojego męża. I odkryłem jeszcze jedną ciekawostkę. Zdecydowanie...

Léane nie podobał się jego ton, ale nie zareagowała.

– Rano w dniu napadu, o dziewiątej zero dwie, wybrał z konta najwyższą kwotę, jaką może wypłacić emeryt. Dwa tysiące euro, z bankomatu w centrum. Widziałem nagranie z monitoringu bankowego, to on.

Kobieta zaniemówiła. Jeszcze jedna niewiadoma w jej równaniu.

– Po drugie, jeśli chodzi o odciski palców, które zdjęliśmy wczoraj u ciebie, to niektóre nie należą ani do ciebie, ani do Julliana. Nie wiemy, o kogo chodzi, nie mamy gościa w rejestrze, ale jedno jest pewne: należą do pasożyta, który włamał się do domu dwa miesiące temu, linie papilarne są identyczne. A ponieważ Jullian posprzątał, bo wtedy wszędzie zostawiliśmy ślady proszku, ślady zdjęte wczoraj muszą być nowe, to znaczy mają związek z dniem napadu.

Léane wrzuciła monetę do automatu i odebrała swój napój. Colin się odsunął, by ustąpić miejsca pacjentowi na wózku.

– Wiesz, dlaczego nazywam go pasożytem? Bo pasożyt żeruje na swoim gospodarzu, żyje na jego koszt, jest jego utrzymaniem. Ten pasożyt krążył po waszym domu jak pchła uczepiona psiego grzbietu. Pokoje, kuchnia, łazienka, nie

krępował się. Zostawił ślady w samochodzie, na kierownicy, na wewnętrznych klamkach. Pił nawet waszą whisky, jadł produkty z waszej lodówki, przeglądał wasze albumy ze zdjęciami. Jego odciski były dosłownie wszędzie.

Léane z kubkiem w ręku opadła na ławkę. Wyobraziła sobie, jak nieznajomy bierze w posiadanie jej dom. Czy spał w jej łóżku? Przykrywał się jej pościelą, grzebał w jej rzeczach? Czy tak jak ona stawał w oknie balkonowym, by podziwiać morze, ze szklaneczką czegoś mocniejszego dla rozgrzewki?

– To jest szalone.

– Tak, szalone, ale te odciski bardzo mi pomagają, pozwalają cofnąć się w czasie i widzieć jaśniej. – Colin wyjął notes, poślinił palec wskazujący i zaczął przewracać kartki. – Złożyłem to wszystko do kupy i mam pomysł na dość dobry scenariusz. Najpierw, dwa miesiące temu, pod koniec października, pasożyt wchodzi do willi, nie pozostawiając śladów włamania. Albo ma klucz, albo drzwi są otwarte, co nie jest niemożliwe, zważywszy na fakt, że Jullian sporo pił i niekoniecznie myślał o zamykaniu domu. Z powodu, którego jeszcze nie znamy, kradnie kilka przedmiotów, książki, mydła, a Jullian w tym czasie śpi na piętrze. Po przebudzeniu twój mąż zgłasza włamanie, każe zainstalować alarm, wymienia zamki.

Léane upiła łyk kawy, stwierdziła, że jest ohydna, i wyrzuciła cały kubek do kosza. Tak czy owak, lepiej, jeśli będzie unikać kofeiny, bo po powrocie do domu miała nadzieję paść na łóżko i przespać całą noc.

– Mniej więcej dwa miesiące później pasożyt wraca. Porywa twojego męża. Dokąd? Jak? To tajemnica, ale na pewno wywozi go z domu. Zamyka go w bagażniku jego własnej terenówki i siada za kierownicą. W nocy z poniedziałku na wtorek wraca do willi. Otwiera drzwi wejściowe kluczem, który prawdopodobnie znalazł przy Jullianie. A wtedy...

– Zaskakuje go alarm, tak jak mnie.

– Właśnie, ponieważ tak jak ty nie spodziewał się, że dom jest zabezpieczony. Przyjeżdża agent ochrony, pasożyt go bajeruje, zatacza się, udając pijanego. Zrobiłem rundkę po barach, tamtego wieczoru nikt Julliana nie widział. Ochroniarza przywitał więc pasożyt, który wcześniej uraczył się whisky i symulował stan upojenia.

Léane musiała przyznać, że Colin się nie obijał. Przedstawiał kolejne fakty z taką płynnością, z jaką zegar atomowy odmierza sekundy.

– Jest wtorek, pierwsza w nocy, nie było włamania, pasożyt ma w ręku klucz od domu, udaje pijanego, agent bierze go za właściciela i widzi, że nie ma tu nic do roboty. Odjeżdża. A wtedy pasożyt obejmuje dom w posiadanie. Spokojnie zamyka za sobą drzwi i zaczyna przeszukiwanie. Oczywiście grzebie w rzeczach twojego męża. Na pewno widziałaś, że wszystkie materiały, które Jullian

zgrupował przez lata, zniknęły? Ja zauważyłem to wczoraj przy pobieraniu odcisków.

Léane nieśmiało skinęła głową. Tak jak się spodziewała, Colin nie tylko zbierał odciski palców, ale korzystając z okazji, zajrzał w każdy kąt.

– Dlaczego w takim razie mi o tym nie powiedziałaś?

– Przepraszam. Po tym wszystkim, co się stało, nie pomyślałam o tym.

– Ale to było ważne. Jak mam się posuwać do przodu, jeśli nie opowiadasz mi o takich szczegółach?

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa, zgniótł kubek i wrzucił go do kosza. Léane czuła się coraz bardziej nieswojo.

– No dobra, między pierwszą w nocy a piątą czy szóstą wieczór pasożyt czuje się jak u siebie. Nie wiem, co się dzieje w tym czasie, ale ciąg dalszy znamy: zostawia Julliana na nabrzeżu i znika. – Policjant zamknął notes i schował go do kieszeni. – Léane, ten pasożyt jest sprytny i dał nam do rozwiązania cholernie trudną zagadkę. Jakie są jego prawdziwe motywacje? Po co ta inscenizacja? Cóż, taki mamy stan gry na tę chwilę. Ach tak, jeszcze jedna rzecz. – Wyjął z kieszeni dwie kartki złożone na czworo i podał je Léane. – Dzięki staremu przyjacielowi, który jest sędzią śledczym w Lille, udało mi się zrobić listę procesów, w których brał udział John Bartholomeus.

Léane zmarszczyła brwi.

– A kto to taki?

– No wiesz, ten psychiatra z Reims, do którego dzwonił twój mąż, zanim doznał amnezji.

– Tak, teraz sobie przypominam.

– Nie ma tu właściwie nic, co by zwracało moją uwagę i sugerowało jakiś związek z naszą sprawą, ale chciałbym, żebyś rzuciła na nią okiem, bo kto wie.

– Jasne.

– A z innej beczki: czy ojciec Julliana ma klucz od willi?

Léane zmarszczyła brwi.

– Hmm, nie wiem. Ja mu go nie dawałam, ale może zrobił to Jullian. Dlaczego pytasz?

– Biorę pod uwagę wszystkie możliwości. Dobra, nie zawracam ci już głowy, Jullian na ciebie czeka.

Odszedł, ale po kilku krokach zawrócił.

– A właśnie, będę musiał odebrać mój portfel, zostawiłem go wczoraj w twoim domu. Miałaś się wcześniej położyć, więc kiedy sobie o tym przypomniałem, nie chciałem ci przeszkadzać. Wpadnę do ciebie, będziesz?

Czepił się jak rzep psiego ogona. Léane skinęła głową z udawanym uśmiechem.

– Tak, ale wieczorem. Najpierw muszę zrobić zakupy na święta. Jullian ma jutro wyjść.

– Jestem poinformowany, rozmawiałem z jego lekarzem.

Czy w ogóle jest coś, o czym on nie wie? Tym razem naprawdę już sobie poszedł. Léane odprowadzała go spojrzeniem, zaciskając usta. Dlaczego pytał o Jacques'a? Czyżby teraz zamierzał podejrzewać ojca Julliana? Spięta, usiadła na krześle, trzymając w ręku listę procesów, w których brał udział psychiatra Bartholomeus. Spis zawierał ponad setkę dat, miejsc i nazw spraw rozciągniętych między rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym a dwa tysiące siedemnastym. Przeleciała je wzrokiem bez wielkiej nadziei, cała ta niestrawna papka nic jej nie mówiła. Ale nagle jej oczy zatrzymały się na trzeciej linijce drugiej strony.

„Sąd Okręgowy w Lyonie, październik 2011, proces w sprawie Giordana”.

Wrażenie, jakie sprawiał na przyjeźdźnych Park Narodowy Vercors, można opisać trzema słowami: potęga, łagodność i zaskoczenie. Urocze pagórki przeistaczały się nagle w poszarpane grzbiety, zza ciasnego zakrętu wyłaniały się majestatyczne panoramy, a skały robiły miejsce sosnowym lasom, równinom i bezkresnym przestrzeniom.

Po opuszczeniu autostrady Vadim zdjął nogę z gazu i pokonał serię zakrętów wcinających się w ochrowe i brązowe wąwozy. Vic i dwaj koledzy na tylnej kanapie – Jocelyn Mangematin i łysy mięśniak Ethan Dupuis – pootwierali szeroko okna, tak że ich twarze pobielały jak miąższ kokosa.

Ludzie Manzata po południu otrzymali nakaz uprawniający ich do wejścia na teren posiadłości, której adres figurował na stronie darknetu, i jej przeszukania. Zastępca sędziego poważnie potraktował informację, z pewnością autorstwa Moriarty’ego, którą znaleźli razem ze zdjęciami zwłok pogrzebanych przez Delpierre’a.

Dowiedzieli się, że willa o nazwie Edelweiss w przysiółku Serre Beau, należącym do Chapelle-en-Vercors, jest własnością niejakiego Alexandre’a Mattiolego, lat trzydzieści dziewięć, niekaranego, a w urzędzie skarbowym departamentu Drôme figuruje jako rezydencja wakacyjna. Vic wyszukał w internecie informacje o jej właścicielu: przystojny, gładko ogolony, zarejestrowany na kilku portalach typu Copains d’avant, handlowiec zajmujący się sprzedażą sprzętu górskiego, często fotografowany na prezentacjach i targach. Co do jego kartoteki – widniały w niej tylko mandaty za przekroczenie prędkości. Inna grupa zmierzała w tym samym czasie do Gap, gdzie mieszkał na stałe.

Chapelle-en-Vercors była położona między płaskowyzami. Można było się tu pocuć jak w Laponii. Pod błękitnym niebem biel śniegu oślepiła, skrzyła się jak gruby dywan utkany z diamentów. Kierując się wskazówkami GPS-u, policjanci przecięli miasteczko, wyjechali z niego na południu i na końcu Serre Beau

zauważyli wzgórze, u którego stóp biegła kręta droga. Wjechali w nią. Na uzbrojonych w łańcuchy oponach pokonali ostatni zakręt, za nim droga się kończyła.

Nieco dalej wznosiła się samotnie willa Edelweiss, piękna konstrukcja z jasnych bali na wysokiej podmurówce. Wypasiona chata, stwierdził w duchu Vic. Z komina buchał dym, a przed domem stała masywna terenówka podobna do range rovera.

Czterej mężczyźni wysiedli w milczeniu, czujni. Vic rozejrzał się dookoła: miejsce, zakłete w mroźne piękno, wyglądało jak lodowa ławica rodem z dalekiej Północy. W promieniu pięciuset metrów żadnego sąsiada, tylko ta niesamowita cisza, w której można było usłyszeć szept natury.

Kiedy podeszli bliżej, dwójka dzieci, około dziesięciolatków, które ganiały wokół bałwana w głębi posiadłości, przerwała zabawę. Chłopiec pobiegł do domu, by zawołać ojca. Vadim wymienił spojrzenia z resztą grupy i wsunął dłoń pod rozpiętą kurtkę, gotów do działania.

W progu stanął Alexandre Mattioli, ubrany w gruby sweter z irlandzkiej wełny i dzinsy, w sandałach na stopach. Wyglądał inaczej niż na zdjęciach znalezionych w sieci: długie włosy, broda na pół twarzy, aparycja drwała. Pogładził po głowie syna, który stał wtulony w niego, i gestem nakazał córce, by weszła do domu. Dziewczynka pędem wpadła do willi. Gospodarz zamierzał zejść do nich po stopniach, ale Vadim go uprzedził, wyciągając przed siebie trójkolorową legitymację.

– Policja kryminalna z Grenoble. Proszę trzymać dłonie na widoku, a wszystko będzie dobrze. Czy oprócz pana dzieci ktoś jest w środku?

Nie kryjąc zaskoczenia, mężczyzna oparł prawą rękę na poręcz, a lewą zostawił trochę uniesioną.

– Jesteśmy tylko we trójkę, ale... policja? Co się dzieje?

Vadim pokazał mu dokument.

– Mamy nakaz sądowy, który upoważnia nas do wejścia na teren pańskiego domu.

– Mojego domu? Czy coś się stało?

Mangematin i Dupuis podeszli do niego i przeprowadzili rutynową kontrolę osobistą. Ponieważ się wyrywał, skuli go kajdankami.

– A teraz dobra rada: niech się pan zamknie albo od razu pana zgarniemy.

Vic wszedł do willi, uśmiechnął się do dzieci i posłał je przed telewizor. Popatrzył na bożonarodzeniową choinkę i leżące pod nią prezenty. Wystrój, świąteczna atmosfera, zaskoczenie Alexandre'a Mattiolego na ich widok – zupełnie nie tak sobie wyobrażał Moriarty'ego.

Dupuis pilnował właściciela, a trzej pozostali funkcjonariusze przeczesywali pokoje. Dom był luksusowy, z jacuzzi, dwiema łazienkami, trzema dużymi sypialniami, otwartą kuchnią i wszystkimi stosownymi wygodami. Za wielkim oknem z przyciemnianego szkła rozciągał się szeroki na sto osiemdziesiąt stopni widok na okoliczne płaskowyże.

Vic i Vadim skończyli przeszukanie i spotkali się w korytarzu na parterze.

– Masz coś?

– Kompletnie nic.

W głębi hallu Vic zauważył jakieś schody. Zszedł nimi i trafił na drzwi prowadzące do przestronnej piwnicy. W komórce utworzonej pod drewnianymi stopniami piętrzyły się narty, sanki, liny i czekany. Vadim podszedł do tego rozgardiaszu i przewrócił narty, wywołując lawinę kolejnych przedmiotów.

– Cholera!

Nie czekając, aż kolega wygrzebie się z opresji, Vic kontynuował przeszukanie. Wzniesając chmurę kurzu, uniósł plandekę, pod którą znajdował się nieużywany od wieków skuter śnieżny. Kucnął i przyjrzał się posadzce. Przeciągnął po niej palcem.

– Podłoga jest czysta. Zero kurzu, chociaż skuter i plandeka są zakurzone.

– Niedawno umyta?

– Mam wrażenie, że tak.

Wstał i popadł w zadumę. Nad blatem roboczym, na którym walał się sprzęt do majsterkowania, wisiało mnóstwo narzędzi. Vic zdjął z gwoźdźca grubą niebieską gumę, jedną z kilkudziesięciu innych.

– Taką samą gumą umocowana była folia na głowie ofiary z bagażnika.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Gruba niebieska guma. To się stało tutaj. Idź po Mattiolego. I przynieś bluestar.

Vadim wykonał polecenie, a Vic zaczął odczuwać pierwsze symptomy strachu podchodzącego do gardła. Po dziesięciu minutach jego partner wrócił z Mangematinem, gospodarzem i butelką ze spryskiwaczem wypełnioną płynem, dzięki któremu w ciemności można dostrzec ślady krwi – nawet jeśli zostały starte lub zmyte.

Vic odwrócił się do Mangematina.

– Zgaszę światło. Pilnuj go.

Policjant chwycił rękę Mattiolego. Vic wcisnął wyłącznik i stanął na środku pomieszczenia ze spryskiwaczem w rękę. Uruchomił urządzenie, a wtedy podłoga przybrała tak intensywnie niebieski kolor, że twarze i dłonie mężczyzn, które zdawały się unosić w powietrzu, wyglądały jak pobielone wapnem. Vic przesunął się trzy metry dalej i powtórzył operację. Efekt był wszędzie taki sam.

– Powierzchnia jest za duża i zbyt regularna. Mam wrażenie, że podłoga została umyta wybielaczem, który zawiera sól, a ten reaguje z bluestarem, uniemożliwiając wykrycie krwi.

– Co pan opowiada? Nie rozumiem ani słowa z waszego żargonu, nigdy niczego takiego nie robiłem!

Po jakichś trzydziestu sekundach blask zaczął ustępować. Vic zapalił światło i spojrzał Mattiollemu prosto w oczy.

– Będzie pan musiał nam to wyjaśnić.

– Co mam wyjaśnić? Przyjeżdżacie do mojego domu, zakuwacie mnie w kajdanki, spryskujecie tym czymś moją piwnicę... Kurwa, czego wy szukacie? Co się dzieje?

Vadim chwycił go za golf i przyparł do ściany.

– A to się dzieje, że pewna biedna dziewczyna, którą znaleźliśmy w poniedziałek w bagażniku pewnego samochodu, prawdopodobnie została zaszlachtowana w pana pieprzonej piwnicy. A morderca po skończeniu roboty wszystko tutaj wymył, żeby nie zostawić śladów. Albo będzie pan mówił teraz, panie Mattioli, albo wylądуйте pan w celi.

Mattioli albo tak świetnie grał, albo rzeczywiście był w szoku. Kiedy Vadim go puścił, mężczyzna ze skutymi z tyłu nadgarstkami osunął się po ścianie, aż usiadł. Był oszołomiony. Potrzeba było ponad minuty, żeby się wreszcie odezwał:

– Ale ja... przyjechałem dziś rano, możecie spytać moich dzieci. Jutro dołączy do nas żona i będziemy szykować wieczerzę. Mamy mieć dwadzieścioro gości! Poza kilkoma okresami w roku, które spędzam tu z rodziną, wynajmuję ten dom w serwisach internetowych, takich jak LocHolidays. Edelweiss był wynajmowany przez ostatni tydzień aż do dzisiejszego ranka.

P o słowach Mattiolego policjanci popatrzyli na siebie jak nastolatki, którzy pierwszy raz widzą nagą kobietę. Vadim wrócił do gospodarza.

– Wynajmowany przez kogo?

– Nie pamiętam, ale wszystkie informacje mam w laptopie, jeśli...

– Idziemy.

Rozkuli go i wrócili na parter. Po trzech kliknięciach Alexandre Mattioli wszedł na stronę LocHolidays i zalogował się na swoim koncie. Na drugim końcu pomieszczenia dzieci spokojnie oglądały kreskówki, a Dupuis palił na zewnątrz z telefonem przy uchu. Właściciel najpierw pokazał im ogłoszenie z galerią dwudziestu zdjęć budynku od piwnicy po piętro.

– To widzą ludzie. Wynajmuję Edelweiss od sześciu lat. Nigdy nie było problemów. Nie mogę w to uwierzyć. – Kliknął w zakładkę, z której poziomu mógł zarządzać swoim kontem. – Proszę. Dom był wynajęty przez jakiegoś Pierre'a Moulina od ostatniej soboty do dzisiejszego ranka.

– Jakiegoś? Przecież ma pan jego adres, numer telefonu?

– Absolutnie nie. Tylko adres e-mail.

Wyświetlił adres: pie.moulin22@yopmail.com. Oczywiście fałszywe konto. Wskazał na monitor.

– Co może pan nam o nim powiedzieć? Jak wygląda?

– Nigdy go nie widziałem.

Vadim oparł się pięściami o biurko i przyjął postawę goryla.

– Nie, to już przegięcie. Szlag, wynajmuje pan dom gościowi, którego pan nie widział na oczy?

Mężczyzna był zszokowany. Potrzebował na odpowiedź dłuższej chwili, co jeszcze bardziej zirytowało Vadima, którego cierpliwość miała swoje granice.

– To jest zasada najmu online i często tak to się odbywa. Wejdźcie sobie na fora, to zobaczycie. Zawsze zostawiam lokatorom klucz we wskazanym miejscu.

Na ogół w dniu ich wyjazdu w ich obecności przeprowadzam małe oględziny, ale ci akurat wyjechali, zanim tu dotarłem. Wszystko było bez zarzutu, pościel z jednego łóżka została włożona do pralki, reszta była czysta. Klucz znalazłem w tym samym miejscu, dlatego więcej nie sprawdzałem. Mieliśmy zresztą bardzo serdeczną wymianę maili. Pan napisał, że przyjeżdża z żoną i sześciolletnią córką. Wydawał się uczciwy, zapłacił nawet z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Zważywszy na cenę tygodniowego najmu, z pewnością są to osoby, do których...

– ...do których mógł pan mieć zaufanie, tak? No jasne, nadziani goście nie ukradną panu łyżeczek, co?

Vadim był u kresu wytrzymałości. Ruchem podbródka zachęcił Mattiolego do kliknięcia w profil Pierre'a Moulina. Użytkownik zarejestrowany niespełna rok wcześniej. Brak opisu i komentarzy. Zdjęcie zbyt doskonałego modela: blond czupryna, olśniewający uśmiech, widoczny kołnierzyk koszuli. Było jasne, że do tej pory nie wynajął żadnej nieruchomości.

– Sprawdźmy to, ale najprawdopodobniej to wszystko ściema. Fałszywy e-mail, fałszywe nazwisko, fałszywy profil założony specjalnie na tę okazję i bez wątplenia fałszywe zdjęcie. Pierre Moulin, inicjały P.M., tak jak Profesor Moriarty. Duch, który zawsze pozostaje w cieniu, niewidzialny człowiek o wyglądzie niemożliwym do ustalenia.

– Profesor Moriarty?

– Jak zapłacił?

Alexandre Mattioli wyświetlił inną stronę.

– Przelewem w wysokości tysiąc dwieście euro na moje konto za pośrednictwem Western Union.

Kolejny trop, którego nie da się zbadać. Vadim z wściekłością machnął ręką. Western Union to działająca na całym świecie sieć agencji umożliwiająca przekazywanie pieniędzy między nadawcą a odbiorcą w dowolny sposób. Można wejść do jednego z biur z gotówką i przelać ją na konto bankowe jakiegokolwiek osoby w dowolnym miejscu na Ziemi. Nie zadają tam żadnych pytań. W ten sposób na przykład prostytutki ze Wschodu zasilają konta swoich alfonsów, którzy pozostali w kraju.

– Western Union? I to panu nie dało do myślenia? Nikt z tego nie korzysta!

– Ależ oczywiście, że korzysta. To sposób dopuszczony w serwisie i nie był to pierwszy raz. Nigdy nie miałem...

– Niech pan pokaże innych gości.

Mattioli wykonał polecenie i przeszedł do historii najmu. Kursorem myszki wskazał na trzy wyniki.

Luty 2013, Paul Michalak, wynajął willę na pięć dni. Luty 2014, Pierrette Mavrotte, sześć dni. Styczeń 2015, Patricia Muette, pięć dni.

Trzy razy P.M. Moriarty trzykrotnie wynajmował dom. Vic w osłupieniu spojrzał na kolegę.

– Delpierre nie pierwszy raz umył tę podłogę. Może kilka miesięcy, kilka lat temu były tu inne... Inne dziewczyny, które zabił na polecenie Moriarty'ego, a potem użył ich skór, by stworzyć tę potworną lalkę.

Wezwana przez Manzata ekipa techników, która przyjechała pod wieczór, postanowiła się skupić na piwnicy. Trzej mężczyźni włożyli kombinezony, ochraniacze na buty i czepki, i odgrodzili powierzchnię taśmą, a następnie badali każdy centymetr kwadratowy pomieszczenia, w którym według wszelkiego prawdopodobieństwa zamordowano dziewczynę z bagażnika i być może inne ofiary.

Dwie godziny od przyjazdu policji Alexandre Mattioli wciąż nie mógł się otrząsnąć. Siedział w salonie na brzegu sofy z dłońmi wciśniętymi między uda oraz pustym wzrokiem i rozmawiał z Mangematinem. Jak ma jutro świętować z dwadzieściorciem innych osób, skoro w jego domu została zamordowana kobieta, a może nawet kilka kobiet? Jak spać w miejscu rzezi? Jak tu dalej mieszkać?

Vic, Vadim i Manzato stali w drzwiach do jednej z sypialń na piętrze. Vadim fotografował pokoje swoim telefonem. Dwaj inni funkcjonariusze, którzy przyjechali z komendantem, poszli na rozpytanie do wioski położonej kilometr dalej: czy mieszkańcy w ostatnich dniach coś zauważyli, słyszeli albo widzieli?

– Według Mattiolego w ostatnim tygodniu korzystano tylko z tego pokoju. Pozostałe były nietknięte – wyjaśnił Vadim szefowi. – Kiedy dziś rano tutaj przyjechał, znalazł w pralce pościel z tego łóżka. Wilgotną, bo została w bębnie. Prawdopodobnie więc gość był sam, bez żony i córki, które zaznaczył podczas rezerwacji.

Alain Manzato żuł gumę z zamkniętymi ustami, aż od ruchów szczęk unosiły mu się skronie. Wyglądał jak prawdziwy klawisz. Dalej mówił Vic:

– Mattioli nigdy nie widział ani Paula Michalaka, ani Pierrette Mavrotte, ani Patricii Muette. Pasuje to do postaci Moriarty’ego stworzonej przez Conana Doyle’a: nie wiadomo, jak wygląda, nikt nie jest w stanie go opisać. Profile za

każdym razem tworzone są specjalnie na tę okazję, zdjęcia pewnie ściągane z internetu, wpłaty anonimowe. Chata jest zawsze czysta.

Manzato przeszedł do końca korytarza i stanął przed stuosiemdziesięciostopniową panoramą, którą wypełniały tylko cienie odcinające się w świetle księżyca.

– Być może dowiemy się, kto został zamordowany w tej piwnicy w ubiegłym tygodniu. Wreszcie dostaliśmy profil DNA ofiary bez twarzy z bagażnika. W tym momencie sprawdzają go w bazie śladów genetycznych, w każdej chwili mogą do mnie zadzwonić. Miejmy nadzieję, że uda się ustalić tożsamość. Profile DNA kawałków skóry, z których uszyty był „obiekt” z piwnicy Delpierre’a, powinny być gotowe w najbliższych dniach. – Wrócił do swoich ludzi. – Okej, można powiedzieć, że cały ten miszmasz zaczyna się trochę bardziej układać. Nie wiemy co prawda, dokąd Delpierre jechał, żeby pogrzebać zwłoki, ale wiemy już, skąd wyruszył: z piwnicy tego domu, w ostatni poniedziałek, czyli dwa dni po tym, jak go wynajął.

Vic zaczął chodzić wte i wewte wzdłuż przeszklonej ściany.

– Jeśli wyświetlimy sobie ten film od początku, to co widzimy? W poniedziałek Delpierre alias Doktor Watson przygotowuje się do zabicia Apolline, niewidomej dziewczyny, mniej więcej szesnastolatki. Na jego numer przychodzi esemes od niejakiego Moriarty’ego, który każe mu się natychmiast połączyć z darknetem. Delpierre wchodzi na zaszyfrowaną stronę i nie zamyka sesji, dzięki czemu uzyskaliśmy dostęp do systemu. Znajdujemy na niej zamieszczony przez Moriarty’ego adres tej willi. Trzeba odebrać paczkę. Delpierre niezwłocznie przyjeżdża na miejsce. Nie wiemy, dlaczego niezwłocznie, ale zdarzyło się coś, co wywołało lawinę zdarzeń, które już znamy. Delpierre przyjeżdża tu swoim fordem na fałszywych tablicach, wchodzi do willi... – Porucznik przeszedł korytarzem w stronę frontu budynku, tam gdzie stały teraz ich samochody. – Trudno powiedzieć, czy ktoś na niego czekał. W każdym razie tamtego dnia się nie spotkali.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Esemesy. O dziewiętnastej dwadzieścia osiem w wiadomości wysłanej do Moriarty’ego Delpierre oświadcza, że odebrał paczkę. Paczka to nieznajoma z bagażnika, to ona była w tym domu.

Oczy Vica zmętniały. Wpatrując się w ciemność, wyobraził sobie spacerowiczów, którzy przechadzali się po okolicy, patrzyli na fasadę tej wspaniałej willi, nie podejrzewając, że w środku dzieją się takie potworności.

– Delpierre pakuje ofiarę, którą zabił ciosem w głowę, do bagażnika. Spokojnie sprząta, wkłada pościel do pralki, myje posadzkę piwnicy wybielaczem, który najskuteczniej usuwa ślady biologiczne. I rusza w drogę.

Teoretycznie powinien jechać pozbyć się zwłok, pogrzebać je, obfotografować i opublikować dowód swojej pracy w darknecie do wiadomości Moriarty'ego. Zawraca jednak do swojego domu, żeby odciąć dłonie, wydłubać oczy i zdjąć skórę z twarzy, dzięki czemu kończy swoje dzieło, i w dalszą drogę wyrusza około dwudziestej pierwszej. Ale dochodzi do zdarzenia na stacji benzynowej. I mamy to, co mamy.

Manzato i Vadim słuchali bez słowa.

– Moriarty wynajmował tę willę trzykrotnie, zawsze posługując się fałszywą tożsamością, tak żeby nie można było go namierzyć. Trudno o bardziej ustronne i osłonięte przed ludzkim wzrokiem miejsce. Gdybyście w środku krzyczeli, nikt was nie usłyszy. Czy przyjeżdżał tu sam? Czy za każdym razem towarzyszyła mu dziewczyna z bagażnika? A może inne? Czy doszło tu do innych morderstw? Tego na razie nie da się powiedzieć. Ale jestem prawie pewien, że Moriarty powtarzał ten schemat w innych miejscach: fałszywa tożsamość, kompletnie anonimowy wynajem lokalu za pośrednictwem specjalnego serwisu.

Vadim skinął głową.

– Bo gdyby tak nie było, nie musiałby podawać Delpierre'owi adresu. Wystarczyłoby tylko hasło w stylu „paczka do odebrania”. Tak?

– Otóż to. Skoro podaje adres, to znaczy, że jest ich więcej. Poza tym na manekinie są skóry ośmiu ofiar. Osiem ofiar, które przewinęły się przez bagażnik Delpierre'a. Robili to też w innych miejscach, które mogą się znajdować gdziekolwiek na terenie regionu.

Trzej mężczyźni zapadli w pełne zadumy milczenie. Z kim mają do czynienia? Czy Moriarty torturuje dziewczyny w budynkach położonych na uboczu, a potem za pośrednictwem Delpierre'a się ich pozbywa? Kto je porywa? Jak to działa? Z zamyślenia wyrwał ich dzwonek telefonu Manzata. Kiedy komendant rozmawiał, jeden z techników poprosił obu poruczników, by zeszli do piwnicy, gdzie był już Mangematin, który starał się sporządzić dokładny raport z miejsca zbrodni.

Ich kolega wskazał na młotek umieszczony w torbie na dowody.

– Wisiał na swoim miejscu, tutaj, na ścianie, ale zareagował w kontakcie z bluestarem: to jedyne narzędzie umyte wybielaczem.

Vadimowi jakby cały ciężar świata zwał się nagle na ramiona.

– Pieprzony Delpierre rozwalił jej czaszkę tym jebanym młotkiem. Egzekucja z zimną krwią. A potem wpakował sobie kulkę w głowę, żebyśmy nie mogli nic zrobić. Kurwa, nie, mam tego naprawdę dość.

Mangematin polecił im, by szli za nim. Podeszli do wzmocnienia schodów.

– Przesunęliśmy sprzęt narciarski i patrzcie, co znaleźliśmy. Właściciel stanowczo twierdzi, że ani on, ani jego żona tego nie wyrzeźbili. Ani tym bardziej

dzieci.

Skierował strumień latarki na wewnętrzną stronę trzeciego stopnia: żeby zobaczyć to miejsce, trzeba było przykucnąć. Vic zmrużył oczy. Jakiś kształt wycięty w drewnie. Mała ryba z długą zaostrzoną płetwą ogonową.

– Mieczyk.

Vadim również przyklęknął.

– Co znowu?

– Mieczyk, rybka słodkowodna hodowana w akwariach. Klasyk, jak gupiki albo neonki. Nie wyróżnia jej nic poza tą płetwą. Nie jest agresywna ani skomplikowana.

Vic przeciągnął palcami po naciętym drewnie.

– Starannie wycięta nożem.

Vadim zrobił zdjęcie swoim telefonem.

– Sądysz, że to coś w stylu podpisu?

– Niewidoczne miejsce pod schodami... Na to wygląda. Może ten drań Delpierre chciał tutaj zostawić swój ślad. Jakby znaczył terytorium, brał je w posiadanie. Myślę, że gdyby nie to zdarzenie na stacji benzynowej, dalej wynajmowaliby ten dom jakby nigdy nic. Elegancki, na uboczu, nikt nie widzi, co tu w nim robisz.

Manzato się rozłączył i schodził do nich po stopniach. Wciąż żuł gumę, ale w niesamowicie wolnym tempie, jakby jego organizm działał teraz na zwolnionych obrotach. Nabrał głęboko powietrza, zrobił wydech i z opuszczonymi ramionami podszedł do swoich ludzi. Pokiwał głową.

– No więc wiemy, kim jest dziewczyna, która została tutaj zamordowana, baza danych przemówiła. Namierzyliśmy anonimową ofiarę z bagażnika. I mamy cholerny problem.

Léane zadzwoniła do gabinetu psychiatry Johna Bartholomeusa z ogólnodostępnego telefonu w szpitalu. Odebrała sekretarka. Tak, doktor pracuje dziś do osiemnastej, i nie, dzisiaj nie ma już wolnych miejsc. Mimo to wyruszyła w drogę: musiała z nim porozmawiać za wszelką cenę.

Dotarła do Reims około dwunastej czterdzieści pięć. Czuła, że każdy przejechany kilometr odcisnął się na jej twarzy. Miała już dość. Nie była to już kwestia dnia czy nocy, głodu czy pragnienia: funkcjonowała w trybie przetrwania, z ciężkimi i ciemnymi worami pod oczami. Była już tylko matką gotową na wszystko, by odnaleźć swoją córkę, tak jak Jullian przez cztery niekończące się lata. Przejęła pałeczkę.

Zaparkowała na ulicy sąsiadującej z tą, na której znajdował się gabinet psychiatry. Nie było tu znaków stopu ani sygnalizacji świetlnej, co pozwalało szybko wsiąść za kółko i zniknąć bez śladu za zakrętem sto metrów dalej. Bo takie miała przeczucie: gdy tylko wyjdzie z gabinetu, będzie musiała biec. I to szybko.

Spod jej czapki nie wystawał ani jeden włos. Opatulona w ubrania, które zasłaniały jej połowę twarzy, w wełnianych rękawiczkach, zadzwoniła do drzwi poradni znajdującej się między dwoma blokami. Budynek o przyciemnianych szybach służył, jak głosiła umieszczona na ceglanej ścianie tablica, czterem specjalistom, począwszy od psychologa, a na psychiatrze dziecięcym skończywszy. Gdy rozległo się brzęczenie, weszła do środka i zagadnęła sekretarkę, która siedziała za recepcyjną ladą.

– Chciałabym porozmawiać z doktorem Bartholomeusem.

– Jego gabinet jest dziś wyjątkowo zamknięty od trzynastej do piętnastej, informacja wisi przy wejściu. Doktor wyszedł na obiad. Jest pani umówiona?

Léane wyszła, bełkocąc ledwie słyszalne podziękowanie. Stanęła naprzeciw budynku w przedsionku do jednego z bloków i jeszcze raz spojrzała na zdjęcie Bartholomeusa znalezione w internecie. Mężczyzna około pięćdziesiątki, okulary

o szklach jak denka od butelek, twarz wysuszona jak martwe drewno. Prawdziwe oblicze tajemnicy zawodowej.

Musiała zabić dwie godziny. Wróciła do samochodu po książkę Michela Eastwooda i opierając się o ścianę, zaczęła czytać. Wciągające, od samego początku. Uwięziony pisarz, kryminalna intryga, krótkie rozdziały. Każda przeczytana strona budziła w niej zmieszanie. Jasne, książka różniła się od *Niedokończonego rękopisu*, ale...

Czuła dojmujący niepokój i im dłużej czytała, tym bardziej uświadamiała sobie, że Pamela albo celowo umniejszała rozmiary katastrofy, albo ich nie dostrzegła. Léane ukryła w swojej powieści zagadki, o których nikomu nie wspomniała. Wyłuszczyła cyfrę 2, podkreśliła palindromy, by zasygnalizować efekt lustra, podwójność. Laval, Noyon, zespół ABBA. Eastwood zastosował tę samą metodę. A raczej to ona skopiowała to, co zrobił Eastwood. Tu jakieś słowo, tam jakiś pomysł. To się rzucało w oczy. Pisała spontanicznie, przekonana, że te zabiegi są wytworem jej szarych komórek, bez najmniejszego zamiaru zaszkodzenia komuś, kopiowania go.

Plagiat. Chciało jej się wymiotować. Co się stało z jej pamięcią? Dlaczego zjawisko kryptomnezji ukryło tę książkę? „Wybrała pani ten pseudonim w ramach pokuty? Żeby nigdy nie zapomnieć?”, powiedział Giordano. Ale o czym zapomnieć? Pomyślała o tym powracającym obrazie, który towarzyszył jej przez większość życia – dłoń Enaëla wychodząca jej przez gardło – o mrocznym charakterze swoich tekstów, o tym, dlaczego właściwie czuła potrzebę pisania. Wbrew temu, co opowiadała dziennikarzom, to wszystko musiało mieć jakiś sens.

Psychiatra wrócił o czternastej pięćdziesiąt i na jakiś czas uwolnił ją od udręki. Był opatulony w krótki czarny płaszcz, na głowie miał kowbojski kapelusz w kolorze butelkowej zieleni. Léane upchnęła książkę do kieszeni, podbiegła i zastąpiła mu drogę.

– Doktor Bartholomeus? Nie zajmę panu dużo czasu. W związku z tekstem, nad którym pracuję i o którym panu opowiem, potrzebowałabym kilku informacji na temat pewnego procesu, w którym występował pan w roli eksperta. Czy mogę liczyć na szybkie spotkanie? Może po pana wizytach? To nie potrwa długo.

– Przykro mi, ale to nie jest mój sposób funkcjonowania. Nie udzielam też informacji tego typu byle komu, bez wyraźnie sformułowanej prośby ze strony...

Léane odchyliła jedną część kurtki.

– Taka prośba panu wystarczy?

W prawej dłoni trzymała teraz pistolet, celując do niego przez tkaninę płaszcza. Czoło pod czarną wełnianą czapką miała mokre od potu. By dodać sobie odwagi, pomyślała o zdjęciu Sary.

– Jedno słowo, jeden ruch, a nie zawaham się użyć broni. Wejdziemy spokojnie, pan pierwszy. Proszę nie robić głupstw, a wszystko będzie dobrze.

Stała za nim. Bartholomeus posłuchał. Siłąc się na stanowczość, dał sekretarce do zrozumienia, żeby w żadnym wypadku im nie przeszkadzać, i weszli do gabinetu. Nie spuszczać go z oczu, Léane przekręciła zamek w drzwiach. Psychiatrya schronił się za swoim biurkiem, trzymając na widoku lekko uniesione dłonie.

– Proszę pani, ja...

– Nie przyszłam zrobić panu krzywdy. Przeczyta mi pan informacje, o które pana poproszę, i wyjdę. I niech mi pan tu nie opowiada o tajemnicy zawodowej.

– Ale... czy mogę chociaż usiąść?

Léane skinęła głową. Z ustami zasłoniętymi szalikiem ważyła każde słowo. Musiała mówić jak najmniej i zachować anonimowość. W ostateczności udać uciekinierkę z psychiatryka. To by mu się spodobało.

– Proces w sprawie Giordana, Lyon, dwa tysiące jedenasty rok. Występował pan w nim jako ekspert. Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Nic, ja...

– Doktorze!

Spojrzał na lufę broni, poruszoną lekko przez Léane.

– Co chce pani wiedzieć?

Rzuciła na biurko pamięć USB.

– Wszystko. Zakładam, że z każdego procesu sporządza pan sprawozdanie, które przechowuje pan na komputerze. Proszę je skopiować na ten pendrive. A potem niech pan mi o nim opowie.

Spojrzał na pamięć przez grube szkła, sięgnął po nią i niechętnie wykonał polecenie. Léane nadzorowała, stojąc tuż za jego plecami. Po skopiowaniu pliku sięgnęła po urządzenie i włożyła je do kieszeni.

– Świetnie. A teraz słucham. Proszę o precyzję, oszczędzi mi to ślęczenia nad aktami.

Ponieważ milczał, Léane przystawiła mu lufę do karku.

– Ostatni raz.

– Ekhm... Proces w sprawie pana Giordana był niejawnym wnioskiem jednego z powodów, ponieważ dotyczył gwałtów i aktów okrucieństwa. Nie nadano mu żadnego rozgłosu, prasa nigdy się o nim nie dowiedziała. To była bardzo delikatna sprawa, która mogłaby wyrządzić poważne szkody w szeregach francuskiej policji.

Gwałt, okrucieństwo. Léane poczuła, że jej dłoń z pistoletem się trzęsie. Rozedrgana, usiadła w fotelu po lewej ręce psychiatry.

– Co zrobił Grégory Giordano?

– Najpierw trzeba naszkicować kontekst. Jednostka, w której w tamtym czasie pracował pan Giordano, zajmująca się handlem ludźmi, to z pewnością jeden z najcięższych wydziałów policji. Pedofilia, gwałty, niewolnictwo, znęcanie się to dla tych funkcjonariuszy codzienność. Mają do czynienia z najpodlejszym złem i przemocą w czystej postaci od pobudki do chwili zaśnięcia. Jeżeli udaje im się zasnąć. Nieustannie igrają z własnymi ograniczeniami, są konfrontowani z takimi horrorami, że z czasem trudno im rozpoznać, gdzie leży granica między dobrem a złem.

Spokojnym ruchem zdjął kapelusz i położył go przed sobą. Z rozczochranymi włosami wyglądał jak przerażony strach na wróble.

– Pamiętam ten proces... Tę szczególną atmosferę, to klaustrofobiczne poczucie zamknięcia w sali rozpraw. Grégory Giordano był dobrym, zaangażowanym gliną, miał wyniki, rozwiązywał wiele trudnych spraw. Pierwsze udowodnione, obciążające go fakty pochodziły sprzed jakichś dziesięciu lat. Dowiedziono, że Giordano w szerokim zakresie nadużywał swojej pozycji: przymykał oczy na niektóre nielegalne praktyki w zamian za darmowy seks, stosunki oralne, zaproszenia na rozwiązłe imprezy. Przez wszystkie te lata obcowania ze społecznymi dołami, korzystając z prowadzonych śledztw, stworzył sobie bazę adresów. Znał każdą siatkę, każdy chodnik, każde zakazane miejsce. – Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki pomasażował zaczerwienione oczy. – Proces ujawnił, że w dwa tysiące ósmym jego zapędy wzrosły. W seksie stawał się coraz bardziej brutalny, jakby miał w sobie bestię, która tylko czeka, aż zostanie sam w towarzystwie prostytutek na przedmieściach Lyonu. Równoległe prowadził zwyczajne życie z żoną i córką: wspólne wyjścia, przyjaciele. Oczywiście mimo że ich związek zaczął podupadać, pani Giordano nie miała pojęcia o jego postępowaniu, jej mąż prowadził doskonale podwójną grę. Trudno żyć z policjantem, który pracuje w takich podejrzanych środowiskach i nigdy o niczym nie opowiada. – Z nieśpieszną starannością wyczyścił okulary i z powrotem założył je na nos. – Sytuacja Giordana uległa definitywnemu załamaniu rok później, kiedy między Lyonem a Grenoble zaczęła działać siatka oferująca dziewczyny ze Wschodu. W tym okresie państwo Giordano się rozwiedli: żona nie mogła już znieść jego ciągłych nieobecności i milczenia. Otrzymała pieczę nad dzieckiem, co doprowadzało ojca do wściekłości. Zarzucił swoje sieci na młodą, zaledwie osiemnastoletnią prostytutkę, zagubioną i przestraszoną, którą wypatrzył podczas jednej z „interwencji”.

Léane siedziała z bronią na kolanach i uważnie słuchała.

– Giordano wykonywał wobec niej czynności, które w sytuacji wzajemnej zgody nazywa się sadomasochistycznymi, ale w tym kontekście było to upokarzanie, gwałt i tortury. Śledztwo wykazało, że gość lubi doświadczać bólu,

ale przede wszystkim go zadawać. Trwało to ponad rok i mogłoby trwać dalej, gdyby Giordano nie dał się złapać na gorącym uczynku w pewnym górskim hotelu w ramach zasadzki zorganizowanej przez policję z Chambéry, która rozpracowywała tę siatkę.

Léane czuła, że robi jej się niedobrze. O tych potwornościach Giordano jej nie opowiedział. Mimo że był skuty kajdankami i w kiepskim stanie, zdołał wyprowadzić ją w pole.

– A jaki był wyrok?

– Do sporządzenia ekspertyzy przydzielono trójkę psychiatrów. Mieliśmy przeprowadzić bilans stanu psychicznego pana Giordana, który w dniu, gdy go zatrzymano, robił wszystko, by nas przekonać, że jest w głębokim kryzysie psychicznym, że rozwód i praca go złamały, że on również jest tylko ofiarą. Był w tamtym czasie na antydepresantach, co potwierdziły badania toksykologiczne. Ale czy rzeczywiście miał depresję? Dwaj moi koledzy tak sądzili, ja nie. Ale jak zwykle rację miała większość. – Po sposobie, w jaki mówił, widać było, że ta porażka jeszcze mu ciąży. – W dodatku ofiara mimo tego, przez co kazał jej przejść, i mimo fizycznych obrażeń, które potwierdzały zdjęcia, kryła go i zeznała, że ślady po uderzeniach, przypalaniu papierosem i nacięciach to robota innych klientów. Ta mała była krucha, podatna na wpływy, przestraszona. Bała się Giordana nawet zza krat. Mimo że złapano go na gorącym uczynku, nie było zeznań świadków, a koledzy bronili jego niewinności jako wzorowego policjanta. Na podstawie wszystkich tych przesłanek dostał trzy lata odsiadki oraz zakaz zbliżania się do byłej żony i córki przez rok po zwolnieniu, podczas którego miał dowieść, że się dobrze prowadzi: usatkwować się i nie mieć żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości.

– Mówi pan, że pana zdaniem nie był w depresji. W takim razie co mu było?

– Wszystko jest w tym pliku.

– Chcę to usłyszeć z pańskich ust.

Na chwilę znieruchomiał, a jego spojrzenie stało się nieobecne, po czym wrócił do swojej rozmówczyni.

– Moim zdaniem Giordano przejawiał cechy psychopatii i perwersji w psychiatrycznym znaczeniu tego słowa: chęć posiadania, czerpania przyjemności bez ograniczeń i używania innego człowieka według własnego widzimisie. Uprzedmiotowanie ofiary, brak empatii, psychomanipulacja, żądza zadawania bólu, a wszystko to na zimno i pod jego absolutną kontrolą. Dziewczyny, które go interesowały, miały identyczne cechy fizyczne, a te, które nie mieściły się w tych ramach, nie interesowały go kompletnie, nie istniały.

Léane poczuła, jak na samą myśl, że miała przed sobą takiego drapieżcę, po karku przechodzi jej dreszcz.

– Oprócz antydepresantów w jego organizmie znaleziono ślady kokainy. Ten narkotyk działa stymulująco i nie wchodzi w niebezpieczne interakcje z lekami, które zażywał. Być może chciał za jego pomocą zneutralizować działanie antydepresantu i zachować, jak by to powiedzieć, całą swoją sprawność, cały seksualny apetyt. Uważam, że w świetle wniosków, które przedstawiłem w raporcie, powinien być leczony w szpitalu psychiatrycznym. Więzienie nie jest żadnym rozwiązaniem w przypadku takich jednostek.

– Sądzi pan... że po wyjściu mógł zacząć od nowa?

Bartholomeus milczał, co dla niej już samo w sobie było odpowiedzią. Léane była w szoku: Giordano skłamał. Tak, pobił alfonsa, ale nie w ramach operacji, o której opowiadał. Nie wspomniał też o procesie, więzieniu ani torturach.

Czy rzeczywiście miała przed sobą skutego perwersa? Drania, który mimo złej formy i dramatycznej sytuacji nie przestawał grać, kontrolować i manipulować? Pozbawionego empatii psychopatę?

– Doktorze, jeszcze jedno. Donjon noir: wie pan, co to jest?

Poważnie skinął głową.

– Nie powiedziałem pani o tym. To klub, którego Giordano był stałym klientem. Śledztwo ujawniło, że w okresie, gdy znęcał się nad tą prostytutką, od miesięcy łączyły go stosunki natury sadomasochistycznej z jedną z pracownic Donjon noir. Miała na imię Mistik, a tak naprawdę Charlotte Henry. Dwadzieścia parę lat temu była performerką.

Zadzwoił jego telefon. Psychiatra powolnym ruchem wyciszył dźwięki.

– Jeśli poszuka pani trochę informacji na jej temat i dowie się pani, na czym polegała jej sztuka, lepiej pani zrozumie atmosferę, w jakiej odbywał się ten proces. Została wezwana na świadka przez oskarżenie, aby pokazać, jak daleko w swoich praktykach seksualnych potrafił się posunąć Giordano. Nie pogrążyła go jednak, wręcz przeciwnie. Najwyraźniej trzymała jego stronę.

Może Jullian nie dotarł aż tak daleko. Z pewnością wśród rzeczy Giordana znalazł trop Donjon noir, ale czy trafił gdzieś na imię Mistik? Możliwe, że jego śledztwo utknęło w ślepym zaułku.

– Doktorze, ostatnia rzecz. Jaki był profil fizyczny dziewcząt, które go interesowały?

Zamyślił się, skierował wzrok na sufit, po czym spojrzał na Léane.

– Jeśli dobrze pamiętam, chodziło o ładne szczupłe blondynki o dużych niebieskich oczach.

Informacja ta była dla Léane takim szokiem, że kobieta nie potrafiła sformułować żadnej myśli: w jej głowie wszystko się mieszało, miała już dosyć tej drogi, tego napięcia, tego stresu i braku snu. Spojrzała na swoją broń, na lufę, którą ona, Léane Morgan, celowała wcześniej w psychiatrę, i wydało jej się,

jakby ta ręka, ta dłoń zaciśnięta wokół rękojeści nie należały do niej. Wstała i prawie się zataczając, zrobiła krok do tyłu.

– Więcej... więcej mnie pan nie zobaczy. Jeśli – zamknęła oczy, usilnie poszukując właściwych słów – jeśli się dowiem, że zadzwonił pan na policję, wrócę. Ja... Niech pan o mnie zapomni.

Do samych drzwi trzymała go na muszce, a następnie schowała broń za pazuchę i omijając wzrokiem sekretarkę, wyszła. Nie biegła, ale szybkim krokiem szła ulicą, dwieście metrów dalej skręciła w bok, wsiadła do samochodu i na pełnym gazie ruszyła. Serce waliło jej tak mocno i szybko, że czuła się jak po morderczym sprincie.

Ona i Jullian więzili mężczyznę, który siedział za kratkami między innymi za gwałt na osiemnastoletniej kobiecie. Mężczyznę, który uprawiał seks sado-maso i fantazjował o niebieskookich blondynkach takich jak Sarah. Wtedy przypomniała jej się Roxanne i jej włosy ufarbowane na czarno. Czerń, fortel matki, który miał odwrócić zapędy ojca, by chronić córkę. Choć Grégory Giordano wyszedł z więzienia jako wolny człowiek i pozwolono mu na kontakty z Roxanne, w głębi duszy nigdy nie przestanie być drapieżcą.

Pomyślała też o czapce, która należała do Sary i którą Giordano włożył na głowę Roxanne, i nagle przypomniała sobie słowa nastolatki: „Ojciec lubi, kiedy ją noszę”. Zobaczyła wtedy swoją córkę, swoją córeczkę, w tej samej czapce, jej długie blond włosy opadające na ramiona, zobaczyła, jak z rozłożonymi rękami, z pewnością we łzach, wiruje na śniegu przed Giordanem, który ją ujarzmił w tym odludnym zakątku Vercors, z szarym błyskiem w oczach i papierosem w ustach.

A jeśli ten drapieżca Giordano wrócił na miejsce swoich występków z własną córką, by przeżyć tam jeszcze raz te brudne, perwersyjne fantazje? I kiedy patrzy na Roxanne w tej czapce, w rzeczywistości widzi Sarę?

Wczepiła się palcami w kierownicę, aż wbiły się w tworzywo. Koniec ze zbiegami okoliczności. Giordano maczał w tym palce, teraz była o tym głęboko przekonana.

Droga na północ wlokła się bez końca. Léane kilka razy złapała się na tym, że przysypia. W schowku znalazła gumę, którą żuła szybkimi ruchami, by zachować przytomność. Pogoda się zmieniła, nie było już wystarczająco zimno na śnieg, o przednią szybę bębniły krople deszczu. Musiała trzymać kierownicę jak koło sterowe statku podczas sztormu.

Dotarła na miejsce około osiemnastej trzydzięci. Przejechała przez Berck-Ville, następnie przez Berck-Plage, wymarły, opuszczony kurort, smagany tak rześnistą ulewą, że człowiek miał wrażenie, jakby był na pełnym morzu. Po lewej wgrzyzała się w mrok latarnia, w której żółtawym świetle widać było całą

gwałtowność żywiołów. Léane czuła się tak, jakby całe miasto pochylało się nad nią, by ją uwięzić.

By nie zmoknąć, zaparkowała w garażu Natchnienia. Chciała się szybko przebrać, przekąsić coś, a potem jechać do Ambleteuse, choć pogoda do tego nie zachęcała. W domu było jasno. Czy to możliwe, że...

W pośpiechu pokonała schody wychodzące na korytarz i wpadła do salonu. Na sofie siedział Jullian z albumem ze zdjęciami na kolanach.

Léane rzuciła kurtkę i padła w ramiona męża. Uścisnęła go mocno, wtulając twarz w jego ramię. O niczym nie myśleć, zostać tak, we dwoje, w beztrosce tu i teraz.

Położyła dłonie na jego głowie, delikatnie, wokół rany, pieściła jego uszy, kark, odsunęła się, by go lepiej widzieć. Miał na sobie stare ubrania, za szeroką koszulę. Stwierdziła, że jest przystojny, mimo siniaków i lekko jeszcze opuchniętej twarzy. Zawsze jej się podobał, ze zmarszczkami czy bez, nawet podczas wstawania z łóżka albo rozczochny, kiedy był młodszy. Od czasu gdy ostatni raz go widziała, przed wydaniem książki, sporo schudł. Wyczuwała jego kości.

– Wypuścili cię?

– Tak. Wczesnym popołudniem dostałem wypis, Bercheron był w okolicy. Swoją drogą, on zawsze jest w pobliżu. Obiecał personelowi, że zabierze mnie do domu, i oto jestem. A ty? Gdzie byłaś?

– Miałam paskudny wypad do Paryża i z powrotem. Sprawy w wydawnictwie. Chciałam być w szpitalu, żeby...

– Daj spokój, wszystko poszło dobrze. Zaraz po Bożym Narodzeniu wrócimy do spotkań z logopedą. Zresztą glina zostawił portfel na stole. – Ruchem podbródka Jullian wskazał na ślady czarnego proszku na meblach, kieliszkach i kławkach. – Bercheron opowiedział mi o tej historii z pasożytem. O włamaniu przed dwoma miesiącami i o wszystkim, co ma związek z napadem na mnie. Pokazał mi zapiski w swoim notesie, zdjęcia z bagażnika terenówki z tym napisem ŻYWA. I powiedział o czapce. To niezrozumiałe, straszne. Ja...

– Nie powinien był ci o tym wszystkim opowiadać, ja miałam to zrobić. Przykro mi.

Léane miała Colinowi za złe, na pewno chciał wyrzucić presję, wderzeć się w pamięć Julliana. Jej mąż usiadł i złapał się obiema dłońmi za głowę.

– To mnie jest przykro. Że nie pamiętam, że zostawiłem cię samą we mgle. Ale przyznam, że to dla mnie trudne. Tak bardzo chciałbym zrozumieć to, co się wydarzyło, co się stało ze mną, co... co robiłem w tym domu w czasie, gdy nie byliśmy już razem. To wszystko musi mieć jakieś wytłumaczenie.

Léane usiadła obok męża i przywarła ramieniem do jego ramienia. Spojrzała na ekran telewizora z zatrzymanym kadrem z nakręconego przez nią filmu, w którym Jullian wygłupia się na jakiejś plaży, może w Wimereux.

– Zrozumiemy, odkryjemy prawdę, obydwójce. Jestem tego pewna.

– Myślisz, że prawda jest ukryta w mojej głowie?

– Mam nadzieję, Jullianie. Mam wielką nadzieję.

Wiatr świstał w dachówkach, w szyby walił deszcz. Jullian podszedł do barku, sięgnął po kieliszek i poruszył nim.

– Nawet nie wiem, co ci podać. Nie wiem, co lubisz, a czego nie znosisz. Nic już o tobie nie wiem.

– Lubię whisky. Pisarz nie powinien pić niczego innego. Nie znoszę wódki, piwa i ginu z tonikiem.

Jullian nalał również sobie. Kiedy stuknęli się kieliszkami, ich oczy zalśniły jednocześnie radością i smutkiem. Ta bezdena pustka wokół nich, ten brak, nieobecność Sary. Léane miała ochotę wziąć go pod ramię i zawieźć do fortu, skonfrontować z Giordanem, o wszystkim mu opowiedzieć. Ale wtedy stałby się jej zakładnikiem, wrogiem samego siebie. Poza tym jaką decyzję mógłby podjąć, widząc przed sobą zakutego w kajdanki człowieka?

Jullian spacerował wzdłuż biblioteczki, a potem obok balkonowego okna. Na zewnątrz nie było już nic widać, między kroplami deszczu ledwie dało się dostrzec zarysy wydm i długi korytarz ciemności wpadający do smaganej wiatrem zatoki.

– Co za cudowne miejsce! Takie surowe i dzikie. I ta willa... Dobrze się tutaj czuję. To ciekawe, bo z jednej strony mam wrażenie, że wszystko tu jest znajome, i to, gdzie co leży, i atmosfera. Tak, mieszkałem w tych pokojach, dotykałem tych mebli, w głębi duszy jestem tego pewien. Ale z drugiej strony czuję się tak, jakbym odwiedził ten dom po raz pierwszy.

Léane zacisnęła usta, nic nie powiedziała. Jak nie myśleć o Giordanie i o tym, że tak naprawdę czekają na wykonanie wyroku w zawieszeniu? Że w końcu któregoś dnia trzeba będzie go uwolnić, by sprawiedliwości stało się zadość, i że tego samego dnia to oni trafią za kratki? Chyba że jest winny, że to on skrzywdził Sarę.

Z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Daniel Évrard, jej kontakt w policji kryminalnej w Lille. Zastanawiała się, czy odebrać, ale to była ważna rozmowa. Skinęła do Julliana.

– Mój wydawca.

Zaszyła się w kącie kuchni i odebrała.

– Tak, Daniel?

– Znalazłem twojego Nathana Miraure'a, mam przed sobą jego akta. Ale to nie jest sprawa na telefon. Może powinniśmy porozmawiać w cztery oczy i...

Spojrzała z oddali na swojego męża. Jullian przeglądał książki w bibliotece, brał do ręki przedmioty poustawiane na meblach i patrzył zagubionym wzrokiem w stronę balkonowych okien, jakby próbował sobie przypomnieć. Wyszepiała:

– Proszę, powiedz mi. Nie bardzo mogę przyjechać w tej chwili do Lille. Jest późno, mój mąż właśnie wyszedł ze szpitala.

– Nie jestem zachwycony, ale okej. To się stało w dziewięćdziesiątym pierwszym.

Léane przysunęła sobie krzesło i usiadła. Jej niepokój się wzmógł.

– Nathan Miraure miał dziewiętnaście lat, mieszkał w Calais, był bezrobotny. W dziewięćdziesiątym pierwszym trafił do więzienia za gwałt, a tydzień później znaleziono go w jego celi powieszzonego na prześcieradle. Popełnił samobójstwo.

– To znaczy... Mówisz, że zamknęli go za gwałt?

– Tak, na niejkiej Barbarze Vuillard. Według akt miała wtedy szesnaście lat, tak jak ty. Była twoją koleżanką.

Léane miała wrażenie, jakby dostała piłką futbolową w sam środek klatki piersiowej, uderzenie o takiej mocy, że człowiek pada na ziemię i nie może złapać tchu. Barbara była jej najlepszą przyjaciółką w gimnazjum i na początku liceum. Do czasu aż się wyprowadziła – ale dokąd? Léane nie była w stanie sobie tego przypomnieć.

– To się zdarzyło w lutym, podczas karnawału w Dunkierce. Byłyście tam w pięć koleżanek, Barbara poznała Miraure'a w jakiejś knajpce, w wieczór parady w Malo. Zabawa, alkohol, tłum. Miałyście się trzymać razem, ale zgubiłyście trzy koleżanki. Grupka się rozdzieliła, zostałaś sama z Barbarą, a Nathan Miraure przez całą noc nie chciał się odczepić. Zaproponował, że was odprowadzi drogą przez plażę i wydmy. Zaczekał, aż będziecie sami, i zaczął się przystawiać do twojej przyjaciółki. Ta odmówiła, próbowałaś interweniować, ale wtedy on wyciągnął nóż. Zabronił ci się ruszać, krzyczeć, kazał ci usiąść na piasku. I na twoich oczach zgwałcił Barbarę. Mam zdjęcia, na których widać, w jakim stanie była twoja koleżanka, oszczędzę ci szczegółów. Policja złapała gościa kilka dni później.

Léane skuliła się na krześle jak ranne zwierzę. Nic jej się nie przypominało. Ani jeden krzyk, ani jeden obraz.

– Ja... Nie pamiętam. Nie, to niemożliwe.

– Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w taki sposób. Ale byłaś tam, twoje dane figurują w raporcie czarno na białym. Nie byłaś w stanie zeznawać, nic nie pamiętałaś, nawet tego, jak opuściliście paradę, jakbyś była pod wpływem pigułki gwałtu. Ale w twojej krwi niczego nie wykryto, ani odrobiny nielegalnej substancji, nawet alkoholu nie piłaś. Sprawozdanie psychologa mówi o „amnezji dysocjacyjnej wywołanej traumą”. Żeby cię chronić, twój mózg otoczył to zdarzenie bańką tajemnicy. Barbara niestety nie miała tego szczęścia. To, co widziałaś, jest w tobie, w środku, ale nie masz do tego dostępu. Nie jestem psychologiem, ale powiedziałbym, że ten pseudonim, który po latach wybrałaś, to taki jakby... przeciek z twojej podświadomości do świadomości.

Léane usiłowała zajrzeć w głąb siebie. Obrazy nie wracały, ale cierpienie – tak; cierpienie zawsze tam było, gdzieś w tle, przesiąkało z mrocznych czeluści jej pamięci. Choć nie pamiętała samej tragedii, przypomniawszy sobie milczenie rodziców, ich ponure spojrzenia, gdy ich zapytała, dlaczego jej najlepsza przyjaciółka nie wraca do szkoły i nie chce jej więcej znać. Zrozumiała swój lęk przed chodzeniem na masowe imprezy i w zatłoczone miejsca publiczne. I wiele innych rzeczy. Oto teraz, po upływie ponad ćwierć wieku, prawda wyszła na jaw. W samym środku jednego z najgorszych okresów w jej życiu.

W kuchni pojawił się Jullian i spojrzał na nią pytająco.

– Muszę kończyć. Dziękuję za wszystko.

Natychmiast się rozłączyła, czując, że z żalu zaraz eksploduje. Powstrzymała się jednak, bo musiała, bo tego nie dało się wytłumaczyć. Rzuciła się na swój kieliszek i opróżniła go jednym haustem, by zaraz nalać sobie drugi.

Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty pierwszy, rok wydania powieści Michela Eastwooda. Czytała więc tę książkę, ale trafiła ona do tej bańki zapomnienia, została wymazana z jej pamięci, tak jak gwałt na Barbarze. Nie ma do niej dostępu, ale książka wcale nie zniknęła, po prostu jest zamknięta na klucz.

Ona także, podobnie jak Jullian, miała uszkodzoną pamięć, ale w inny sposób. I to niewątpliwie za sprawą tego obrzydliwego wspomnienia, którego pozbawiła ją jej własna podświadomość, stała się pisarką, którą jest teraz. Jej sukces był owocem tamtej potwornej nocy.

Jullian wyjął jej kieliszek z rąk.

– Co się dzieje?

Jeśli nic nie robi, rozsypie się. Pocałowała go więc, ulegając trawiącemu ją pragnieniu kochania, dawania. To on, Jullian, poniesie jej światło, a ona zatrzyma swoją ciemność w sobie, jak robiła to od zawsze, bo to jest właśnie jej przeznaczenie: do końca żyć pod pseudonimem, jako druga ona, swój niezwykle sobowtór, zwodnicze lustro, które w żadnym calu nie odzwierciedla prawdy. Barbaro, przebacz mi...

I karuzela zmysłów zaczęła się kręcić, unosić ją, to było jak płatki kwiatów eksplodujące pod jej powiekami, szelest skrzydeł, który wprawiał w drżenie jej mięśnie. Zapłonął ogień pożądania, prawdziwy gejzer, który zawrócił jej w głowie, daleko odpędził czarne myśli, pozostawiając tylko nagłą gwałtowność drugich narodzin, początku nowego życia małżeńskiego pomimo burz, duchów i zawieruch, które przetaczały się dookoła.

Nawet kiedy niósł ją do łóżka przy akompaniamencie wiatru wyjącego wśród dachówek i bryzgów miotanych o fasadę, nie przestawała go całować, jakby chciała nadrobić stracony czas, miesiące wstrzemięźliwości i rozdarcia. Poczła jego rozpalone ciało, pulsowanie krwi w jego żyłach, impulsy w nerwach pod jego skórą, a kiedy w nią wszedł, to nie było odtworzenie ich związku; prowadził go instynkt i wszystko wydarzyło się szybko z powodu tęsknoty, tej tęsknoty, która nie pozwala się nie śpieszyć, która skraca sekundy i minuty.

Czy on w ogóle pamiętał seks? Jullian utracił swoją delikatność, swoje uważne gesty, swoje wyjątkowe pieszczoty. Oczekiwała skubania uszu i sutków, ale nie było na to czasu, nie było wspomnień, tylko te szarpnięcia tam i z powrotem, jego wychudzone ciało leżące na jej ciele, ich klatki piersiowe w ogniu.

Pośród fajerwerków podniecenia rozbłyskających w jej głowie ujrzała twarze, które zawirowały jej przed oczami: Sary, Barbary, Roxanne i Giordana. Chwyliła tę ostatnią, napuchniętą twarz z podbitym prawym okiem, i już jej nie puściła. Szczytując, wyobrażała sobie, jak drań zdycha w swoim lochu, oby zdechł – z głodu, z pragnienia, z zimna, z bólu, bo przecież ten wieprz lubił ból, będzie cierpiał, już jej wewnętrzny głos tego dopilnuje, i wtedy zacharczała ze złości zmieszanej z rozkoszą, dziwny dźwięk, Jullian również zacharczał, leżąc z ustami na jej ramieniu. Drżał jak nowo narodzone dziecko.

A kiedy skończyli, wykończeni i zamroczeni, przewrócił się na bok i jego bursztynowy tors wyglądał w ciemności jak szczyt wydmy. Na jego niewinnej, naiwnej twarzy malowało się oszołomienie.

Gdy zasnął – po przeciwnej stronie łóżka niż ta, gdzie sypiał zazwyczaj – przytuliła się do niego. Później, pod wpływem mieszanki alkoholu, leków, zmęczenia i reszty, zrozumiała tę przepaść, którą on odczuwał, ponieważ ona sama doświadczała amnezji. „Amnezja dysocjacyjna wywołana traumą”, powiedział policjant. Choćby nie wiadomo jak bardzo próbowała sobie przypomnieć, nie potrafiła. Można z tym żyć, amnezja nie wywołuje cierpienia, do czasu aż człowiek zda sobie sprawę z faktu, że jego własny mózg ukradł mu fragmenty jego życia i być może nigdy ich nie odda.

Dlatego Giordano był ważny. Był zaginionym fragmentem pamięci Julliana. Zasnęła ze stanowczym zamiarem, że skłoni go do mówienia.

Kiedy otworzyła oczy, sypialnię zalewało jasne światło. Promienie słońca migotały na drewnianych panelach. Willę spowijała taka cisza, że było słycać śpiew wody w zatoce, ożywiany krzykami mew. Widoczne z okna szczyty wydm zmieniły kształt, stały się łagodniejsze, krągłejsze, jak spadłe z nieba chmury.

Léane przewróciła się na bok, kładąc twarz na otwartej dłoni. Był dwudziesty czwarty grudnia dwa tysiące siedemnastego roku, godzina dwunasta dziesięć. Spała snem przerywanym, z gwałtownymi przebudzeniami i strasznymi wizjami. Wędmy Dunkierki, karnawałowe maski, parasolki na ulicach i głuchy dźwięk wielkich bębnów. Barbara, najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa. Jaka była po tych wszystkich latach? Jak dorosła po takiej tragedii? Léane miała żal do własnej pamięci, ale niewątpliwie jeszcze większy do swoich rodziców. Miała prawo wiedzieć.

Wstała, wciągnęła w nozdrza miły zapach przypraw, kurczaka, oliwy. Była niedziela, wigilia Bożego Narodzenia, dzień, w którym większość ludzi na pewno obudziła się radosna i przystąpiła do świątecznych przygotowań. Ona już nie pamiętała, co to jest klimat świąt, urodzinowe ciasto, rodzinna wigilia. Wszystko zniknęło pewnego styczniowego dnia w roku dwa tysiące czternastym, kiedy jej życie się zatrzymało. Cztery ostatnie lata to była wegetacja.

Nieśpiesznie zeszła do kuchni, owinięta w podomkę. Te smakowite zapachy mogłyby przypomnieć Jullianowi szczęśliwe chwile z przeszłości. Uwielbiał pichcić. Właśnie polewał oliwą złocące się w rondlu porcje mięsa.

– Ryż z curry, myślę, że to jedna z moich specjalności. Nie wiedziałem, do której będziesz spała, więc korzystając z okazji, zrobiłem zakupy na kolację dla nas dwojga i ojca. Wziąłem samochód, pojechałem i niewiele się zastanawiając, znalazłem sklep, to dobrze, prawda? Musiałem zapłacić gotówką, bo zapomniałem, że... no, zapomniałem kod do mojej karty. Znasz go?

– Siedem-dwa-dwa-zero.

Przyłożył palec do skroni.

– Zapisane. A tak przy okazji, mamy owoce morza, gęsie wątróbki i chardonnay. Sądzę, że lubisz?

Léane przytaknęła z uśmiechem, prawie zawstydzona.

– I posprzątałem. Ten czarny proszek do szukania odcisków... Już go nie ma. Nie chcę więcej złej energii w tym domu.

Léane nie mogła powstrzymać uśmiechu, bo wspomnienia napływały jej do głowy jedno po drugim. Jullian był przy niej jakby nigdy nic. Przytulił ją, odsunął się i spojrzał jej w oczy.

– Obiecuję ci, że zrozumieję, co się stało, będę walczył, żeby odzyskać pamięć i kontynuować to, co robiłem od czterech lat. Szukać prawdy.

Wskazał na włączony laptop. W urządzeniu, którego pamięć przed pięcioma dniami została całkowicie wyczyszczona, na powrót zainstalował aplikacje. Na monitorze i papierze wyjętym z drukarki zobaczyła mnóstwo artykułów na temat sprawy Jeanson.

– Jeżeli będzie trzeba, zacznę od zera. A ty zostaniesz tutaj i wszystko odbudujemy, dobrze?

Skinęła głową i usiadła za stołem. Jullian przyniósł talerze. Usiadł tam, gdzie zwykle. Przypadek? Odruch? Stopniowa poprawa pamięci? Léane zjadła bez apetytu. Danie było za mocno przyprawione, ale robiła dobrą minę do złej gry. Myślała, rzecz jasna, o Barbarze, o odkryciach, których dokonała u psychiatry, o Giordanie. Za wszelką cenę musiała pojechać do jego dziury i zmusić go do mówienia, docisnąć go, aż wypluje z siebie prawdę, bo nie można przez cały czas chodzić po krawędzi przepaści. Ten koszmar musi się wreszcie skończyć.

Ale jak pojechać do Ambleteuse i z powrotem w ciągu dnia, skoro Jullian jest w domu? Okłamać go? Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia, w którą się wpakowała bez jego wiedzy?

Dzwonek do drzwi. Jullian wstał, zanim Léane zdążyła zareagować.

– Ja pójdę.

Otworzył, opierając dłoń o framugę, i zamarł, a potem cofnął się z szeroko otwartymi ustami. Léane skoczyła jak kobra i także znieruchomiała, zahipnotyzowana jak jej mąż. Zatruta strzała przeszła jej serce – świadomość, że tak wyczekiwana chwila, której zarazem tak bardzo się obawiała, wreszcie nadeszła. Że człowiek za drzwiami jest Mesjaszem i wcieleniem śmierci w jednym.

Wreszcie wiedziała. To już. To jest ten moment.

Podbiegła do drzwi. Miała wrażenie, że porusza się w zwolnionym tempie, że przerażona twarz Julliana się rozciągnęła i że pierwsze, co zobaczyła u tego

mężczyzny – wiedziała bowiem, że to mężczyzna, jeszcze zanim się pojawił – to jego zapiaszczony lewy but i czarna rękawiczka trzymająca trójkolorową kartę: niebieski, biały i czerwony w prawym rogu.

Niewysoki, chudy jak patyczak, trochę koślawy gość, który w innym życiu, w innym wymiarze, gdzie dzieci mogą szczęśliwie dorastać u boku swoich rodziców, musiał być sympatyczny, mimo tej powagi na twarzy, tych wielkich cieni pod oczami, które dowodziły, że on też niewiele śpi i że skoro pojawia się ni stąd, ni zowąd w samą Wigilię, to nie dla przyjemności.

Postać tak kilka sekund, odchrząknął, jakby nie mógł tego zrobić wcześniej w samochodzie albo na zewnątrz, albo gdziekolwiek, byleby już przemówił, powiedział to, czego Léane obawiała się od tysiąca dni albo tysiąca sekund i tyluż uderzeń serca i ukłuć w płucach.

– Nazywam się Vic Altran, a to mój kolega Vadim Morel, jesteśmy porucznikami z policji kryminalnej w Grenoble. Przed przyjazdem do państwa rozmawialiśmy z panem Bercheronem z komisariatu w Berck. I...

Léane dostrzegła Colina, który wszedł z nimi jako ostatni, z pochyloną głową, niezdolny, by na nią popatrzeć. Nie słyszała dalszego ciągu, padła w ramiona Julliana. Sarah nie żyła.

To jej mąż zaprowadził policjantów do salonu i poprosił, żeby usiedli, podczas gdy ona zanosila się płaczem. Oczywiście nie mogła w to uwierzyć, ale Vic od razu rozwiał wszelkie wątpliwości: na początku tygodnia znaleźli zwłoki młodej dziewczyny, której DNA z całą pewnością było identyczne z DNA Sary. To naprawdę była ona. Nie żyła. Spadła gilotyna prawdy.

Vic nie znosił tych sytuacji, tej części zawodu, kiedy spotykał bliskich ofiar, którzy żyli, a jednocześnie byli martwi, zabici oczekiwaniem i nadzieją. Zazwyczaj w przypadku takich odległości dzwoni się do lokalnej policji, by poinformowała rodzinę, ponieważ jest nie do pomyślenia, by przekazywać taką wiadomość przez telefon. Ci rodzice przez lata trwali w niewiedzy, zwątpieniu i bólu i należał im się najwyższy szacunek, a przede wszystkim klarowne wyjaśnienia profesjonalisty. Kiedy jednak Manzato zadzwonił na komisariat w Berck i trafił na Colina Bercherona – a tamten w toku rozmowy opowiedział mu o ostatnich dziwnych odkryciach dokonanych w ramach własnego śledztwa – zdecydował, że wyśle tam V&V najbliższym pociągiem. Colin, uprzedzony o przybyciu funkcjonariuszy z Grenoble, niechętnie przygotował dla nich dokumentację śledztwa: związek pomiędzy obydwoma sprawami był ewidentny.

Stojąc w salonie, Vic popatrzył na męża, o którego amnezji w wyniku napadu poinformował go wcześniej Colin. Obserwował postępy śledztwa w sprawie Jeanson na bieżąco, wiedział, że ojciec nigdy nie przestał szukać córki, że domagał się jej zwłok, gotów do walki. Miał przed sobą wojownika o niemożliwe, który – naznaczony i poraniony – stał się teraz podróżnikiem bez bagażu. Wiedział, że Léane, jego żona, jest znaną pisarką tworzącą pod pseudonimem, kilka jej książek miał nawet okazję przeczytać.

Colin zachowywał profesjonalny dystans, ale cierpiał w milczeniu z powodu znalezienia zwłok, a także dlatego, że nie wiedział na ten temat tyle, ile by chciał, oraz że nie mógł utulić Léane, zapewnić jej o swoim wsparciu, dzielić jej bólu.

Nie teraz, nie w towarzystwie. Wtedy ona podniosła wzrok na niego, na nich, jakby wrzucała ich razem do jednego worka policjantów wykonujących swoją robotę – mroczne spojrzenie czerwonych, opuchniętych oczu osoby, która otrzymała wyrok w zawieszeniu.

– Chcę ją zobaczyć. Chcę zobaczyć moją córkę.

Vic zacisnął usta.

– Zwłoki są przechowywane w Instytucie Medycyny Sądowej w Grenoble. Będę z panią szczerzy: nie rozpoznacie jej. Bardzo mi przykro, ciało jest zbyt uszkodzone, pozbawione wszelkich wyróżniających cech. Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, że Sarah znaleziona w bagażniku to ta sama Sarah, której zdjęcia były w posiadaniu naszych kolegów. Upłynęły cztery lata, miała inną fryzurę, a twarz...

Zamilkł. Para przytuliła się do siebie, jakby chciała uformować blokadę. Mur emocji, którym obaj policjanci mieli stawić czoło. Vic ważył każde słowo, to była informacja nie do zniesienia, nawet dla niego. „Ciało jest zbyt uszkodzone” to z pewnością zgrabne sformułowanie. W głowie miał słowa patolożki. Nigdy, przenigdy ci rodzice nie powinni zobaczyć nagich zwłok swojej pozbawionej twarzy córki ani mieć dostępu do szczegółowych wyników sekcji. On już tego dopilnuje, przynajmniej do czasu procesu, jeśli znajdą wszystkich sprawców.

Léane z trudem trzymała się na nogach.

– Jakie to trudne. Myślałam, że ona od dawna nie żyje, ale po wydarzeniach z ostatnich dni nadzieja wróciła. Tliła się jak delikatny płomyk, ale była.

Patrzyła na nich bez wrogości, bez gniewu, czuła tylko w żołądku wielki węzeł smutku.

– Proszę mówić. Chcemy wiedzieć wszystko.

– Znaleźliśmy martwą Sarę w bagażniku samochodu skradzionego na stacji benzynowej przy autostradzie, między Grenoble a Chambéry. Sądzymy, że zginęła tego samego dnia, na początku tygodnia. Mogę powiedzieć, że śmierć była brutalna, ale wasza córka nie cierpiała.

Tak jak należało, robił pauzy, świadom, że każdym zdaniem zadaje im ból i że łagodzenie prawdy jest kłamstwem, ale koniecznym. Colin siedział na lewo od dwójki przybyszów bez słowa. Nawet nie wyjął notatnika. Jullian Morgan podtrzymywał żonę, gładził ją po plecach ze smutnym, ale zdeteterminowanym wzrokiem człowieka, który zapomniał, ale chce zrozumieć.

– Złapaliście tego potwora, który to zrobił?

Teraz odezwał się Vadim:

– Domniemany zabójca waszej córki odebrał sobie życie, zanim zdążyliśmy interweniować.

Léane zalała kolejna fala emocji. Kobieta próbowała się trzymać, słuchać każdego słowa, nie odpłynąć. Chciała zobaczyć Sarę nawet w szufladzie kostnicy, by wiedzieć, na jaką kobietę wyrosła. Cztery lata, cztery cholerne lata.

– Na razie nie możemy wam podać jego tożsamości, ponieważ śledztwo jest w toku, ale to był zwyczajny facet, jakiego można spotkać wszędzie i nie domyślić się, kim tak naprawdę jest. Mieszkał w górach i miał poważne problemy psychiczne. Musicie też wiedzieć, że wasza córka nie jest jego jedyną ofiarą. Pozostaje jeszcze wiele ciał do zidentyfikowania.

Léane włożyła nos między złożone dłonie.

– To niemożliwe...

– Wiemy, że to dla państwa trudne, ale podawanie wam szczegółów niczemu by nie służyło. Odpowiedzi przyjdą, pozwólcie nam działać, a przede wszystkim dajcie nam czas.

Léane zrobiła głęboki wdech, by uniknąć kolejnej fali spazmów.

– Dlaczego Sarah? Dlaczego on to zrobił?

– Na razie nie wiemy wszystkiego – odpowiedział po chwili mężczyzna. – Jesteśmy tutaj, ponieważ ważne było, żebyście wiedzieli. Zależało nam na tym, żeby przyjechać tutaj z Grenoble i poinformować was najszybciej, jak to możliwe.

Léane dyskretnie skinęła głową, dając mu zapewne do zrozumienia, że mimo wszystko jest im wdzięczna.

– Mamy jednak poważne podstawy, by sądzić, że mężczyzna, który to zrobił, nie działał w pojedynkę. W sprawę zamieszany jest inny osobnik, który każe na siebie mówić Profesor Moriarty. Na tym etapie niewiele o nim wiemy, jedynie to, że jest niesłychanie ostrożny i wyrachowany oraz że to on wydawał rozkazy mordercy. W każdym razie w miniony poniedziałek jakieś nieoczekiwane zdarzenie zdeorganizowało tym łajdakom plany. Zrozumienie tego wszystkiego jest naszym absolutnym priorytetem.

Na podłodze tańczył promień słońca, poruszający się po przekątnej pokoju. Léane wolałaby burzę, czarne niebo, śnieg. Jak słońce śmie się pokazywać, skoro ich córka nie żyje? Jak ludzie będą mogli się śmiać, dawać sobie prezenty, a wszystko to za kilka godzin, podczas gdy ona będzie stała twarzą w twarz z nicością, w dziurze, w której nie lśni już nic? Oto cena prawdy. Wiedzieć znaczy przestać umierać po trochu, ale wtedy człowiek konfrontuje się z odrażającym lustrem własnej egzystencji. Tak samo było w sprawie Barbary.

Léane nie była w stanie pojąć.

– A... a Andy Jeanson? Co ma z tym wspólnego?

Vić pośpieszył z odpowiedzią:

– Jesteśmy w kontakcie z grupą, która prowadzi tę sprawę. Osobiście bardzo dobrze go znam.

Wolał nie opowiadać o swojej relacji z mordercą, zdradzać, że to on policzył włosy, ani wspominać o zagadce, którą zabójca dał mu do rozwiązania. Oprócz kilku oficerów śledczych nikt o tym nie wiedział.

– Było jednak oczywiste, że Jeanson skłamał w sprawie państwa córki, że nie była jego ofiarą. Nawet jeśli tak twierdzi, nigdy nie będzie mógł wyjawić miejsca, w którym ją pochował, ponieważ ono nie istnieje. Musimy zrozumieć, dlaczego kłamie i przyznaje się do tego morderstwa. To ważna informacja i nie można jej pomijać. W każdym razie choć wydaje się, podkreślam: wydaje się, że te dwie sprawy są od siebie niezależne, część naszego zespołu grzebie w przeszłości obu mężczyzn, żeby sprawdzić, czy nie istnieją między nimi jakieś powiązania. Nie chcielibyśmy czegoś przeoczyć.

Vadim przejął pałeczkę:

– Jeanson to przestępca o rysie narcystycznym, od początku chwalać się swoimi wyczynami. Możliwe, że wzięcie na siebie zamordowania waszej córki po prostu łączy jego ego, a jednocześnie stawia przed nim nowy problem nie do rozwiązania: kto miał czelność podszyć się pod niego i wysłać kosmyk włosów?

– A kto go wysłał?

– Tego nie wiemy, ale z pewnością to ważny trop. Oczywiście musiał to być ktoś, kto znał sposób działania Jeansona. Nawet jeśli niektóre wątki śledztwa wtedy wyciekły, sprawa pięciuset dwunastu włosów nie była znana szerokiej publiczności. Możliwe, że nadawca jest osobą, która w pewnym momencie miała dostęp do tej informacji i postanowiła zadać wam ból.

Léane wpatrywała się w portret córki – w jej uśmiech, w to ostatnie zdjęcie, które Sarah wysłała jej przed porwaniem – żeby nie eksplodować i nie przyznać się, że z pewnością więzi w ciemnym lochu mężczyznę, którego szukają. Głos zabrał drugi policjant i wyrwał ją z tej grobowej ciszy:

– Zespół z Lyonu również zaangażował się w sprawę. Mamy nadzieję, że przesłuchamy Jeansona za kilka dni.

Znowu nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której każdy dokonywał własnej oceny sytuacji. Vic rozmyślał o Podrózniku, o jego kłamstwie, o „nieśmiertelnej” partii szachów. Czy te nowe informacje pomogą mu przeniknąć tajemnicę, wejść do głowy tego szaleńca?

Léane utkwiała wzrok w podłodze, jej oczy przypominały dwa wilgotne czarne kamyki, Julllian zaś cicho, jakby czuwał przy zmarłym, zaproponował mocną czarną kawę. Policjanci się zgodzili.

Vadim odezwał się między dwoma łykami:

– Rozumiemy, jakie to dla was trudne. Ale przynajmniej wiecie. Będziecie mogli dokończyć proces żałoby.

Léane pokręciła głową.

– Nie będzie żałoby, dopóki nie zostaną ujęci wszyscy sprawcy. Dopóki moja córka nie zostanie pomszczona.

Porucznik ze zrozumieniem pokiwał głową. Colin natomiast był gdzieś indziej, rozmyślał. Nagle wyjął notes, przekartkował go i spojrzał na kolegów z Grenoble.

– Mówiliście o jakimś niespodziewanym, niewiadomym zdarzeniu, od którego tam u was wszystko się zaczęło. Możecie to uściślić?

Vic odstawił filiżankę na talerzyk. Kątem oka spojrzał na kolegę i uznał, że może puścić trochę pary.

– Morderca, jak by to powiedzieć, otrzymał od Moriarty'ego rozkaz. Rozkaz wysłany esemesem, który wyglądał na pilny. Na mocy tego rozkazu zginęła Sarah, której ciało następnie transportowano samochodem. Kiedy domniemany zabójca tankował paliwo, jego samochód został ukradziony, a po pościgu trafił w ręce policji. Te zdarzenia uruchomiły nasze śledztwo.

Colin skinął głową.

– W takim razie naprawdę mamy wspólny punkt. Następnego dnia, we wtorek, ktoś brutalnie zaatakował Julliana na grobli, przeszukał jego dom i usunął wszystkie ślady jego śledztwa w sprawie zaginięcia Sary. We wtorek, a może jeszcze w poniedziałek, ktoś zamknął Julliana w bagażniku jego samochodu, nie wiemy jeszcze, gdzie to zrobił. Chodźcie zobaczyć.

Zaprowadził ich do piwnicy, otworzył bagażnik i wskazał na zasłoniętą wykładziną przegrodę na koło zapasowe.

– Tutaj Jullian trzymał czapkę podobną jak dwie krople wody do tej, którą miała na głowie Sarah w dniu zaginięcia, a tutaj – pokazał im inskrypcję na blasze – własną krwią napisał: ŻYWA. I faktycznie, w tamtym momencie Sarah żyła. Cztery lata po zaginięciu, gdy wszyscy myśleli, że Sarah została zamordowana, to słowo mówiło prawdę. – Odwrócił się twarzą do Julliana. – Ty mówiłeś prawdę. A może to ty byłeś tym wyzwalaczem?

Pytanie Colina wprawilo wszystkich w osłupienie, w pierwszej kolejności Vica. Czyżby to Jullian Morgan, człowiek bez pamięci, był zapalnikiem między obiema sprawami? Czyżby to on wywołał wymianę esemesów między Moriartym a Doktorem Watsonem i wszystko, co nastąpiło po niej?

Jullian, który stał naprzeciwko Colina, przesunął dłonią po łysinie. Gdyby mógł rwać włosy z głowy, na pewno by to robił.

– Czuję się bezsilny, uwięziony w mojej pamięci, mam związane ręce i nogi. CHCĘ wam pomóc, ale nie mogę. Wspomnienia wracają, ale nie te właściwe. Pamiętam głupiego pływającego żółwia, ale nie pamiętam, gdzie znalazłem czapkę ani dlaczego połamałem sobie paznokcie na tym napisie. Przykro mi.

Vic, sam z nadwydajną pamięcią, wyobrażał sobie jego rozpacz. Na pewno lepiej mieć za dużo wspomnień niż nie mieć ich wcale. Bez nich przeszłość nie istnieje, a bez przeszłości życie jest jak ogon komety.

Vadim spojrzał na Léane.

– Czy wspomniana czapka jest podobna do czapki waszej córki, czy też to jest jej czapka?

– To jest jej czapka – odparła bez wahania. – Nawet jeśli znaleziono w niej włos, który nie należał do Sary, jestem pewna, że czapka należała do niej. Być może nosił ją ktoś inny. Została zrobiona na drutach przez jej babcię, nie ma drugiego takiego egzemplarza. Jestem tego pewna.

Vadim skinął głową i zwrócił się do Julliana.

– W takim razie niewykluczone, że widział pan córkę żywą. Że po tylu latach okazał się pan lepszy od nas i znalazł ją na własną rękę. Że w jakiś sposób ktoś pana schwytał, dotkliwie pobił, zamknął w bagażniku pana samochodu i przywiózł tutaj. Dlaczego napastnik przeprowadził tak złożoną i ryzykowną operację? Nie wiem. Chodzi mi o to, że z łatwością mógł pana zabić i pozbyć się zwłok. Ale nie, zależało mu, żeby pan pozostał przy życiu. W każdym razie sugestia porucznika

Bercherona ma sens: możliwe, że podpalił pan lont, który uruchomił całą resztę i sprawił, że jesteśmy tutaj.

Léane, nic nie mówiąc, ukryła twarz w dłoniach. Jullian zaczął chodzić wte i wewte ze spuszczoną głową.

– Znalazłbym ją... Prawie udało mi się znaleźć moją córkę.

Vadim skinął głową.

– Dlatego musimy się dobrze zastanowić, spróbować zrozumieć proces, który doprowadził pana do podjęcia takich działań. To kluczowe. Nie ma pan żadnych wspomnień z podróży w góry w ostatni weekend, ale może zachował pan bilet z bramki albo rachunek za benzynę z jakiegoś postoju na autostradzie? Jakiś materialny dowód na to, że jechał pan do Drôme konkretnego dnia o konkretnej godzinie, na przykład między piątkiem a poniedziałkiem?

Drôme... Tam, gdzie Giordano znalazł czapkę. Léane poczuła, jakby dostała prosto w brzuch. Przełknęła ślinę i usiłując zachować spokój, zapytała:

– Mówi pan Drôme? Gdzie konkretnie?

Vadim zerknął na Vica. Nie chciał powiedzieć zbyt wiele, ale jego kolega skinął głową: w ich interesie było puścić trochę pary, bo istniała nadzieja, że w zamian otrzymają jakieś informacje.

– Vercors, niedaleko płaskowyżów. Dlaczego pani pyta, z czymś się to pani kojarzy?

– Nie, nie łączy nas z tym regionem nic szczególnego. A w samochodzie nie znaleziono żadnych papierów.

– Na jego kontach bankowych też nie było żadnych dziwnych operacji. Już je przejrzałem. Jeśli tam pojechał, to za wszystko płacił gotówką – wtrącił Bercheron.

Léane nie chciała przepuścić okazji, musiała się dowiedzieć więcej, skłonić policjantów, by powiedzieli coś jeszcze.

– Rozmawiamy o moim mężu i mojej córce. Macie informacje, wiecie, co się stało i co Sarah robiła tam, w Vercors. Mój mąż walczył przez cztery lata, nie zważając na przeszkody; zgromadził materiały, które nam ukradziono. Ktoś przyjechał tutaj i usunął ślady po Sarze, ale jestem pewna, że możemy wam pomóc. Pamięć Julliana wraca dzięki przedmiotom, zdjęciom. Pokażcie nam, powiedzcie tyle, ile możecie. Proszę, zróbcie to, może sobie przypomni. Nie możemy się tak rozstać, nie może być tak, że każdy pójdzie w swoją stronę, jeśli nie zrobimy najwięcej, jak to możliwe. Moja córka przez te cztery lata żyła, a ja sądziłam, że już jej nie ma. Mamy prawo wiedzieć.

Policjanci sprawiali wrażenie zakłopotanych. Wreszcie Vadim sięgnął po komórkę.

– Okej. Niestety nie możemy wam powiedzieć więcej na temat śledztwa, mam nadzieję, że to rozumiecie. Ale pokażę panu okolicę, w której prawdopodobnie znalazł pan czapkę albo widział córkę. Ale o nic więcej nas już nie proście, dobrze?

Jullian podszedł do wyświetlacza, Léane stanęła przytulona do niego. Vadim wyświetlił ostatnie zdjęcia, które zrobił na zewnątrz i wewnątrz willi Mattiolego. Przesuwał je ruchem palca. Front domu, ogród, okolica, wnętrze. Pokoje, piwnica. Jullian kręcił głową.

– Nic. Nic nie wraca. Przykro mi.

Léane bez słowa zaciskała wargi. Gdzie dokładnie mieściła się ta willa? Czy Giordano znalazł czapkę Sary w pobliżu? Czy rzeczywiście przebiegał tamtędy szlak pieszy, czy też glina świadomie zbliżył się do tego miejsca? Czy spotkał tam Sarę?

Vadim wybrał ostatnie zdjęcie i serce Léane przeszły ból. Fotografia przedstawiała wyrzeźbioną rybę z długą płetwą ogonową. Wypisz wymaluj obrazek, który Giordano miał wytatuowany na ramieniu. Jullian wyglądał na poirytowanego.

– Nie, nie wiem. Ten rysunek w drewnie: co to może być?

– Nie mamy pojęcia. Możliwe, że to podpis, znak firmowy pozostawiony przez mordercę waszej córki albo Moriarty’ego. Ale może też nie mieć żadnego związku ze śledztwem. Nie wiadomo.

Léane miała teraz niezaprzeczalny dowód na udział Giordana w całej sprawie. Miała drania w garści. To samo musiało się wcześniej udać Jullianowi, który zdołał skłonić go do mówienia. Z pewnością to wymuszone zeznania gliny zaprowadziły jej męża do tego zagubionego zakątka Drôme. Colin miał rację, to dało początek wszystkim pozostałym zdarzeniom.

Sarah nie żyła, ale domagała się sprawiedliwości. Léane przysięgła sobie, że dowie się, co się działo w każdej godzinie przez te cztery niekończące się lata. Giordano jest winny i za to zapłaci. Ci policjanci się mylą, sądząc, że mają do czynienia tylko z dwójką mężczyzn. Byli Watson, Moriarty... i Giordano – co najmniej. Ale Léane miała zasznurowane usta.

– Prześlcie nam te zdjęcia? To mogłoby mu pomóc.

Policjanci się zgodzili i połączyli telefon Vadima z jej za pomocą Bluetootha. Następnie wszyscy wrócili do salonu. Kiedy Léane, towarzysząc mężowi, odprowadzała ich do drzwi, była już inną osobą. Jej wnętrzości trawił gwałtowny ogień, chciała już być na miejscu, w forcie. Vic wręczył każdemu z nich po wizytówce.

– Dzwońcie do mnie w każdej sprawie bez względu na porę. Wspomnienie, obraz, dźwięk, wszystko może się przydać. – Patrzył głównie na Julliana. –

Musimy zrozumieć, w jaki sposób dotarł pan do córki.

– Może pan na mnie liczyć. Na nas.

– Oczywiście będziemy was na bieżąco informować o postępach śledztwa, w bliskim porozumieniu z porucznikiem Bercheronem. W naszym interesie jest współpracować. Jeszcze raz zapewniam, że użyjemy wszystkich naszych mocy, żeby ukarać winnych.

Widać było, że mówi szczerze. Ściskając dłoń Léane, Vic spojrzał jej prosto w oczy.

– Takie dni jak ten w ogóle nie powinny istnieć. Nikt z nas nie powinien żyć dłużej niż jego dzieci.

Wyszli. Kiedy Vic zamknął tylne drzwi samochodu za Colinem, opadł na fotel, złapał się za czoło i zamknął oczy, by więcej nie patrzeć na okrucieństwo tego świata.

– Współczuję im.

Jullian przytulił żonę i stali tak długo pośrodku salonu, jak kochankowie skamieniali wskutek gwałtownej erupcji. Léane szeptała mu w ramię:

– Znalazłeś ją. Jullian, znalazłeś naszą córkę. Zrobiłeś to, sam. I ona żyła. Żyła...

Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Tak bardzo jestem na siebie zła. Powinnam była ci zaufać, być z tobą przez wszystkie te lata. Ale nie wierzyłam.

Chciałaby jeszcze płakać, ale czuła, jak jej serce przygniata ciężki kamień, zimna materia, która zagradza ujście jej żalowi. Odsunęła się od męża, by spojrzeć mu w oczy. Byli razem, złączeni na dobre i na złe, odcięci przez wydmy, zdani na własne nieszczęście, razem aż do końca swojej historii, do końca świata.

– Ci policjanci nie widzą najważniejszego. Ale nie mogłam im powiedzieć.

– Jak to?

– A co, jeśli ci powiem, że jednego ze sprawców mamy na wyciągnięcie ręki? Że możemy się dowiedzieć, co się stało?

Zmarszczył brwi.

– Co ty opowiadasz?

– Pora, żebym ci pokazała, co zrobiłeś.

Dziewiętnasta. Z bijącymi sercami siedzieli w kabinie niewielkiego samochodu na skraju parkingu, obok przyczep na łódzie o sflaczałych oponach, gdzie woń rdzy i opuszczenia mieszała się z zapachem morskiej piany. Po prawej, nad odległym wysokim nabrzeżem, garść rozproszonych świateł, niczym gwiazdy na nocnym niebie. Ludzie, którzy przyjechali spędzić Wigilię nad morzem, prezenty, śmiech. Po lewej nic, ciemność, zakole Slack, wilgotny piasek, chaotyczna roślinność. Na wprost lizany ostatnimi falami, ukryty w ciemności przekłety fort, mroczna sylwetka o oszronionych murach, którą Léane i Jullian widzieli za przednią szybą.

Jullian oddał jej telefon.

– Mój ojciec dalej nie odbiera. Żadnych wiadomości. Psiakrew, gdzie on jest?

Léane go nie słuchała. Myślała o tym, że Sarah odeszła, udała się w podróż w jedną stronę, może fruwa teraz nad morzem, z twarzą wystawioną do wiatru, wolna, wreszcie wyzwolona z męskiej przemocy. Cztery lata. W ciemności, w okolicznościach, których nie sposób sobie wyobrazić, gdzieś... Gdzie, kiedy, jak? Ta niewiedza była nieznośna.

– Morze się cofnęło, idziemy! – jej głos był jak smagnięcie biczem.

Wzięła go za rękę.

– Chcę, żebyś we wszystkim, co się tam będzie działo, był przy mnie. Musisz się stać tym, kim byłeś. Pamiętaj, że to ty, ty to zrobiłeś. Ja tylko karmiłam to coś.

– To coś?

– Musisz być silny, stanowczy, nieustępliwy. Jeśli wejdiesz do tego fortu razem ze mną, nie będziesz już mógł się cofnąć. Czy mogę na ciebie liczyć?

– Możesz na mnie liczyć, ale... przerażasz mnie.

Wysiedli. Ruszyli obrzeżoną skałami ścieżką, przeszli przez drzwi, zanurzyli się w kamiennym gardle wyklejonym zdjęciami Sary – w tym zimnie bezustannie nacierającym na skórę i przenikającym do kości – a ona wciąż nie powiedziała

mu, dlaczego tutaj są, oczekując słynnego wstrząsu, który przywróci mu całą pamięć.

Weszła jako pierwsza. Grégory Giordano wbił w nią spojrzenie. Wyglądał na jeszcze trochę bardziej udreżonego wilgocią, a jego wielka stopa była teraz prawie czarna. Léane chciała uchwycić jego wzrok, zanim nastąpi okrutne, bezwzględne zaskoczenie, odsunęła się więc i wpuściła Julliana na arenę, którą sam stworzył.

Twarze obu mężczyzn zamarły. Jullian stał bez ruchu jakby rażony piorunem, Giordano zaś przyciągnął do siebie nogi i tę ciężką stopę, jak przestraszony dzieciak, a jego prawa powieka, jeszcze bardziej opuchnięta, zaczęła odruchowo mrugać. Léane podniosła zdjęcie Sary i włożyła je do ręki męża, żeby go dotknął, poczuł, zobaczył w nim odbłask swojej przeszłości i zaczerpnął z niego energii, by sobie przypomnieć.

– „Daj mi siłę, żebym nigdy nie zapomniał o tym, co on zrobił”. Patrz, to twoje pismo. Ten potwór nazywa się Grégory Giordano, to ty go tutaj zamknęłaś i pobiłaś do krwi, żeby zaczął mówić. To on zabrał czapkę Sary z okolic willi, którą widzieliśmy na zdjęciu. Powiesiłaś zdjęcia Sary nad tymi schodami, żeby ci dodawała odwagi. Przypomnij sobie. Przypomnij sobie, nie każ mi decydować samej. Pomóż mi.

Jullian popatrzył na zdjęcie, przesunął palcem wskazującym po twarzy córki, przeniósł wzrok na więźnia, zapasy jedzenia, drewnianą maszynę, którą własnoręcznie skonstruował, i znowu na Giordana – spłoszone, osaczone zwierzę, obserwujące ich bez słowa.

– Ja... ja u niego byłem. W jego domu.

Léane przytaknęła z entuzjazmem.

– Tak, tak, stamtąd go zabrałaś. Miałaś powód, wiedziałaś, że jest winny czegoś, co ma związek z Sarą. Tydzień temu jeszcze żyła, a ten... ten drań o tym wiedział. A teraz jest martwa. Przez niego.

Jullian przyłożył dłonie do skroni i wyglądał, jakby z całej siły ścisnął głowę.

– Nic... nic więcej nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć. Tego fortu, tego człowieka, tego wszystkiego: nie pamiętam. A co, jeśli... Jeśli on nic nie zrobił? Jeśli jest niewinny?

Léane przyskoczyła do więźnia i szybkim ruchem pociągnęła za sweter, by odsłonić tatuaż na prawym ramieniu.

– Poznajesz?

Jullian skinął głową.

– Zdjęcie drzeworytu.

– Znalezionego w miejscu, w którym zamordowano naszą córkę. Nie jest niewinny. Siedzi w tym po uszy, a gliny nie mają bladego pojęcia o jego istnieniu.

To przez niego Sarah zginęła. Mogliśmy ją mieć żywą.

Giordano brutalnie ją odepchnął. Jego twarz była szara jak kamień. Obrona przez atak, jak szczur schwytyany w pułapkę, jak zwierzę, które czuje, że zdechnie w swojej dziurze. Jedną ręką wyjęła z kieszeni pistolet i wycelowała w niego, a drugą wyświetliła na smartfonie zdjęcie mieczyka wyciętego z tyłu drewnianych schodów w willi.

– Moja córka zginęła przez ciebie. Daję ci dziesięć sekund na wyjaśnienia.

Kiedy zobaczył zdjęcie, wyglądał, jakby chwyciły go spazmy.

– Nie, nie, ja nic nie zrobiłem, przysięgam wam, że...

Léane przystawiła mu lufę do głowy. Giordano z wrzaskiem przetoczył się na bok. Od szarpnięcia za kajdanki jego prawy nadgarstek krwawił. Jullian rzucił się w stronę Léane, by ją odciągnąć.

– Przestań! Zabijesz go!

Ale ona była twarda jak drewno. Jullian popatrzył jej w oczy.

– Trzeba się zastanowić, nie możemy...

– Czego nie możemy? Jullian, do cholery, ogarnij się i nie każ mi żałować, że cię tu zabrałam. To nie ja doprowadziłam go do takiego stanu!

Wyrwała zdjęcie z rąk męża i znowu przeczytała na głos zdanie, jak mantrę, tak jak to pewnie robił Jullian, kiedy jedną po drugiej miażdżył mu kości stopy. Znowu podeszła do Giordana.

– Zrobię to jeszcze raz, jeśli nie zaczniesz mówić. A jeżeli nic nie powiesz, dobiore się do skóry Roxanne, twojej córce. Myślisz, że nie wiem, że siedziałeś za gwałty i tortury na biednych wykorzystywanych dziewczynach? Że jesteś pieprzonym perwersem, że lubisz zadawać ból?

Giordano spojrzał na Julliana.

– Niech ją pan powstrzyma.

Léane podeszła bliżej i zasłoniła mu widok.

– Sądzisz, że zmienisz swojego kata w sprzymierzeńca, dlatego że ma amnezję? Sprytny jesteś. – Przykucnęła. – Lubisz ból, co? Lubisz? Przysięgam ci, że nie odpuścimy. Nie możemy już zawrócić, ani ty, ani my. Jedziemy na tym samym wózku. Ratuj swoją skórę, póki możesz, i mów wszystko, co wiesz.

Wyprostował się, by złagodzić uporczywy ból, który promieniował mu na całe ramię.

– I tak mnie zabijecie. Nigdy nie pozwolicie mi stąd wyjść. Nie po tym, co mi zrobiliście. – Ruchem podbródka wskazał na Julliana. – To po to przyszedł, mimo że ma popsutą pamięć? Myślałaś, że wykona za ciebie robotę, której nie jesteś w stanie odwalić sama? Ale on nie potrafi. Będziesz musiała sobie radzić.

Nagle Jullian podszedł do niego i całym ciężarem przydepnął jego ranną stopę, aż usłyszeli trzask łamanych kości. W jego oczach malowała się pustka. Giordano

był na skraju omdlenia. Léane w osłupieniu spojrzała na męża, ale Jullian nie powiedział ani słowa. Z twarzą robota patrzył, jak mężczyzna to odpływa, to wraca do siebie, patrzył na ciężącą mu głowę, na oczy przewracające się jak kule. Więzień miał pianę na ustach.

Teraz to Léane zamierzała interweniować, ale się powstrzymała. Czyżby sobie przypominał? Czy to tylko instynkt bierze górę? Wtedy Jullian gwałtownie się cofnął, zszokowany tym, co zrobił przed chwilą.

Myśl o Sarze, tylko o niej, mówiła do siebie. Żywej. Martwej. Cztery lata męki. Jej ciało zamknięte w bagażniku jak kawałek mięsa. Twoja córeczka. Nie, Jullian ma rację. Zero litości dla tego typu. Ustaw lufę pistoletu, wyceluj w niego, nie odpuszczaj. To tylko nieprzyjemna chwila, która minie – dla ciebie, dla niego, jak rwanie zęba u dentysty, trzeba przez to przejść. Idź na całość, daj się porwać szaleństwu chwili, gorączce emocji. Sarah nie żyje.

Giordano musiał rozpoznać po błysku w jej oczach i drzeniu palców, że zamierza mu wpakować kulkę, może w ramię, może w rękę, w obojczyk, roztrzaskać mu jedną kość, potem kolejną i tak dalej. Ale zamiast pęknąć, zdołał się do niej uśmiechnąć, aż Léane przeszedł dreszcz.

– Nigdy... nic... nie powiem. Walcie się.

Strzeliła, ale zanim nacisnęła na spust, coś kazało jej odsunąć rękę. Pocisk trafił w ścianę piętnaście centymetrów od celu. Nie potrafiła, nie miała odwagi, wewnętrzne bariery były zbyt solidne, nie miała takiej siły ani odwagi jak Judith Moderoi. Osunęła się przed nim na kolana, chwyciła go za kołnierz bluzy, potrząsała nim i błagała: „Mów, draniu, mów”, ale to było jak potrząsanie trupem, mięczakiem, który nie stawiał już oporu, poddawał się, gotów cierpieć jeszcze dłużej, zapewne dlatego, że bardziej nie mogło go już boleć. Tak, był gotów odejść razem ze swoimi tajemnicami. Opuszczał pole bitwy.

Léane wstała. Nie wiedziała już, co robić. Jullian stał z boku, niepewny, zrozumiała, że nic mu się nie przypomniało, że zadziałał instynktownie. Wyobraziła sobie chaos w jego głowie, pytania, które musiały się w niej kłębić. Może nie powinna była go tu zabierać, może powinna zachować to piekło dla siebie? Ale już było za późno. Już wie i będzie wiedział. Zresztą wiedział, tak czy owak.

Spojrzała na niego rozczarowana i pociągnęła go za sobą, podczas gdy Giordano odpływał w swoim więzieniu.

Minęła północ. Vic parkował ze zgaszonymi światłami przy chodniku, wpatrując się w żółto-szary budynek z cegieł z pięknym, gustownie oświetlonym kamiennym łukiem ozdobionym girlandą. Ten dom to było dwadzieścia lat jego życia i tyleż lat kredytu, wspomnień, urodzin i Gwiazdek. Dla mieszkańców tej ulicy był to idealny wigilijny wieczór: płatki śniegu muskające ramiona, kapelusze i szaliki, bałwany i te otwierane ukradkiem garażowe drzwi, przez które przenikali święci mikołaje – często członkowie rodziny – z workami pełnymi prezentów na plecach.

Zrobił głęboki wdech, wysiadł i z paczką w ręku zadzwonił do drzwi jak nieznajomy. Samochód jego teściów stał na podjeździe. Słyszał muzykę i brzęk talerzy i musiał naciskać na dzwonek kilka razy, zanim pojawiła się Nathalie. W jednej sekundzie jej wyraz twarzy się zmienił – uśmiech przeobraził się w cienką prostą kreskę. Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy nie stoją za nią rodzice, i uchyliła drzwi.

– Jasny szlag, Vic, jest prawie pierwsza w nocy. Co ty tu robisz?

– Chcę się zobaczyć z Coralie.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, przyjrzała mu się uważnie, sondując, czy nie pił i czy dobrze się czuje, i zerknęła ponad ramieniem męża na jego sfatygowany samochód.

– Nie ma mowy. Nie masz tu nic do roboty. Są tutaj moi rodzice, jeśli ojciec cię zobaczy, źle się to skończy.

Vic pchnął drzwi.

– Nie rozumiesz. Potrzebuję się z nią spotkać. Na dwie minuty. Tutaj, na ganku, dwie minuty i znikam. Obiecuję.

Zawahała się, spojrzała na paczkę, a potem na jego oczy. Jest zmęczony czy płakał? Nieznacznie skinęła głową.

– Sprawdzę.

Zamknęła. Pięć minut później w drzwiach stanęła Coralie. Vic stwierdził, że wygląda wspaniale i bardzo kobieco w ozdobionej cekinami sukience i koku eksponującym pełną wdzięku łabędzią szyję. Przełknął ślinę i bez zastanowienia przytulił ją, myśląc przy tym, jakie to szczęście, że żyją. Nie, nigdy nie powiedział swojej córce, że jest dla niego ważna, nawet w tak szczególny dzień, nie był w stanie, to było zbyt trudne, trudniejsze niż poinformowanie rodziców Sary o śmierci ich córki, słowa kaleczyły mu gardło niczym drut kolczasty, ścisnął ją więc jeszcze mocniej, bo tylko tak umiał to wyrazić.

– Tato! To boli!

– Ojej, przepraszam. – Odsunął się zakłopotany i na oczach osłupiałej córki otarł oczy rękawem. – Nawet w tym nie jestem dobry.

Uśmiechnęła się w końcu i wzięła od niego prezent, który niemal wstydliwie trzymał przed sobą. Prezentami i spólką zawsze zajmowała się Nathalie.

– Dzięki, tato. Cieszę się, że przyszedłeś.

Pocałowała go w policzek. Vic odwzajemnił jej uśmiech, dotknął jej twarzy, a potem odwrócił dłoń i pogładził jej długie włosy.

– Wesołych świąt, skarbie.

Niczego więcej nie pragnął. Pędem wrócił do samochodu. Nie obejrzał się za siebie, na pewno nie miałby na to ani siły, ani odwagi. Jak długo mógł, powstrzymywał łzy, ale dwie ulice dalej rozplakał się jak Maria Magdalena. Nie wiedział już, czy ma się smucić, czy cieszyć, że jeszcze ma córkę, w przeciwieństwie do Morganów, którzy stracili jedyne dziecko, a których on zostawił na pastwę ich podłego losu, żalu i pytań w tym wielkim domu na pustkowiu.

Upewnił się, że łzy obeschły, po czym z teczkami pod pachą wrócił do hotelu. Pomachał Romualdowi wolną ręką, w drugiej trzymając butelkę ginu, kupioną za dziesięć sześćdziesiąt w spelunce przy wyjściu z dworca w Grenoble i naprędce zapakowaną w papierową torbę.

– Wesołych świąt, Romualdzie.

– Wesołych świąt, proszę pana.

– Jak się miewa MammaM?

– Dobrze, proszę pana.

– Dziękuję, dobrej nocy.

– Dobranoc panu.

Uzbrojony w ostatni uśmiech, ruszył korytarzem, pustym jak parking i jak sąsiednie pokoje, bo kto w święta nocuje w takim miejscu? To była chyba jedyna dobra strona tej sytuacji: będzie sam, będzie miał cały hotel dla siebie. Zamknął drzwi na klucz, jednym ruchem uprzątnął bałagan na podłodze, położył na niej kopie materiałów sporządzonych przez Colina Bercherona i akt Andy’ego

Jeansona, butelkę z alkoholem oraz szachownicę, i rozstawił figury, gotów po raz pewnie tysięczny rozegrać „nieśmiertelną” partię Kasparowa.

Czuł się gotowy, bardziej niż kiedykolwiek, by znowu zmierzyć się z Podróżnikiem, tym razem jednak miał na podorędziu kluczowy argument: zabójca skłamał w sprawie Sary Morgan. Przywłaszczył sobie to morderstwo, zapowiedział, że w końcu wskaże miejsce, w którym pochował ciało, a przecież było to niemożliwe.

Dlaczego Podróżnik utrzymuje, że zabił Sarę? Nie on więził dziewczynę przez te cztery lata, a więc kto to robił? Moriarty? Po co tak długo trzymał ją przy życiu?

Vic sięgnął po kawałek papieru i usiadł na obrzydliwej wykładzinie w nieokreślonym kolorze. Na kartce zanotował słowo, które podał mu Jeanson, gdy się spotkali: *misdirection*, a także numer znaleziony na okładce bloku listowego: 27654. Upił spory łyk ginu, otworzył teczkę i przesunął białego piona z pola e2 na e4. Partia się zaczęła.

Noc działa jak przyływ i odpływ. Przychodzi taki moment, kiedy ból zdaje się cofać i staje się tak odległy, że człowiek czuje go ledwie na krawędziach powiek. A im bliżej przebudzenia, tym bardziej woda się podnosi. Fale się piętrzą, są coraz silniejsze i gwałtowniejsze, a wreszcie rozbryzgują się w zakątku duszy. Ból się budzi, gorszy niż poprzedniego dnia, jak sól sypana na ranę.

Było Boże Narodzenie. Léane leżała na łóżku skulona, bez ruchu, ze zdjęciem córki w dłoni. W jej głowie w kółko powracały te same obrazy. Myślała o martwej Sarze, o jej ciele znalezionym w bagażniku, co dziwne, widziała też karawan na wydmach Dunkierki, oświetlony blaskiem księżycy i tonący w deszczu konfetti.

Już po wszystkim, skończyło się, nigdy więcej nie zobaczy Sary, chyba że na stalowym blacie, kiedy policjanci na to pozwolą. Nie odzyska ciała córki od razu, trzeba poczekać do końca śledztwa, o ile ono się w ogóle kiedyś zakończy. Gładziła twarz na błyszczącym papierze, nieubłaganie ścierając obraz, i wiedziała, że będzie powtarzać tę czynność każdego dnia aż do końca życia.

Jullian pojawił się w drzwiach sypialni. Minęło południe. Miał na sobie czarne džinsy i szary wełniany sweter, którego nigdy nie lubił i który teraz był na niego zbyt obszerny. Podeszedł bliżej, wziął z jej ręki zdjęcie i popatrzył na nie.

– Była taka piękna.

Odstawił je na szafkę nocną i usiadł obok żony. Grzbietem dłoni pogładził ją po policzku.

– Pojechałem po ojca pod adres, który podałaś. Nie otwiera. Nie widziałem tam jego samochodu. Może coś mu strzeliło do głowy i wrócił do domu, ale dlaczego nie odbiera telefonu? Martwię się. Zawiadomię policję i zobaczę, czy nie można go zlokalizować. Ktoś musi być na dyżurze, nawet w Boże Narodzenie.

Léane skinęła głową, nie otwierając ust. Jullian wstał.

– Całą noc myślałem o Sarze, o tym, co mówili ci policjanci, i o Giordanie. Musimy szybko znaleźć jakieś rozwiązanie. Nie może tak być, żeby temu draniowi się upiekło i żebyśmy my mieli zapłacić zamiast niego.

Mimo że wspomnienia wciąż nie wracały, jego zachowanie względem Giordana radykalnie się zmieniło. Jullian nie potrafił tego wyjaśnić, ale wiedział, że ten człowiek skrzywdził jego córkę. Instynkt, reminiscencja, intuicja? Léane nie potrafiła tego powiedzieć. Nie odwracając się, wyszedł z pokoju. Dwie minuty później usłyszała, jak terenówka odjeżdża. Warkot silnika był coraz bardziej odległy, aż wreszcie stał się niesłyszalny. Rozwiązanie. Nie mieli wielkiego wyboru, uświadomiła to sobie, gdy tylko weszła do fortu. Giordano nie uległ Jullianowi przed napadem, to twardziel, który potrafi przyjmować ciosy. Co więc z nim począć?

Léane nie potrafiła wziąć pod uwagę najgorszego, nie czuła się do tego zdolna. Ale Jullian? Czy mimo wszystko zachował w sobie żar gniewu? Czy jest gotów zabić? Ale czy likwidując Giordana, nie pozbawiliby się szansy na poznanie prawdy?

Nie chciała odpuścić, zamierzała walczyć, prowadzić śledztwo na miarę swoich sił. Wstała z łóżka, poszła po laptop i wetknęła do gniazda pendrive z ekspertyzą psychiatryczną w procesie przeciwko Giordanowi. Założyła okulary do czytania i pobieżnie przejrzała tekst. „Perwersja”, „predacja”, „manipulacja”, „podporządkowanie” – te słowa powracały na kolejnych stronach. Raport Bartholomeusa był miażdżący. Cechy psychopatii. Giordano lubił zadawać ból, ale także cierpieć. To tylko wzmocniło jej przekonanie, że ekspolicjant nic nie powie.

Nie dowiedziała się niczego ponad to, co opowiedział jej psychiatra. Odłożyła dokument i bez wielkiej nadziei zaczęła wyszukiwać w internecie słowa „Donjon noir” i „Mistik”. Wyglądało na to, że kobieta, z którą Giordano był w związku, nadal praktykuje w tym przybytku, ponieważ jej imię i zdjęcie wyświetliły się w związku z niedawno organizowaną tam imprezą. Drobną, o jasnych włosach obciętych prawie na zero, o intensywnie niebieskich oczach, z kolczykami w dolnej wardze i w uszach, z bliznami na policzkach. Twarda, kwadratowa twarz. Na sam widok jej spojrzenia Léane dostała gęsiej skórki.

W innym miejscu pojawiała się na forum poświęconym sadomasochizmowi i ekstremalnym praktykom seksualnym. Kiedy jednak Léane tam klikała, okazywało się, że nie może wejść: żeby móc czytać wiadomości, trzeba było być członkiem, a prośby o przyjęcie musiały być zatwierdzone przez administratora.

Porzuciła ten trop i wpisała w wyszukiwarkę „Charlotte Henry”, prawdziwe imię i nazwisko Mistik. Tym razem wyników było więcej, pojawiły się też inne zdjęcia kobiety z lat dziewięćdziesiątych. Zgodnie z krótkim biogramem

w Wikipedii Charlotte Henry urodziła się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku w Belgii. Léane wyobrażała sobie, że była performerka jest młodsza, a tymczasem miała czterdzieści dziewięć lat. Żadnych informacji o życiu prywatnym. W latach tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem–dziewięćdziesiąt dwa należała do nurtu artystycznego zwanego sztuką cielesną. Polega on na studiowaniu i przesuwaniu granic możliwości fizycznych i psychicznych poprzez tworzenie często ekstremalnych performance'ów, w których ciało artystki całe staje się dziełem sztuki. Odrzucenie konwencji, ograniczeń, flirt z zakazami. Henry nie uznawała półśrodków. Artystka wielokrotnie się nacinała, biczowała, prawie zamroziła część swojego ciała na lodowych blokach, spała na łózkach nabitych gwoździami lub wysypanych tłuczonym szkłem przed coraz liczniejszą publicznością. Badała granice bólu. Jak daleko można się posunąć w zadawaniu sobie cierpienia? Jakie są nasze osobiste granice? A potem kierowała się do drugiego, do lustra, do widza: jak daleko on jest w stanie się posunąć w obserwacji? A w działaniu?

Szaleństwo. Henry coraz bardziej angażuje widza, prosi, żeby potrzymał narzędzie, którym ona zadaje sobie ból, obserwuje jego zachowanie, robi notatki. Czy jest zawstydzony, kiedy pozwala mu, by ją zranił? Zaangażowany? Czy gdzieś w głębi duszy wyrządzenie krzywdy sprawia mu przyjemność? Podczas każdego przedstawienia na jej ciele widać stygmaty poprzedniego eksperymentu. Poświęca je w służbie swojej sztuki.

Léane przechodziła od linku do linku. Odkrycie tego, co teraz miała przed oczami, wymagało trochę szperania. To był anonimowy artykuł na jakimś blogu.

Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi, Jugosławia. Charlotte Henry wykonuje performance zatytułowany *Item 48*. Przez cztery godziny, obłożona czterdziestoma ośmioma różnymi akcesoriami: linami, obcęgami, girlandami, zabawkami erotycznymi i narzędziami do zadawania bólu, oddaje się w ręce gości, pozwala im robić ze swoim ciałem, co chcą; jest ubrana – ma na sobie długą sukienkę i czarne sznurowane botki.

Léane kliknęła w link, który znajdował się w artykule. Otworzyło się wideo z performance'u sfilmowanego od początku do końca. Czterogodzinny film dość słabej jakości – z pewnością nakręcony kamerą cyfrową starego typu zamontowaną na statywie.

Na początku zwiedzający uznają Henry za kolejną osobliwość: zastanawiają się, nie mają odwagi podejść. Po półgodzinie – Léane przyśpieszała odtwarzanie lub przeskakiwała sekwencje – ktoś zaczyna podnosić jej rękę, ktoś inny obraca ją dookoła. Henry przyjmuje pozycje, w których ją ustawiają, a goście są coraz bardziej rozbawieni, coraz więcej z nich się przyłącza. Niektórzy strzelają jej palcami przed oczami albo dmuchają w twarz.

Po godzinie mężczyzna w średnim wieku wkłada jej rękę pod sukienkę: artystka stoi bez ruchu. W innym momencie jakaś kobieta nożyczkami wziętymi ze stołu przecina jedno z ramiączek. Pod koniec drugiej godziny Henry jest naga, jej majtki leżą na podłodze. Niektórzy odwracają wzrok, zawstydzeni, że ośmielili się patrzeć choćby przez chwilę, ale reszta zostaje. Z ciekawości. Albo z żądz podglądania. Henry kończy związana girlandą i przewodem elektrycznym, w ciało ma powbijane kolce róż, a jakiś człowiek przystawia jej do skroni pistolet, nie naciskając jednak na spust. Czy magazynek jest pełny? Czy Henry jest gotowa na śmierć? Nie wiadomo.

Pod koniec filmu mężczyzna około czterdziestki wybiera spośród mnóstwa przedmiotów nóż w kształcie ryby z długą zakrzywioną płetwą ogonową, którym można by poszatkować policzek. Léane czuje, jak ściska jej się gardło. Osobliwy mieczyk, biała broń przeznaczona do zadawania ran, okaleczania, zabijania. Tatuaż Giordana.

Léane obejrzała cały film, bliska obrzydzenia. Mężczyzna, niewysoki, przysadzisty, w okularach i kapeluszu, obecny od samego początku, gość, który kilkakrotnie podchodził do artystki i jej dotykał, nacina jej obie piersi, kreśląc na nich doskonale łuki. Henry ściąga wargi w cienką kreskę, z jej oczu płyną łzy, ale choć się trzęsie, wytrzymuje.

Na koniec performance'u słaba, z krwią ściekającą po piersiach i brzuchu, wchodzi pomiędzy widzów. Nikt nie ma odwagi spojrzeć jej w oczy. Kiedy kieruje się w stronę mężczyzny w okularach, ten odwraca głowę i odchodzi. Koniec filmu.

Léane nie mogła dojść do siebie. Nigdy nie słyszała o takich występach ani nie oglądała takich potworności, nawet w ramach kwerendy do swoich powieści. Ten słabo nagłośniony eksperyment pokazywał, do jakiego stopnia za milczącym przyzwoleniem każdy człowiek, idąc za impulsem pożądania, zdolny jest do perwersji i przemocy. Przez cztery godziny bez żadnych ograniczeń dotykano jej narządów płciowych i kaleczono ją do krwi. Co by się stało, gdyby było więcej czasu? Albo mniej publiczności?

Nie zdołała znaleźć więcej informacji o Charlotte Henry z okresu po tym doświadczeniu, jakby artystka nagle zakończyła działalność albo ukryła się w mroku. Jedno było pewne: niemożliwe, żeby ta kobieta nie miała nic wspólnego ze sprawą. Niemożliwe ze względu na kształt przedmiotu, którym ją okaleczono, taki sam jak kształt tatuazu na ramieniu Giordana i motywu wyżłobionego w piwnicy, w której przetrzymywano Sarę. Ta cholerna ryba była zwornikiem.

Henry alias Mistik, dziś specjalistka od cierpienia w lyońskim klubie, znała się na rzeczy. Giordano nie chce mówić? Zrobi to Mistik. Jeśli będzie trzeba, Léane przyłoży jej spluwę do skroni.

Usłyszała, że terenówka wraca, zamknęła więc wyszukiwarke i opuściła monitor laptopa. Nie powie o tym Jullianowi. Wiedziała, że popełniła błąd, konfrontując go z Giordanem, by w ten sposób zmusić jego pamięć do pracy. Powinna była się starać jak najlepiej go chronić, a nie narażać na widok tej potwornej przemocy. Zeszła do hallu, by przywitać męża.

– I jak?

Zdjął szalik i kurtkę i powiesił je na wieszaku.

– I nie wiadomo. Właścicielka otworzyła dom, był pusty. Wygląda na to, że ojciec zabrał telefon i płaszcz, wsiadł w samochód i odjechał. Ale jego rzeczy zostały. Policjanci będą się dowiadywać, sprawdzą, czy nie zgłoszono jakiegoś wypadku. Jeżeli do jutra nie będzie żadnych wieści, otworzą śledztwo w sprawie zaginięcia.

– Jakby los się na nas uwziął. – Léane objęła go ramionami i uścisnęła. – Uda się, jestem pewna, że go znajdziemy i będzie dobrze. Może potrzebował uciec od tego wszystkiego.

Miała szeroko otwarte oczy. Ani przez sekundę nie wierzyła w te słowa.

„Nieśmiertelne” to najsłynniejsze partie szachowe, często nazywane „partiami stulecia”, prawdziwe dzieła sztuki, namysłu i logiki, które na zawsze pozostawiły swój ślad, które nie umierają.

Swoją „nieśmiertelną” ma również Garri Kasparow – rozegrał ją w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym z Bułgarem Topalowem i jest ona przez niektórych uznawana za jeden z najpiękniejszych pojedynków wszech czasów. Po niewiarygodnym poświęceniu wieży w dwudziestym czwartym ruchu Rosjanin zastosował kombinację piętnastu zagrań, dzięki której odniósł zwycięstwo. Oto zagadka, którą Andy Jeanson dał do rozwiązania Vicowi półtora roku wcześniej w siedzibie brygady kryminalnej w Lyonie.

Z której strony podejść do problemu Jeansona? Skupić się na dacie rozegrania partii? Na miejscu? Na kontekście? Na liczbie ruchów? Czterdzieści cztery, czyli dwa razy dwadzieścia dwa? Jeanson miał obsesję na punkcie cyfry dwa. Dwójka i jej wielokrotności pokrywały ściany jego pokoju. Pięćset dwanaście, liczba włosów, to dwójka pomnożona przez samą siebie osiem razy z rzędu. Czy problem należy rozpatrywać w ujęciu matematycznym?

A może odpowiedź kryje się w samej partii? Ale odpowiedź na jakie pytanie? Czy trzeba spojrzeć gdzie indziej, poza kontekst, poza szachownicę, jak zdaje się sugerować wskazówka *misdirection*, termin stosowany w sztuce iluzji, którego Jeanson użył na koniec przesłuchania? Zaproponował mu wówczas dwie partie szachów w jednej. Łamigłówkę, której nikt nie potrafił rozwiązać.

W dzień Bożego Narodzenia Vic obudził się z poczuciem, jakby najadł się gipsu. Gin szybko wziął górę nad jego nocnymi rozmyślaniami, tak że policjant zapadł w sen po półgodzinie, pijany, wykończony, prawie niezdolny do pokonania trzech stopni prowadzących na łóżko z tanim materacem pełnym roztoczy, i obudził się po południu. Niemal dziesięć godzin snu, jakby za jednym zamachem nadrabiał miesięczne zaległości.

Zjadł lunch w galerii handlowej, w restauracji chińskiej, która w tym szczególnym dniu pękała w szwach – już dawno zapomniano o tradycyjnym indyku – po czym wrócił do pokoju i teraz już na trzeźwo zaczął czytać raport Colina Bercherona. Same fakty, niczego nie brakowało. Policjant z północy nie pokpił sprawy. Dwa miesiące temu ktoś wtargnął do domu, nie pozostawiając śladów włamania, i ukradł kilka przedmiotów, a dokładniej książki Léane Morgan i parę drobiazgów z łazienki. Bez sensu.

A potem... Dokładnie tydzień temu ktoś – „pasożyt” – z pewnością włamywacz, który już tu był, wchodzi nocą do domu Morganów, uruchamia alarm i przedstawia się agentowi ochrony jako mąż pisarki. Wszędzie zostawia odciski palców – na butelce whisky, na lodówce, na meblach – nie jest notowany. Kradnie dokumentację i wszystko, co ma związek z poszukiwaniami Sary Morgan. Tego samego dnia o dziewiętnastej Jullian zostaje znaleziony nieprzytomny na nabrzeżu. Najprawdopodobniej został przetransportowany w to miejsce w bagażniku własnego samochodu, a następnie pobity i podduszony. Trafia do szpitala, gdzie odzyskuje świadomość, ale nie odzyskuje pamięci.

Vic przesunął figury na szachownicy. Obrona Pirca, czarne pozwalają białym zbudować silne centrum z pionów, by następnie móc je zaatakować z dystansu. Po pięciu ruchach wraca do raportu. W sprawie z północy również było sporo zagadek, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę znaleziska z bagażnika terenówki: napis ŻYWA wykonany krwią męża, a zwłaszcza czapka ukryta pod wykładziną – Vic miał przed oczami jej fotografię. Wyjął z akt Jeanson'a zdjęcie Sary Morgan wykonane w wieczór jej zaginięcia. Nie miał wątpliwości, to była ta sama czapka.

Ze smutkiem patrzył na tę promienną twarz uwiecznioną na selfie, które Sarah zrobiła, zanim wyszła biegać tamtej zimy dwa tysiące cztertnastego roku. Biło od niej światło. Piękna młoda kobieta, przed którą przyszłość powinna stać otworem. On widział ją w bagażniku Delpierre'a pozbawioną oczu i twarzy, z wgniecioną czaszką, starszą o cztery lata. Przeżyła cztery lata piekła, a na koniec została zmasakrowana młotkiem w piwnicy, w najodleglejszym zakątku Vercors.

Vic rzucił się do okna i otworzył je na oścież. Chciało mu się wymiotować. Ktoś będzie musiał za to zapłacić. Tak trzeba. Odczekał, aż poczuje się lepiej, i wrócił na środek pokoju – wystarczyło zrobić dwa kroki. Jeśli to nie Jeanson porwał Sarę, to kto? Po kiego diabła seryjny morderca przywłaszczył sobie ofiarę Félix'a Delpierre'a? Z czystego narcyzmu? Vic coraz mniej w to wierzył, czuł, że powód jest głębszy. Gdyby tak nie było, Jeanson nie zostawiłby mu tej zagadki do rozwiązania.

Policjant pogrzebał w aktach sprawy i wyjął stamtąd zdjęcie „obiektu” Delpierre'a, manekina, powstałego również dzięki Sarze: miał jej twarz, oczy

i dłonie. Położył je między fotografiami żywej Sary w czapce i martwej w bagażniku. Kim były pozostałe ofiary, z których składał się „obiekt”? Gdzie zostały porwane? I co do tego wszystkiego ma Apolline? Co Delpierre z nią zrobił?

Jeszcze raz popatrzył na „obiekt”, a potem jego uwagę zwrócił pewien szczegół. Nie licząc Apolline, Delpierre zabił osiem razy. Jeanson również miał na koncie osiem ofiar. Przywłaszczając sobie zabójstwo Sary Morgan, Podróżnik dobił do dziewięciu. Czyli wyprzedził Delpierre’a o jedną ofiarę.

Dama na h6, goniec na b7. Vic wysłał dwie armie na szachownicy na wojnę. Dwaj przeciwnicy mieli stoczyć pojedynek intelektualny najwyższych lotów. Śmiertelne wyzwanie, walka na neurony i adrenalinę, o stawkę, która wykraczała poza proste ramy szachowego świata. W jego głowie pojawiła się pewna myśl: a co, jeśli istnieje jakiś związek między obydwojma mordercami? Jeśli w jakiś sposób jeden dowiadywał się na bieżąco o działaniach drugiego? Może prowadzili swoisty pojedynek, ruch za ruchem, jak na szachownicy? Kto w końcu wysłał kosmyk włosów Morganom? Delpierre czy Jeanson?

Vic pomyślał o Moriartym. Ziarenko piasku zgrzytające w trybach jego refleksji. W jaki sposób do schematu, który stworzył w wyobraźni, włączyć tego trzeciego mężczyznę? Przemknęło mu przez głowę, że Moriartym może być sam Jeanson, ale to było niemożliwe: trudno było go sobie wyobrazić, jak ze ściśle nadzorowanego więzienia wysłał esemesy do Delpierre’a albo dziesięć dni później wynajmuje willę w Chapelle-en-Vercors. W jego modelu coś nie grało: z jednej strony miał wrażenie, że się pogubił, a z drugiej, że prawda jest gdzieś blisko. Bo pomyśl ze współzawodnictwem mu się podobał.

Skupił się na profilu każdego z mężczyzn. Byli bardzo różni. Poza przypadkiem Apolline Delpierre ewidentnie nie działał sam, był raczej współpracującym z Moriartym wykonawcą odpowiedzialnym za eliminowanie ofiar i pozbywanie się zwłok. Szaleniec, który fantazjował o trupach. Jeanson natomiast był prawdziwym samotnikiem, od chwili porwania do momentu pochówku.

Pierwszy to zamknięty w sobie milczek, domator, żyjący w ukryciu w cieniu gór. Drugi – inteligentny, elokwentny gracz z obsesją na punkcie cyfr, zawsze w ruchu, przemierzający Francję swoim kamperem. Obydwaj grzebali ciała. Jeanson dusił lub zabijał uderzeniem w głowę. Jeśli chodzi o Delpierre’a, dokładnie tego nie wiedzieli, bo głowy ofiar owinięte były foliową torbą. Tak, Sarah Morgan została uderzona młotkiem, ale nie było podstaw, by twierdzić, że Delpierre z każdą ofiarą postępował tak samo.

Rozgorączkowany, przesuwając figury, aż doszedł do najpiękniejszego zagrania tej partii, nieoczekiwanego, niszczycielskiego, które przesądziło o losach

pojedyunku i pociągnęło za sobą śmierć obozu czarnych: poświęcenia białej wieży na b6. Pamiętna chwila.

Zastygł w tej pozycji – po raz enty – i ze wszystkich stron przyglądał się szachownicy. Czyżby Jeanson zostawił mu tę zagadkę ze względu na to jedno jedyne mistrzowskie posunięcie? Czy rozwiązanie może się kryć za ruchem białej figury? Oczywiście Vic już wcześniej godzinami rozmyślał nad tym pytaniem, ale do niczego nie doszedł. Czy to możliwe, że drogi tych mężczyzn gdzieś się przecięły? Że ze sobą współpracowali? Że...

Zerwał się na równe nogi i po raz kolejny uderzył o metalową poprzeczkę łóżka. Trzymając się za głowę, zgiął się wpół, bluzgając i przeklinając ten pokój, swoją sytuację, swoje żalosne życie. Ukoił ból solidnym łykiem ginu – leczenie jednego zła drugim – i oczami wyobraźni zobaczył siebie grzebiącego w śmietnikach Delpierre'a. Papier listowy, koperty, damskie perfumy wrzucone do kosza. I wtedy przypomniał sobie, gdzie widział numer 27654 zapisany na okładce bloku. To był numer Andy'ego Jeansona na liście więźniów. Dwaj zabójcy się ze sobą kontaktowali.

— **L**éane, będziemy musieli go zabić. Słowa padły zniemacka w środku nocy. Było ciemno, Jullian siedział ze skotłowaną kołdrą pod kolanami. Léane nie spała. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w sufit.

– Może i straciłem pamięć, ale to mnie nie zwalnia z odpowiedzialności za moje czyny. Uwięziłem go, związałem, biłem. Léane, znasz mnie. Powiedz... Powiedz mi szczerze, uważasz, że mógłbym postąpić w ten sposób, gdybym nie wiedział? Gdybym nie był pewny, że to on?

Odwróciła się w jego stronę.

– Przed zaginięciem Sary byłeś łagodnym człowiekiem, ale miałeś swoje przekonania. Byłeś zagorzałym obrońcą kolonii fok w zatoce, potrafiłeś, nie używając przemocy, postawić się rybakom. Nienawidziłeś przemocy. Ale kiedy Sarah zaginęła, zmieniłeś się, nie wahałeś się zachowywać agresywnie wobec osób, które stanęły ci na drodze. Pogrzyżyłeś się, Jullian. W gniewie, w alkoholu.

– Więc myślisz, że się pomyliłem? Że gniew mógł mnie zaślepić?

– Nie. To on, co do tego nie ma wątpliwości. Wiem, że o tym wiedziałeś.

Poczuła na ramieniu ciepłą dłoń męża.

– Gdybyś wtedy też wiedziała, czy byłabyś przy mnie? Wspierałabyś mnie?

– Zawsze cię wspierałam. Na ile starczało mi sił.

Usłyszała, jak z płuc Julliana uleciało powietrze. Jakby mu ulżyło.

– Musimy się zastanowić nad tym, co się teraz dzieje. I co może się stać, jeżeli nie zrobimy nic. Nie możemy go bez końca trzymać w tym forcie. To zaczyna być zbyt ryzykowne. W końcu ktoś nas zobaczy, jakiś ciekawski typ wejdzie tam i go znajdzie.

Léane słuchała. Jullian miał odwagę wypowiedzieć to, o czym ona myślała od kilku dni.

– Gliny w końcu trafią na nazwisko Giordana. Byli tutaj, w naszym domu, i tutaj wrócą. Wystarczy otworzyć drzwi, a Colin Bercheron już tam jest. I jeszcze mój ojciec, który nie daje znaku życia.

Milczenie. Nieobecność. Jullian cofnął rękę. Przez jakieś dziesięć sekund trwał w bezruchu, po czym zaczął mówić dalej.

– Jutro policja zacznie go szukać, tak mi powiedzieli. Gliny będą wszędzie. Giordano odebrał nam już córkę. Nie zgadzam się, żeby odebrał nam wolność. To nie jest tak, że jest niewinny albo że jeszcze mamy wątpliwości. Widziałem tatuaż, nie potrzebuję pamięci. Mamy dowód, że jest w to zamieszany, że skrzywdził naszą córkę. Czy trzeba nam czegoś więcej?

– Woli milczeć niż powiedzieć, co zrobił. Gdyby był niewinny, nie reagowałby w ten sposób.

– Otóż to. Jeśli chcemy dać sobie szansę na wyjście z tego, nie mamy wyboru. Im dłużej będziemy zwlekać, tym bardziej będzie to skomplikowane.

W półmroku Léane zobaczyła, że jej mąż patrzy na swoje otwarte dłonie.

– Jestem gotowy to zrobić.

Podciągnęła kolana do klatki piersiowej. Pomyślała o Mistik, o filmie, w którym młoda kobieta wystawiała się na okaleczenia, o raporcie Bartholomeusa. W trakcie pisania *Niedokończonego rękopisu* wyobrażała sobie, że jest na miejscu bohaterki i zabija Arpageona. Przeżyła to w głowie etap po etapie, sądziła, że odczuwa to, co się czuje w takiej sytuacji: widziała siebie, jak dusi pisarza poduszką, zawija ciało w plandekę i jedzie je zakopać w lesie lub utopić. Ale tutaj było inaczej. Patrzyła Giordanowi w oczy. Niezależnie od tego, co zrobił, ciągle był człowiekiem z krwi i kości. Istotą ludzką.

– Hm... Wolałabym jeszcze trochę poczekać. Parę dni, może odzyskasz pamięć, a może on zacznie mówić.

– Dobrze wiesz, że tak nie będzie. A nawet gdybym odzyskał pamięć, co by to zmieniło? Uciekanie przed tym, co nieuchronne, niczemu nie służy.

– Proszę, zaczekajmy jeszcze trochę. Dzień, może dwa. Jutro zamierzam wyjechać. Chcę jeszcze sprawdzić ostatnią rzecz.

– Co?

– Powiem ci, jeśli się uda. To bardzo niepewny trop, ale nie mogę go pominąć. Chcę go zbadać do końca, zanim podejmiemy jakąkolwiek decyzję.

– Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć? Mógłbym ci pomóc, ja...

– Tylko twoje wspomnienia mogłyby mi pomóc.

– Jak chcesz.

Pograżyli się w milczeniu, w ciszy, która bardziej kłuła w uszy, niż koła. Léane czuła w skroniach pulsowanie krwi. Jullian z pewnością ma rację: poszukiwania i odsuwanie tego fatalnego momentu nie mają sensu, trzeba decydować szybko.

Giordano nie zasługuje na żaden proces. Przez ułamek sekundy oczami wyobraźni zobaczyła go na wolności, a siebie i Julliana za kratkami. Im dłużej będą zwlekać, tym większe prawdopodobieństwo, że ten scenariusz się spełni.

Siedziała tak przez dwie, trzy godziny, w środku nocy po Bożym Narodzeniu, niezdolna, by myśleć ani tym bardziej spać. Twarze znowu wirowały jej przed oczami. Jej mózg raz po raz się wyłączał i zapadała w kamienny sen, a potem wszystko zaczynało się od nowa. Obrazy tańczyły jej pod powiekami. Morze papierowych piszczałek, wykrzywione usta wyzierające z piasku wydm, paznokcie połamane na blasze.

Kiedy kolejna fala snu otulała ją ciepłym kokonem, jej ucho wychwyciło jakiś dźwięk, który po przejściu kanałem słuchowym został zbadany przez korę mózgową i uznany za dziwny, a nawet niebezpieczny. W jednej chwili otworzyła oczy. Na radiobudziku wyświetlała się godzina trzecia dwadzieścia dwie. Wstrzymała oddech. Jullian spokojnie oddychał u jej boku. Czyżby jej się przyśniło? A może to wiatr? Nie, dobrze usłyszała trzaśnięcie samochodowych drzwi na zewnątrz. Przypomniała sobie, że nie włączyła alarmu; nie pamiętała nawet, czy drzwi na dole są zamknięte na klucz.

Po chwili usłyszała kolejny dźwięk, ale tym razem już nie z zewnątrz. Szczęk narzędzi na parterze. Ktoś wszedł do domu.

Léane potrząsnęła Jullianem i wyskoczyła z łóżka jak tygrys. Wpadła do garderoby i wyjęła schowany wśród ubrań pistolet. Jej mąż się obudził.

– Co ty...

Wróciła do niego i dwoma ruchami wciągnęła na siebie nocną koszulkę.

– Ciii... Myślę, że ktoś jest w domu, słyszałam jakieś odgłosy.

Jullian się podniósł. Zobaczył pistolet w ręku żony i Léane trzymającą palec na ustach. Dźwięki były ledwie słyszalne. Odległe skrzypienie drzwi, którego przy szalejącej wichurze można było w ogóle nie zarejestrować. Jullian z kocią zwinnością wskoczył w kalesony.

– Gdzie twój telefon? Trzeba zawiadomić policję.

– Na dole...

Léane podeszła na palcach do okna. Na końcu drogi, przy wydmach, stał czarny samochód. Zmrużyła oczy. Miała wrażenie, że widzi jakiś ruch w kabinie, jakby ktoś czekał za kierownicą. Powinna zacząć krzyczeć, zagrozić, że wezwie policję, ale pistolet, który ścisnęła w rękach, a przede wszystkim chęć, by zrozumieć, co się dzieje, odbierały jej głos. Bo możliwe, że oto pasożyt, włamywacz, napastnik – albo wszyscy trzej w jednym – powrócił.

Ruszyła korytarzem. Może po tym, jak wysłał Julliana do szpitala, teraz zobaczył, że przed domem nie ma samochodu, i sądził, że jest tutaj sam. Czy znowu zamierza pić whisky i wyjadać zawartość lodówki? Boso, trzymając przed sobą sig sauera, prześlizgnęła się jak duch do betonowych schodów i zeszła. Jullian chwycił statuetkę z różowego marmuru i głośniejszym krokiem podązał za żoną.

Podzwanianie metalu. Jak uderzające o siebie klucze, pomyślała Léane. Z miejsca, w którym stała, dostrzegła odbijającą się od szyby cienką wiązkę światła, która po chwili znikła. Znowu skrzypnęły drzwi. Kobieta przywarła do ściany i zwróciła się do męża.

– Zszedł do piwnicy.

Nie czekała, aż strach odbierze jej siły. Kiedy tylko usłyszała, jak drzwi garażu się otwierają, zbiegła do pomieszczenia, w którym stały terenówka i jej samochód. Jakiś człowiek kończył właśnie podnosić drzwi. Wycelowała do niego i zawołała:

– Jeśli się ruszysz, strzelę! Przysięgam, zabiję jak psa.

Dalsze wypadki potoczyły się bardzo szybko. Zobaczyli ostry błysk świateł na zewnątrz, ryknął motor i nieznany samochód odjechał bez pasażera. Jullian rzucił się na struchlałą postać, przygniół ją do ziemi i okładał pięściami, aż człowiek, zasłaniając rękami twarz, zaczął błagać, żeby przestał. Léane musiała oderwać męża od ofiary. Jullian stał z oczami nabiegłymi krwią i dyszał.

– Dość! Zabijesz go!

W końcu się odsunął, unosząc wysoko ręce. Dyszał jak byk. Intruz, mamrocząc coś pod nosem, przetoczył się na bok i wstał. Powlókł się w stronę ściany z pustaków. Nie przestając do niego celować, Léane zapaliła światło i zamknęła garaż. Wróciła do nieznajomego i przyjrzała mu się. Płaska twarz granika, trąbkowaty nos sikający krwią – gość nie miał nawet dwudziestu lat. W życiu nie widziała tak paskudnej gęby.

Jullian znowu przystąpił do ataku. Chwycił go za kołnierz bomberki i przyparł do ściany.

– To ty? Ty mnie sprależ i posłałeś do szpitala, draniu? Kim ty jesteś? Czego tu szukasz?

Facet wytrzeszczył oczy, spojrzął na Julliana, a potem na Léane, jakby sam nie rozumiał, co się dzieje.

– Ale... Kurwa, przecież to pan! Sam mnie pan prosił, żebym pana stuknął!

Léane miała poczucie, jakby dostała w twarz. Czy dobrze usłyszała? Powstrzymała męża, który już się szykował, by tłuc dalej, i przeszukała kurtkę intruza.

– Mój mąż cierpi na amnezję. Przez ciebie stracił pamięć. Mów wszystko od początku do końca. I radzę ci nie kłamać. Jak pewnie zauważyłeś, mogą nam puścić nerwy.

Zabrała mu nóż automatyczny i znalazła portfel. Według dowodu osobistego nazywał się Andy Bastien i mieszkał w Abbeville, pięćdziesiąt kilometrów od Berck, w jednej z najbardziej patologicznych dzielnic miasta. Odkryła też pismo z sądu – wyglądało na to, że Bastien ma nadzór sądowy – oraz jeszcze jeden dowód osobisty: Julliana. Podała go mężowi.

Bastien wskazał palcem na Julliana.

– To on... W zeszyły wtorek rano przyszedł pod mój blok. Trochę niechlujny, taki zagubiony gość. Łaziliśmy sobie tam w kilku. Zapytał, czy ktoś nie chciałby zarobić łatwej kasy. – Wytarł nos w rękaw bomberki. – Pokazał nam hajs i wybrał mnie, bo jako jedyny mam samochód. Miałem się z nim spotkać o osiemnastej na południowym krańcu nabrzeża w Berck, pod latarnią. Wyglądał na lumpa, ale dał mi pięćset euro zaliczki. I powiedział, że po robocie dostanę jeszcze tysiąc pięćset.

Léane nie wierzyła własnym uszom. Razem dwa tysiące euro. Suma, którą Jullian wyciągnął tamtego ranka z bankomatu. Gość nie kłamał.

– Stawiłem się punktualnie, zaparkowałem w spokojnym miejscu i poszedłem pod latarnię. Zobaczyłem, jak nadchodzi drogą od strony plaży z telefonem w rękę. – Pociągnął nosem. – Kurwa, dajcie mi chusteczkę! Widzicie, że krwawię!

Léane rzuciła mu rolkę ręcznika papierowego, która stała na blacie warsztatowym. Wytarł nos, odchylił głowę do tyłu i wepchnął zwinięte

kawałeczki papieru do każdej dziurki.

– Potem poszliśmy w stronę falochronu, tam gdzie są foki. Było ciemno, nikogo dookoła i taka w chuj dziwna atmosfera, miałem cykora. Ciągłe nawijał o swojej córce, o tym, że byłaby w moim wieku, i takie tam. Na pewno był dziabnięty, ale trzymał się prosto.

Léane słuchała bez ruchu. Bastien z całą pewnością był ostatnią osobą, która widziała jej męża przed amnezją. Zrozpaczonego człowieka w opłakanym stanie, ducha, który desperacko poszukiwał winnego zaginięcia swojej córki. Młody mężczyzna spojrzał Jullianowi w oczy.

– Zatrzymaliśmy się koło ławki, a tam najpierw poprosił mnie pan, żebym pana, kurwa... dusił, mocno ścisnął, aż pan powie dość. O mało nie zwałem, ale pokazał mi pan pieniądze w kieszeni. Pomyślałem, że nie tylko jest pan nawalony, ale w dodatku kompletnie stuknięty. – Popatrzył na Léane. – Tak, zrobiłem to. Stałem... stałem za nim i ścisnąłem z całej siły, co najmniej dwadzieścia sekund. Kiedy puszczałem, mówił „jeszcze”.

Jullian kręcił głową, zaciskając usta. Léane zobaczyła popłoch w jego oczach i wyobraziła sobie te wewnętrzne demony, te dziesiątki pytań, które go prześladowały, tak samo jak dręczyły ją, a wśród nich to jedno: dlaczego?

– Przestałem, kiedy oczy prawie wychodziły mu z orbit. Chciałem moją forszę, miałem dość. Ale to nie był koniec. Za ławką miał schowany kij bejsbolowy, włożył mi go do rąk i poprosił, a ledwie mógł mówić, żeby go uderzyć, o tu – wskazał obszar na swojej głowie – raz a dobrze. Znokautować, krótko mówiąc. I że potem będę mógł wziąć hajs z jego kieszeni i sobie iść. – Wyjął z nosa sączki i włożył nowe. – Zrobiłem to. Zrobiłem to, kurwa. Upadł, był sztywny, wziąłem pieniądze i... był tam jego dowód, też go zabrałem, a na dowodzie był adres. W tygodniu podjechaliśmy z jednym kumplem, żeby z daleka rzucić okiem na waszą chatę, bo pomyśleliśmy, że skoro gość spaceruje z dwoma tysiącami euro w kieszeni, to może warto go, ekhm, odwiedzić. Kiedy zobaczyliśmy, że stoi wśród wydm pusta, z pogaszonymi światłami, postanowiliśmy tu wrócić w Boże Narodzenie. No i jestem. Szlag, przywaliłem panu tak, że byłem pewien, że jest pan jeszcze w szpitalu.

Léane trawiła te rewelacje, a Jullian patrzył na nią z przestraszeniem, jakby sam w to nie wierzył. Chwyciła chłopaka za kurtkę i pchnęła w stronę terenówki. Otworzyła bagażnik.

– Mój mąż był tutaj zamknięty. Jak to wyjaśnisz? I jak wyjaśnisz włamanie dwa miesiące temu? I to, że wszędzie były twoje odciski palców? Byłeś tu już wcześniej.

Pomachał rękami.

– Nie, nie, przysięgam, że żadnej z tych rzeczy nie zrobiłem. Powiedziałem wam całą prawdę, jestem tutaj pierwszy raz. Ta... ta sprawa z bagażnikiem to nie ja. Nie dokładajcie mi, mam już na karku nadzór sądowy za inne włamanie. Nie chcę siedzieć.

Jakkolwiek wydawałoby się to szalone, Léane mu wierzyła. Dzieciak miał problemy z prawem, był notowany, jego odciski palców były w bazie. Gdyby to on był pasożytem, Colin by to wykrył. Cała ta historia była bardziej mroczna i zapętłona, niż potrafiła to sobie wyobrazić. Podeszła do drzwi garażu i otworzyła je. Jullian skoczył w jej stronę.

– Co ty robisz? Chyba nie chcesz...

Ruchem głowy dała Andy'emu Bastienowi znak, by spadał.

– Mam twój dowód. Jeśli cokolwiek usłyszę na twój temat, wszystko opowiem policji. Zapomnij o nas, a my zapomnimy o tobie.

Jak tylko chłopak znalazł się na zewnątrz, ruszył biegiem w stronę wydm. Léane zamknęła drzwi i zaczęła chodzić boso wte i wewte po lodowatej podłodze. Nie zważając na zimno, rwała sobie włosy z głowy.

– Co się dzieje? Co się dzieje? Dlaczego zrobiłeś coś takiego?

Wróciła do ciepłego salonu i nalała sobie kieliszek, który opróżniła jednym haustem.

– Wszystko zaplanowałeś, wszystko wymazałeś. Swoje poszukiwania, twarde dysk w komputerze, nawet swoją pamięć. Ty naprawdę spacerowałeś nabrzeżem z aplikacją zdrowotną. I wyskrobałeś w bagażniku wiadomość własną krwią nie dlatego, że byłeś tam zamknięty, ale dlatego, że chciałeś, żeby inni tak myśleli. Tak jakbyś specjalnie rozsiewał wskazówki.

– Wskazówki?

– I jeszcze... Czapka schowana obok koła zapasowego... Odbitki z mojej książki w szafie... Klucz w twoich spodniach wędkarskich...

– Jaki klucz?

– Wiedziałeś, że go rozpoznam. Musiałeś wiedzieć. To tak, jakbyś przygotował grunt pod to, żebym ja przejęła pałeczkę. Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego postawiłeś mnie w takiej sytuacji?

Odpowiedział, że nie wie, że nie rozumie samego siebie. Léane nie zdołała nalać sobie drugiego kieliszka, miała mroczki przed oczami. Po raz pierwszy w życiu odnosiła wrażenie, że traci przytomność. Musi się położyć, zapomnieć – ona również – przynajmniej na kilka godzin. Powlokła się do łazienki, otworzyła apteczkę. Połknęła środek nasenny, popijając łykiem wody, i poszła się zakopać w pościeli. A potem wszystko się rozmyło.

Wczesnym popołudniem policyjny samochód mknął wstęgą asfaltu w stronę ośrodka penitencjarnego w Valence niczym rozpędzona kula pod rzęciowoszarzym niebem nabrzmiętym wilgocią, gotowym w każdej chwili odpalić serię białych pocisków.

Rano Vic opowiedział swojej grupie śledczej, do czego doszedł poprzedniego wieczoru: że obaj ci seryjni zabójcy działali w tym samym czasie, znali się i mieli ze sobą kontakt. Podróżnik siedział w specjalnie strzeżonym więzieniu, z nikim nie rozmawiał, nie spotykał się ze swoim adwokatem, a żeby go przesłuchać, trzeba było dopełnić skomplikowanych procedur administracyjnych. A jednak Vic był przekonany, że Delpierre utrzymywał z nim kontakt. Co mógłby im powiedzieć Delpierre, gdyby żył? Czy istnieje szansa, żeby dzięki ich korespondencji poznać tożsamość Moriarty'ego?

Mangematin, który pracował na miejscu, posuwał się do przodu: przeglądał akta obu zabójców, a przede wszystkim zdobył raport z badania psychiatrycznego przeprowadzonego na użytek procesu Delpierre'a w sprawie kradzieży zwłok z instytutu medycznego w dwa tysiące dziesiątym roku. Był to najlepszy sposób na dogłębne poznanie człowieka: jego upodobań, skłonności, jego przeszłości, przebiegu dzieciństwa i dorosłego życia. Czy Delpierre'a i Jeanson'a coś ze sobą łączyło? Może spotkali się wiele lat temu, może razem pracowali albo znali się w dzieciństwie? Skoro oddawali się tak osobliwej, niepojętej grze, z pewnością musiała ich łączyć silna, głęboka więź. Możliwe, że tajemnica tożsamości Moriarty'ego i klucz do całej historii kryły się w przeszłości obu mężczyzn.

Vadim zaciskał dłonie na kierownicy.

– Kurwa, nie ogarniam. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Dwaj seryjni mordercy działający razem, w zorganizowany sposób? Konkurs na to, kto zostawi po sobie więcej trupów? Jak wyjaśnisz coś takiego swojej rodzinie?

– Nie wyjaśnisz.

– Tak, nie wyjaśnisz i w końcu czeka cię rozwód. Nie mam na to ochoty. To były spieprzone święta, wiesz? Nawet kiedy piliśmy, nie byłem w stanie wyrzucić tej sprawy z głowy. Uśmiechałem się, ale ciągle widziałem Morganów. Ten biedny gość z amnezją i ta kompletnie zagubiona babka. Mają piękny dom, kasę, kobieta jest sławna, ale nie mają już córki. I nic im jej nie zwróci. Czy może być coś gorszego? Stracić dziecko, zwłaszcza w takich okolicznościach.

Z szarówki wyłonił się główny budynek wzniesiony w pobliżu drogi krajowej numer siedem, na pustkowiu porośniętym martwą roślinnością i zamarznąłą trawą. Ruchem głowy Vadim wskazał na betonowy sześcian, ogrodzenia z drutu kolczastego, ponure budki strażnicze i górne siatki antyucieczkowe.

– I to wszystko przez nich. Brzydzę się nimi.

Vic postanowił się nie odzywać, ale myślał podobnie. Osobnicy siedzący za tymi kratami pozbawiali życia, niszczyli ludzkie dążenia, rodziny, a jedynym stosowanym rozwiązaniem jest trzymanie ich razem jak bydło, z dala od społeczeństwa, w miejscach, w których ostatecznie mogą się stać jeszcze bardziej okrutni. Ale czy istnieją inne rozwiązania? Vic nie wiedział, on i polityka to dwie różne bajki, on tylko starał się zapełniać te miejsca, jak tego od niego wymagano, wrzucać surowiec do paszczy penitencjarnego ogra. Dobry żołnierz Republiki.

Zatrzymali się na parkingu dla gości i zgłosili się u pierwszego strażnika: przyjechali na spotkanie z dyrektorem Claude'em Nédélecem. Dzięki temu nie musieli przechodzić kilku kontroli bezpieczeństwa i już po półgodzinie znaleźli się w jego gabinecie. Nédélec miał obcięte na szcztokę włosy w kolorze szarego taupe i długie, gęste bokobrody, sięgające dolnej części policzków. Ucisnął im dłonie i zaproponował, żeby usiedli. Po wymianie serdeczności przeszedł do rzeczy:

– Po telefonie waszego komendanta przepytalem pracowników. Musicie wiedzieć, że od początku przebywania tutaj Andy Jeanson ma zakaz wysyłania jakiegokolwiek poczty, a wszystkie listy, które otrzymuje, są otwierane i skrupulatnie czytane. Nie zauważono niczego dziwnego, pomijając fakt, że pisanie do takiego osobnika jest dziwne samo w sobie.

Pochylił się i zapalił lampkę. W gabinecie było jeszcze ciemno.

– A więc sądzą, że pisze do niego inny seryjny morderca, Skórownik, jak go nazywacie?

– Pisał, już nie żyje. Zanim pochował swoje ofiary, częściowo zdejmował z nich skórę. Liczba jego ofiar jest identyczna z liczbą ofiar Jeansona, pod tym względem panowie nie mają sobie czego zazdrościć.

Nédélec zmarszczył nos.

– Szukacie mężczyzny, ale Jeanson ma tylko wielbicielki, nie pisze do niego żaden mężczyzna.

– Żeby dotrzeć do Jeanson, Skórownik mógł się podszyć pod kobietę. Myślimy, że perfumuje swoje listy, że zna osadzonego: miał jego numer z rejestru. Być może mieli jakiś ustalony sposób na ukrywanie treści w listach, na wypadek gdyby któryś z nich został przyłapany. Wiemy, w związku z trwającym dochodzeniem trudno jest porozmawiać z Jeansonem bez zezwoleń...

– Tak, to kwestia dwóch, trzech dni na uregulowanie papierologii. Przykro mi, naprawdę.

– Nie możemy czekać. Listy, które dostaje, są nam potrzebne, żeby iść do przodu ze śledztwem. W rozmowie z naszym komendantem sygnalizował pan, że to nie będzie problem.

Dyrektor skinął głową i wstał.

– Dostarczę wam kopie całej jego korespondencji, oczywiście pod warunkiem, że się jej nie pozbył. Andy Jeanson wychodzi na spacer za piętnaście minut, moi ludzie są już poinformowani. Chodźcie.

Zaprowadził ich na koniec skrzydła administracji, gdzie stała kserokopiarka.

– Zaczekacie tutaj. Więźniowie dużo ze sobą rozmawiają, wolałbym, żeby nie widzieli obcych twarzy. Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli Jeanson o niczym się nie dowie. Będę musiał się śpieszyć, bo Jeanson przebywa poza celą tylko dwadzieścia minut. Odejmując czas na przejście tam i z powrotem, zostaje pięć minut na zrobienie odbitek i odniesienie wszystkiego na miejsce.

Zniknął za drzwiami. Vadim oparł się o ściankę działową i z założonymi ramionami patrzył na ciąg biur. Wyglądały jak zwykłe pomieszczenia administracyjne. Nie było tu krat, ludzie krążyli swobodnie po korytarzach, popijając kawę z automatu, słychać było wybuchy śmiechu. Jak to możliwe, że zaraz za tymi murami znajduje się takie skupisko przemocy?

Po kilku minutach znowu zjawił się dyrektor z czołem mokrym od potu, w towarzystwie strażnika więziennego, przewyższającego go o głowę. Pośpiesznie podeszli do nich.

– Proszę, myślimy, że to jest komplet. Wszystko było złożone na jedną kupkę pod materacem. I nic nie pachnie perfumami.

– Może perfumował tylko koperty?

– Niestety żadnej nie znaleźliśmy. Jedźmy z tym koksem, mamy tylko parę minut.

Umieścił stosik w pojemniku, nacisnął na kilka guzików i maszyna z rekordową szybkością w kilku seriach wypluła z siebie sto dziewięćdziesiąt dwie odbitki. Nédélec pozbierał oryginały i ucisnął ręce obu policjantom.

– Wracam. Oczywiście liczę, że będziecie mnie informować na bieżąco. Powodzenia.

Podziękowali, zebrali gruby plik kopii, przeszli przez bramki kontrolne i wsiedli do samochodu. Vic nie mógł czytać w samochodzie, bo robiło mu się niedobrze, postanowił więc, że z zawartością teczki zapozna się już na komendzie. Miał nadzieję, że przeniknie umysły obu zabójców i odkryje ich mroczne sekrety.

Vadim wrócił, niosąc w każdej ręce kubek kawy. W tym międzyświątecznym okresie pomieszczenia brygady kryminalnej były prawie puste. Mniej pilne sprawy zostały zawieszane do czasu, aż policjanci naładują baterie. Mangematin siedział zamknięty w swoim biurze z nosem w papierach, Dupuis i Manzato mieli spotkanie z sędzią śledczym i kryminalnymi z Lyonu, którym przedstawiali najnowsze postępy w śledztwie. Wielki bajzel, z którego Vic z radością się wymiksował.

Kiedy wszedł do swojego pokoju, była prawie osiemnasta. Miał pod ręką kopię wiadomości, którą Delpierre zostawił dla nich na kupce płyt DVD, kiedy odkryli „obiekt” w jego piwnicy: „Niespodzianka się podobała? No to teraz moja spuścizna. Miłego oglądania, jebane psy”.

– Tego pisma szukamy w listach.

Przeglądał kartki jedną po drugiej, a następnie przekazywał je koledze do ponownej weryfikacji. Vadim nie mógł się powstrzymać od czytania niektórych fragmentów.

– Nie, no mówię ci, te laski są kompletnie stuknięte. Posłuchaj tego: „Wiem, co o panu mówią, i wiem, że to wszystko nieprawda. Kiedy patrzę na pana piękne zdjęcia, widzę delikatnego, inteligentnego i uczciwego mężczyznę. Jest pan istotą ludzką, nie mogą pana tak traktować, ma pan prawo do drugiej szansy”. Bla, bla, bla. Jak można kochać takich drani? Trzeba by im pokazać zdjęcia trupów, na pewno by się uspokoiły, histeryczki jedne.

Vic w milczeniu pił swoją kawę. Listy przesuwają się przed jego oczami i po półgodzinie miał już za sobą całą kupkę.

– To nie takie łatwe, nie widziałem nic podobnego. Najwyraźniej odegrał swoją rolę do końca i zmienił pismo.

– A może po prostu się pomyliliśmy?

– Nie pomyliliśmy się. Trzeba będzie je wszystkie przeczytać, prawie dwieście sztuk. Posortować najpierw na podstawie nadawców, potem na podstawie dat i działać na zasadzie eliminacji. Może znajdziemy jakieś dziwne słowa, jakieś podkreślenia, wyłuszczenia, wielkie litery. Musimy wszystko obejrzeć pod lupą.

Vadim nie krył, że ma dość.

– Dobra, wezmę połowę, ale uprzedzam cię, że za dwie godziny odpuszczam. Musimy z Martine zawieźć prezenty mojej bratanicy.

Vic zaczął czytać, przerażony takim mizerializmem i powątpiewaniem fanek Jeansena w jego winę. Znał zjawisko pociągu seksualnego kobiet do najgorszych kryminalistów. Landru otrzymał osiemset propozycji małżeństwa, zanim jego głowa nie spadła do kosza. Breivik, norweski zabójca sześćdziesięciu dziewięciu osób, w większości nastolatków, ma tysiące wielbicielek. Jak walczyć z czymś, z czym nie da się wygrać? Vic często zadawał sobie to pytanie i za każdym razem miał potem doła.

Gdy przeczytał zaledwie pięć listów, wszedł rozentuzjasmowany Jocelyn Mangematin z aktami pod pachą.

– Znalazłem! Znalazłem ten pieprzony związek między Jeansonem a Delpierre'em!

Vadim wyciągnął szyję jak surykotka, a Mangematin trzasnął plikiem dokumentów o biurko Vica.

– To są kopie raportu z badania psychiatrycznego Delpierre'a, przeprowadzonego w ramach jego procesu w dwa tysiące dziesiątym. Streszczę wam kontekst: facet został wtedy oskarżony o gwałty na zwłokach w laboratorium anatomicznym w Grenoble i czynności nekrofilskie. Psychiatrzy ułatwili nam robotę, ich raport opisuje znaczną część jego dzieciństwa. Jest tam sporo zbędnej gadki, ale interesuje nas to, co się zdarzyło pod koniec lat osiemdziesiątych. Delpierre ma wtedy dwanaście lat. Jest silnie związany z ojcem, o wiele bardziej niż z matką. Wszystko zaczyna się sypać któregoś lata, gdy ojciec doznaje zawału. Tego dnia matka wyszła na zakupy, w chwili tragedii dzieciak jest w gospodarstwie sam. Przez wiele godzin siedzi przy zwłokach. Kiedy matka odkrywa, co się stało, chłopak klęczy i płacze, a ojciec zdążył już spuchnąć, jeśli wiecie, co mam na myśli.

Vic zakrzuszył się ostatnim łykiem zimnej kawy.

– Zdaniem psychiatrów to zdarzenie ma na niego traumatyzujący wpływ i wywołuje całkowitą zmianę jego zachowania. Od tego momentu chłopak wagaruje, nikt nie wie, gdzie spędza dni, przestaje pomagać w gospodarstwie, zamyka się w sobie, staje się milczkiem. – Skierował pytające spojrzenie na Vica. – Vic, pytanie do ciebie. Zgadnij, dokąd matka postanawia wysłać dzieciaka?

Vic wzruszył ramionami.

– Poddajesz się? Internat dla chłopców, godzinę drogi od Chambéry, w którym dzieci są poddawane ostrej dyscyplinie i żyją w ścisłej izolacji od świata. Ten internat to...

– Roches noires. Cholera.

Vadim uniósł ręce.

– A może ktoś mi wyjaśni, o co chodzi?

Mangematin skinął głową i podał mu kolorowy wydruk. Zdjęcie przedstawiało zabudowania szkoły – długie bloki z zimnego kamienia o łupkowych dachach, stojące w otoczeniu czarnych sosen za wysokim, ciemnym ogrodzeniem. Niezbyt zachęcające.

– Andy Jeanson też przeszedł przez ten internat – włączył się Vic – od tysięcy dziewięćset osiemdziesiątego szóstego do osiemdziesiątego ósmego, jako Andy Mortier, pod nazwiskiem matki. To stoi napisane czarno na białym w jego aktach. W chwili przyjęcia do placówki miał czternaście lat. Matka wychowywała go wtedy sama, ojciec odszedł z inną kobietą cztery lata wcześniej i nie ubiegając się o opiekę nad dzieckiem, zadowolili się płaceniem alimentów. Młody Andy, choć inteligentny, ma nieprzyjemności w szkole z powodu swojego wyglądu: ma nadwagę, zaczyna chorować, zmusza się do wymiotów. Matka, która ma problemy z alkoholem, nie potrafi już zapanować nad sytuacją i wysyła go do Roches noires.

Mangematin żarliwie przytaknął.

– Delpierre natomiast przebywa tam od osiemdziesiątego siódmego do osiemdziesiątego dziewiątego. Trzy długie lata, w tym dwa z Jeansonem. Nie wiemy, co tam się działo, nie ma tego w żadnym raporcie i możliwe, że nikogo to tak naprawdę nie interesowało. W każdym razie Delpierre wychodzi stamtąd jako piętnastolatek. Gdy ma lat osiemnaście, znajduje robotę: pracuje jako czeladnik w kostnicy w Grenoble. Dalszy ciąg znamy. Pociąg do śmierci, praca w rzeźniach, laboratorium na wydziale medycyny, nekrofilia. Krótko mówiąc, internat niczego nie naprawił, wręcz przeciwnie.

– Jest gorzej niż przedtem. Wychodzą stamtąd dwaj chłopcy, którzy dorastają zamknięci w swoich obsesjach i którzy wiele lat później zaczynają porywać i zabijać młode kobiety.

Vic przyjrzał się fotografii budynku.

– Czy ten internat jest jeszcze otwarty?

– Internat jako taki od siedmiu lat nie istnieje. Budynki są używane latem jako ośrodek kolonijny. Zimą są zamknięte, ale przez cały czas jest na miejscu stróż, który dba o utrzymanie. Rozmawiałem z nim, nazywa się Félicien Jacob. Stary wyjadacz, jest tam od lat siedemdziesiątych, w tamtych czasach był gościem od

wszystkiego. Ogród, sprzątanie, drobne naprawy. Czyli jest skarbnicą pamięci o tym miejscu i mógłby nam wiele powiedzieć.

– Pytałeś go?

– Próbowałem, ale nie jest gadatliwy. Twierdzi, że nie lubi telefonu. Więc powiedziałem, że wpadniemy, żeby mu zadać kilka pytań. A, ostatnia rzecz, ale wcale nie bez znaczenia. Otóż dziesięć dni temu na stróża ktoś napadł.

Vic wytrzeszczył oczy.

– Jak to?

– Został ogłuszony, kiedy wracał z obchodu. Kiedy się ocknął, nie miał pęku kluczy. Na pierwszy rzut oka niczego nie ukradziono ani nie zniszczono. Ale zdarzyło się coś dziwnego. Siedzicie wygodnie? – Mangematin spojrzał na wpatrzone w siebie dwie pary oczu i już się delektował wrażeniem, jakie robi na kolegach. – Jacob mieszka w jednym ze skrzydeł budynku. Złożył doniesienie o napadzie na lokalnym posterunku żandarmerii i chłopaki przyjechali. I, jak twierdzi, wszystko było normalnie, tyle że do jego biblioteczki ktoś podrzucił cztery książki.

Vadim zmarszczył brwi.

– Książki? Ki diabeł?

– I to nie byle jakie. Cztery powieści Enaëla Miraure’a.

Samochód Vica coraz bardziej zagłębiał się między majestatyczne sosny, pośród niekończącej się ciemności i coraz ostrzejszych zakrętów, jakby droga do byłego internatu miała być jakąś próbą, zaciętą walką z żywiołami. Policjant jechał sam, słuchając przyciszonego radia. Vadim nie chciał przepuścić odwiedzin u bratanicy, a Jocelyn Mangematin musiał odebrać z dworca rodziców, którzy przyjeżdżali z Bretanii.

Mijał białe jeziora i szare potoki, z powodu tego cholernego śniegu z trudem pokonał ostatnie kilometry i dotarł na miejsce dopiero około dwudziestej drugiej. Brama była otwarta, ponieważ Félicien Jacob został uprzedzony o jego wizycie. Kiedy zobaczył światła przebijające się przez mrok, stanął na ganku jak ogr strzegący wejścia do swojej jamy. Vic wystawił nos z samochodu, zapadł się w białej skorupie i poczuł paskudne ukłucie zimna. Machając legitymacją, ruszył, by przywitać się z mężczyzną.

– Rozmawiał pan przez telefon z moim kolegą.

Stróż odsunął się i wpuścił go do środka. Miał dłonie jak pralnicze kijanki i gęstą brodę opadającą na stary sweter, a jego oddech śmierdział mocnym alkoholem. Z pewnością traktował picie jako sposób na niekończące się zimowe noce na tym odludziu. Do najbliższej miejscowości jechało się dwadzieścia minut samochodem.

– Proszę za mną.

W korytarzach panował ziąb, sklepienia były za wysokie i odgłos ich kroków niósł się echem niczym w katedrze. Pod rzędem haczyków na ubrania wisiała jeszcze galeria dziecięcych rysunków: musiały pochodzić z poprzedniego lata. Vic patrzył przez okna na olbrzymie sosny, domyślał się gór wznoszących się tuż za nimi. Wyobrażał sobie dzieci z tamtych czasów, wychowywane w surowym rygorze, odcięte od swoich rodzin. Mógł odgadnąć, jakie więzi tworzyły między

sobą poza lekcjami, jakie powierzały sobie tajemnice, jakie zawierały pakt. Czy Jeanson i Delpierre byli przyjaciółmi?

Weszli do mieszkania Jacoba w zachodnim skrzydle. W salonie trzeszczały rury, od dużych żeliwnych grzejników stojących bezpośrednio na posadzce biło ciepło jak z pieca. Na samym wstępie gospodarz nalał wódki do dwóch kieliszków i jeden podał Vicowi.

– Kiedy powiedziałem żandarmom o tych czterech książkach, wzięli mnie za świra. Mieli to gdzieś. Przyjęli moją skargę, ale jestem pewien, że utknęła na dnie ich szuflad. Ich zdaniem wypilem o kieliszek za dużo, zgubiłem klucz i się przewróciłem, koniec kropka. Ale ja znam moją biblioteczkę na pamięć. Nigdy nie kupowałem tych książek.

– Widział pan napastnika?

– Nie. To się stało na zewnątrz, zaskoczył mnie z tyłu. Musiał zaparkować dużo dalej i przyjść tu na piechotę. Dróżka, która prowadzi wzdłuż ośrodka, była odśnieżona, niestety nie zostawił żadnych śladów.

– Dlaczego on? Nie mogła to być kobieta?

– Hmm... mogła, ale pomyślałem, że to mężczyzna.

– Czy żandarmi zabrali te książki?

– A gdzie tam! Są tutaj, na dolnej półce.

– Tu je pan znalazł?

– Nie, były na górze, tuż obok *Sherlocków Holmesów*.

Sherlocków Holmesów... Vic poczuł, jak skręca mu się żołądek. Teraz był już pewien: w tych murach pojawił się Moriarty we własnej osobie i to on zaatakował portiera. Sięgnął po powieści Miraure'a i szybko je przekartkował. Na pierwszej stronie zauważył dużą pieczęć: EGZEMPLARZ RECENZENCKI. Miał w ręku książki ukradzione z willi nad zatoką Authie.

To było niewytłumaczalne. Moriarty był zatem włamywaczem z willi Léane i Julliana Morganów. I miałyby przejechać osiemset kilometrów z północy, żeby zostawić tutaj książki? Po co? Co starał się opowiedzieć? Kolejna tajemnica. Vic pomyślał, że zaraz zwariuje. Odwrócił się do swojego rozmówcy:

– Przeczytał je pan? Nie zauważył pan w tekście albo między kartkami czegoś dziwnego?

– Tak, nie odmówiłem sobie, chciałem się dowiedzieć, dlaczego ktoś mi je przyniósł. Dlaczego akurat te książki? To była prawdziwa zagadka, na miarę Conana Doyle'a. Jeśli chodzi o kryminały, zatrzymałem się na klasykach, ale ten Miraure jest naprawdę niezły. I... mówi pan o osobliwościach w tych książkach. Jedna z nich jest trochę ubrudzona krwią. Właściciel musiał się skaleczyć w trakcie czytania.

– Która to książka? Niech pan pokaże!

Félicien Jacob podszedł do niego i wskazał na *Człowieka z cmentarza*.

– Ta. Mniej więcej w środku.

Vic przerzucił kartki. W rogu strony sto siedemdziesiątej rzeczywiście zauważył delikatną czerwoną plamkę, a na kolejnej drugą, mniej wyraźną. To mógł być łut szczęścia. A może fortel?

– Proszę mi dać jakąś torebkę.

Jacob wykonał polecenie. Vic troskliwie zapakował książkę. Wrócił w stronę foteli i jednym haustem wychylił kieliszek wódki. Jego przętyk stanął w ogniu.

– Myślę, że napadł na pana człowiek, którego szukam. I że to wszystko ma związek z przeszłością tego budynku.

Zdobywszy uwagę Jacoba, usiadł naprzeciw niego, wciskając złączone dłonie między kolana.

– Pracował pan tutaj w latach osiemdziesiątych, chciałbym, żeby pan wrócił do swoich wspomnień. Interesuje mnie konkretnie okres między rokiem osiemdziesiątym szóstym a osiemdziesiątym ósmym. Przebywali tu wtedy dwaj chłopcy. Jeden nazywał się Andy Mortier, miał czternaście lat i pochodził z Chambéry. Drugi, Félix Delpierre, był o trzy lata młodszy i pochodził z Aillon-le-Vieux. Mortier, Delpierre: czy te nazwiska coś panu mówią?

Stróż wytarł usta i oparł na kolanie ciężką dłoń.

– Jak pan chce, żebym pamiętał? To było trzydzieści lat temu, a przyjmowaliśmy ponad dwustu chłopaków rocznie. Widziałem tysiące łebków, a pan ot tak rzuca dwa nazwiska. Co pan dokładnie chce o nich wiedzieć?

Vic widział, że gość się nie wysila. Podał mu zdjęcie Andy'ego Mortiera, które znalazł w jego aktach. Pochodziło z czasów przed przyjęciem do internatu. Chłopiec uśmiechał się do obiektywu. Miał puciołowate policzki pokryte piegami i układające się w daszek brwi, które nadawały mu figlarny wygląd. Nic poza spojrzeniem nie łączyło go z dzisiejszym chudym i umięśnionym Jeansonem – mordercą.

– Wszystko. Z kim Delpierre i Mortier się spotykali, jak się zachowywali, czy ich pobyt tutaj przebiegał bez problemów. To jest Mortier. Pamięta go pan?

Przez oczy starego pustelnika przemknął błysk niepokoju.

– Ani trochę – powiedział, oddając Vicowi zdjęcie.

– A słyszał pan o Andym Jeansonie? Ostatnimi czasy media sporo o nim mówiły.

– A widzi pan tu jakiś telewizor?

– Andy Mortier to Andy Jeanson. W ciągu ostatnich czterech lat zamordował co najmniej osiem kobiet. Woził je kamperem, gwałcił i zakopywał. Natomiast Félix Delpierre stworzył w swojej piwnicy manekin powleczone skórą, której fragmenty pochodziły z ciał jego ofiar.

Jacob był wstrząśnięty.

– Dlatego, panie Jacob, byłoby naprawdę dobrze, gdyby pan sobie przypomniał tę twarz, ponieważ możliwe, że istnieje trzeci mężczyzna, który również jest wychowankiem tej placówki i jeszcze przebywa na wolności. To on na pana napadł i podrzucił te książki. Nie odjadę stąd, dopóki się nie dowiem dlaczego.

Stróż szukał w oczach Vica jakiegoś światełka, którego mógłby się uchwycić, ale nie znalazł. Jeszcze raz popatrzył na zdjęcie, zmarszczył twarz, a wśród jego szarego zarostu ukazały się popsute zęby. Chciał sobie nalać jeszcze jeden kieliszek, ale Vic uniemożliwił mu ruch.

– W ten sposób sobie pan nie przypomni.

Mężczyzna uwolnił rękę i się zawahał.

– Mordercy... Tak, tak, teraz sobie przypominam tego dzieciaka. I tego drugiego, Félix Delpierre'a też, zawsze byli nierozłączni. Tego Delpierre'a wszyscy przezywali *Coeur de pierre*. Nigdy się nie odzywał.

Wstał.

– Pan pójdzie za mną.

Coeur de pierre, kamienne serce. Jacob otworzył drzwi i ruszył schodami w dół, po drodze naciskając włączniki. Blask światła odsłonił przed nimi niekończące się korytarze. Vic usłyszał sapanie potężnego kotła, skrzypnęło stare drewno. Gospodarz pchnął ciężkie drzwi, za którymi ukazała się czarna jama. W świetle żarówki widać było kolejny rząd schodów.

– Tutaj jest wszystko.

Noc. Latarnie o ognistych aureolach, które paliły lód na lyońskich chodnikach. Od ostrego jak gilotyna zimna marzły twarze i piekły brwi. Ukryta w zaułku, zasłonięta rzędem zaparkowanych samochodów Léane obserwowała okienko odcinające się na tle ciężkiej drewnianej bramy widocznej na lewo po skosie, wydobywającą się przez nie wiązkę światła i sylwetki znikające jedna po drugiej w tym niewinnym budynku, oznaczonym jedynie skromnym napisem: DONJON NOIR.

Wyjechała ze swojego domu na północy osiem godzin wcześniej, przekąsiła coś w punkcie obsługi podróżnych przy autostradzie, około dwudziestej pierwszej trzydzięci zaparkowała na nabrzeżu Saony i pieszo dotarła do tej dyskretnej uliczki w IX dzielnicy Lyonu. W drodze miała czas, by dumać nad wypadkami minionej nocy i zeznaniami gościa o twarzy granika. Co się stało w głowie Julliana, że poprosił, by ten na niego napadł, po tym jak sam zamknął Giordana w forcie? A przecież możliwe, że znalazł córkę żywą? Co go pchnęło do takich skrajności, do tuszowania prawdy? Léane nie znajdowała żadnej odpowiedzi na te pytania, a niewiedza i oczekiwanie, aż jej mąż odzyska tę przeklętą pamięć, były nie do zniesienia.

Mężczyzna w grubym krótkim płaszczu wymienił z kimś kilka zdań przez okienko i drzwi się otworzyły. Léane odczekała jeszcze kilka minut i ona także poszła zapukać do bramy. W kwadracie niebieskawego światła ukazała się jakaś twarz. Gęba pitbulla o łysej czaszce pokrytej tatuażami. Gość nic nie mówił, czekał. Mierzył ją wzrokiem z góry na dół.

– Mogę wejść?

Szybkim ruchem zatrzasnął okienko. Léane zapukała po raz drugi. Usłyszała szcęk metalu. Ta sama twarz, tym razem bardziej wściekła.

– Jeszcze raz, a się tobą zajmę.

– Ale ja chcę po prostu wejść. Ja...

Nic z tego, mówiła do ściany. Ale nie było mowy, żeby odpuściła i wróciła do domu. Siłą też nie mogła tam wejść, facet wybiłby jej zęby. Co robić? Zastanowiła się i znalazła łatwe rozwiązanie: skoro nie może wejść, zaczeka, aż Mistik wyjdzie. Miała przed sobą niekończącą się noc, ale to była jej jedyna szansa.

Poszła na nabrzeże po samochód i znalazła miejsce przy krawężniku naprzeciwko, jakieś dziesięć metrów od klubu. Zgasiła światła, wyłączyła silnik i czekała, zakutana w kurtkę. O dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dwie odezwał się jej telefon. To Jullian dzwonił ze stacjonarnego. Odebrała, zapewniła go, że wszystko jest w porządku, że nie wie, czy jej poszukiwania zakończą się sukcesem, ale ma nadzieję, że tak. A tymczasem prześpi się w swoim mieszkaniu.

W słuchawce zatrzeszczał głos Julliana:

– Nadal nie chcesz mi nic powiedzieć?

– Powiem ci. Ale nie teraz. Masz jakieś wieści od ojca?

– Żadnych. Naprawdę się martwię, Léane. Przy tym wszystkim, co się dzieje, boję się, że mogło mu się coś stać. Policja zaczęła go szukać. Nie mogę nawet pomóc, nic o nim nie wiem, nie wiem nawet, gdzie mieszka. Nie pamiętam. Oglądam filmy, zdjęcia, ale nie posuwam się do przodu, wszystko jest schowane na dnie mojego cholernego mózgu.

– Zaufaj policjantom, znajdą go. Odpocznij, spróbuj zasnąć. Presja nic nie pomoże, w ten sposób wspomnienia nie wrócą.

– Bez ciebie to nie to samo... Czuję się zagubiony. Powiedz przynajmniej, że wszystko okej, że nie ukrywasz przede mną niczego niebezpiecznego, że nie będziesz robić głupstw.

– Nie będę.

– Wracaj szybko, dobrze? Kręcę się w kółko, zwariuję. Bez przerwy oglądam zdjęcia Sary, a im więcej na nią patrzę, tym częściej myślę o Giordanie. Rozwala mnie świadomość, że siedzi uwięziony w forcie, że w każdej chwili mogą nas zamknąć.

Léane słuchała w milczeniu. Pomyślała, że może zrobiłaby lepiej, gdyby zabrała klucz od fortu ze sobą. Czy Jullian może wpaść na pomysł, żeby wrócić tam sam?

– Po twoim powrocie będziemy działać, dobrze? Wiem, że to trudne, ale już nie ma odwrotu. Nie chcę cię stracić. Nas stracić.

Rozłączyła się, jakby telefon parzył ją w ucho. Patrzyła na otwarte dłonie, które trzymała przed sobą: drżały. Te dłonie nie są zdolne zabić człowieka, zrozumiała to, kiedy w ostatniej chwili odsunęła lufę. Nie jest zabójczynią.

Vic szedł za Jacobem przez labirynt regałów, których półki ugięły się pod ciężarem teczek. Pachniało starym papierem pergaminowym i wyschniętym tuszem. Gospodarz wyjaśnił mu, że znajdują się w archiwach internatu.

– Tutaj jest wszystko od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego drugiego do dwa tysiące dziesiątego. Znajdzie pan tu historię internatu, ale przede wszystkim kompletne akta wszystkich dzieciaków, które przebywały w naszych murach. Pochodzenie, zachowanie, wyniki. Lata osiemdziesiąt sześć osiemdziesiąt osiem, mówi pan. Tędy.

Skręcił i zatrzymał się przed rzędem ciemnych półek. Na wprost stały cztery segregatory obejmujące wspomniany okres. Sięgnął po najbliższą teczkę.

– Są w niej wszystkie zdjęcia z internatu zrobione w tym czasie. Budynków, nauczycieli, całych klas.

Jacob opadł na jedyne krzesło. Zaczął grzebać w pliku zdjęć i rozkładać je na blacie. Jedno z nich przedstawiało całe grono pedagogiczne: stoickie, nieprzeniknione twarze. Położył palec wskazujący na najwyższym mężczyźnie.

– Nazywał się Kevin Kerning, uczył wuefu. Dzieciaki mówiły na niego KKK, Ku Klux Klan. Był dla nich bezlitosny, cierpiały przez niego.

Vic spojrzał na gościa. Olbrzym w podkoszulku.

– Delpierre i Jeanson zawsze trzymali się razem, mieszkali w jednym pokoju i nie byli dobrzy z wuefu. Kerning się na nich wziął. Już sobie przypominam, często widziałem ich zdyszanych na bieżni kwadrans po tym, jak cała reszta wróciła już do szatni. To trwało kilka miesięcy, ci chłopcy byli udęczeni, niech mi pan wierzy. A potem powoli się skończyło. Kerning dał im spokój, ale... ale nadal zostawiał ich po lekcjach, kazał im się rozciągać, zadawał o wiele mniej forsowne ćwiczenia.

Mężczyzna umilkł. Vic nie chciał go ponaglać. Usiadł na krawędzi stołu i przeglądał fotografie. Wielkie puste podwórko. Surowe budynki usytuowane

głęboko w dolinie. Rzucił okiem na zdjęcia klasowe i ponieważ Jacob w dalszym ciągu nic nie mówił, postanowił przerwać milczenie:

– Sądzi pan, że Kerning zajmował się nimi trochę za bardzo?

Stróż zacisnął szczęki.

– Kerning był szwagrem dyrektora; to, co sądziłem, było mało ważne. Byłem tylko konserwatorem. Mogłem przez tyle lat pracować w internacie, dlatego że potrafiłem być dyskretny i nigdy się nie odzywałem.

– Ale tak pan sądził.

Mężczyzna zmrużył szare oczy.

– Tak, tak sądziłem. Ale jeśli szuka pan dowodów, to ich pan nie znajdzie. To wszystko było dawno i poszło w zapomnienie. – Spojrzał na swoje wielkie dłonie, jakby czytał z nich przeszłość. – Opowiem panu o czymś, ponieważ myślę, że może to panu pomóc, i dlatego że internat już nie istnieje i te historie zniknęły wraz z nim. Ale... jeśli zamierza się pan spotkać z innymi osobami, z dyrektorem czy nie wiem z kim, to...

– To nigdy pana nie widziałem.

Jacob potwierdził skinieniem głowy.

– To się stało w dzień taki jak dzisiaj, zimą osiemdziesiątego siódmego, to była jedna z najgorszych zim, jakie tu mieliśmy. Temperatura spadła do minus dwudziestu, minus dwudziestu pięciu stopni. Wieczorem, około dziewiętnastej, znalazłem Kerninga pod prysznicami przy sali gimnastycznej. Leżał nagi, zwinięty w kłębek jak niemowlę. Lała się na niego zimna woda, a... – zmarszczył nos – z genitaliów tryskała mu krew. Jego penis był przecięty na wysokości jąder. Zabrałem go do gabinetu lekarskiego. Z powodu śniegu karetka przyjechała dopiero po trzech godzinach. To było okropne. – Na chwilę spuścił wzrok. – Po tamtym zdarzeniu już nie wrócił do pracy w internacie. Nigdy więcej go nie widziałem. Niedawno trochę przez przypadek dowiedziałem się, że zmarł kilka lat temu na jakąś chorobę.

– Co się wydarzyło pod tymi prysznicami?

– Dyrektor opowiadał, że Kerning się skaleczył, próbując się golić ręczną maszynką. Miał wśród personelu taki posłuch, że żaden nauczyciel nie wracał do tego tematu. Po tygodniu na miejsce Kerninga przyszedł ktoś inny.

– A pan widział tę maszynkę?

– Nie. Ale dyrektor zapewniał mnie, że była, a ja w panice jej nie zauważyłem.

– Kerning został zaatakowany?

– Na pewno. To było oczywiste. Ale dlaczego w takim razie nikogo nie oskarżono ani nie przeprowadzono dochodzenia? O tej historii trzeba było szybko zapomnieć, rozumie pan? A przede wszystkim nie dopuścić do powstania plotek.

Vic wyobraził sobie całą scenę, atmosferę panującą w tych szarych murach. Jeżeli Kerning rzeczywiście został zaatakowany maszynką i nie wydał napastnika, to znaczy, że miał coś poważnego na sumieniu. Był pedofilem? Wykorzystywał Delpierre'a albo Mortiera? Policjant wrócił do zdjęcia. Przyjrzał się Kerningowi.

– Ale pan wiedział, że to nie był wypadek. Kto pana zdaniem mu to zrobił? Mortier? Delpierre? Jakiś inny chłopak?

– Nie wiem. Mieliśmy tutaj twardzieli, ale który dwunasto-, trzynastolatek mógłby zrobić coś takiego swojemu nauczycielowi? Pociąć mu członek, tak żeby nikt niczego nie widział? Oczywiście, pomyślałem o tej dwójce. Może działali razem, może zastawili na Kerninga pułapkę. Delpierre był silny. Może zagrozili mu, że jeśli ich wyda, o wszystkim opowiedzą? Wypytywałem dyskretnie ich kolegów, chłopaka, który z nimi mieszkał. Nic nie wypłynęło. Jeśli byli winni, pierońsko dobrze się ukrywali.

Vic znowu przeczucił zdjęcia, sięgnął po jedno z nich i przyglądał mu się dłuższą chwilę. Podał je rozmówcy.

– Wszystkie pokoje tak wyglądały?

Jacob skinął głową. Miał rozszerzone źrenice.

– Tak, chłopaki mieszkali po trzech. To znaczy było kilka pokoi dwu- albo czteroosobowych, ale generalnie...

– Kto mieszkał z Mortierem i Delpierre'em?

Jacob spojrział na puste łóżko, na które wskazywał Vic.

– A, ten. Nie pamiętam już. Luc jakiś tam. – Zwilżył wargi językiem. – A nie, już wiem. Bardzo dyskretny chłopak, ale jeśli dobrze sobie przypominam, wysportowany i inteligentny.

Pozbierał klasowe zdjęcia, przyjrzał się twarzom, wstał i wrócił do regałów. Vic miał wrażenie, jakby się cofnął o trzydzieści lat. Słyszał głosy dzieci i trzaskanie linijki, czuł zapach kredy.

– I, tak, zawsze pochłonięty szachami i czytaniem kryminałów. Od czasu do czasu mu jakieś przynosiłem. Luc T. ... Znajdę go.

Vic stał się czujny.

– *Sherlocki Holmesy?* Czytał *Sherlocki Holmesy?*

Jacob odwrócił się w jego stronę.

– Skąd pan wie? Pan... Cholera. Myśli pan, że to on na mnie napadł? Po tylu latach?

Vic już nie marzył, zalała go fala ciepła. Trzech chłopców w jednym pokoju. Dwaj są molestowani, może gwałceni, milczą, bo boją się pogróżek nauczyciela. Ale albo zwierzają się koledze z pokoju, albo ten ostatni nie jest naiwny i sam się wszystkiego domyśla. A może on także jest molestowany.

Teraz Vic był pewien: to Moriarty okaleczył nauczyciela wuefu. Uzbrojony w kater lub nóż poszedł do łazienki, być może w towarzystwie duetu Jeanson-Delpierre, i go pokroił.

Jacob wrócił z segregatorem, na którego grzbiecie widniały litery „S–Z”. Nie zdążył go jeszcze otworzyć, a zaświeciły mu się oczy.

– Thomas! Tak, jasne, nazywał się Luc Thomas. Teraz sobie przypominam. Długo tu zresztą nie zabawił. Kilka miesięcy po tej tragedii zniknął z internatu. Żeby się stąd wydostać, trzeba było naprawdę chcieć, ale on zwiął przez las. Więcej go nie widzieliśmy, myślę, że nigdy go nie znaleziono.

– Skąd pochodził? Kto go przywiózł do internatu?

– A tego już dokładnie nie pamiętam, podejrzewam, że rodzice. Ale powiem panu, tutaj wszystko jest.

Przekartkował kartoteki, znalazł literę T. Była tylko jedna teczka, LAURENT TEXIER. Zmarszczył czoło, poszukał jeszcze raz przed nią i za nią.

– Cholera, nie ma jego dokumentacji.

Przyskoczył do klasowych zdjęć i znowu je przejrzał.

– Niemożliwe. Są tu zdjęcia wszystkich uczniów, tylko nie jego.

Vic również grzebał w kupce, nadaremnie.

– To jedyne fotografie?

Jacob skinął głową. Wrócił do regałów i wyjął dwa segregatory z etykietami „A–F” i „M–R”, położył je na stole i otworzył pierwszy na zakładce „D”. Vic stanął tuż obok, przywierając do jego ramienia. Nie było teczki oznaczonej Delpierre. Sprawdził też drugi segregator. Szara teczka Andy’ego Mortiera również zniknęła.

Vic stał pod ścianą.

– Wrócił tu po trzydziestu latach, żeby wymazać przeszłość i twarz.

Léane miała dość. Oczekiwanie zdawało się nie mieć końca, szyby pokrywały się szronem, tak że często wychodziła z samochodu, żeby je oskrobać i przywrócić krążenie krwi w nogach. A wtedy z miejsca zamarzała.

Na fotelu pasażera leżała książka Michela Eastwooda. Léane zdążyła ją już powykrecać, powyginać na wszystkie strony, po raz kolejny przejrzeć niektóre miejsca w poszukiwaniu zapomnianego fragmentu przeszłości. W jaki sposób prawnicy jej wydawnictwa uporają się z tą sprawą? Jak udowodnić, że nie oszukiwała, skoro podobieństwa są ewidentne? Léane nie zamierzała posuwać się do podłości: tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru na wydmach, nie powinno się wywlekać na światło dzienne. Barbara, gdziekolwiek jest, z pewnością zdołała się pozbierać. Może przepracowała to doświadczenie i prowadzi szczęśliwe życie. Nie ma mowy, żeby na nowo rozniecać jej cierpienie – zakładając, że udało się je ukoić.

Gdy minęła druga czterdzieści pięć, cienie powoli zaczęły się wysypywać na ulicę. Wysokie męskie sylwetki, czasem pary, czasem samotne kobiety – stukanie ich wysokich obcasów niosło się w lodowatych ciemnościach. Jak ci ludzie zdołali wejść do środka? Dzięki znajomościom? Dzięki jakiejś organizacji? Może na jakieś hasło? Kto zarządza tym elitarnym klubem?

Okolo piątej Léane znowu wyszła na mróz. Ze strony internetowej wiedziała, że o tej porze Donjon noir zamyka swoje podwoje. Spojrzała na aktualne zdjęcie Mistik i skupiła wzrok na drzwiach. W wewnętrznej kieszeni kurtki czuła ciężar pistoletu.

Pracownicy wychodzili jeden po drugim. Piętnaście minut później rozpoznała kobietę i jej puls przyśpieszył. To była ona. Mistik dwukrotnie cmoknęła mężczyznę o wytatuowanej czaszce i ruszyła chodnikiem. Léane zamierzała iść za nią, ale usłyszała charakterystyczny dźwięk wyłączanego alarmu i zauważyła, że sto metrów dalej mrugnęły samochodowe reflektory. Pobiegła więc do własnego

auta i ruszyła za czerwonym wozem, na zgaszonych światłach, które zapaliła dopiero za skrzyżowaniem. W miarę jak przemierzała ulice miasta, narastał w niej lęk. Być może nadchodziła chwila prawdy.

Jezdnie były śliskie, co ułatwiało jej sprawę, ponieważ Mistik nie jechała szybko i Léane mogła się trzymać w sporej odległości, tak by kobieta jej nie zauważyła. Mistik wjechała na północną obwodnicę, następnie na drogę krajową numer sześć, a potem pokonała jakieś dziesięć kilometrów autostradą A sześć. Zjazd Chasselay. Blask latarni ustąpił miejsca ciemnościom pustkowia, które ciągnęło się aż do granic jakiegoś miasteczka. Zaśnieżone dachy, puste, lśniące ulice: wszystko było nieruchome, zamarznęte i martwe jak w szklanej śnieżnej kuli stojącej na kredensie. Léane nie spuszczała wzroku z czerwonego samochodu. Kobieta przejechała przez miasto i po kilku zakrętach włączyła kierunkowskaz przed jakąś bramą, która zaczęła się powoli otwierać, czemu towarzyszyło miganie pomarańczowej lampki.

Żeby nie zwrócić na siebie uwagi, Léane, jakby nigdy nic, pojechała dalej. We wstecznym lusterku zobaczyła, jak samochód wjeżdża w alejkę. Zawróciła dopiero spory kawałek dalej, po czym zatrzymała się i czekała. Dziesięć minut później przeskoczyła przez murek i weszła do ogrodu. Pod rozgwieżdżonym niebem zobaczyła oświetlony blaskiem księżyca piękny dom o ścianach z surowego kamienia i drewnianych oknach, głęboko osadzonych w fasadzie jak ciekawskie oczy. Jedyne światło przebijało zza piwnicznego okienka przy samej ziemi. Co Mistik robi w piwnicy albo suterenie o szóstej rano?

Léane o mało nie dostała zawału, gdy zza jej pleców wyskoczył pies. Zdenerwowany foksterier obwąchał jej buty i spodnie, a następnie usiadł pod drzwiami. Léane wyjęła pistolet i bezszelestnie nacisnęła na kłamkę. Otwarte.

Zagroziła psu drogę, a sama weszła do środka. Znalazła się w korytarzu, w którym pozamykane były wszystkie drzwi poza jednym: dobywała się zza nich wiązka czerwonego światła. Léane miała wrażenie, jakby zanurzała się w paszczy jakiegoś potwora.

Z zaciśniętymi zębami, obawiając się, żeby nimi nie zazgrzytać, otworzyła drzwi szerzej. Zobaczyła schody skręcające na lewo. Ruszyła w dół, pochylając głowę pod kamiennym sklepieniem, za którym otwierał się widok na salę tortur o bardzo wysokim suficie. Na warsztatowym blacie lśniły gwoździe, ostrza, bicze i zszywarki. Po prawej znajdował się blat z kajdankami. Nagle się zatrzymała: obok pejczy, szpicrut, knebli i rozmaitych sprzętów do seksu zobaczyła wiszącą brzytwę z rękojeścią w kształcie mieczyka. Na metalu było jeszcze trochę zaschniętej krwi.

Wstrzymała oddech i usłyszała dochodzący z sąsiedniego pomieszczenia odgłos stukania palcami w klawiaturę. Rozchyliła zasłonę z rzemyków, które zastukały. Ujrzała następną salę tortur z jeszcze innym sprzętem. Stała tam gigantyczna klatka dla ptaków, pojemnik przypominający sarkofag przytwierdzony do ściany i zbiornik w kształcie pionowego cylindra, wypełniony wodą i podniesiony za sprawą systemu łańcuchów i bloczków, dzięki czemu można było w nim zanurzyć wiszące ciało.

Mistik siedziała w rogu przed laptopem, cała napięta, w skórzanych spodniach i białej koszulce na ramiączkach. Odwróciła się gwałtownie, wytrzeszczając oczy. Léane celowała do niej z pistoletu.

– Rusz palcem, a strzełę.

– Coś ty za jedna, kurwa.

Léane zdjęła z haczyka parę kajdanek i rzuciła jej pod nogi.

– Załóż to. I ręce do tyłu.

Mistik szybko spojrzała na ekran i chciała zamknąć laptop, ale Léane była szybsza i z całej siły kopnęła w nogę krzesła, zrzucając tamtą na podłogę. Jednym ruchem szczęknęła zamkiem pistoletu i wycelowwała dokładniej.

– Zabiję cię w tej obłej piwnicy. Przysięgam ci, że się nie zawaham.

Kipiała ze złości. Mistik wycofała się na czworakach i wykonała jej polecenie. Wstała i zatrzasnęła stalowe bransoletki wokół swoich nadgarstków. Jej ciało pokrywały blizny, ślady po oparzeniach, brunatne litery. Prawdziwe pole bitwy.

Spojrzała na komputer, na którym było otwarte okienko czatu: kobieta prowadziła jakąś rozmowę. Kiedy Léane zobaczyła, z kim Mistik korespondowała, serce podskoczyło jej do gardła.

Moriarty. Ten szalenciec, o którym mówili policjanci i który przez cztery niekończące się lata więził Sarę.

6.13.42 Moriarty: Okej? – słowa pokazały się właśnie w tej chwili. Nie spuszczać Mistik z oczu, usiadła na krześle. Na ekranie zobaczyła adresy zakończone na „onion” i wyszukiwarkę TOR: darknet. Program nosił nazwę TorChat – słyszała już o nim od specjalistów od cyberprzestępczości, którzy pomagali jej w związku z jedną z książek – i był anonimowym ekwiwalentem esemesów w ciemnej sieci. Ilekroć zamykało się okno, wszystkie wiadomości znikaly. Nie pozostawał żaden ślad, nie było sposobu na odzyskanie archiwów.

Przebiegła wzrokiem całą dyskusję.

6.02.10 Mistik: Pilne. Odezwij się, proszę.

6.10.22 Moriarty: Czego chcesz? Mówiłem, że masz się ze mną więcej nie kontaktować! To koniec! To nasza ostatnia rozmowa. O co chodzi?

6.10.57 Mistik: Zawsze mnie informowałeś, kiedy działo się coś dziwnego, mam wrażenie, że śledzi mnie jakaś kobieta.

6.11.25 Moriarty: Gdzie? Kiedy?

6.11.42 Mistik: Piętnaście minut temu. Przypuszczam, że od Donjon. Samochód minął mój dom i pojechał dalej. Numery zaczynały się od 59. Północ.

6.12.32 Moriarty: Wszystko zostało skończone dwa lata temu. Nie możesz mnie niepokoić i przestań do mnie pisać przy byle okazji. Policja niedługo znajdzie moje ciało. To nasza ostatnia rozmowa. Wszystko skończone. Nie ma już nic. Okej?

6.12.58 Mistik: Twoje ciało? Co się dzieje?

6.13.42 Moriarty: Okej?

Kursor migał jej przed oczami, domagając się odpowiedzi. Léane była w szoku, ale nie traciła czasu na rozmyślenia. Moriarty czekał już dwie minuty,

zaraz zacznie się czegoś domyślać. Rzuciła się do klawiatury.

6.15.20 Mistik: Okej.

Zatwierdziła i przełknęła ślinę. Odpowiedź nie nadeszła. Kolejne zdanie wystukała intuicyjnie, ponieważ trzeba było działać szybko, nie stracić kontaktu i za wszelką cenę próbować:

6.16.27 Mistik: Mimo wszystko powinniśmy się spotkać.

Oczekiwanie, strach podchodzący do gardła. Odczekała minutę, dwie. Moriarty nie odpowiadał. Może zrobiła głupstwo, może nie powinna była pisać tego zdania. Dodała:

6.17.12 Mistik: Jesteś tam? Odpowiedz proszę. Wiem coś o Giordanie. O jego zniknięciu.

Nic. Głucha cisza. Uderzyła pięścią w biurko.

– Szlag!

Wstała. Z błyskiem nienawiści w oczach wycelowała lufę w klatkę piersiową siedzącej w kącie kobiety.

– Mów, kto to jest, dam ci dwie sekundy. Chcę, żebyś mi opowiedziała o Giordanie i Moriartym. Chcę zrozumieć, dlaczego ty i ci dranie to robicie.

Mistik spojrzała na nią swoimi wielkimi orlimi oczami.

– Powiedz mi albo gwarantuję ci, że cię kropnę.

– Nie zrobisz tego. Nie masz jaj.

Léane wyjęła telefon i wyświetliła zdjęcie Giordana – z obitą twarzą, z rękami nad głową, zakutego w kajdanki. Mistik przyjęła cios, ale nie ustąpiła. Odsłoniła zęby i syknęła jak jadowity wąż:

– Wal się!

Léane miała dość, trzęsa się od stóp do głów. Chwyciła Mistik za włosy i uderzeniem kolby w głowę powaliła ją na podłogę. Kobieta przewróciła się, wydając z siebie charczący krzyk. Dostyc sentymentów, koniec, tylko instynkt i potrzeba odpowiedzi. Płonący gniew. Wydusić z niej wszystko, do ostatniego

słowa. Człowiek może wytrzymać ciosy, ból postrzelonej nogi. Ale nie uczucie, że tonie, wykorzystywane przez wszystkich katów na świecie.

I kiedy włożyła stopy Mistik w obręcz zwisające z sufitu, po sposobie, w jaki tamta wyrywała się i wrzeszczała, rozpoznała, że kobieta tego nie zniesie. Może lubiła patrzeć, jak jej niewolnicy zanurzają się w tej kadzi, może czerpała z tego nieskończoną rozkosz, ale dziś to ona miała się z niej napić.

Léane pociągnęła za łańcuszek, który uruchomił system bloczków. Jej ofiara została poderwana z ziemi, głową w dół, z rękami wciąż skutymi na plecach. Pręt, do którego była przywiązana, obrócił się, aż znalazł się nad pojemnikiem z pleksi. Mistik darła się na całe gardło, miotała się, a kiedy Léane zanurzyła ciało, jej krzyki przerodziły się w bulgotanie, a twarz, powiększona przez grube ścianki, zmieniła w przerażającą maskę.

16.07.2016

Mój najdroższy Andy!

Trzeci raz ośmielam się napisać do Pana, mam nadzieję, że nie weźmie mnie Pan za wariatkę. Kiedy człowiek ma przelać na papier to, co czuje, co skrywa na dnie serca, słowa nigdy nie przychodzą łatwo i nie zawsze udaje się to ubrać w zdania, które chciałoby się wypowiedzieć.

Wiem, jak bardzo Pan cierpi, dowiadywałam się trochę na temat tego straszliwego świata, w którym Pana zamknięto. Te przerażające cele, te ciemne korytarze, ten ścisły rygor, któremu Pana poddają. To nieludzkie. Chcę, by Pan wiedział, że jestem po to, by Pana wspierać, towarzyszyć Panu, i mam nadzieję, że moje zachęty pomogą Panu trochę wyjść poza celę, marzyć, myśleć o mnie, dlaczego nie, ja już na Pana czekam i zawsze będę czekała.

Cokolwiek interpretuję, analizuję, łatwiejsze odpowiedzi przelatują obok, chyłkiem, hojnie obwieszczając wieczną anatemę; nie emanują oczywistością, by odwrócić klątwę.

Słuchałam aniołów i nazwałam twoich bogów, eschatologia rozpaczy napawa autentyzmem, rozbijając duszę.

Pragnęłam adrenaliny uwolnionego losu i nowej energii.

Proporcje ewentualnych reguł literalnie otwierają tropy.

Proszę wybaczyć, mam wrażenie, że moje pióro ulatuje jak ten ptak i że... piszę głupoty. Musiał Pan to już zauważyć w poprzednich listach. W szkole często mi się to zdarzało, mówiono, że jestem roztargniona, rozproszona, że chodzę z głową w chmurach. Czy chodzenie z głową w chmurach, bujna wyobraźnia to coś złego? Reasumując, jestem z Panem – moje serce i cała reszta. Mimo krat więzienia może Pan ulecieć jak ptak i przynieść sobie trochę słońca.

Wiem, że lubi Pan oryginalność, zaskoczenie, ale przede wszystkim cyfry – prasa, która Pana oczernia, dużo o tym pisze. Więc tak jak poprzednim i następnym razem, przedstawię się Panu w cyfrach. Mam nadzieję, że Pana nie nudzę.

4 – symbol solidności. Jestem solidna tak jak Pan, tak samo potrafię stawiać czoło przeciwnościom. I pokonam tę, która trzyma Pana z dala ode mnie. 5 jak zmysły, moim ulubionym jest dotyk. 2 jak para, 2 jako podstawa wszystkiego, pana ulubiona cyfra, jak sądzę. Lubię też 0, już Pan to wie, to cyfra najdoskonalsza, która pochłania wszystko. 9, wielokrotność 3, to miara cięż. Musi Pan wiedzieć, że oczywiście od lat żyję samotnie i nie mam dzieci. Pan również, nie mylę się?

I jeszcze jedna seria, żeby poznał mnie Pan trochę lepiej?

5 jako 5 słów, które są dla mnie ważne: życie, walka, przygoda, zmiana, wolność. 3 jest bardziej wybiórcze niż 5 czy 9, ogranicza wybór, gdyby należało dokonać właściwego wyboru, to byłby Pan, potem ja, potem my. Zakończę cyfrą 4, doskonałym kwadratem, dokładnym jak Pan. Lubię dokładnych ludzi, którzy mają wszystko pod kontrolą, niczego nie pozostawiają przypadkowi. I pan z pewnością do nich należy.

To tyle na dziś, niestety nie jestem szczególnie elokwentna ani w mowie, ani w piśmie, mam nadzieję, że nie będzie mi Pan miał za złe. Jakie to okrutne, nawet nie wiem, czy Pan dostaje moje listy, ale będę pisać dalej. Czy mogłabym mieć nadzieję, że kiedyś otrzymam odpowiedź? Zresztą czy Pan w ogóle chce je dostawać? Ośmielam się mieć nadzieję, że tak. Wiem, że pisze do Pana wiele kobiet, że jestem tylko jedną z Pańskich wielbicielek, ale mam nadzieję, że zajmuję w Pana sercu szczególne miejsce.

*Z najgłębszym podziwem,
oddana Panu Irène A.*

Był środowy poranek. Vic podniósł oczy znad listu i spojrzał na Vadima, który właśnie wszedł do biura. Miał za sobą krótką noc. Po poinformowaniu Manzata przez telefon o swoich ostatnich odkryciach i po wysłaniu esemesów do kolegów pojechał do hotelu i przespał się kilka godzin, by naładować baterie. Wczesnym rankiem udał się do laboratorium kryminalistycznego, gdzie zostawił książkę przywiezioną z internatu: Manzato wywarł na pracownikach presję, by potraktowali badanie DNA krwi znalezionej na stronie książki jako absolutny priorytet. Po uporaniu się ze sprawą Chamrousse laboranci byli bardziej dyspozycyjni i mogli działać szybciej. Kończyli też badania DNA „obiektu”.

Vadim zdjął kurtkę i uścisnął dłoń kolegi.

– Więc w końcu wiemy, kim jest Moriarty.

Vic szczegółowo opowiedział mu całą historię. Internat Roches noires. Uprzedzenia nauczyciela wuefu wobec Delpierre'a i Jeansona, podejrzenie pedofilii, napad pod prysznicem, ucieczka kolegi z pokoju tamtych dwóch, Luca Thomasa.

– Dlaczego Luc Thomas miałby się pojawić trzydzieści lat później i wykraść dokumentację z internatu?

– Może pomyślał, że w końcu któregoś dnia będziemy grzebać w tych archiwach. Zacierają ślady. Może się boi, że Jeanson zacznie mówić? Że jego twarz, którą tak bardzo stara się ukryć, coś nam powie?

– A ta historia z książkami Léane Morgan? Po co je tam przywiózł?

– Nie mam pojęcia. Ale jedno jest pewne: to, co się dzieje na Północy, w więzieniu w Valence i tutaj, to wszystko nitki z tego samego kłębka. Moriarty nie jest już w stu procentach anonimowy. Luc Thomas musi gdzieś być. Znajdziemy go, czy to dzięki śladom biologicznym, czy dzięki poszukiwaniom administracyjnym. Jocelyn i Ethan się tym zajmują.

Vic skinął na niego.

– Podejdź tutaj. Znalazłem coś.

Vadim stanął przy nim i spojrzał na list, który wskazał mu Vic. Na górze data i nagłówek „Mój drogi Andy”. List był podpisany „Irène A.”.

– Irène A., czyli Irène Adler. Jedna z postaci Conana Doyle'a.

Vic podał koledze pakiecik.

– Możesz poszukać innych listów Irène?

Vadim skinął głową i usiadł obok niego. W międzyczasie Vic kilka razy dokładnie przeczytał list, marszcząc brwi. Co oznacza ten prawie niezrozumiały fragment w środku tekstu? A ten urywek z cyframi? List wydawał mu się z jednej strony banalny, a z drugiej absolutnie dziwaczny. Wyobrażał sobie Félixa Delpierre'a, jak siedzi w piwnicy naprzeciw swojego „obiektu” i pisze, jak łamie sobie głowę, jak usiłuje się przeobrazić w kobietę do tego stopnia, że zmienia pismo.

– Mam następny. Irène A.

Vadim podał mu kartkę. Vic z uwagą przeczytał list, zaskoczony powtarzającą się strukturą tekstu: dwa lub trzy akapity banałów, dalej zagadkowy fragment na kilka linijek. Niżej powtarzała się historia z cyframi, po której następowało sentymentalne zakończenie. Zaczekał, aż Vadim znajdzie kolejny list o tym samym układzie treści.

Położył kartki obok siebie i skupił się na tajemniczych fragmentach. Wiedział, że rozwiązanie ma przed oczami. Wyobrażał sobie, jak Jeanson otwiera pachnące

koperty i pod nosem strażników rozszyfrowuje słowa Delpierre'a. Domyślał się, jakiej satysfakcji i jakiego poczucia władzy doświadczał wtedy Podróżnik.

„Cokolwiek interpretuję, analizuję, łatwiejsze odpowiedzi przelatują obok, chyłkiem, hojnie obwieszczając wieczną anatemę; nie emanują”, przeczytał jeszcze raz z najwyższą uwagą. Albo w innym liście: „Chwalimy innych, a łozina oddycha pod oceanem cudów, harcując obok wulkanu awatarów nieoczywistej egzystencji”. Tak samo niezrozumiałe zdanie, tyle samo słów, to samo... I wtedy zobaczył. Litery zaświeciły się w jego głowie jak światła na pasie startowym.

– Mam!

Vadim podniósł wzrok na kolegę.

– Co tam znalazłeś?

Vic nie odpowiedział, nawet go nie usłyszał. Sięgnął po kartkę i długopis i zaczął podkreślać niektóre litery.

„Cokolwiek interpretuję, analizuję, łatwiejsze odpowiedzi przelatują obok, chyłkiem,

hojnie obwieszczając wieczną anatemę; nie emanują oczywistością, by odwrócić klątwę.

Słuchałam aniołów i nazwałam twoich bogów,

eschatologia rozpaczy napawa autentyzmem, rozbijając duszę.

Pragnęłam adrenaliny uwolnionego losu i nowej energii.

Proporcje ewentualnych reguł literalnie otwierają tropy”.

– W każdym liście Delpierre'a jest specjalny fragment. Ten kawałek to początek prawdziwej wiadomości, klucz do wszystkiego. Żeby zrozumieć, wystarczy zestawić ze sobą pierwsze litery każdego słowa tych fragmentów.

Vadim przysunął się bliżej i pochylił się nad tekstem.

C-i-a-ł-o p-o-c-h-o-w-a-n-e o-b-o-k S-a-i-n-t-B-e-r-n-a-r-d, P-a-u-l-i-n-e P-e-r-l-o-t.

Spojrzał na kolegę.

– Cholera. Co to ma znaczyć?

Vic odpowiedział dopiero po kilku sekundach.

– „Nieśmiertelna” Kasparowa. Chyba zrozumiałem.

Z triumfalnym wyrazem twarzy Vic szybko zanotował ciąg cyfr.

– Patrz. Jeśli połączyć wszystkie cyfry wymienione w tym samym liście, otrzymujemy 4522093 dla pierwszego akapitu i 553594 dla drugiego. A jeśli dodać kropki, wychodzi 45.22.09.3 i 5.53.59.4. Te cyfry są w raporcie, to dane GPS grobu Pauline Perlot. Za pośrednictwem listu Delpierre przekazał Jeansonowi dokładnie taki komunikat: „Ciało pochowane obok Saint-Bernard, Pauline Perlot. 45.22.09.3E, 5.53.59.4N”. Właśnie w tym miejscu nasi chłopcy wykopali zwłoki.

Vadim zaniemówił. Wpatrywał się w pozostałe listy.

– Czekał, nie kumam. Chcesz mi powiedzieć, że...

– Mam wrażenie, że Andy Jeanson tylko nam przekazywał to, co było napisane w listach. Że wziął na siebie wszystkie osiem morderstw.

Vic przeczesał włosy do tyłu, oszołomiony własnymi odkryciami.

– Ciało, które od dwóch lat stopniowo wydaje policji, to ofiary Delpierre'a. Poświęcił się, Vadim, jak biała wieża w „nieśmiertelnej” Kasparowa. Być może Podróżnik, którego uważamy za jednego z naszych najgorszych seryjnych morderców, nikogo nie zabił.

– Czyli że od prawie dwóch lat Jeanson wciska śledczym kit? Że ten łajdak chętniej opisywany przez prasę niż gwiazda rocka wkręca nas, że popełnił morderstwa, które tak naprawdę popełnił kto inny? Że nie widzimy, że rzekome ofiary Jeansona to w rzeczywistości ofiary Delpierre'a?

Vic z przekonaniem pokiwał głową.

– *Misdirection*. Kierując naszą uwagę i blask fleszy na siebie, Podróżnik odciągał nas od patrzenia gdzie indziej. Nie szukaliśmy już ofiar, czekaliśmy, aż Jeanson wyda nam ciała. Tak miało być w przypadku Sary Morgan. Delpierre pochowałby ją tak jak resztę, a za kilka tygodni Jeanson wyjawiłby nam położenie zwłok, przypisując sobie kolejne morderstwo.

– To jakiś obłąd.

– To, co mówię, bynajmniej nie zwalnia Jeansona z winy. Mamy niezaprzeczone dowody, że faktycznie porwał te wszystkie dziewczyny, ale być może w tym miejscu jego rola się kończy. Tak jak rola Delpierre'a kończyła się na „sprzątaniu”. Różnica polega na tym, że jeden znajduje się na początku tego łańcucha, a drugi na końcu.

– Czyli mielibyśmy do czynienia ze zorganizowaną siatką. Jeanson, Delpierre i w samym środku słynny Moriarty alias Luc Thomas.

– Tak sądzę. Trzej koledzy z pokoju. Goście, którzy trzydzieści lat później odtworzyli swoją paczkę, żeby porywać, więzić, torturować i zabijać biedne dziewczyny, a każdy wyspecjalizował się w swojej roli. Jeanson tak czy owak był spalony. Jako seryjny porywacz i tak ryzykował więzienie. Więc wziął na siebie zabójstwa. W ten sposób kontynuował grę. Wszyscy trzej grają, dranie.

Vadim z trudem ogarniał umysłem wagę tych odkryć. Seryjny morderca, który nie jest mordercą. Który wyprowadził policję w pole i przez cały czas sobie z niej kpił. Jeanson i Delpierre, z całą pewnością zniszczeni doświadczeniami i krzywdami z dzieciństwa, tak naprawdę nigdy nie zdołali się pozbierać. Czyżby w Moriartym widzieli wybawcę?

– Głupie pytanie: skoro rola Jeansona ograniczała się do porwań, dlaczego wiele miesięcy później wysyłał kosmyki włosów?

– Żeby zaistnieć. To mu dodawało prestiżu, sprawiało, że nie pozostawał anonimowy. Dzięki tym kosmykom, które stały się jego wizytówką, zyskał ksywkę Podróżnika, ścigały go wszystkie służby. Stworzył legendę. Własną legendę. W pewnym sensie działał podobnie do Delpierre’a, który porywając Apolline czy tworząc swój „obiekt”, również chciał zaistnieć, ale w sposób o wiele bardziej dyskretny. Wszyscy odczuwamy potrzebę, by istnieć jako my, nie być tylko poplecznikami innych. – Vic przekartkował listy wybrane przez kolegę. – Trzeba jeszcze tylko przejrzeć te i upewnić się, że...

Nagle przerwał. Odkrył datę na jednej z kartek. Ten list, dłuższy od pozostałych, został napisany w ubiegłą środę, czyli przed siedmioma dniami. Dwa dni po zdarzeniu na stacji benzynowej.

Delpierre, który wiedział, że jest w potrzasku, i miał świadomość, że policja wkrótce go zatrzyma, chciał wysłać Jeansonowi ostatnią wiadomość. Vic znowu sięgnął po długopis i zaczął gorączkowo zapisywać pierwsze litery każdego słowa. Tekst, który ukazał się jego oczom, przyprawił go o gęsią skórę. Niepojęte.

Chwycił kartkę, wyskoczył z fotela i rzucił się do drzwi.

– Wezwij posiłki!

— **N**igdy nie widziałam jego twarzy. Nie wiem, kim jest, przysięgam. Czoło Mistik, wiszącej dziesięć centymetrów nad powierzchnią, przecinały grube żyły. Woda ściekała jej do oczu, płynęła po karku, między piersiami. Kilka razy myślała już, że utonie. Patrzenie na ciało miotające się z taką zajadłością było dla Léane nie do zniesienia. Ale stopniowo język jej więźniarki się rozwiązywał.

— Pierwszy raz spotkałam Moriarty’ego w dwa tysiące trzynastym. Któregoś wieczoru przyszedł na mój seans do Donjon noir. Miał na twarzy maskę wenecką z długim dziobem. — Zaniósła się kaszlem i wypluła wodę; jej oczy wyglądały, jakby miały wyjść z orbit. — Mężczyźni często przychodzili w maskach albo makijażu, żeby zachować anonimowość. Donjon to elitarny klub, do którego można wejść tylko przez kooptację. Jest renomowany, ponieważ zachowuje bezwzględna dyskrecję w kwestii swojej klienteli. Żadnych nazwisk, żadnych spisów, żadnych zdjęć. Ludzie, którzy tam przychodzą, są nadziani i ostrożni. Prawnicy, szanowani obywatele, którzy mają dwa życia: jedno w blasku światła, w otoczeniu rodziny i przyjaciół, a drugie w ciemności. — Skrzywiła się i uniosła głowę, by ograniczyć ilość krwi spływającej do mózgu. Jej twarz była czerwona jak piekielny ogień. — Moriarty znał moją przeszłość, moje zamiłowanie do cierpienia. Ale nie chciał seksu, chciał tylko patrzeć. I tak robił, stał w rogu i obserwował innych mężczyzn w akcji. Ale w Donjon obowiązują pewne zasady. Żadnej krwi, żadnych ekstremalnych działań w stylu nacięć nożem, które mogłyby zaszkodzić jego reputacji. Moriarty chciał więcej, wiedział, że oferuje taką możliwość ludziom, którzy odpowiednio zapłacą. Więc kontynuował swoje seanse podglądactwa tutaj, w moim prywatnym lochu.

Zboczenia, zadawanie bólu, uprzedmiotowienie kobiety jako biznes. Léane bez trudu wyobrażała sobie tortury, krzyki, udręczone ciała. Kata, który czynił swoją powinność, i zamaskowanego obserwatora. Dlaczego Moriarty nie praktykował

stosunków cielesnych? Léane znalazła się w elitarnym, skodyfikowanym uniwersum pozbawionym tabu, w szalonej przestrzeni, w której normalni ludzie byli osobliwością.

– Moriarty wiedział, że zapraszam tutaj najokrutniejszych mężczyzn, którzy mogą zapłacić. Po miesiącach seansów nawiązaliśmy prawdziwie przyjacielską relację.

Pociągnęła nosem. Możliwe, że płakała. Ściekający czarny makijaż nadawał jej wygląd zboląłego błazna. Wskazała podbródkiem na jakieś miejsce w piwnicy.

– W ścianie są dziury, po drugiej stronie jest jeszcze jedno pomieszczenie. To stamtąd podglądał, bez wiedzy moich klientów. Aż któregoś dnia oświadczył, że więcej nie przyjdzie, ale zaproponował mi pewien układ. Coś bardzo prostego, co miało mi przynieść dużo pieniędzy. Opowiedział mi o darknecie, zainstalował mi w komputerze jakieś programy. Rozmowy kontynuowaliśmy za pośrednictwem TorChatu. Za którymś razem podał mi adres skrzynki mailowej, długi ciąg cyfr i liter, i wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje: chciał, żebym przekazywała mu najbardziej brutalnych klientów mojej piwnicy, takich, którzy nie znali granic. Chciał tych najbogatszych, ale przede wszystkim najokrutniejszych.

Léane słuchała bez ruchu, zaciskając pięści.

– Wiesz, do czego jest podobny mężczyzna, który nie zna granic? Taki, który nie patrzy już na ciebie jak na kobietę, ale jak na obiekt do zaspokajania swoich fantazji? To bestia, demon. Na taką bestię czekał Moriarty. Wszystko, co miałam zrobić, to przekazywać takim mężczyznom ten adres, który on regularnie zmieniał ze względów bezpieczeństwa. Miałam im mówić, że wysłanie wiadomości na ten adres za pośrednictwem darknetu oznacza obietnicę anonimowego i bezpiecznego przeżycia „ekstremalnego doświadczenia”.

– Jakie to było doświadczenie?

– Nie mam pojęcia.

Léane uruchomiła dźwignię. Kiedy nabiegłe krwią oczy Mistik znalazły się za ścianką z pleksi, odwróciła głowę. Ciało kobiety wyginało się jak rażone prądem. Po piętnastu niekończących się sekundach podniosła ją.

– Kurwa, nie powiedział mi! Ale domyślałam się, że to było coś niezdrowego, coś ekstremalnie zбочzonego, skoro Moriarty tak bardzo dbał o poufność. A teraz mówisz o morderstwach. Więc o to chodziło. To było to ekstremalne doświadczenie. Możliwość posunięcia się jeszcze dalej. Rozrywka *no limit*, która może być śmiertelna w skutkach. Takie rzeczy dzieją się naprawdę, nie tylko w filmach. W kontekście moich doświadczeń sprzed lat jestem pewna, że gdyby nie społeczna bariera obserwatora, niektórzy mężczyźni posunęliby się dalej. Że by mnie gwałcili, torturowali, a w końcu zabili, to była tylko kwestia czasu.

W takich chwilach widzę potwora przyczajonego w każdym z nas. Rozwal bariery, a uwolnisz bestię. I takich bestii szukał Moriarty.

Léane zaciskała dłoń na dźwigni. Czyli tym, którzy odpowiednio zapłacili, Moriarty oferował możliwość zabijania? Czuła się, jakby otrzymywała ciosy pięścią w klatkę piersiową, coraz gwałtowniejsze serie uderzeń, które kompletnie dewastowały ją od środka.

Ciało Mistik kołysało się jak wahadło.

– Przekazywałam ten adres różnym mężczyznom. Od czasu do czasu znajdowałam w skrzynce na listy kopertę z pieniędzmi. A potem to się nagle urwało. Ostatnią kopertę otrzymałam w lutym dwa tysiące szesnastego z informacją: „To już koniec. Żadnego kontaktu poza pilnymi sytuacjami”.

Luty dwa tysiące szesnastego. Miesiąc wcześniej został zatrzymany Andy Jeanson. Léane nie sądziła, żeby to był przypadek. Czyżby uwięzienie Jeansona spowodowało pęknięcie łańcucha?

– Ilu? Ilu potworom przekazałaś adres?

Mistik się zawahała, ale gdy zauważyła, że Léane zwalnia dźwignię, zmitygowała się.

– Dwudziestu. Może więcej, nie wiem. I nie wiem, czy wszyscy z niego skorzystali.

– I był wśród nich Giordano?

Przytaknęła. Léane poczuła palenie w żołądku.

– Opowiedz mi o nim. O tym, jak się spotkaliście, o waszej relacji.

– Giordano był gliną dobrze znanym w półświatku. Niektórzy go szanowali, większość się go bała. Był jak wściekły pies. Zdarzało się, że wpadał do Donjon, zawsze bardzo późno, ot tak, żeby dokończyć noc. Miał dojścia. Po kilku spotkaniach wylądowaliśmy tutaj. Był porąbany, naprawdę porąbany. Być może najgorszy ze wszystkich. Posunął się do tego, że wytatuował sobie na ramieniu swoją ulubioną zabawkę.

– Mieczyka.

– Tak. Ilekroć stawał przede mną z tym nożem, przypomiinałam sobie tego chuderlawego facecika w okularach, który przyszedł nie wiadomo skąd, wziął ten przedmiot i naciął mi obie piersi. To było dwadzieścia pięć lat temu. Giordano był gościem tego pokroju. W jednej chwili słodki, a po dwóch sekundach demon. On musiał mieć coś z głową już przed więzieniem. Potem przyłapali go przy okazji afery z handlem ludźmi. Policjanci śledzili go i przyszedli do Donjon. Wiedzieli, że od czasu do czasu tam bywa, że mieliśmy wspólne sesje. Zostałam wezwana w charakterze świadka, mówiłam najmniej jak się dało i nie wspominałam słowem o naszych spotkaniach tutaj.

– Dlaczego?

– No bo... A jak myślisz? Bo to jest mój prawdziwy biznes. Donjon to fasada, sposób, żeby złapać rybę na haczyk. Giordano wrócił do mnie po wyjściu z więzienia. Nie uspokoił się w kiciu, wręcz przeciwnie. Był jeszcze bardziej wygłodniały, jeszcze groźniejszy. Chwytał mnie za gardło i dusił, i dusił. Kroił mnie mieczykiem, a chwilę później przytulał i płakał jak dziecko. Odsiadka definitywnie popaliła mu styki w głowie. Myślę, że gdybym na to pozwoliła, w końcu by mnie zabił.

Léane wyrzucała sobie, że w zetknięciu z tym draniem skutym w forcie okazała się taka słaba. Zakpił sobie z niej.

– Spotkałam Moriarty’ego, kiedy Giordano był w kiciu. Opowiedziałam więc Giordanowi o darknecie, dałam mu tamten adres. Miał dużo pieniędzy, bo dostał jakiś spadek, pod każdym względem odpowiadał oczekiwaniom Moriarty’ego. Później go już nie widziałam. Ten adres... To było jak brama do innego świata, rozumiesz? Ci, którzy przez nią przechodzili, znikali z mojego życia, trafiali do innego wymiaru. Właśnie mi powiedziałaś do jakiego.

Każde słowo, każdy obraz ranił Léane do głębi trzewi. Sarah, podobnie jak inne nieszczęsne ofiary, prawdopodobnie stała się placem zabaw tych pomyślników. Przestrzeń rozpusty, w której nie istnieją żadne granice. Miała ochotę się poddać, położyć w kącie i umrzeć. Ale gniew trzymał ją przy życiu.

– Ci mężczyźni... Chcę wiedzieć, kim oni są. Podaj mi nazwiska tych drani. Mistik splunęła.

– Myślisz, że zostawiają mi wizytówki? Widzę tylko maski, twarze, ciała, ręce, które zadają ból. Dużo mi płacą za milczenie, kumasz? Weszli we mnie aż po samo dno, a ja żadnego z nich nie znam. To było trzy, cztery lata temu, wszystko pochłonął mrok. Zresztą nawet gdybyś kogoś znalazła, to co sobie wyobrażasz? Że będzie mówił, po tylu latach? Nikt nic nie powie. W tym środowisku obowiązuje reguła milczenia. Ci goście pracują w sądach, są członkami elitarnych klubów. Mogą sobie kupić wszystko, łącznie z naszym bólem. Konsumują nas. Ty i ja jesteśmy tylko przedmiotami.

Léane miała dość. Powinna była zaangażować w to gliny: przeprowadziliby śledztwo w sprawie Donjon noir i znaleźli klientów Mistik. Ale miała związane ręce. Czy to możliwe, że wszystko skończy się w tym miejscu, a ona wyjedzie bez odpowiedzi? Czy doszła już do kresu poszukiwań, własnych możliwości i sił? Zaciśnęła zęby i mocniej chwyciła dźwignię.

– Posłałaś te wszystkie dziewczyny na śmierć, wiedziałaś o tym. To przez ciebie...

Zamilkła, zamknęła oczy. Mistik nie była ofiarą, stanowiła ogniwo łańcucha śmierci, z całą świadomością ukryła prawdę i w głębi serca wiedziała. By dodać

sobie odwagi, Léane pomyślała o Sarze, o jej uśmiechu, o tym ostatnim zdjęciu, na którym jej córka była szczęśliwa. Mistik nie zasługiwała na to, by żyć.

Ujęła dźwignię w obie ręce i zrobiła głęboki wdech. Kobieta wrzeszczała. Léane przekręciła pręt i zwolniła łańcuch. Mistik spadła na posadzkę, tuż obok pojemnika. Léane zaciągnęła ją do klatki, zamknęła w środku i wrzuciła klucz od kłódki do wody.

– Byłoby dla ciebie lepiej, gdyby nic mi się nie stało.

Léane odwróciła się i zamarła przed komputerem. Na ekranie pojawiła się nowa linijka.

6.31.52 Moriarty: Widzimy się pojutrze o 22.00. Étretat. Wydrążona iglica.

Czarne sosny ciągnęły się w nieskończoność: prawdziwa armia cieni, milcząca, ponura, osadzona w szarej skorupie śniegu, który paraliżował życie, ruch, nadzieję. Żadnych zwierząt, żadnego szelestu liści. Czasem tylko trzeszczenie gałęzi, gdy spadały z nich czapy śniegu: las jęczał, jakby ręka golema boleśnie wykręcała mu pnie.

Trzymając w dłoni smartfon z otwartą aplikacją GPS, Vic pędził przez ten labirynt do utraty tchu, z przezroczystymi kryształkami zwisającymi z trzydniowego zarostu. Tonął, potykał się w śniegu – bo podobnie jak koledzy nie miał rakiet. Daleko z przodu otwierał się niczym paszcza majestatyczny, czarny, postrzępiony masyw Belledonne. Za Vikiem z wysiłkiem brnęli Vadim, Manzato, dwaj ratownicy i lekarz pogotowia z ciężką torbą medyczną. Zmrożone powietrze wciskało się do gardeł, paliło płuca. Na przedłużeniu ich niespokojnych spojrzeń mrok chłostały światła latarek, odsłaniając podstępne dziury, niebezpieczne skały, twarde jak drewno zaspy. Było zimno jak diabli.

Milczenie przerwał Manzato.

– Ile jeszcze?

– Jakież pięćset metrów.

Samochody zostawili kilometr dalej, przy drodze departamentalnej. Szli w kierunku starego szlaku turystycznego przebiegającego w odległości około godziny drogi od Grenoble, do którego nie dało się dojechać samochodem. Na osypujących się zboczach korzenie czepiały się zmarzniętej ziemi jak gigantyczne pająki. Vic miał przemoczone spodnie i buty, lodowate stopy, ale zdwoił wysiłki. Apolline to wojowniczką, zdołała przezwyciężyć własną niepełnosprawność i rozwijać się pomimo ślepoty. Mimo ultimatum Delpierre'a możliwe, że jeszcze żyje. Policjant modlił się, żeby tak było.

Choć paliły go mięśnie, oczami wyobraźni widział każde z odcyfrowanych słów w ostatnim liście wysłanym przez Skórownika – na końcu morderca

zamieścił straszliwą zapowiedź:

Złapią mnie, to kwestia kilku dni. Nic nie wiedzą. Zgodnie z obietnicą zabiorę naszą tajemnicę do grobu. Moriarty definitywnie zniknął, pewnie po to, żeby dokonać swojego najbardziej spektakularnego wyczynu, o którym zawsze mówił. Najpiękniejsze zaginięcie, na oczach wszystkich. To prawdziwy magik. Skorzystaj, żeby zabłysnąć po raz ostatni: Apolline Rina. Niewidoma. Moja duma. Zamknięta w opuszczonym schronisku w pobliżu potoku Grande Valloire w gminie La Ferrière. 45.17.32.7N, 6.06.50.8E. Pożyje jeszcze pięć, może sześć dni. Odczekaj tydzień, zanim powiesz glinom. Niech im zdechnie na rękach. Żegnaj, stary przyjacielu.

Pięć albo sześć dni. Od wczoraj albo przedwczoraj. Vic sięgnął do swoich ostatnich rezerw – przeskakiwał przeszkody, czepiał się gałęzi. Musi ją uratować, oby tylko żyła – dla siebie, dla swoich kolegów, dla swojej córki. Jak dorastać w świecie, w którym gaśnie każde światło, nawet światło nadziei. Jeśli Apolline odejdzie, wszystko bezpowrotnie pochłona ciemności. Vic nie będzie już mógł znieść tego świata.

Wreszcie dotarł do wypłaszczenia – niewielkiej polany w granitowej kotlinie. Ciemność potęgowała wrażenie przytłoczenia pośród opadających blisko siebie górskich zboczy. W oddali w blasku latarek i gwiazd ukazała się bryła schroniska – kamienny budynek o lekko spadzistym dachu – która wyglądała jak wyjęta z innej epoki. Dookoła śnieg, nieskalany śladami kroków. Mężczyźni podeszli bliżej, zdyszani i mokrzy od potu. Wszystkie wyjścia były zabite deskami. W starym schronisku, podobnie jak w oczach Apolline, musiała panować wieczna noc.

Rzucili się do odrywania desek przymocowanych w poprzek drzwi – żeby ruszyć gwoździe, potrzeba było przynajmniej trzech par rąk. Rozległ się trzask i część futryny odpadła. Kiedy szpara była wystarczająco szeroka, Vic jako pierwszy wślizgnął się do środka z bronią i latarką w rękach. W nozdrza uderzyła go woń środka odkażającego i krwi. Szybko omiótł wzrokiem zdewastowane wnętrze. Posadzka zawalona była szmatami, deskami i odłamkami szkła. Strumień światła latarki padł na materac, który leżał w kącie pomieszczenia, bezpośrednio na podłodze.

Zauważył ciało opatulone w grube kołdry. Kikuty przedramion leżały na szarym wełnianym kocu, owinięte wielowarstwowymi opatrunkami, których końcówki miały żółto-czerwony kolor, charakterystyczny dla źle pielęgnowanych,

ropiejących ran. Do ściany przyklepione były dwa przezroczyste worki połączone rurkami z lewym przedramieniem. Były puste.

Vic bez zastanowienia przypadł do nieruchomego ciała Apolline. Jej twarz była blada, zbyt blada, zapadnięta, usta w kolorze zgaszonego rózu wyglądały na zamarznęte, oczy zastygłe, wpatrzone w pustkę, zamglone. Dziewczyna nie reagowała na ich obecność, nie poruszała się. Vic potrząsnął nią delikatnie, zawołał „Apolline, Apolline”. Kiedy lekarz kazał mu się odsunąć, ustąpił mu miejsca. Manzato stał kawałek dalej w obłokach wydychanej pary, jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Na jego twarzy malował się wyraz wściekłości i rezygnacji. Delpierre karmił Apolline, podawał jej kroplówki z pewnością wypełnione lekami, żeby nie umarła za szybko. A wszystko po to, żeby jeszcze bardziej dokopać im, glinom. Jakby całe zło, które już wyrządził, nie wystarczało.

Lekarz był skupiony na swojej pracy. Zdjął ocieplane rękawiczki i bez sukcesu szukał pulsu na tętnicy szyjnej. Zaciskał szczęki, ale się nie poddawał: może Apolline jest po prostu za słaba? Badanie reakcji źrenic na światło było niemożliwe. Wyjął więc z torby stetoskop i odsłonił kołdry, pod którymi dziewczyna była naga. Włożył do uszu słuchawki i przytknął membranę urządzenia do jej wątej klatki piersiowej, w okolice serca. W jego oczach pojawił się błysk.

– Mam puls.

Wydrążona iglica... Powieść Maurice'a Leblanca i miejsce, w którym kończyła się jej książka, *Niedokończony rękopis*. Moriarty wyznaczył jej spotkanie pojutrze na klifie Étretat, naprzeciwko iglicy. Skąd wiedział? Czytał jej książki, znał je na wyrywki. I chciał, żeby to zrozumiała. Léane miała się spotkać z potworem.

Dojechała do Berck i minęła latarnię morską, której światło, przebijając się przez czarne zasłony deszczu, omiatało wybrzeże, po czym skręciła na drogę między szarymi wydmami, sieczonymi nieprzerwaną ulewą. Im bliżej była Natchnienia, tym większy czuła ucisk w żołądku. Pomyślała o Giordanie zamkniętym w forcie. Nie była u niego już trzy dni. Zaczynała mieć nadzieję, że umarł.

Z oddali dostrzegła światła na parterze. Nie było terenówki, najwyraźniej została wstawiona do garażu. Nagle zobaczyła jakąś postać wychodzącą z willi z latarką w dłoni. Postać miała na sobie żółte wędkarskie spodnie i kalosze, pelerynę i kaptur na głowie. Léane zgasiła światła i wyłączyła silnik.

Sylwetka się zatrzymała – mimo wiatru musiała coś zobaczyć albo usłyszeć – i spojrzała w kierunku drogi. Czy to mógł być Jullian? Léane nie wiedziała. Postać pobiegła do szopy na żaglowozy. Zniknęła w środku. Kobieta przypomniała sobie o zamkniętej kłódce i o tym, że sama musiała rozbić szybę, żeby się dostać do środka. Co robić? A jeśli Jullian jest ranny? A jeśli to pasożyt? Po chwili wahania wysiadła z samochodu i popędziła do szopy. Wiatr targał jej włosy. Ukryta w cieniu, zajrzała przez okno.

Mężczyzna grzebał w narzędziach. Rozpoznała jego profil i jednym ruchem otworzyła drzwi. Odwrócił się zaskoczony.

– Co robisz? – rzuciła.

Po policzkach Julliana spływały krople wody. Powoli zsunął kaptur. Jego twarz przecinały cienie, uwypuklając ostre kości policzkowe. Deszcz bębnił o dach

i ściany. Przez wybite okno wpadała woda, która pryskała na latawce obracające się wokół własnej osi. Mąż popatrzył na nią, po czym odwrócił się i podjął przerwane poszukiwania.

– Byłoby lepiej, gdybyś wróciła później.

Léane chwyciła go za ramię.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią. W ręku trzymał łopatę.

– Dlatego.

W ubraniu wędkarskim wyglądał jak szaleniec z horroru, który za chwilę urządzi masakrę.

Léane odsunęła się, wstrząśnięta.

– Nie mów, że...

– Chodź za mną.

Włożył z powrotem kaptur i wybiegł na deszcz, kierując się do garażu. Rzut oka na wydmy, na latarnię, w tę straszną ciemność, żeby się upewnić, że nie nadjeżdża żaden samochód. Uniósł bramę i zamknął za nimi, gdy tylko Léane weszła do środka. W garażu stała terenówka, jeszcze mokra. Pod kołami widać było wielkie kałuże. Jullian wcisnął włącznik, zatrzeszczał mechanizm jarzeniówki. Léane czuła się tak, jakby obudziwszy się z jednego koszmaru, zanurzyła się w drugim i znowu się obudziła, ale wciąż nie wróciła do rzeczywistości. Każdy upływający dzień był gorszy od poprzedniego.

Jej mąż szybkim ruchem otworzył bagażnik. W twarz buchnęła jej trupia woń. Giordano patrzył na nich, wykrzywiając usta. Oczy miał szeroko otwarte, prawie wychodzące z orbit. Był owinięty plandeką, jego ciało zostało wygięte, tak żeby się zmieściło w ciasnej przestrzeni. Włosy, skronie i czoło mężczyzny były całe w plamach skrzepłej krwi. Léane podniosła dłonie do twarzy.

– Coś ty zrobił?

Jullian włożył łopatę do bagażnika.

– Nie mogłem dłużej znieść tej niewiedzy, myślenia o tym, że on może znać odpowiedź. Wróciłem do fortu i chciałem z nim porozmawiać, wydusić z niego prawdę. – Ruchem dłoni odwrócił głowę nieboszczyka, odsłaniając ciemną skorupę włosów przyklejonych do czaszki.

– Ale on nie żył, Léane. Ręce miał w górze, ale głowa opadła mu na klatkę piersiową. Myślę, że wiele razy uderzał głową w mur, aż umarł. Cała czaszka z tyłu jest wgnieciona.

Léane dygotała. Oczami wyobraźni ujrzała swojego męża trzymającego Giordana za włosy i walącego jego głową w cegły.

– Zapakowałem zwłoki do bagażnika i przywiozłem tutaj. Szopa była zamknięta, więc przeciąłem kłódkę.

Léane zaniemówiła. Stali w garażu z trupem w bagażniku. Czyżby Jullian kłamał? Zabił Giordana czy znalazł go już nieżywego? Ale czy to w sumie coś zmieniało? Zdjął pelerynę, zwinął ją w kulkę i włożył do plastikowego worka. Tak samo postąpił ze spodniami, a następnie z kaloszami.

– W szpitalu jeszcze raz przeczytałem twoje książki. Żadnych śladów, działań etapami, tak napisałaś. Wyrzucę te ubrania. Żeby się pozbyć resztek krwi, umyjemy bagażnik wybielaczem.

Włożył buty i wcisnął pakunek do bagażnika. Kiedy zamknął klapę, Léane podskoczyła.

– Tylko bez paniki, okej? Absolutnie nic nie ryzykujemy. Dwadzieścia kilometrów stąd jest las Montreuil-sur-Mer, a w nim stawy. Mamy pięć czy sześć stopni, ziemia jest mokra i niezamarznięta, to ułatwi pracę. Zakopię Giordana głęboko, a jeśli mi się nie uda, obciążę trupa i utopię. Nikt go nie znajdzie.

Wrócił do żony i wziął ją w ramiona. W jego ciemnych oczach malował się obłęd. Léane miała wrażenie, że ma przed sobą mordercę, który doskonale panuje nad emocjami. Jak mógł się do tego stopnia kontrolować w takiej sytuacji?

– Poradzimy sobie, słyszysz?

Ponieważ nie reagowała, potrząsnął nią.

– Słyszysz mnie? Nie pozwolę, żeby ktokolwiek się...

Nie dokończył zdania. Z zewnątrz dochodził warkot silnika, coraz wyraźniejszy. Przez szparę pod bramą garażu wślizgnął się blask reflektorów. Léane wstrzymała oddech. Kto to? Usłyszeli trzaśnięcie samochodowych drzwi. Jullian położył palec na ustach i poszedł wyjrzeć przez szczelinę między drzwiami a ścianą.

– Cholera, to Bercheron.

Zobaczył, że Colin przystanął przed garażem. Jeśli oni widzieli światła samochodu, on na pewno dostrzegł blask jarzeniówki. Jullian zacisnął szczęki.

– Ten się zawsze pojawi w najmniej odpowiednim momencie.

Patrzył w ślad za nim tak długo, jak mógł. Policjant ruszył w stronę szopy, której drzwi tłukły się na wietrze

– Drzwi...

Colin zniknął w środku i nie było go przez kilka sekund. Potem wyszedł, podniósł jakiś przedmiot i mu się przyglądał.

– Myślę, że to kłódka. Cholerny niuchacz.

Włożył kłódkę na miejsce, by zablokować skobel. Léane zobaczyła, że na szyi Julliana, który wyginał się, by nie stracić z oczu intruza, wyskoczyła gruba żyła. Policjant tymczasem wszedł po schodach na ganek. Po chwili zmroził ją dźwięk dzwonka.

– Nie mamy obowiązku otwierać – powiedział Jullian.

Léane nerwowo przyczesła włosy do tyłu.

– Ale on... widział światło. I tę rozwaloną kłódkę. Jeśli nie otworzymy, pogorszymy sytuację. Pomyśli, że stało się coś złego, i wezwie posiłki. Musimy mu otworzyć.

Julian szybko myślał.

– Okej. Ale mówimy najmniej jak się da.

Léane sprawdziła, czy jej mąż nie ma na ubraniach śladów krwi, i wbiegła na górę.

Apolline będzie żyła. Tak orzekł chirurg po wyjściu z bloku operacyjnego, osiem godzin po przyjęciu dziewczyny. Vic podziękował mu z całego serca i poprosił, żeby go poinformował, kiedy będzie można ją odwiedzić.

Zamknął się w toalecie i przez kilka sekund masował skronie. Był zmęczony. Zmęczony tym niekończącym się biegiem, daremną walką, którą prowadzili przez wszystkie te lata. Félix Delpierre nie wygrał, ale pozostawił za sobą zdruzgotaną, złamaną dziewczynę, która nie wróci już do poprzedniego życia.

Przemył twarz zimną wodą i spojrzął w lustro. Możliwe, że niebawem złapią Moriarty'ego. I co dalej? Pojawi się ktoś inny, jeszcze gorszy? Morderca dzieci? Gość, który wysadzi się w tłumie ludzi?

Kropla wody w oceanie, pomyślał. Być może, ale jeśli odpuści, czy świat stanie się lepszy? Wziął głęboki wdech i wyszedł do Vadima, który czekał na niego na parkingu. Partner przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył.

– I jak poszło?

– Da radę, o ile można dać radę, jeśli jest się niewidomym i bez obu dłoni.

Nie powiedział nic więcej. Wpatrywał się w białe szczyty górujące nad miastem. Wydawały mu się coraz bardziej surowe, straszliwe. Ilu kryje się w nich szaleńców pokroju Delpierre'a? Ile dziewcząt takich jak Apolline jest tam uwięzionych? Vadim czuł, że kolega jest na skraju załamania.

– Przeżyła dzięki tobie.

– W sumie może byłoby lepiej, gdyby tam została. – Pożałował tych słów, gdy tylko wybrzmiały. Ale jakie Apolline miała przed sobą życie? – Vadim, ten widok, kiedy ją zobaczyłem w tej zimnej, ciemnej chacie... będzie mi towarzyszył do końca życia, tak jak wszystkie inne. Tak samo wyraźny jak pierwszego dnia. Nigdy nie zdołam go wymazać z pamięci. Nie wyobrażasz sobie, jakie to jest okropne.

Owszem, Vadim domyślał się piekła, które płonęło w głowie jego kolegi, ale nic nie powiedział. Bo on także – on także cierpiał, on także stawiał czoło tym

obrazom, nawet jeśli z czasem się zacierały. Ale o nich nie zapominał.

Kierunkowskasz, zjazd na drogę departamentalną. Samochód jechał wprost na Bastylię, warownię zawieszoną nad urwiskiem, którą po chwili minął i zostawił z tyłu. Vadim przerwał milczenie i wrócił do śledztwa:

– Okej, dwie sprawy. Wszystkie profile DNA „obiektu” zostały zidentyfikowane. Dziewięć różnych wyników, które odpowiadają dziewięciu ofiarom porwanym przez Jeansoną. Mamy naukowe potwierdzenie powiązań, które odkryliśmy między tą dwójką.

Jego partner wciąż milczał. Vadim westchnął.

– Cóż za entuzjazm! Poza tym zaczęliśmy przekopywać różne kartoteki. Luc Thomas to bardzo popularne imię i nazwisko, na razie wyskakuje mnóstwo wyników i żeby dotrzeć do niektórych danych, potrzebujemy dokładnej daty urodzenia. Sprawdziłem też bazę zaginionych: nic. Luc Thomas zaginął trzydzieści lat temu, baza danych właściwie jeszcze wtedy nie istniała, ale gdzieś musi być dokumentacja papierowa. Tamtą okolicą zajmują się żandarmi. Dupuis właśnie u nich jest, znalezienie akt nie powinno być zbyt skomplikowane.

– Miejmy nadzieję.

– Tak, miejmy nadzieję. Ale naprawdę dobrą nowinę przynosi Mangematin. Właśnie do mnie dzwonił z Chambéry, wychodzi od byłego dyrektora Roches noires. Gość ma ponad osiemdziesiąt lat i dopełnia żywota w domu pogodnej jesieni. Krótko mówiąc, nie jest już w formie. Oczywiście zapytany o tamtą historię z nauczycielem wuefu, potwierdza wersję ze skaleczeniem maszynką do golenia. Według Mangematina nic nie powie, sprawa jest bardzo stara, jego szwagier nie żyje, a i on stoi nad grobem.

– Powiedział mu o Andym Jeansonie? I o potwornościach, których dopuszczał się Delpierre?

– Tak, ale niewiele osiągnął. Pamięć go już zawodzi, jeśli rozumiesz, co mówię. Mgliście przypominał sobie Luca Thomasa ze względu na tę ucieczkę i na to, że nigdy go nie znaleziono. Pamiętał jednak, że chłopak pochodził z Voiron, więc zadzwoniłem do tamtejszego urzędu stanu cywilnego. Możliwe, że to nasz jedyny fart w tej sprawie, ale jest tylko jedna rodzina Thomasów, która może do niej pasować, i jeden jedyny kontakt: Marie-Paule Thomas. Jego matka. Została uprzedzona, że ją odwiedzimy, nie wie dlaczego.

– Trzydzieści lat od zaginięcia syna, a my zwałamy jej się na głowę ze złymi wiadomościami. Bądźmy dla niej delikatni, okej? Mam już dość łamania ludziom żyć.

Półtorej godziny później byli w Voiron. Vic poprawił kurtkę i zapukał do drzwi domku stojącego na sympatycznej działce z widokiem na góry. W progu stała kobieta o głęboko osadzonych, intensywnie zielonych kocich oczach, które

w przeciwieństwie do pomarszczonej twarzy wciąż były młode. Gospodyni miała siwe kręcone włosy niedbale opadające na ramiona i ubytki w uzębieniu. Vadim uściskał jej rękę, pośpiesznie przedstawił ich obu i wyjaśnił powód wizyty.

– Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać o pani synu.

Twarz kobiety wykrzywiła się w wyrazie niezrozumienia i zdziwienia.

– O Lucu?

– Możemy wejść?

Skinęła głową. Kiedy wpuściła ich do środka, Vic poczuł zapach starego psa. Wszędzie wały się książki i gazety – leżały kupkami w kątach, na zapadniętych deskach podłogi, na blatach mebli. Zaprosiła ich, by usiedli na zakłaczanej sofie, i zastygła w oczekiwaniu.

– Szukamy pani syna. Podejrzewamy, że jest zamieszany w dość poważną sprawę.

Marie-Paule Thomas pod wpływem szoku jakby się skurczyła.

– Luc? W dość poważną... Co to za sprawa?

– Niestety na razie nie możemy pani więcej powiedzieć. Rozumiemy, że to dla pani trudne, ale potrzebujemy pani pomocy. Przede wszystkim prosilibyśmy o podanie daty urodzenia syna, potrzebujemy jej do sprawdzania baz danych. Chcielibyśmy też, żeby nam pani opowiedziała, jaki on był, dała jakieś jego zdjęcia z dzieciństwa. Nie wiemy, jak wygląda. Jedyne trop, jakim dysponujemy, to internat Roches noires. Jego teczka zniknęła z archiwów, podejrzewamy, że Luc dwa tygodnie temu ją stamtąd zabrał razem ze wszystkimi zdjęciami, a wcześniej zaatakował stróża.

– Boże jedyny!

Oczy Marie-Paule się zaszkliły. Pośpiesznie wytarła je chusteczką.

– Nie znajdziecie tutaj zdjęć Luca. Nie cierpiał być fotografowany. Na klasowych zdjęciach zawsze spuszczał głowę. Kiedy gdzieś zobaczył swój portret, kradł go albo darł. Był ślicznym dzieckiem, ale...

– Na pewno ma pani jego zdjęcia z okresu, gdy był całkiem mały. Takie maluchy przez pierwsze lata zawsze się fotografuje.

Pokręciła głową.

– Nie mogliśmy z mężem mieć dzieci. Luc nie był... nie jest naszym biologicznym synem. Adoptowaliśmy go za pośrednictwem opieki społecznej.

Przetykała swoją wypowiedź długimi przerwami. Vic i Vadim milczeli, by mogła mówić własnym rytmem.

– W tamtym czasie mieszkaliśmy w Paryżu, w dziesiątej dzielnicy. Kiedy w końcu mogliśmy go wziąć do siebie, miał pięć lat. Luc był dzieckiem porzuconym. Mówiono nam, że pierwsze dni jego życia były straszne. To okropne

zrobić coś takiego własnemu dziecku. – Wstała i skierowała się do kuchni. – Muszę się napić kawy. Macie ochotę?

Skwapliwie przystali na propozycję. Wróciła z pełnymi filiżankami. Vic jej podziękował.

– Co się stało w tych pierwszych dniach?

Kobieta się skrzywiła.

– Luc został znaleziony na dnie kontenera na śmieci obok fabryk w Saint-Denis, niedaleko torów kolejki naziemnej. Jego oficjalna data urodzenia to czwarty maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego. Tak przynajmniej twierdzi administracja. Jakiś gość, który przechodził tamtędy wczesnym rankiem, usłyszał płacz noworodka. Niemowlak leżał w reklamówce wśród śmieci, cały siny, z nieodciętą pępowiną, umazany zaschniętą krwią. Lekarze, którzy go przejęli i odratowali, mówili o cudzie. Dzieciak mógł umrzeć na tysiąc sposobów, a jednak przeżył. Tego, kto go tam wrzucił, nigdy nie znaleziono.

Vic upił łyk kawy. Odrzucenie po narodzinach, brak korzeni, późna adopcja: Moriarty nie miał najlepszego startu.

– Czy Luc wiedział o okolicznościach, w jakich się urodził?

Spuściła wzrok.

– Kiedy się tutaj przeprowadziliśmy, miał siedem lat, mój mąż pracował przy uzdatnianiu wody. Luc miał świadomość, że jest adoptowany, ale nie wiedział o realiach, w jakich go porzucono. Któregoś dnia, późnym wieczorem, oglądaliśmy z mężem reportaż o zaprzeczeniu ciąży. O kobietach, którym, jakkolwiek może się to wydać niewiarygodne, nie rośnie brzuch, przez co nikt, nawet ich partner, nie wie, że są brzemienne. Byliśmy z mężem przekonani, że Luc był ofiarą takiego zaprzeczenia. Urodził się maleńki, pępowina była źle odcięta, krew niewytarta. No i fakt, że został znaleziony w śmieciach... Niektóre matki uważają istotę, którą wydały na świat, raczej za odpad niż za człowieka. –

Grzbietem dłoni pogładziła filiżankę, jakby to był policzek dziecka. – Syndrom zaprzeczenia ciąży to coś strasznego, naprawdę. W niektórych przypadkach macica takiej kobiety nie rozciąga się do przodu jak przy normalnej ciąży, ale w górę. Dziecko rośnie wzdłuż kręgosłupa, na stojąco, jakby chciało być niewidzialne, ukryć się przed matką, która go nie chce. Wyobrażacie sobie, jak bardzo taki maluch jest traumatyzowany, jeszcze zanim przyjdzie na świat? Lekarze twierdzą, że pierwszych lat dzieciństwa się nie pamięta. Ale w przypadku dzieci, które są ofiarami zaprzeczenia... Jestem przekonana, że noszą to odrzucenie głęboko w sobie, że ono je dręczy. – Podniosła wzrok na policjantów. – Rozmawialiśmy o tym z mężem, ale niestety Luc bezszelestnie zszedł na dół i wszystko słyszał. Miał dwanaście lat. Do końca życia sobie tego nie wybaczę. Już wcześniej był zamkniętym w sobie samotnikiem, ale to był niesamowicie

inteligentny i zdolny dzieciak. Uwielbiał książki, zwłaszcza kryminały, pochłaniał w swoim pokoju co najmniej jeden tygodniowo. Dwunastolatek, wyobrażacie sobie? Opowieści o zbrodniach go fascynowały. Był dobrym uczniem, ale aspołecznym, odludkiem, zawsze z tyłu klasy. Był zdezorientowany tym, że nie wiedział, skąd pochodzi, kim są jego rodzice, dlaczego go porzucili. W tym okresie, jeszcze zanim zaczął dojrzewać, stał się trudny. Bardziej się złościł, ciągle był na nie. Kiedy usłyszał naszą rozmowę, zrobił się jeszcze gorszy. Zaczął się opuszczać w nauce, zamknął się w sobie jeszcze bardziej i robił dziwne rzeczy.

– To znaczy?

– Robił sobie krzywdę, bił się pięściami, nie był w stanie spojrzeć w lustro. Z dnia na dzień zaczął na mnie patrzeć innym wzrokiem, jakby się mną brzydził. Wtedy zniszczył wszystkie zdjęcia, na których był. Wszystkie bez wyjątku. Malował sobie twarz, robił makijaż, nosił straszne maski. Jakby zamieszkała w nim jakaś mroczna siła. Nie mieliśmy już u niego żadnego autorytetu. Pewnego razu zniknął na trzy dni. Przyproceedziła go żandarmeria: ukrył się w lesie. To się stało nie do wytrzymania. Chciałam z nim pójść do psychiatry, ale dla mojego męża to nie wchodziło w grę. Doradzono nam Roches noires, ośrodek miał dobre opinie, naprostowywano w nim trudne przypadki. Wysłaliśmy go tam, gdy miał czternaście lat. Co dziwne, zdawało się, że to działa, nie szalał tam, chodził na lekcje. Ale po kilku miesiącach uciekł. Żandarmi długo go szukali, ale tym razem nie znaleźli. Było to tym bardziej skomplikowane, że nie mieli jego zdjęcia.

Vic zmarszczył brwi.

– Nawet zdjęć ze zbiorów Roches noires? Przecież był tam fotografowany, nie?

– Luc zabrał ze sobą wszystko, również swoje dokumenty. Najwyraźniej udało mu się wejść do biura administracji. Wszystko zaplanował, nie działał na pół gwizdka. Spakował nawet pościel i ubrania z szafki. Chciał zniknąć na dobre.

Vic i Vadim pomyśleli o napaści na stróża. Po trzydziestu latach Thomas wrócił, by na dobre usunąć wszystkie tropy, które mogłyby do niego doprowadzić. Nie było już teczek, nie było Jeansona i Delpierre'a, nie było powiązań – co najwyżej wspomnienia. Włamanie do Morganów, zniszczenie danych: Moriarty przeprowadził wielką czystkę. Vic nie rozumiał jednak, dlaczego mężczyzna podrzucił książki z plamą krwi. Czy w głębi serca chciał zostać odnaleziony? Chciał, żeby go złapali?

– Jego odejście zniszczyło nasze małżeństwo. Rozwiedliśmy się dwa lata później.

– Nie wysyłał żadnych listów? Nie dawał znaków życia?

– Nigdy.

Vadim wstał i odszedł, by odebrać telefon. Marie-Paule Thomas drżącą ręką odstawiła filiżankę i spojrzała na Vica.

– Co się z nim stało? Co złego zrobił? Niechże mi pan powie, to mój syn. Proszę.

– Nie mogę, naprawdę bardzo mi przykro. Ale niech pani pamięta, że to, kim jest teraz, nie ma nic wspólnego z dzieckiem, które pani wychowywała. W niczym pani nie zawiniła. Minęło trzydzieści lat.

Zacisnęła usta. Vic wstał i podał jej wizytówkę.

– Niech się pani nie waha do mnie dzwonić. Bez względu na porę. Oczywiście, jeśli znajdziemy pani syna, damy znać.

Kiedy wyszli, Vic pomyślał, że może lepiej, żeby się o tym nie dowiedziała. Ale to był jej syn, miała prawo do tej informacji. Nawet jeśli to najgorszy potwór.

Léane ostatni raz zerknęła na męża: skinął głową, by potwierdzić, że wszystko jest w porządku. Poprawiła ubrania, przesunęła dłonią po włosach i otworzyła drzwi wejściowe. Colin stał przed nią przemoczony, z nieprzeniknioną miną. Po chwili wahania odsunęła się, by go wpuścić.

– Nie stój na deszczu.

Policjant zrobił krok naprzód i wytarł buty o wycieraczkę. Jullian podszedł, by się z nim przywitać. Miał krótkie włosy, więc nie było widać, że wychodził na deszcz, ale rękawy swetra miał przemoczone. Policjant z poważną miną przyjrzał się obojgu. Léane знаła ten wzrok.

– Nie mów, że Jacques’owi coś się stało.

Colin zacisnął usta. Kobieta zasłoniła twarz dłońmi. Przytuliła się do Julliana. Gdy ją objął, poczuła na karku jego ciepły oddech.

– Przykro mi. Wczesnym popołudniem rybak znalazł jego ciało w zatoce Authie, w okolicy Groffliers. Osiadło na mieliźnie między łodziami podczas odpływu.

Léane się zachwiała. Jullian podprowadził ją do sofy i usiadł przy niej.

– To straszne... Straszne.

Mąż gładził ją po plecach, jakby to ona straciła ojca. Colin podszedł bliżej i usiadł naprzeciwko nich. Z jego kurtki kapąła woda. Patrzył na nich w milczeniu.

– Na pewno przychodzę nie w porę. Tak mi przykro.

W głowie Léane wszystko się mieszało. Brutalne obrazy, okropne dźwięki. To widziała białe zwłoki wirujące na grzbietach fal, a potem popychane po piasku przez wodę, to leżącego w bagażniku Giordana ze wzrokiem śniętej ryby. Colin siedział w linii prostej dokładnie nad trupem.

– Postępowanie sądowe zostało natychmiast otwarte.

– Postępowanie? Chyba nie myśli pan, że został zabity?

– To normalna procedura w takich sytuacjach. Nie zapominajmy, że zostałeś napadnięty, że ktoś się włamał do waszego domu i że mieliście tu pasożyta. Musimy wszystko skrupulatnie sprawdzić.

– Co się stało?

– Samochód twojego ojca był zaparkowany na wysokości kanału portowego. Stamtąd Jacques mógł się wybrać na spacer po zatoce w trakcie odpływu. Na fotelu pasażera znaleźliśmy butelkę wódki opróżnioną w trzech czwartych. Patolog dokonał wstępnych oględzin na miejscu. Sekcja powinna to potwierdzić, ale wszystko wskazuje na utonięcie, widać niektóre charakterystyczne objawy, zwłaszcza wybroczyny w oczach. Jeśli chodzi o datę zgonu, to musiał on nastąpić kilka dni temu.

Dał im czas na przetrwanie tej informacji. Léane spojrzała na twarz męża. Był spokojny. Żadnych łez, tylko okolicznościowy smutek.

Colin odchrząknął i popatrzył na nią.

– Czy Jacques Morgan znał okolice kanału Authie?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Tak, kiedy tu przyjeżdżał, lubił tam spacerować. Schodził nad zatokę i godzinami obserwował ptaki wędrowne. – Odwróciła głowę w stronę Julliana.
– Twój ojciec zawsze był samotnikiem.

Mąż ścisnął jej dłoń, a Colin mówił dalej:

– To jedno z najniebezpieczniejszych miejsc na wybrzeżu, woda przybiera z szaloną prędkością i otacza nieostrożnych spacerowiczów, zwłaszcza w tej chwili, przy dużych współczynnikach pływów. Wiedział o tym?

Léane przytaknęła. Trzymała się za głowę. To było gorsze niż koszmar, ale przynajmniej ta straszna wiadomość pomagała jej ukryć panikę, której doświadczała jeszcze przed chwilą.

– Tak, tak, oczywiście. Przypominaliśmy mu o tym za każdym razem.

Zamilkła, brakowało jej słów. Colin robił notatki.

– Kluczyki zostały w stacyjce, samochód był otwarty. Może za dużo wypił i zapomniał go zamknąć. Ruszył w stronę zatoki, nieświadomy zagrożenia, i przyplływ go zaskoczył. Prądy są tak silne, że nawet dobry pływak może sobie nie poradzić. – Zwilżył wargi językiem. – Istnieje też inne wytłumaczenie.

– Wiedział, że nie wróci...

Colin skinął głową i popatrzył na Julliana.

– Spędziłeś z nim dużo czasu w szpitalu. Mówiłeś, że twój ojciec nie czuł się dobrze, że wciąż rozpamiętywał samobójstwo żony. Może napad na ciebie i twoja amnezja pogorszyły sprawę? Może miał wrażenie, że definitywnie został sam?

– Nie wiem. Nie wiem, co odpowiedzieć.

– A jak twoja pamięć, nic się nie poprawiło? Może jest coś, co mogłoby mi pomóc? Jakies wspomnienie, jakiś szczegół związany z napadem? Z poprzednimi dniami? Wszystko jest ważne.

Jullian pokręcił głową.

– Przykro mi.

Colin przekartkował notes, znowu przejrzał swoje zapiski.

– Mam jeszcze kilka pytań. Wiem, że to trudne, ale wolałbym je zadać teraz.

– Oczywiście. Słucham.

– Mówiłeś moim kolegom, że nie miałeś wieści od ojca od dnia, kiedy cię tu przywiozłem ze szpitala, w sobotę dwudziestego trzeciego. Zgadza się?

– Tak. Był u mnie rano.

– W jakim był stanie?

Jullian wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Normalnym? Nie zauważyłem nic, co mogłoby zapowiadać taki krok.

– I wtedy widziałeś go ostatni raz?

– Tak. Po powrocie do domu zadzwoniłem do niego z telefonu stacjonarnego, żeby mu powiedzieć, że wyszedłem. Odezwała się poczta głosowa, zostawiłem wiadomość.

– Pamiętasz, która to była godzina?

– Nie mam pojęcia, może szesnasta? A jakie to ma znaczenie?

Colin zapisał.

– To może pomóc dokładniej określić dzień i godzinę jego śmierci. Miał telefon w kieszeni. Oczywiście został zalany wodą i do niczego się nie nadaje, ale nasi specjaliści potrafią czynić cuda. Może uzyskają dostęp do wykazu połączeń. Jeśli twoje połączenie się nie zapisało, to będzie znaczyło, że aparat już był zalany. Tak czy owak, sprawdzimy u operatora.

Colin zatrzasnął notatnik i wstał. Podał rękę Colinowi, skinął głową Léane i ruszył do wyjścia.

– Taka seria strasznych wiadomości dzień po dniu. Naprawdę mi przykro.

– Kiedy będę mógł zobaczyć ojca?

– Myślę, że za dwa dni, kiedy się uporamy ze wszystkimi badaniami. Oczywiście będziemy was informować o postępach.

Odprawdzili go do drzwi. W progu Colin odwrócił się do Léane.

– Mieliście jakiś problem z szopą? Widziałem rozwaloną kłódkę na ziemi.

– Nic poważnego. Jullian musiał gdzieś schować klucz, ale... Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy się włamać.

Posłał im pełne współczucia spojrzenie i wyszedł. Kiedy odjechał, Jullian westchnął głęboko, chwytając się za czoło.

– To jest szaleństwo. Czyste szaleństwo.

Wrócił do Léane i przytulił ją.

– Umarł mi ojciec, a to ty masz łzy w oczach. Żebyś wiedziała, jaki jestem na siebie zły. Kiedy Bercheron poinformował nas o jego śmierci, oczywiście zrobiło mi się smutno, bo to okropne stracić ojca. Ale ten ojciec był dla mnie jak obca osoba. Czuję się sobą zde gustowany.

Léane była w szoku, niezdolna, by wydusić słowo. Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– Wszyscy dookoła mnie umierają. Matka, córka, ojciec. Przeszłość to jeden wielki ból. Myślę, że nie chcę sobie przypomnieć. Po co? Po co się wysilać i przywoływać wspomnienia, przez które będę jeszcze bardziej nieszczęśliwy? Po co miałbym sobie przypominać, co przeżyłem z Sarą, skoro ona nie żyje i nigdy jej nie zobaczę?

Odsunął się od niej i spojrzał jej w oczy.

– Nie chcę sobie przypomnieć. Nie pójdę więcej na zajęcia do szpitala.

Léane nie wiedziała, co o tym myśleć. Może miał rację? Czy nie lepiej, żeby to zostało na zawsze zamknięte? Po co cierpieć po raz drugi?

Jullian pogładził ją po twarzy wierzchem dłoni.

– Będziemy musieli być silni. Pozbędziemy się Giordana, wyprawimy piękny pogrzeb mojemu ojcu, a potem wszystko odbudujemy. Zaczniemy od zera.

Na komendzie czterech ludzi z zespołu Manzata wszczęło intensywne poszukiwania Luca Thomasa, urodzonego czwartego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku w Paryżu. Chłopczyka, który został znaleziony ledwie żywy w koszu na śmieci. Czternastolatka, który z całą pewnością okaleczył nauczyciela wuefu, by pomścić kolegów z pokoju, a potem zniknął i nigdy więcej nie dał znaku życia.

Policjanci dysponowali całą baterią baz danych, dzięki którym w obecnych czasach umkniecie radarom jest prawie niemożliwe. Zawsze istnieje dokumentacja administracyjna, która wiąże jednostkę z miejscem, z miastem, ze społecznością. Bazy osób poszukiwanych, rejestr wykroczeń, ewidencja kierowców, ewidencja pojazdów, rejestr lotów pasażerskich, baza klientów dostawców internetu czy usług telefonii komórkowej. Nie masz komórki? Ale pewnie masz samochód, a w związku z tym prawo jazdy? Nie? A zatem masz konto bankowe, czyli zostawiłeś swój ślad w FICOBA⁶, krajowym spisie kont bankowych. I tak dalej.

Ale Moriarty'ego to nie dotyczyło. Luc Thomas, widziany po raz ostatni w internacie Roches noires przed trzydziestu laty, trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku, wymykał się tej regule. Żadnego adresu, żadnych śladów informatycznych, żadnego zdjęcia.

Vic siedział w swoim biurze od kilku godzin z głową pękającą od natłoku informacji. Po raz kolejny czytał ostatni list Delpierre'a do Jeansona: „...pewnie po to, żeby dokonać swojego najbardziej spektakularnego wyczynu, o którym zawsze mówił. Najpiękniejsze zaginięcie, na oczach wszystkich. To prawdziwy magik”. Co Delpierre chciał przez to powiedzieć?

Vadim, który nie był w najlepszej formie, spędzał czas na rozmowach telefonicznych. Wściekły, rzucił słuchawką.

– Nic! Nada! Definitywnie się ulotnił!

Do pomieszczenia wpadł rozentuzjasmowany Ethan Dupuis z plikiem dokumentów pod pachą.

– Trzeba było trochę poodkurzać, żeby wydobyć akta sprawy zaginięcia Luca Thomasa, bo większość żandarmów, którzy nad nią pracowali, poszła już na emeryturę. Ale jest tam kilka ciekawych rzeczy.

Wręczył Vadimowi jakąś kserówkę. Vic wstał od biurka i usiadł obok kolegów.

– To jest portret pamięciowy z tamtego okresu, wykonany na podstawie opisu rodziców. Zgadzam się, do niczego. Ale lepszego nie mamy.

Vic przyjrzał się twarzy, która była efektem kompilacji różnych nosów, czół i policzków wziętych z bazy danych. Rysy pospolite, oczy za szeroko osadzone, usta w kształcie migdała. Jedno było pewne: Luc Thomas miał ciemne włosy i czarne oczy. Przynajmniej wtedy.

– Szef grupy Simon Sorel tak naprawdę nigdy nie odpuścił tematu. Nierozwiązana sprawa, która dręczy cię przez całe życie, rozumiesz? Kiedy jeszcze pracował, przynajmniej raz do roku uderzał do administracji wszystkich departamentów Francji, szukając śladu dzieciaka. W dwa tysiące drugim, czternaście lat od zaginięcia, wrócił do Marie-Paule Thomas z grupą techników, zgarnął jego ciuchy i kazał je pociąć na kawałki w laboratoriach, które zajęły się szukaniem DNA. Kosztowało to krocie, ale znaleźli ślady biologiczne.

Vic odłożył kartkę z portretem pamięciowym.

– Chcesz nam powiedzieć, że mamy profil DNA Moriarty’ego?

– Tak, jest w bazie od dłuższego czasu. I nic z tego nie wynika.

Wnioski nasuwały się same. Uznany za zaginionego Luc Thomas nigdy nie miał problemów z prawem. Od chwili ucieczki żył w ukryciu.

– To jest z grubsza wszystko, co mamy. Rozmawiałem z Sorelem przez telefon, gość doszedł do wniosku, że chłopak nie żyje. Kiedy powiedziałem, że jesteśmy na jego tropie, biedak zbaraniał.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Zostawiam wam akta, mam kopię.

Pożegnał się i wyszedł. Vic wrócił na swoje miejsce i zaczął głośno myśleć.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy rok. Wyobraź sobie, że uciekasz z Roches noires i chcesz, żeby cię nie znaleziono. Nie zostawiłeś ani jednego swojego zdjęcia. Masz torbę ciuchów i na pewno trochę jedzenia. Co robisz w pierwszej kolejności?

Vadim wstał i podszedł do okna. Wsunął dłonie za pośladki i oparł się o kaloryfer.

– Jeśli nie chcę, żeby mnie złapali, wsiadam do pierwszego autobusu albo pociągu i jadę jak najdalej od mojego regionu. W osiemdziesiątym ósmym nie było tych wszystkich kamer, internetu i telefonów komórkowych. Jeśli wtopię się

w tłum w jakimś dużym mieście, zwłaszcza kilkaset kilometrów dalej, nie ma najmniejszych szans, żeby mnie znaleźli, zwłaszcza bez zdjęcia.

– A potem? Jak dajesz radę przetrwać?

Vadim wzruszył ramionami.

– Nie dajesz rady. Dzieciak w wieku czternastu czy piętnastu lat na ulicach obcego miasta w końcu musi zostać zgarnięty przez policję, opiekę społeczną albo trafić do szpitala. Gdyby podał jakimkolwiek organom administracyjnym prawdziwą tożsamość, Sorel z ekipą by go znaleźli.

– A co robisz, żeby nie podać swoich danych?

– Osobiście udaję niemowę, kogoś strauumatyzowanego. Kogoś, kto nic nie rozumie. Nie mam papierów, więc jak mogą się dowiedzieć, kim tak naprawdę jestem, jeżeli im tego nie mówię?

Vic przytaknął mu z entuzjazmem.

– Albo nie pamiętam. Ja udałbym, że mam amnezję. Dzieciak zgrywa ziomka, który nie wie, kim jest ani skąd się wziął. Na wszystkie pytania, które ci zadają, odpowiadasz po prostu „Nie wiem”.

– Jak Jullian Morgan.

– Tak, coś w tym stylu. W takiej sytuacji jest wielce prawdopodobne, że sędzia do spraw nieletnich przyzna ci nową tożsamość. Nowe papiery, nowy stan cywilny, nową datę urodzenia. Umieszczają cię w rodzinie zastępczej, dorastasz w niej jak we własnej, odbudowujesz swoją tożsamość, która w końcu dominuje tę starą, wciąż obecną w twojej pamięci. I właśnie w ten sposób Luc Thomas tworzy sobie nowe życie i ostatecznie znika z radarów.

Vic ze złością rzucił obgryzionym długopisem.

– Jakie to porąbane. Tak jakby Moriarty był na wyciągnięcie ręki i wymykał nam się, ilekroć możemy go złapać. Wiemy, kim jest, ile ma lat, gdzie się wychował, mamy nawet jego kod genetyczny, ale nie ma twarzy ani tożsamości.

Zerknął na zegarek, sięgnął po kurtkę i pomachał koledze. Vadim wyglądał na zaskoczonego.

– Już?

– Cokolwiek sobie o mnie myślisz, ja też mam życie.

Pół godziny później wszedł do szpitalnej sali, w której leżała Apolline. Przed nim szła pielęgniarka i cicho zamknęła drzwi. Dziewczyna spała, podłączona ze wszystkich stron do różnych urządzeń. Jej przedramiona owinięte były białymi bandażami. Na krześle siedział przygnębiony ojciec. Wstał bez słowa. Vic wyciągnął do niego rękę.

– Panie Rina... Jestem policjantem z grupy, która ją znalazła. Jak ona się ma?

Mężczyzna nie uściśnął jego dłoni.

– Jak się ma? Dwa miesiące. Dwa miesiące była więziona przez szaleńca, który obciął jej dłonie, a pan pyta, jak ona się ma? – Jeszcze bardziej wykrzywił twarz. – Wie pan co? Wczoraj dzwoniłem do pana kolegów z komisariatu w Annecy. Gość, który zajmuje się tą sprawą, był na urlopie. Na urlopie, wyobraża pan sobie? – Stał bez ruchu, wpatrując się w łóżko. – Była przetrzymywana przez najgorszego psychopatę, a wy nadal się śmiejecie, spotykacie ze znajomymi, chodzicie do kina. Potrafię zrozumieć, że wszystko to nie przeszkadzało panu żyć, i osobiście nie mam panu tego za złe.

– Proszę pana, ja...

– Ona jest martwa. W środku. Budzi się z krzykiem w kompletnych ciemnościach. Nie rozumie, dlaczego nie czuje swoich dłoni. Nie potrafi znieść bliskości, dotyku. Nawet nie wiemy, czy nas słyszy. – Był na skraju załamania. Rękawem swetra otarł łzę. – Jej matka od wielu tygodni nie wstaje z łóżka, nafaszerowana środkami przeciwlękowymi, wygląda gorzej niż zombie. Nasze małżeństwo tego nie przetrwa. Jak nasza córka ma teraz dorastać? Niech mi pan powie, co z nią będzie.

Vic popatrzył na Apolline. On także chciałby pogłodzić jej czoło, włosy, ale rozumiał ojca. Tak bardzo go rozumiał.

– Proszę pana, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej...

– Tak, wiem. Ale niech pan stąd wyjdzie. I proszę więcej nie przychodzić.

Vic schylił głowę i odwrócił się na pięcie. Gdy był w progu, usłyszał dochodzący z tyłu głos:

– Ma pan córkę?

Odwrócił się.

– Ma na imię Coralie. Jest prawie w wieku Apolline.

Mężczyzna zacisnął szczękę.

– W takim razie coś takiego powinno kiedyś spotkać pana. Zrozumiałby pan lepiej, co można czuć. Co z tego, że pan tutaj jest i okazuje fałszywe współczucie? Ludzkie cierpienie i tak jest poza pana zasięgiem.

Vic zszedł po stopniach, wpatrując się w przestrzeń. Ojciec Apolline miał rację. Jak zrozumieć coś, czego się samemu nie doświadcza? Tak bardzo tęsknił za Coralie, wariował od tego, ale ona przecież żyła. Jak więc wyobrazić sobie ból tych, którzy wszystko stracili?

Obawiał się powrotu do zatęchłego hotelowego pokoju. Ale też nie wyobrażał sobie, że miałyby się teraz snuć po mieście. Wrócić do roboty? Pewnie ostatecznie tak zrobi. Gdy prawie był już na zewnątrz, zobaczył tablicę z napisem: ODDZIAŁ POŁOŻNICZY. Bez namysłu wszedł do środka. Nie był w takim miejscu od czasu narodzin Coralie. W milczeniu obserwował zza szyby noworodki w inkubatorach,

ich drobne różowe rączki. Poczuł chęć, by pogłaskać życie, zobaczyć uśmiechy na twarzach, posłuchać płaczu dzieci.

Widział szczęśliwe pary, spanikowanych ojców, uważne matki. Oddziały położnicze to z pewnością jedne z najpiękniejszych miejsc na Ziemi, wielka podróż w krainę szczęścia. Usiadł na krześle, zamknął oczy i sekunda po sekundzie przypominał sobie narodziny córki. Widział siebie, umierającego ze strachu w niebieskim kombinezonie, i Nathalie, która – zapłakana – ścisnęła jego rękę; okulary w rogowej oprawie na nosie położnika i piegi na twarzy akuszerki, przesuwane wskazówki i tykanie zegara, które mógłby odtworzyć ze szczęgotami. Ależ był szczęśliwy! I to szczęście było tutaj, w jego głowie.

Przez dziesięć minut przebywał tam, na porodówce, z uśmiechem na ustach, aż wreszcie zadzwonił telefon i wyrwał go z przeszłości, przenosząc na powrót do świata, który leżał w gruzach. Manzato.

– Altran, dwie rzeczy. Po pierwsze: DNA krwi na stronie książki zostało zidentyfikowane. Kod jest identyczny z tym, który jest w bazie, a to potwierdza na sto procent, że Luc Thomas z lat osiemdziesiątych to Moriarty, którego szukamy. Co to za dziecko płacze?

Vic odszedł kawałek korytarzem.

– A nic, to kobieta za mną, jestem w piekarni. A druga wiadomość?

– Najlepsza: udało się, możemy przesłuchać Jeansoną, ale odbędzie się to w głównym budynku. Przewiezienie na komendę w Lyonie z całą papierologią i środkami bezpieczeństwa zajęłoby dodatkowy tydzień. Będziemy mieli mniej czasu na przesłuchanie, ale możemy działać od razu.

Vic zatrzymał się na górze schodów z ręką na poręczu.

– Czy Jeanson zna powód przesłuchania?

– Nie. Ale na pewno się domyśla, że to ma związek z Delpierre'em. Nie wie, co wiemy ani co się z nim stało, ani co Delpierre mógł nam powiedzieć. To będzie zabawa w kotka i myszkę. Na początku spróbujemy go podpuścić. Pozwolimy mu zdobyć przewagę, żeby myślał, że ma kontrolę. Może opowie nam o Apolline i wyjawia, gdzie ją rzekomo ukrył. I wtedy rozłożymy go na łopatki. Mamy trzy godziny i ani chwili dłużej, żeby wycisnąć z niego wszystko, co wie o Moriartym.

Cisza. Vic zbiegł po stopniach.

– Altran?

– Słucham.

– Uzgodniliśmy z ekipą z Lyonu, że pojedziesz tam z Vadimem. Znasz różne sprawy na wylot, masz z tym czubkiem najlepsze stosunki i trzeba przyznać, że do tej pory byłeś niezły. Jeśli Jeanson coś powie, to właśnie tobie.

Vic poczuł, jak przebiega go dreszcz.

– Dziękuję.

– Nie przesadzaj. Jeśli chodzi o Vadima, to będzie umiał dolać oliwy do ognia w odpowiednim momencie, żeby Jeanson cię za bardzo nie omotał. O siódmej wspólna odprawa z kolegami z Lyonu. O dziesiątej spotykacie się z nim w jednym celu: rozłożyć go na łopatki, przyprzeć do muru, żeby nam wreszcie wyśpiewał, pod jaką tożsamością ukrywa się Moriarty.

Piekło. Ulewa bębniąca o przednią szybę na parkingu sklepu z artykułami budowlanymi trzydzieści pięć kilometrów od Berck. Neony migające na deszczu jak niebieskie i czerwone gwiazdy. Léane, wbita w fotel terenówki, widziała tylko cienie za oknami, rozmazane szare postaci, jak z obrazu Muncha. Wzdrygnęła się, kiedy Jullian otworzył tylne drzwi, żeby położyć na kanapie sprzęt ogrodniczy, który nabył tylko po to, by usprawiedliwić zakup trzech worków palonego wapna. Za wszystko zapłacił gotówką. Przemoczony, usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. W drodze nie wymienili ze sobą ani słowa. Pod kołami samochodu znikwały białe linie, oddalając ich stopniowo od cywilizacji. Blask GPS-u i samochodowych reflektorów, tylne światła przed nimi, zakręty, strach przed kontrolą drogową, przed wypadkiem, przed jakimkolwiek kłopotem, przez który bezpowrotnie wylądowaliby w więzieniu. Bardzo szybko znaleźli się w otoczeniu gęstego lasu.

Jullian skręcił w błotnistą drogę i przejechał dwa kilometry. Zapakowane zwłoki przesuwwały się w bagażniku, na każdym wyboju obijając się o ścianki. Przerazający dźwięk. Léane otworzyła drzwi i zwymiotowała. Mąż położył jej dłoń na ramieniu.

– Niedługo będzie po wszystkim.

Poszukał najbardziej zarośniętego i niedostępnego miejsca. Pięć minut później ustawił samochód w poprzek drogi, by oświetlić ciemny las, obnażone pnie drzew, bezlistne gałęzie. W oddali lśnił staw.

– Mam latarkę. Kiedy zacznę kopać, zgasisz światła. Chwilę to potrwa.

Wysiadł. Léane zobaczyła, jak jej mąż ciągnie za sobą między drzewami niebieską plandekę. Opadł na kolana i zaczął obmacywać grunt, z pewnością w poszukiwaniu najlepszego miejsca blisko wody, podłoża bez kamieni i korzeni. Na zewnątrz włożył żółty wędkarski kombinezon i kalosze, naciągnął na głowę kaptur, wytaszczył palone wapno i dał jej znak. Léane zgasiła reflektory i ogarnęły

ich ciemności, widziała tylko blask latarki leżącej na ściółce i ruchliwy cień męża, który obszernymi machnięciami łopaty rozkopywał ziemię. Aby na to nie patrzeć, zamknęła oczy, ale pod powiekami widziała jedynie wrzeszczące trupy. Obraz tonącego Jacques'a Morgana nie przestawał jej dręczyć. Widziała, jak jej teść z szeroko otwartymi ustami zanurza się w morskich odmętach. Co go pchnęło do tak desperackiego czynu? Co mu przyszło do głowy, że postanowił ze sobą skończyć?

Dwudziesta trzecia. Niekończąca się męka, on cały w błocie, z twarzą wykrzywioną od bólu i zmęczenia, deszcz, który utrudnia robotę, ona obserwująca go, zanurzona w ciemnościach tak jak on w ziemi, przeżywająca koszmary rodem z własnych książek, i wszystkie te śmierci dookoła, ponury korowód udreńczonych twarzy. Jak pokonać taki mrok? Jak mieć nadzieję, że z tego wyjdą? Pomyślała o Moriartym – człowieku, który wszystko zniszczył, którego twarz miała niedługo poznać w Étretat, wreszcie, jakby chodziło o epilog jakiejś przeklętej książki. Zakończenie mogło być tylko tragiczne. Dla niej, dla niego. Koniec opowieści.

W kieszeni zabrzączał jej telefon. Esemes.

Dobry wieczór, Léane, tu doktor Grzeskowiak ze szpitala w Berck. Proszę wybaczyć, że piszę o tak późnej porze, ale długo dziś rozmawiałem z logopedą, który zgłosił mi, że Jullian nie przyszedł na wizytę ani wczoraj, ani dziś. Po tej rozmowie dokładnie przestudiowałem jego dokumentację. Coś nie daje mi spokoju w związku z jego pamięcią. Chciałbym o tym z panią porozmawiać osobiście, nie przez telefon. Czy mogłaby pani jutro wpaść do szpitala sama? Proszę nic nie mówić Jullianowi.

Gdy jej mąż otworzył bagażnik, by schować łopate, puste worki i plandekę, Léane krzyknęła. Była na skraju załamania nerwowego. Szybkim ruchem skasowała wiadomość. Jullian zdjął z siebie uwalany błotem strój i wepchnął go do torby. Opadł na fotel, chwytając się za czoło zakrwawionymi dłońmi. Z jego ciała buchała para jak ze starego kotła.

– To był horror. Ale pochowałem go głęboko. – Zrobił głęboki wdech i zebrał się w sobie. – No dobra. Deszcz wygładzi teren, za kilka godzin nie będzie widać, że ziemia została przekopana. Nikt tu nigdy nie przyjdzie. Pozbędziemy się łopaty, plandeki i worków na jakimś wysypisku i wrócimy do domu. Umyję dokładnie samochód, a jutro, kiedy tylko morze się cofnie, wrócę do fortu, żeby tam posprzątać.

Ujął jej twarz w dłonie. Palce miał zimne jak trup.

– Już po wszystkim. Giordano nie istnieje. Drań gnije w piekle pod kilogramami ziemi.

– Powiedz, że on nie żył, kiedy przyjechałeś do fortu. Że go nie zabiłeś.

– Léane, zabiłem go w chwili, gdy go zamknąłem w forcie. Wiesz o tym.

Poczuł jej niepewność. Wyjął z kieszeni zdjęcie i włożył je jej do ręki. Atrament na twarzy Sary się rozmazał, ale napis był wciąż czytelny: „Daj mi siłę, żebym nigdy nie zapomniał o tym, co on zrobił”.

– Może straciłem pamięć, ale nie straciłem siły. Wszystko, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dla naszej córki, wbij to sobie do głowy. Jesteśmy razem, okej? Aż do końca.

Skineła głową.

– Aż do końca.

Włączył silnik i ruszył.

– Nie zabiłem go.

Za każdym razem, gdy tylko mógł, gładził ją po twarzy. A ona się zastanawiała, co powie jej lekarz na temat jego pamięci.

Vic zrobił głęboki wdech i pchnął drzwi. Vadim szedł za nim. Vic nie patrzył. Podróżnikowi w oczy od pierwszego czerwca dwa tysiące szesnastego roku. Pomieszczenie było wyposażone w kilka kamer i mikrofonów, wszystkie na widoku. W rogach stało dwóch strażników, którzy przyprowadzili więźnia. Wyszli.

Andy Jeanson był skuty kajdankami, ale ręce miał z przodu. Kajdanki przytwierdzono łańcuchem do stalowego pierścienia zamocowanego w stole. Był chudszy niż poprzednim razem, a rysy jeszcze mu się wyostrzyły. Jego kości policzkowe wyglądały jak wyciosane w krzemieniu, a skóra, szara jak kraty w celi, przylegała mu do kości. Zrobił sobie tatuaż imitujący naszyjnik z nawleczonymi gwiazdkami. Spojrzał na Vica z pogardliwą miną.

– Kiepsko wyglądasz, psie. Co jest? Jakies śledztwo tak bardzo cię drenuje? Nad czym teraz pracujesz? Może to jest dla ciebie po prostu za ciężkie?

Vic usiadł na krześle naprzeciw niego. Położył obok siebie beżową teczkę, która na chwilę przyciągnęła uwagę Jeansona. Skupił się i przemówił mocnym, zdecydowanym głosem.

– Na pewno nie życzy pan sobie obecności adwokata? Wszystko, co pan powie, zostanie...

– Pssst... A czemu miałoby to służyć? Możesz mi mówić na ty, przecież wiesz. Dobrze się znamy.

Ubrany w pomarańczowy więzienny strój mężczyzna, rozluźniony, kołysał się na krześle. Łańcuch był na tyle długi, że pozwalał mu na pewną swobodę ruchu. Pokręcił głową i rozejrzał się dookoła. Nie śpieszyło mu się. Vadim stał oparty o ścianę, z zaplecionymi ramionami.

– I jak tam z meczem Kasparow–Topałow z dziewięćdziesiątego dziewiątego? Posunąłeś się naprzód? Wyobrażam sobie, jak siedzisz przed szachownicą i szukasz klucza, który pozwoli ci wejść do mojej głowy. Ale okazuje się, że nie

jesteś w stanie. – Pstryknął palcami. – Jesteście powierzchowni, nie potraficie otworzyć oczu ani zajrzeć głębiej, za pozorną złożoność prostych równań. Odpowiedzi od początku leżą przed wami na stole. Wystarczy, że wyciągniecie rękę i się obsłużycie.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o nas. Przychodzi panu do głowy, jaki był powód, dla którego na chwilę wyciągnęli pana z nory?

Mierzyli się wzrokiem. Jeanson złączył palce i ułożył dłonie w piramidkę.

– A skąd mam wiedzieć? Przebywam zamknięty w czterech ścianach, bez kontaktu ze światem. – Zerknął w stronę kamery po prawej. – Gdzie oni są? Siedzą w ciepłku przy monitorach? Widzą nas i słyszą?

– Kto?

– Przecież wiesz. Rodzice małej Sary Morgan. Może uznaliście, że już pora, żebym podał lokalizację? Że wystarczy mnie tutaj wezwać, żebym grzecznie wskazał wam miejsce, w którym ją pochowałem?

– Tak, mamy taką nadzieję. Może przyniosłoby to ulgę pańskiemu sumieniu.

Więzień oblizał wargi.

– Niestety obawiam się, że trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Ale mogę sprawić, że wasz przyjazd tutaj nie będzie daremny.

Policjanci pozwolili mu się wygadać i zabawiać jak wąż ze swoją ofiarą. Jak zawsze było o wszystkim: o torturach, które zadawał, o krzykach, o zamykaniu dziewczyn w kamperze, o tym, jak grzebał zwłoki. Jeanson lubił mówić, nurzał się w świecie kłamstw i fantazji, a Vic się z tego cieszył. Oznaczało to, że szok, jaki wyrze na nim swoimi rewelacjami, będzie tym większy.

– Ale małej Sary nie ma w dzisiejszym menu. Bo to ja ustalam jadłospis, nie wy. Postanowiłem, że dzisiejszym daniem dnia będzie Apolline Rina.

Vadim zrobił taką minę, jakby on także złapał się w sieci Podróżnika.

– O kim ty mówisz?

– Zdziwko cię strzeliło, co, Mickey? Apolline, ślepe dziewczę. Wygląda na to, że wam umknęła.

Rozkoszował się ich zaskoczonymi spojrzeniami.

– Ponieważ nigdzie nam się nie śpieszy, napiłbym się kawy.

Vadim oparł pięści o stół.

– Pierdol się! Nie jesteś w barze.

Jeanson uśmiechnął się żarłocznie.

– Kiedy nie wysyłam włosów, sprawy się komplikują, he? Nagle nic nie rozumiecie. Zastanawiacie się, co ja opowiadam. Apolline, Apolline. Taka urocza młoda kobieta. Gdybyście wiedzieli.

Znowu się rozgadał i zadowolony z siebie przytaczał nieistniejące wspomnienia. Patrząc w kamerę, przemawiał do Morganów. Wskazał palcem na

swoją szyję.

– Dziewięć gwiazdek. Jedna na każdą ofiarę. Wasza Sarah ma specjalne miejsce, tutaj, na jabłku Adama. Ona podobała mi się najbardziej. Tak lubiłem ją bzykać.

W Vadimie wrzało. Wymienili z Vikiem porozumiewawcze spojrzenia. Wystarczy, Jeanson dojrzał, jego ego rozděło się do oporu, najwyższy czas przejść do ofensywy.

– Myślę, że będziesz musiał zdjąć te gwiazdki, a nie będzie to łatwe tam, gdzie spędzisz resztę życia. Może ostrzem maszynki do golenia? Na pewno znajdziesz kogoś, kto się tym zajmie. Ale uważaj, żeby nie podcięli ci gardła.

Vic otworzył teczkę – on również się nie śpieszył – i podsunął Podróżnikowi pod nos jakieś zdjęcie. Schronisko. Jeanson zmarszczył brwi.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Nie rozpoznajesz? Opuszczone schronisko niedaleko potoku Grande Valloire w La Ferrière. Przecież to tam zamknęłaś Apolline Rinę, nie?

Vadim zaczął z demonstracyjnym ociąganiem krążyć wokół Jeansona, podczas gdy Vic położył przed nim kolejną fotografię. Apolline Rina na szpitalnym łóżku. Skadrował tak, żeby nie było widać opatrunków na rękach.

– Niedawno znaleźliśmy ją tam żywą. Jest w szpitalu, ale za parę dni wróci do normalnego życia u boku tych, którzy ją kochają.

Twarz porywacza wykrzywił grymas. Zacisnął palce na zdjęciach, zmiął je i rzucił Vicowi w twarz.

– Okej, chcesz zgrywać cwaniaka? Nigdy się nie dowiesz, gdzie jest Sarah Morgan – mówił, patrząc w kamerę. – Nigdy się nie dowiecie, co z nią zrobiłem! Walcie się!

Vic wychylił się do niego nad stołem.

– Ale my już wiemy, Jeanson. Wszystko wiemy. Nie zadałeś mi do rozwiązania problemu z „nieśmiertelnej”? Poświęcenie białej wieży na d6. *Misdirection*. Skupiamy uwagę na sobie i poświęcamy się, żeby nie złapali naszych koleżków? To jest dopiero przyjaźń!

Jeanson pożerał go wzrokiem. Żył na jego szyi nabrzmiały. Był zgubiony, Vic to czuł. Porucznik wskazał na kamery.

– Tam są tylko gliny. Rodziców Sary Morgan nie ma, bo wiedzą, co się stało z ich córką. Po czterech długich latach. Nie ukrywam, to trudne, ale wreszcie mogą przejść żałobę.

Vadim podszedł do niego od lewej strony.

– Nie zabiłeś ani jednej z tych dziewczyn, byłeś tylko parobkiem od porwań. Wystarczyło ci wskazywanie nam miejsc, w których twój kumpel Delpierre grzebał zwłoki.

Vadim skinął głową na Vica, który przesunął na środek stołu kopie listów, i zbliżył twarz do twarzy więźnia na odległość dziesięciu centymetrów.

– Ależ tak, wiemy o wiadomościach, które Delpierre przekazywał ci ukryte w listach od fanki. Dane GPS, które nam podawałeś. Nieźle sobie z nami pogrywałeś, ale to już koniec.

Jeanson zacisnął dłonie trzymane na blacie. Sapał jak bawół. Vadim nie dał mu ani chwili na zastanowienie.

– Przyłapaliśmy cię. I Delpierre'a. Brakuje nam tylko trzeciego gościa, który wami zarządza. Moriarty'ego. Powiesz nam, kim on jest.

Więzień był zaskoczony. Vic wstał.

– Rozwiązałem problem, podjąłem twoje wyzwanie. Zasłużyłem na to, żeby poznać jego nazwisko. Powiedz, kim on jest, i skończmy z tym.

Twarz kryminalisty wyrażała już tylko nienawiść i wściekłość.

– Ciągłe buksujecie w błocie, wszyscy, ilu was tam jest!

Vadim okrążył stół i pogrzebał w teczce. Przycisnął dłonią do blatu portret pamięciowy Luca Thomasa z czasów dzieciństwa.

– Luc Thomas alias twój kumpel Moriarty, mówi ci to coś? Cała trójka w jednym pokoju w internacie Roches noires. Dość osobliwe lekcje wuefu. Kevin Kerning, który zmuszał ciebie i Delpierre'a do robienia lodu. Kto był pierwszy? Pewnie ty? Zawsze lubiłeś się wyróżniać.

– Kurwa, zamknij się!

– To mamy opowiedzieć mediom? Prawdziwą historię Andy'ego Jeanson, grubaska, który ssał kutasy? Fałszywego seryjnego mordercy, który nigdy nikogo nie zabił? Był tylko niewolnikiem gościa, który w młodości pociął przyrodzenie nauczyciela.

Jeanson wstał i chciał się na niego rzucić, ale powstrzymywał go łańcuch. Vadim nie ruszył się ani o milimetr. Patrzył więźniowi prosto w oczy.

– Mów albo przysięgam, że wszystko opowiem prasie. I zadbamy o to, żeby twoi kumple spod celi dowiedzieli się, że lubisz ssać kuśki. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo możemy uprzykrzyć ci życie. Kim jest Moriarty? Jak wygląda? Gdzie mieszka? Dokąd zawoziłeś porwane dziewczyny? Kto je wykorzystywał i torturował? Ty? Moriarty? Ktoś inny? Masz nam wszystko szczegółowo opowiedzieć. Nazwisko. Podaj nazwisko. Kurwa, rozwiązaliśmy twoje zagadki, jesteś nam to winien.

Andy Jeanson usiadł głęboko na krześle, wyciągając przed siebie dłonie.

– Rozwiązaliście zagadki? Niczego nie rozwiązaliście. Nie odkryliście najważniejszego. Szkoda.

Jego twarz znowu przybrała wyraz wyższości, z tym przyklejonym uśmiechem, na którego widok miało się ochotę go spoliczkować. Vic zachował

spokój.

– Czego nam brakuje? Przed chwilą mówiłeś o równaniach. Co miałeś na myśli?

Przestępca nie odpowiadał. Nie ruszał się. Przez następne pół godziny Vadim prowokował go, potrząsał nim i wrzeszczał na niego – na próżno. Zrozumieli, że to koniec, że Podróżnik wybrał milczenie.

Kiedy wychodzili z pomieszczenia, usłyszeli za plecami jego głos.

– Myślicie, że ruchacie Moriarty'ego, a to on rucha was.

A potem znowu spuścił głowę i zamilkł. Tym razem na dobre.

Giordano nie istnieje, powiedział Jullian. Ale w umyśle Léane nigdy nie był tak bardzo obecny. Rozmyślała o piekle, jakie przeżywał w forcie przez tyle dni, o Roxanne, która już nigdy nie zobaczy ojca, o jego potylicy czerwonej od krwi i o ruchliwej sylwetce męża, gdy zakopywał go w ziemi. Policja nie przestawała go szukać. Być może nazwisko Giordana wypłynie któregoś dnia w związku ze sprawą Moriarty'ego. Możliwe, że za pół roku, rok czy pięć lat postanowią przesłuchać ją i Julliana. Jak żyć z takim mieczem Damoklesa nad głową?

Zaparkowała pod szpitalem. Popielate niebo sprawiało wrażenie wiecznej nocy. Od ilu dni nie wyszło słońce? Wiał silny wiatr. Dobiegła do recepcji. Doktor Grzeskowiak czekał na nią w swoim biurze. Ze ściśniętym żołądkiem weszła na piętro.

Specjalista podał jej rękę, zamknął drzwi i poprosił, żeby usiadła. Zajął miejsce naprzeciwko niej, po drugiej stronie biurka. Przyjrzał się jej uważnie, z zatroskaną miną. Na twarzy Léane odciskało się piętno kolejnej nieprzespanej nocy i gehenny, jaką przechodziła. Wciąż rozbrzmiewały jej w głowie odgłosy łopaty.

– Tak jak pani pisałem, chciałbym z panią porozmawiać na temat Julliana. Nie przychodził na spotkania. Wie pani dlaczego?

– To... To z powodu ojca. Jego zwłoki zostały znalezione od strony Groffliers. Prawdopodobnie nieświadomie wszedł do zatoki, gdy woda wzbierała.

Grzeskowiak cmoknął.

– Naprawdę bardzo mi przykro. Kiedy to się stało?

– Nie wiemy dokładnie. Ciało znaleziono wczoraj rano, ale od Wigilii nie mieliśmy z nim kontaktu.

Lekarz przesunął dokumentację Julliana w jej stronę.

– Może powinniśmy przełożyć to spotkanie na później i...

– Nie, niech pan mówi.

Oparł podbródek na pięściach.

– Jak Jullian przeżywa śmierć ojca?

Wzruszyła ramionami.

– Jak człowiek z amnezją.

Lekarz wyglądał na zakłopotanego. Odchrząknął.

– A przed tą tragedią? Proszę mi powiedzieć, jak wyglądał powrót pani męża do domu. Czy wrócił do swoich zwyczajów? Czy są jakieś automatyzmy, sytuacje, o których sobie przypominał?

Próbując nie myśleć o bagnie, w jakie ona i Jullian wdepnęli, skupiła się na prostych sprawach.

– Wszystko przebiegało raczej dobrze. W domu był rozluźniony, szybko przypominał sobie, gdzie leżą poszczególne przedmioty. Dziś jedne drobne rzeczy do niego wracają, inne nie. Dalej na przykład śpi po złej stronie łóżka, ale przygotowuje dla mnie potrawy, które lubię, albo zajmuje się domem, co zawsze robił. Jeździ też samochodem do Berck. Zgodnie ze swoim zwyczajem siada w fotelu z laptopem na kolanach i prowadzi poszukiwania w sprawie...

– Waszej córki?

Léane skinęła głową.

– To zaczyna dominować, jego obsesje są trwałe.

– A wspomnienia związane z panią?

– W porządku.

Zrozumiał, że Léane nie ma ochoty zagłębiać się w temat, i nie nalegał.

– A koledzy, praca?

– Jeszcze o tym nie mówi. Wie pan, przed tym napadem Jullian był... w kiepskim stanie. Nie jestem pewna, czy w pracy i z kolegami dobrze mu się układało. W esemesie pisał mi pan o czymś dziwnym. Co się dzieje?

Położył dłoń płasko na dokumentach.

– Jak pani zapewne wie, odzyskiwanie osobistych wspomnień może być nagłe lub stopniowe, mogą one być bardzo jasne i szczegółowe, a mogą być rozmyte. Niektóre sceny wracają w przebłyskach w chwili przebudzenia, przeglądania zdjęć czy dotykania przedmiotów. Musi pani wiedzieć, że te ostatnie metody były w przypadku Julliana szczególnie skuteczne.

Otworzył teczkę i podsunął Léane pakietek odbitek.

– Może je pani zabrać, należą do pani. Dzięki tym zdjęciom przypominał sobie dokładnie niektóre sceny z przeszłości. Miejsca, sytuacje, zapachy. Codziennie robił duże postępy. Czy może pani na nie zerknąć?

Léane nie wiedziała, do czego lekarz zmierza, ale wykonała polecenie. Przyglądała się po kolei każdemu zdjęciu i za każdym razem ścisnęło jej się serce.

Plasterki życia, szczęścia, powracające wspomnienia, które sprawiały jej ból. Byli tacy młodzi, tacy szczęśliwi. Nagle się wzdrygnęła. Między dwoma obrazami z wakacji znalazła fotografię ukazującą starą alfę romeo zaparkowaną w jakiejś uliczce Pizy z wieżą w tle. Przyglądała się jej dłuższą chwilę.

– Jakiś problem?

– To zdjęcie kompletnie nic mi nie mówi.

– Jest pani pewna?

– Tak, tak. Byliśmy we Włoszech, ale nie w Pizie. Nigdy nie mieliśmy takiego auta. Jestem zaskoczona.

– A Jullian na nie zareagował. Miał w związku z nim dość konkretne wspomnienia. Nie pamiętał kiedy, ale był pewien, że był tam z panią. Mówił, że było gorąco, głośno, opowiadał nawet, że weszliście na wieżę.

Léane pokręciła głową.

– Nie rozumiem... Ja nic nie pamiętam.

Lekarz zabrał lśniąca fotografię.

– Nic dziwnego. To nie jest wasze zdjęcie. To jedna z naszych odbitek, których używamy do testów.

Léane czuła się zdezorientowana.

– Co to znaczy?

– Proszę pani, pamięć jest bardzo złożonym zjawiskiem i czasem może nas oszukiwać, tworząc fałszywe wspomnienia. Nie znosi pustych miejsc i kiedy trzeba, wypełnia je własnymi wytworami. Włożyliśmy ten obraz między dwa prawdziwe zdjęcia z waszych wakacji. Chodziło o to, żeby się dowiedzieć, czy u Julliana mamy do czynienia z faktycznym „fałszywym wspomnieniem”, czy też pani mąż nas okłamuje, żeby sprawić nam przyjemność i udowodnić, że robi szybkie postępy, podczas gdy tak naprawdę coś symuluje.

Léane wbiła się w krzesło, czuła, że najgorsze dopiero nadejdzie.

– Badamy jego pamięć od prawie dziesięciu dni. To delikatny, ruchomy, podatny na zniekształcenia obszar, wspomnienia pojawiają się tylko w głowie pacjenta i zadanie odróżnienia prawdy od fałszu po to, by ocenić głębię amnezji, nie jest łatwe. Wykonaliśmy baterię pogłębionych badań, mianowicie zadawaliśmy mu pytania, prosiliśmy o wykonywanie pewnych ruchów, które wymagały innych rodzajów pamięci, wszystko w celu sprawdzenia spójności jego odpowiedzi. Na przykład kiedy badamy ludzi, pytamy o tę samą sprawę na kilka sposobów. Potem nakładamy na siebie odpowiedzi, dokładnie tak, jak robi się to na policji. Zadajemy pytanie związane z jakimiś wspomnieniami w jeden sposób, a potem nawiązujemy do nich inaczej.

Wyjął z teczki jakieś kartki.

– Jullian prawie we wszystkich testach miał wyniki powyżej normy, przez co jego amnezja jest trochę zbyt piękna, zbyt karykaturalna, mówiąc inaczej. Podam pani przykład z testu na rozpoznawanie, w którym trzeba wskazać jedną z dwóch odpowiedzi.

Przesunął wyniki w stronę Léane.

– U człowieka dotkniętego amnezją średnia właściwych odpowiedzi to połowa. Jullian wytypował prawidłowo jedynie piętnaście procent.

Léane pośpiesznie przeglądała testy. Słowa, które należało zapamiętać i które mieszano z innymi. Ćwiczenia na przypomnienie. Odłożyła kartki.

– Co to znaczy?

– Że często wybierał niewłaściwą odpowiedź. Że być może wyolbrzymiał swoją amnezję.

– Czy pan mi próbuje powiedzieć, że mój mąż symulował?

Odpowiedź Grzeskowiaka była spokojna i ostrożna.

– Takie wyniki są, generalnie rzecz ujmując, charakterystyczne dla pacjentów, którzy nie mają amnezji, ale chcą, by inni myśleli, że ją mają.

Léane poczuła się, jakby dostała pięścią w twarz.

– To... To niemożliwe.

– Chwileczkę, nie mówię, że tak jest, to tylko hipoteza. Nawet jeśli na zdjęciach z tomografu nie widać żadnych wylewów, na tym etapie niestety nie możemy mieć pewności, badanie pamięci nie jest nauką ścisłą. Zdarza się, że pacjenci podkreślają swoją amnezję w dobrej wierze, by uzyskać korzyści zdrowotne, prawne czy finansowe. Jeżeli się nie mylę, Jullian nie ma żadnych powodów, by symulować. Nie ma przecież długów ani problemów z prawem.

– On nie udaje. Na wieść o śmierci ojca nic nie poczuł, to znaczy poczuł wyłącznie okolicznościowy smutek. A uwielbiał go. Wasze testy nie są wiarygodne.

Lekarz nie próbował oponować.

– To możliwe, ale chciałem, żeby pani wiedziała. Kiedy Jullian upora się ze wszystkim, co należy zrobić w sprawie ojca, będziemy kontynuować sesje i zobaczymy, co z tego wyniknie. Czy przypilnuje pani, żeby tu przychodził? To ważne. I proszę mu nie wspominać o naszym spotkaniu, żeby nie zafałszować wyników badań. Może pani to zrobić?

– Postaram się.

Wstał i odprowadził ją do wyjścia.

– Jeżeli istnieje ktoś, kto potrafi odróżnić prawdę od fałszu, to tym kimś jest pani, Léane. Żyje pani z nim od dawna. Niech pani spróbuje sprawdzać jego pamięć, wyłapywać niespójności. Tylko pani jest w stanie ocenić autentyczność jego wspomnień. A także amnezji – powiedział i ucisnął jej dłoń.

Wróciła do samochodu. Siedziała bez ruchu, zamyślona. Jasne, Jullian czuł się w domu swobodnie, wrócił do charakterystycznych zachowań, do niektórych drobnych przyzwyczajzeń, ale jak można było twierdzić, że symuluje? Miałby udawać, że jej nie pamięta, że zapomniał o zaginięciu córki, o Giordanie? Po co? Pamiętała, jak na nią spojrział pierwszego dnia po przebudzeniu: nie rozpoznał jej. Przypomniła sobie, jak zareagował na wieść o zatonięciu ojca. Kochał Jacques'a. Jeżeli symuluje amnezję, jak mógł się okazać tak nieczuły? Jak mógł nie wybuchnąć płaczem, kiedy policjanci poinformowali ich o śmierci Sary?

Pełna wątpliwości uruchomiła silnik. Przypomniła sobie, jak Jullian przydepnął w forcie stopę Giordana. Skąd ta nagła, tak niespójna z jego stanem reakcja? Czyżby miał jakiś przebłysk wspomnień? Poczowała ucisk w klatce piersiowej, gdy przypomniła sobie słowa tamtego gościa o twarzy granika: Jullian zapłacił mu za uderzenie kijem bejsbolowym w głowę. Ale skąd mógł wiedzieć, że to na pewno spowoduje amnezję? Czegoś takiego nie da się przewidzieć.

Léane miała coraz większe wątpliwości. A co, jeśli jej mąż zaplanował napad właśnie po to, by móc symulować amnezję?

Vic i Vadim w milczeniu weszli na piętro domu Jeanson. W budynku panował lodowaty chłód, schody skrzypiały, kurz, który osiadł na poręczach i meblach, nadawał mu wygląd opuszczonego. Vadim znowu się wściekał, bo nie rozumiał, co tutaj robi.

Znaleźli się w sypialni Podróżnika – pokoju szaleńca. Ściany pokrywały wzory matematyczne, stłoczone, nachodzące na siebie, rozciągnięte jak długie, niezrozumiałe wstęgi atramentu. Jeanson wytapetował wszystko na biało, by móc pisać, rysować czarne łabędzie, figury szachowe, ponumerowane pola, pokryć niestrawną materią swojego umysłu każdy centymetr kwadratowy pokoju z sufitem włącznie. I wszędzie cyfra dwa, powtarzająca się w nieskończoność – w sumach, iloczynach, kwadratach, pokręconych równaniach. Vadim, zdezorientowany, obrócił się wokół własnej osi.

– No dobra, kurwa, może mi to wyjaśnisz? Nic nie rozumiem z tych idiotyzmów. Goście, którzy znają się na tym o wiele lepiej od nas, wszystko już przeanalizowali i stwierdzili, że Jeanson nie ukrył tu informacji o swoich ofiarach. Nic tutaj nie ma. A więc po co przyszliśmy?

Vic podszedł do spirali, do najważniejszych cyfr z setkami, tysiącami miejsc po przecinku: pi, pierwiastek kwadratowy z dwóch, złota liczba. Przykucnął i wstał, czujny.

– Jeanson powiedział, że odpowiedzi od samego początku mieliśmy pod nosem. Że nie potrafimy spojrzeć głębiej, pod pozorną złożoność prostych równań. A co mamy w tym pokoju?

– Równania. Ale one nie są proste. Nic z nich nie kumam.

Vic przesunął dłonią po zapiskach, zaczął obmacywać tapetę. Znalazł końcówkę pasa papieru i szybko pociągnął. Vadim zmarszczył brwi.

– Co robisz? Cholera, Vic, chyba nie będziemy...

– Pomóż mi.

Vadim przystąpił do roboty. Ostatecznie poczuł dziką przyjemność w rozszarpywaniu szaleństwa Jeansona, w zrywaniu szerokich pasów, które z łoskotem lądowały w jego dłoniach. Ryknął z rozkoszy.

– O, jak miło... Pierdol się, czubku! – wrzeszczał, sam w swoim kącie.

Niestety pod tapetą nie było nic poza betonem. Vic przestał zrywać – robota była za długa i nużąca – i przyłożył dłonie do papieru w poszukiwaniu jakiegoś defektu, jakiejś wypukłości.

Jego wytrwałość się opłacała: po półgodzinie trafił. Mniej więcej na wysokości jednego metra, w miejscu, w którym widniała zapisana wielkimi cyframi liczba „44” – w tylu ruchach zamknęła się „nieśmiertelna” Kasparowa. Tapeta była tam lekko odklejona, a pod spodem słychać było głuchy dźwięk. Pociągnął i jego oczom ukazał się otwór w betonie, szeroki na dziesięć centymetrów. Vadim podbiegł do niego.

Vic włożył dłoń do środka i wyjął przezroczystą torebkę z kluczami. Na oczach kolegi rozsypał je na łóżku i zmarszczył brwi. Klucze, pozbawione numerów seryjnych, były w jednym kolorze, ale miały różne kształty. Vadim przyjrzał im się z uwagą.

– Dziewięć. Myślisz, że to klucze od domów ofiar?

– Bardzo możliwe.

– Kurwa, jak on je zdobył?

Vic pogrzebał głębiej w skrytce. Jego palce trafiły na gładki plastikowy przedmiot.

Pamięć USB.

Krótko przed szesnastą, komenda. Mężczyźni byli spięci, na ich twarzach malowało się skupienie. Czyżby Jeanson świadomie podał im wskazówkę, dzięki której trafili na schowek? Czy może pogarda i rozdęte ego doprowadziły go do popełnienia błędu?

Vic, który był w biurze z Manzatem i Vadimem, wetknął do swojego komputera kopię pamięci USB: na ekranie wyświetliła się jej zawartość. Ich oczom ukazała się lista katalogów nazwanych imionami. Amandine, Justine, Fabienne, Sarah... Było ich dziewięć. Dziewięć żeńskich imion, jak dziewięć kluczy. Vic westchnął i pomasaował sobie skronie.

– Katalogi noszą imiona dziewięciu zaginionych dziewcząt porwanych przez Jeansona i pogrzebanych kilka miesięcy później przez Delpierre’a.

Vic kliknął na folder zatytułowany „Sarah” i otworzyła się galeria zdjęć. Musiały zostać zrobione we wnętrzu niewielkiego domu albo mieszkania. Na każdym widać było Sarę Morgan, to z bliska, to z większej odległości, w różnych pomieszczeniach. Jasnowłosa, piękna, w lekkiej garderobie – letniej sukience, kostiumie kąpielowym – albo naga pod prysznicem. Vic stwierdził, że dziewczyna ma na tych zdjęciach najwyżej siedemnaście lat. Na pewno zostały zrobione przed jej zaginięciem. Vadim wskazał na dół ekranu.

– Są też filmiki.

Rzeczywiście, pod zdjęciami znajdowały się ikonki plików wideo. Vic kliknął w jedną z nich. Pojawiło się migające oko.

– Takie oko pokazuje się w darknecie, a kiedy się na nie kliknie, pojawia się żądanie hasła.

Oko zniknęło i rozległa się nastrojowa muzyka. Ktoś sfilmował Sarę leżącą nago na łóżku. Doskonałe ciało. Dotykała waginy, pieściła piersi. Długa scena masturbacji, która wprawiła mężczyzn w zakłopotanie. Vadim zachował skupienie.

– To jest nakręcone z góry, w jednym ujęciu. Jakby z ukrytej kamery.

Vic przeszedł do kolejnych filmików. Widać na nich było Sarę pod prysznicem albo w salonie. Nigdy, ani na nagraniach wideo, ani na zdjęciach, nie patrzyła w obiektyw. Filmowano ją bez jej świadomości.

– Możliwe, że kamerki były wmontowane w ścianę, ukryte za elementami wyposażenia. Dziś każdy może kupić kamery o wysokiej rozdzielczości, rozmiarów główki gwoździa.

Vic przyjrzał się meblom, wystrojowi pomieszczeń. Sarah nie była u siebie, w willi w Berck. Wnętrze było przyjemne, gustowne, przytulne. W żadnym ujęciu nie było okna, widoku na zewnątrz, które pozwalałyby zidentyfikować miejsce, gdzie nakręcono filmiki. W mieście, na wsi, w górach?

– Zauważyliście, jak to jest zmontowane? – zauważył Vadim. – Ujęcia, tęskna muzyka. Ktoś się naprawdę postarał, żeby... podkreślić urodę dziewczyny. Żeby wszystko było jak najbardziej podniecające.

Vic nie rozumiał. Kto nakręcił te filmiki? Moriarty? Jeanson? Delpierre? W jakim celu? Pomyślał o luksusowej willi w Chapelle-en-Vercors, do której trafiały niektóre z tych dziewcząt. Widok na góry, jacuzzi, lampka szampana. Kto korzystał z tego miejsca i z tych ofiar? Czy w proceder mogły być zamieszane inne osoby? Czy istnieją jeszcze inne powiązania? Policjant był wściekły, miał wrażenie, że ucieka mu samo sedno sprawy.

Manzato oparł pięści na biurku.

– Zmień folder.

Vic kliknął w inne imię – „Pauline”. Pauline Perlot, piąta z porwanych dziewcząt. Taka sama prezentacja. Zdjęcia lub filmiki ofiary zrobione w sytuacjach intymnych, bez jej wiedzy. Podniecająca muzyka. To samo wewnątrz co w przypadku Sary.

Kolejny folder. Justine – młoda, o szczerym uśmiechu, pełna życia. Również sfilmowana w różnych sytuacjach i ciągle w tym samym miejscu. Raz w ubraniu, innym razem naga. W przeciwieństwie do Sary – ciemnowłosa.

Mężczyźni przejrzeni pozostałe zdjęcia i filmiki. Vic dotknął ekranu palcem wskazującym.

– Miejsce wszędzie jest identyczne. Dziewczyny, które nie mają ze sobą nic wspólnego, które się nie znają, zostają po kryjomu sfilmowane w tym samym wnętrzu. Naszpikowanym miniaturowymi kamerami. Liczba odpowiedzi jest ograniczona.

– Mieszkanie na wynajem?

– Tak sądzę. Mieszkanie na wynajem wyposażone w ukryte kamery.

Policjant podniósł słuchawkę i wybrał jakiś numer. Osoba po drugiej stronie odebrała po trzech dzwonekach.

– Léane Morgan? Tu Vic Altran, policja z Grenoble. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Słyszał świst wiatru, krzyki ptaków. Prawdopodobnie Léane Morgan była nad brzegiem morza.

– Potrzebowałbym pewnej informacji, proszę sięgnąć do swojej pamięci. Czy państwo albo wasza córka mieszkaliście w apartamencie albo domku, a może go wynajmowaliście przed jej zaginięciem? Latem. Czerwony narożnik, prysznic w stylu włoskim, kolorowe postarzane meble. Jeśli sobie pani życzy, mogę przesłać zdjęcia tego miejsca.

– Nie pamiętam już, jakie tam były meble, ale tak, wynajmowaliśmy przez kilka dni mieszkanie w Annecy. To były nasze ostatnie wakacje we troje.

Vic włączył tryb głośnomówiący.

– Czy może mi pani podać namiary? Adres? Nazwisko właściciela?

– Znaleźliście coś?

– Możliwe. Ale wolałbym sprawdzić, zanim powiem pani coś więcej.

– Wynajmowaliśmy za pośrednictwem systemu rezerwacji online, LocHolidays.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Korzystaliśmy z tego serwisu dwa, najwyżej trzy razy, miałam konto. Nawet nie wiem, czy jeszcze działa. Musiałabym się połączyć, ale... Nie jestem teraz u siebie. Najlepiej powiem panu, jaka jest nazwa użytkownika i hasło, niech pan sprawdzi sam. Ufam panu.

Podawała mu namiary. Vic podziękował, rozłączył się i pośpiesznie zaczął stukać w klawiaturę. Zalogował się na wspomnianej stronie danymi Léane.

– Działa.

Wszedł w zakładkę z rezerwacjami.

– Mieszkanie jest tutaj.

Wskazał na punkt niedaleko jeziora Annecy. Kliknął, by uzyskać więcej szczegółów. Ogłoszenie o wynajmie zniknęło już z sieci, ale zdjęcia z opisu wciąż były dostępne. Czerwona sofa, kolorowe meble. Morganowie wynajmowali to mieszkanie na sześć miesięcy przed porwaniem.

– To z pewnością tutaj Moriarty przeprowadza selekcję ofiar. Ma mieszkanie, które oferuje na wynajem. Ono jest jak sieć. Filmuje ofiary, które go interesują. Dysponuje wszystkimi informacjami na ich temat. Ma ich adresy, zdjęcia. Pod ich nieobecność może wchodzić do ich domów, robić kopie papierów, kluczy. Bułka z masłem. Następnie przekazuje to wszystko Jeansenowi, który kilka miesięcy później zajmuje się porwaniem. Musi upłynąć trochę czasu, żeby policja nie skojarzyła faktów.

– Pokaż mi nazwisko tego drania.

Vic kliknął w link. Wyświetliło się zdjęcie, jedno z tych, które już widzieli na fałszywym koncie Pierre'a Moulina: blondyn o promiennym uśmiechu, w nienagannie czystej koszuli. To samo ujęcie. Vadim był pełen entuzjazmu.

– Nawet jeśli zdjęcie jest fałszywe, to jest on. To on!

Pod zdjęciem znajdowały się informacje, których autentyczność została potwierdzona przez właściciela serwisu. Prawdopodobnie jako wynajmujący Moriarty musiał dostarczyć prawdziwe papiery i dane konta bankowego.

Już nie PM, nie Moriarty, nie Doktor Watson. Nie dało się już ukryć za pseudonimami. Niewidzialny mężczyzna, którego szukali, najważniejsze ogniwo łańcucha śmierci, dawny Luc Thomas nazywał się teraz David Jorlain.

Léane stała twarzą do morza, w zatoce, którą tak kochała. Sama, w ciepłej kurtce, wpatrywała się w horyzont. Nad powierzchnią wody latały nisko mewy o dużych żółtych dziobach i bekasy, łowiące małe szare krewetki albo maleńkie rybki uwięzione w kałużach. Fruwały wte i wewte, pikując na widok najdrobniejszego ruchu. Kiedy skończą swój wspaniały taniec, odpoczną w ukryciu przed drapieżnikami. A potem znowu zaczną, i jeszcze raz, i kolejny. Odwieczna walka o przetrwanie.

Spojrzała w lewo, na południe. Dwa kilometry dalej czekało na nią Étretat z tamtejszymi klifami. Jutro wieczorem. Po prawej, na północy, w odległości godziny jazdy samochodem, fort Ambleteuse. Jullian na pewno już tam dojechał. Miał wysprzątać i opróżnić pomieszczenie, w którym Giordano był więziony i w którym wydał ostatnie tchnienie. Jakby trzy krople wybielacza wystarczyły, by zmasać ich okrutne czyny.

Léane miała ściśnięte gardło. Nie potrafiła zapomnieć słów lekarza. A jednak jako żona swojego męża była przekonana, że Jullian nie symuluje. Przeprowadziła jeden test wczesnym popołudniem. Jullian od zawsze nie znosił, gdy ktoś zostawiał otwarty kosz na śmieci; ilekroć tak się stało, wracał, by go zamknąć. A tym razem nie zareagował. Od dnia powrotu do domu spał po niewłaściwej stronie łóżka. Nie dał się przyłapać na znajomości nazwisk i nazw miejsc, o których wspomniała ot tak. Kiedy pokazywała mu zdjęcia jego matki, ojca i jego samego z czasów, gdy był małym chłopcem i siedział im na kolanach, jego oczy pozostały bez wyrazu.

Nie mogła się jednak powstrzymać i ciągle wracała do tego napadu, który prawie skończył się dla niego śmiercią. Te wszystkie przygotowania, jakie przed nim poczynił, te fałszywe tropy. Trawiły ją wątpliwości, ale nie miała wystarczająco jasnego umysłu, by się w tym rozeznąć.

Zadzwonił telefon. Policjant z Grenoble. Odpowiedziała na jego pytania, podała mu dane logowania do swojego konta na LocHolidays i się rozłączyła. Wyglądało na to, że kryminalni posuwają się do przodu. Może to właśnie oni w końcu dojdą do prawdy?

Odwróciła zmarzniętą twarz w stronę Natchnienia. Przez swój kształt, światła i duże szyby willa przypominała statek na piaskowej fali. Na takiej scenie rozgrywała się akcja najstraszniejszego thrillera. Gdyby ktoś opisał przeżycia Léane z ostatnich tygodni, z pewnością stworzyłby historię roku.

Ale ta historia potrzebowała jeszcze zakończenia. Rozwiązania. A ona nie była w stanie zgadnąć, jak skończy się spotkanie na klifach Étretat. W *Niedokończonym rękopisie* jej bohaterka Judith Moderoi została strącona w przepaść.

Z mroku, który wyjątkowo opieszale opanowywał zatokę, wyłonił się jakiś człowiek. Zbliżał się do niej pośród ciągnącego się bez końca pejzażu dzikiej przyrody. Sylwetka, sposób poruszania się, rudy kosmyk wystający spod czapki i ta ogromna kurtka, w której wyglądał jak ludzik Michelina: Colin. Léane jednym ruchem otarła łzy, które ciekły jej z zimna, i ruszyła mu na spotkanie. Policjant nie wyjął rąk z kieszeni.

– Dzwoniłem do drzwi. A potem zobaczyłem, że chodzisz sama po plaży.

Léane zauważyła torbę z laptopem przewieszoną przez jego ramię.

– Jullian potrzebował się odciąć. Wybrał się na przejażdżkę samochodem wzdłuż wybrzeża. Czuje się zagubiony, nie jest w stanie sobie poradzić z tymi wszystkimi papierami, które powinien wypełnić po śmierci ojca. To, co się teraz dzieje, jest takie ciężkie. Trzeba się postawić na jego miejscu.

– Oczywiście, rozumiem. To wszystko musi być strasznie trudne do ogarnięcia, także dla ciebie. Wiesz może, o której Jullian wróci?

– Nie mam pojęcia. Jest nieosiągalny, nie oddaliście mu jeszcze komórki. Chcesz się z nim spotkać?

– Tak, chciałbym. Mam nowe informacje w związku ze śmiercią Jacques'a.

Ruszyli w kierunku willi. Léane skrzyżowała ręce na piersiach. Miała złe przeczucia. Colin wyglądał na bardziej niż zmartwionego.

– Patolog potwierdził utonięcie. Badania toksykologiczne ujawniły dużą zawartość alkoholu we krwi, co najmniej trzy gramy na litr. To oczywiste, że przy takim poziomie z trudem trzymał się na nogach i na pewno nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie czyhało na niego w zatoce.

– Co za koszmar.

Przeszli w milczeniu jakieś sto metrów.

– Nie powinno mnie tu być, Léane, nie powinienem ci tego wszystkiego opowiadać, bo śledztwo jest w toku. Ale – posłał jej spojrzenie pełne smutku

i rezygnacji – znamy się, mam do ciebie zaufanie. Gdyby było coś, o czym powinienem wiedzieć, powiedziałaś mi?

– Oczywiście. Ale... Co się dzieje?

Colin nie od razu odpowiedział. Co odkrył? Léane czuła pętlę zaciskającą jej się wokół szyi.

– Muszę ci powiedzieć o gościu, który dziś rano przyszedł na komisariat. Bérenger Argoud, ornitolog z Fort-Mahon. Pracuje w parku Marquenterre. Znasz to nazwisko?

– Coś kojarzę.

– Powiedział mi, że znają się dobrze z Jullianem, przede wszystkim za sprawą fok: Argoud od lat je spisuje i bada ich trasy w zatoce Authie. Jakiś czas temu razem bronili kolonii i weszli w spór z rybakami.

– Tak, przypominam sobie.

– Argoud szczególnie się interesował wielkimi pływami, chciał się dowiedzieć, w jaki sposób oddziałują one na zachowania kolonii. Ujście kanału Grofflier to jego teren, jeden z najlepszych punktów obserwacyjnych kolonii, kiedy nie przebywa ona na plaży w Berck. Za dnia obserwuje je przez lornetkę i robi zdjęcia, ale kiedy zapada zmrok, czyli teraz około siedemnastej, włącza szerokokątną kamerę na podczerwień, odpowiednio schowaną przed ewentualnymi spacerowiczami. Umieszcza ją wysoko, na jednej z sosen na skraju lasu, rośnie na północnym brzegu zatoki. Wiesz gdzie?

Léane skinęła głową. Colin coraz bardziej przywodził jej na myśl pająka, który snuje swoją sieć. Zbliżali się do podnóża wydm.

– Argoud dopiero wczoraj, bardzo późno, oglądał nagrania z wieczoru dwudziestego trzeciego grudnia. Pokazał mi, Léane. Pokazał mi to, co sfilmowała jego kamera.

– Nie mów, że... że tam widać, jak Jacques tonie.

Ruchem głowy Colin wskazał na willę.

– I jeszcze coś. Coś bardzo niepokojącego. Wejźmy do ciepłego.

Według rejestru kierowców David Jorlain mieszkał na peryferiach Vienne, sto kilometrów od Grenoble. Zgodnie z zawartymi tam informacjami urodził się dwunastego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku w Pantin, czyli mniej więcej miesiąc od oficjalnej daty urodzin Luca Thomasa. Urząd skarbowy departamentu Isère na mocy nakazu sądowego potwierdził, że mężczyzna w dwa tysiące szesnastym roku uregulował należne podatki od nieruchomości znajdującej się pod adresem wskazanym w prawie jazdy. To znaczyło, że wciąż tam mieszka.

Około dwudziestej drugiej cztery wozy policyjne mknęły z maksymalną prędkością drogą departamentalną numer trzydzieści siedem. Vadim siedział za kierownicą jednego z nich. Vic w zamyśleniu spoglądał na drogę. Przed wyjazdem za wszelką cenę chciał wiedzieć, jak Jorlain wygląda, jakby gonił w równym stopniu za człowiekiem i za jego rysami. Mężczyzna nie miał ani paszportu, ani nowego dowodu osobistego z cyfrowym zdjęciem. Aby zdobyć fotografię przypisaną do jego tożsamości, trzeba było zwrócić się do urzędu, który wystawił dokumenty. Vic zadzwonił więc do podprefektury w Vienne, która w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku wydawała prawa jazdy i dowody rejestracyjne. Poinformowano go, że przed około dwoma laty archiwa spłonęły. Śledztwo wykazało celowe podpalenie.

Moriarty więc po raz kolejny wymazał swoją twarz. Vic nie był tak pełen entuzjazmu i tak pewny siebie jak jego koledzy – coś nie dawało mu spokoju, choć nie wiedział dokładnie co. Z pewnością w ciągu ostatnich godzin wypadki potoczyły się bardzo szybko: przesłuchanie Jeanson, pamięć USB ukryta za równaniami, odkrycie tożsamości Moriarty'ego. Jakby wszystko odblokowało się za jednym zamachem. Wpatrywał się w nocne niebo z nieśmiałymi gwiazdami, od których lśnił śnieg. Za szybami mknącego samochodu przesuwały się wzgórza. Vic

odwrócił głowę w stronę kolegi. Ujrzał błyszczące prawe oko i wysuniętą do przodu żuchwę.

Działka była jak jej właściciel: niewidoczna, samotna, położona w górnej części miasta, z Rodanem poniżej i lasem dookoła. By się do niej dostać, trzeba było skręcić w gruntową drogę poprowadzoną między drzewami. Zaparkowali spory kawałek powyżej i zaczęli schodzić, najbardziej krzepcy na czele. Dookoła było cicho, może nawet zbyt cicho. Ich oczom ukazał się jednopiętrowy kamienny budynek. Stary, średnich rozmiarów, otoczony wysokim ceglany murem z bramą. Wszystkie okiennice były pozamykane, światła wyglądały na pogaszone, ale równoległe do frontu parkowały szary samochód osobowy i biała furgonetka. Vic poczuł rosnącą ekscytację. Czy to już koniec?

Nie bez trudu otworzyli bramę, a kiedy znaleźli się w ogrodzie, zaczęli się poruszać z jeszcze większą ostrożnością: wszyscy mieli w pamięci porażkę u Delpierre'a. Posługując się precyzyjnym systemem skoordynowanych znaków, bardzo szybko się rozdzielili, by pilnować wszystkich wyjść, podczas gdy niewielka zwarta grupa ruszyła do głównych drzwi. Po dwudziestu sekundach weszli do środka z latarkami przed sobą i karabinkami na ramieniu.

Tym razem nikt nie strzelał. Mężczyźni sprawdzili parter i piętro i upewnili się, że nie ma zagrożenia. Dom wyglądał na pusty. Ktoś zapalił światła. Szef grupy interwencyjnej zawołał Manzata i jego poruczników do salonu. Kiedy policjanci podeszli bliżej, poczuli woń śmierci. Zobaczyli zwłoki mężczyzny w dżinsach i T-shircie leżącego z głową i rękami w palenisku kominka. Ciało, częściowo opuchnięte, było spalone do poziomu łokci i karku. Włosy na głowie pozwijały się w drobne sprężynki. Na podłodze, kawałek dalej, leżała butelka whisky i tabletki wyjęte z opakowania. Środki nasenne.

Manzato zabronił komukolwiek się zbliżyć i zadzwonił w kilka miejsc. Vic pragnął tylko jednego: rzucić się na nieboszczyka, odwrócić go i popatrzeć na tę zwęgloną, spaloną twarz, która po raz kolejny miała mu się wymknąć. Niemożliwe, Moriarty nie mógł odejść, zabierając ze sobą odpowiedzi, zabity przez siebie albo kogoś innego. Tylko nie to.

Vic obszedł wszystkie wyjścia. Nic zniszczonego, nic podejrzanego. Dom był zamknięty od wewnątrz. Za plecami usłyszał czyjś głos.

– Chodźcie tutaj!

To Mangematin wołał ich z piętra. Weszli na górę i zauważyli, że drzwi do jednego z pokoi są opancerzone. Okno zakratowane, łóżko przymocowane do podłogi, a telewizor wprawiony w ścianę i niedostępny. Cela? Pomyślał o Sarze Morgan. Jednej z pierwszych porwanych dziewcząt, która została zamordowana jako ostatnia. Czyżby więził ją tutaj, a nie w piwnicy Delpierre'a? Czy zajmowała ten pokój przez cztery długie lata? Ale skąd to wyjątkowe traktowanie, skoro

pozostałe ofiary poniosły śmierć niedługo czasu od porwania? Włożył lateksowe rękawiczki i wszedł do pokoju. Otworzył szafę. Starannie poskładane damskie ubrania. Sukienki, bielizna. Poglądził jakąś bluzę i ją rozpoznał: Sarah miała ją na sobie w dniu zaginięcia. Moriarty nigdy się jej nie pozbył.

Wszedł do sąsiedniego pokoju, który miał zwykłe drzwi. To tutaj wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spał właściciel domu. Czysto, łóżko nieskazitelnie zaścielone, na wieszakach ładnie porozwieszane garnitury i krawaty. Pachniało pizzem. Na ścianie kopia obrazu Greuze'a *Młoda dziewczyna z różą*.

Vadim był w gabinecie, na końcu korytarza, gdzie przeglądał papiery i książki na temat nieruchomości. Vic dołączył do niego.

– Wygląda na to, że robił w nieruchomościach. Wynajem, sprzedaż. Samodzielny agent, coś w tym stylu.

Vic oparł się o ścianę i westchnął. Partner zerknął na niego kątem oka.

– Co o tym myślisz?

– Nie wiem, mam wrażenie, jakbym zwiedzał muzeum. Pamiętasz ostatnie słowa Jeanson'a? „Myślicie, że ruchacie Moriarty'ego, a to on rucha was”. A Delpierre w liście pisał o „najpiękniejszym zaginięciu na oczach wszystkich”. Coś tu nie gra. Nie wyobrażam sobie, żeby gość mógł umrzeć w taki sposób, z głową w płomieniach kominka.

– Jeśli to nie jest najpiękniejsze zaginięcie, to co nim jest? Być może nigdy się nie dowiemy, jak ten świr wyglądał, ale on jest trupem, Vic. Martwym trupem.

Vic już go nie słuchał. Zszedł z powrotem do salonu. Manzato pożegnał się z grupą interwencyjną, która już odjeżdżała, po czym wrócił do podwładnego.

– Technicy są w drodze. – Wskazał na zwłoki. – Zadzwoń do sędziego i poproszę o zgodę na ekspresowe badanie DNA. Jutro będziemy wiedzieć, czy to rzeczywiście Moriarty.

Vic bez słowa patrzył na scenę zbrodni. Lekarstwa, butelka, ciało w kominku. Czuł się, jakby grał w Cluedo: wszystkie znaczące elementy leżały przed jego oczami. To było zbyt proste, zbyt przerysowane. Czy Moriarty nie zniknąłby w sposób bardziej spektakularny, bardziej paradny? A może Vic się co do niego pomylił?

Colin i Léane weszli do willi. Policjant rozpiął zamek kurtki i wyjął z torby laptop.

– Nie chcę cię zmuszać do oglądania tego filmu, ale, cóż, myślę, że prędzej czy później powinnaś go zobaczyć. Równie dobrze możesz to zrobić teraz.

Badał ją, obserwował, śledził każdą jej reakcję. Czy woli zaczekać na Julliana? Czy odmówi obejrzenia nagrania? Usiadła obok niego.

– Dawaj.

Colin kliknął w plik. Zaczęło się odtwarzanie nakręconego kamerą na podczerwień filmiku: był czarno-biały z odcieniami zieleni. Léane rozpoznała tę część zatoki, wydłużone języki piasku, meandry Authie, oazy solirodu zielnego i warzuchy. Miejscami obraz był zakłócony, mżyło. U dołu widać było datę i godzinę: dwudziesty trzeci grudnia, siedemnasta dwie. Policjant przyśpieszył odtwarzanie i o siedemnastej cztery z powrotem ustawił normalną prędkość. Przytknął palec do monitora.

– Tutaj.

Léane zauważyła zmianę – daleko, bardzo daleko na końcu zatoki. Dwa lśniące punkty, które w końcu zniknęły. Światła samochodu. Colin znowu przyśpieszył.

– Twój teść przyjechał drogą prowadzącą nad kanałem. Zatrzymał się na małym parkingu. To znaczy tak przypuszczam, bo to tam znaleźliśmy jego wóz. Niestety przez roślinność, pogodę i odległość nic nie widać. Przez następne pół godziny nic się nie dzieje. Może siedzi w samochodzie i pije? A potem to.

Siedemnasta trzydzieści dwie. Léane zobaczyła pogrążoną w absolutnych ciemnościach zatokę i regularne rozbłyski latarni w Berck. Z zarośli wyszła zabawna postać. Przekraczała wąskie tafle wody, szła po dużych łachach piasku, kilka razy się przewróciła. Padało teraz mocniej, nie dało się zidentyfikować twarzy. Léane domyśliła się, że to Jacques, ponieważ mężczyzna był coraz bliżej: rozpoznała go po łysinie, po płaszczu. Błąkał się w ciemnościach jak włóczęga,

szedł w głąb zatoki, w kierunku morza i kamery, podczas gdy wszędzie dookoła podnosiła się woda. Otaczała nieświadomego Jacques'a jak pajak ptasznik polujący na ofiarę.

– To jest straszne. Straszne. Na Boga, Colin, czego ty szukasz?

– Dwie minuty. Tylko dwie minuty. Zaczekajmy, aż deszcz trochę zelżeje, a zobaczysz.

Léane zmusiła się do patrzenia. Jacques znowu się potknął i usiadł przemoczony na piasku. Pośród tego piekła natury jego ciałem zaczęły wstrząsać drobne drgawki. Léane była pewna: jej teść płakał, płakał jak dziecko, przesypując piasek między palcami. Kiedy deszcz przestał padać, Colin wskazał palcem na prawą krawędź ekranu. Kątem oka obserwował Léane.

– Co widzisz?

W krzakach ukazała się druga postać.

– Jezus Maria!

Zatrzymał odtwarzanie i w zadumie podrapał się po krótkim rudym zaroście.

– Ilekroć to widzę, mam gęsią skórę. Ktoś patrzył, jak on umiera. Ktoś, kogo nie widać z powodu deszczu, ale kto prawdopodobnie był tam od początku, ukryty w krzakach niedaleko parkingu. Oszczędzę ci dalszego ciągu, ale nieznajomy pozostał tam do siedemnastej pięćdziesiąt pięć, kiedy woda zabrała Jacques'a. I nie wezwał pomocy.

Léane schowała twarz w dłoniach. Colin przesunął w jej stronę jakieś zdjęcie.

– Przepraszam, że cię do tego zmuszam. To jest zdjęcie z tej klatki filmu. Robiliśmy, co było w naszej mocy, powiększyliśmy, zoptymalizowaliśmy ustawienia, ale udało się uzyskać tylko to, co masz przed oczami.

Léane spojrzała na fotografię.

– Nie sposób powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta. Wydaje się, że ma kaptur i kombinezon wędkarski. W takim stroju trudno określić cechy budowy ciała.

Léane była na granicy, poruszała się górską granią, a po obu stronach miała przepaści. Policjant przyjrzał jej się i odchrząknął.

– Jest mi bardzo przykro, że w tych okolicznościach zadaję ci takie pytanie, ale... czy to ci czegoś nie przypomina? Nasz ekspert twierdzi, że kombinezon jest jasny, że może być żółty albo szary. Trochę taki jak ten.

Wskazał na zdjęcie Julliana w ramce wiszące obok biblioteczeki. Léane dostrzegła już dno przepaści. Roztrzaska się i więcej się nie obudzi.

– Nie wiem... Nie wiem. To takie okrutne. Co chcesz, żebym ci odpowiedziała? – Wzięła zdjęcie do rąk. – Wszyscy tutaj mają takie ubrania. To mógł być ktokolwiek. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że... to znaczy, że nadal bierzesz pod uwagę winę Julliana? Tak jak to robiłeś przez ostatnie cztery lata?

– Znasz mnie, Léane. Chcę po prostu zrozumieć. Ojciec umiera, szlochając, a ktoś na to patrzy, to naturalne, że pierwszą osobą, którą będę chciał przesłuchać, jest jego syn, nie sądzisz? Zanim przyszedłem do ciebie nad zatokę, pozwoliłem sobie zajrzeć do szopy. Nie znalazłem kombinezonu, który widać na zdjęciu. Nie wiesz przypadkiem, co Jullian mógł z nim zrobić?

– No nie, skąd niby mam wiedzieć? Nie mieszkałam tutaj, a Jullian ma amnezję. Co to wszystko ma znaczyć?

Wyjął notes, poślinił palec wskazujący i przewrócił kilka kartek.

– Chciałbym, żebyśmy wrócili do dwudziestego trzeciego. To ja przywiozłem tutaj Julliana po wyjściu ze szpitala. Musiała być piętnasta. Przy okazji zabrałem mój portfel. Pamiętasz? Zostawiłem go tutaj poprzedniego dnia.

Léane przytaknęła bez słowa.

– Sprawdziłmy billingi Jacques'a. Jullian dzwonił do ojca dokładnie o piętnastej dwadzieścia dwie, rozmowa trwała pięć minut. Tak jak mówił, na pewno po to, żeby go poinformować, że wyszedł. To się zgadza. – Wskazał palcem na monitor. – Półtorej godziny później jego ojciec przyjeżdża nad zatokę, upija się i idzie się utopić. To mi się wydaje nielogiczne. Codziennie odwiedzał Julliana w szpitalu. Ja na jego miejscu pewnie przyjechałbym tutaj, żeby zobaczyć, jak przebiega powrót syna do domu. Nie pojechałbym się utopić. Dlaczego czekał, aż Jullian wyjdzie, i dopiero wtedy to zrobił?

– Jacques nie czuł się dobrze.

– Tak, tak, wiem, Jullian wystarczająco dużo razy to powtarzał. Wygląda na to, że leczył się na depresję, zważywszy na tabletki znalezione w jego pokoju i wyniki badań toksykologicznych. Ale tamtego wieczoru coś go głęboko poruszyło, do tego stopnia, że, jak się zdaje, popełnił samobójstwo. Muszę znaleźć odpowiedź, rozumiesz, inaczej ta historia będzie mnie prześladować. Może pomożesz mi wypełnić tę lukę między chwilą, kiedy przywiozłem Julliana tutaj, a momentem, kiedy na filmiku pojawiają się światła samochodu? Jeśli dobrze pamiętam, nie było cię tu, kiedy Jullian wrócił. Przypominasz sobie, o której przyjechałaś do domu?

Żeby zyskać więcej czasu, Léane wstała i poszła nalać sobie whisky. Zaproponowała szklaneczkę Colinowi, ale policjant odmówił ruchem głowy. Dwudziesty trzeci, dwudziesty trzeci... Co ona wtedy robiła? A, tak: wracała z Reims, gdzie grożąc psychiatrze bronią, wyciągnęła od niego informacje na temat Giordana. Przypomniała sobie, że okłamała Julliana. Powtórzyła to, co powiedziała mężowi.

– Wracałam z Paryża, znowu chodziło o problemy z moim wydawcą w związku z tym cholernym plagiatem. Musiałam wrócić około szesnastej, maksymalnie

o szesnastej trzydzięci. Pamiętam, że byłam kompletnie zaskoczona, kiedy zobaczyłam Julliana w fotelu. Od tamtej chwili się nie rozstawaliśmy.

– Jesteś tego pewna?

– Absolutnie.

Colin zacisnął usta, zanotował coś i szybkim ruchem zatrzaskał notes. Potem przez chwilę patrzył na nią, bez mrugnięcia, z ponurym błyskiem w szarych oczach i zastygłą twarzą gościa, który nagle dowiaduje się, że jego żona odchodzi.

– Rozumiem.

Wstał i schował laptop, nic więcej nie mówiąc. Nawet na nią nie spojrzał. I wtedy zrozumiała: wiedział, że go okłamuje, że wcale nie pojechała do wydawcy. Oczywiście, że tam zadzwonił i zapisał na czerwono w tym przeklętym notesie: „Gdzie była Léane za każdym razem, kiedy twierdziła, że jedzie do wydawcy? Dlaczego kłamie?”. Wypiła whisky, musiała coś zrobić, wypełnić tę martwą ciszę, w której ją pogrążył. Dlaczego przyjechał tu z tym filmikiem sam? Dlaczego postanowił pokazać go jej, a nie Jullianowi? Czy chciał jej dać szansę na wyznania? Czy ją też zaczął podejrzewać?

Odprowadziła go do drzwi. Odwrócił się do niej.

– Zatrzymaj to zdjęcie. Bardzo możliwe, że jutro tu przyjadę, żeby zadać kilka pytań Jullianowi. Gdybyście on albo ty chcieli do mnie zadzwonić, nie wahajcie się. Jest w tej historii coś, co mi się wymyka, dziury, których nie potrafię zapełnić, ale wiesz, ja działałam trochę jak przyływ. Trochę to potrwa, ale luki prędzej czy później się wypełnią. Do zobaczenia, Léane.

Odwrócił się, wetknął nos za kołnierz kurtki i pobiegł do samochodu. Léane zamknęła drzwi, oparła się o nie i odetchnęła głęboko. Sięgnęła po zdjęcie i zaczęła rozmyślać o przyczajonej postaci.

Popędziła do garażu i przekopała schowek w poszukiwaniu biletu z dwudziestego trzeciego grudnia z bramki na autostradzie na odcinku z Reims do zjazdu w odległości dziesięciu kilometrów od Berck. Była na nim wybita godzina osiemnasta czterdzieści osiem, około godziny po utonięciu. Teoretycznie Jullian zdążyłby wrócić plażą na piechotę. Jeśli szło się szybkim krokiem, droga od ujścia kanału zajmowała pół godziny. Ponieważ był przyływ, musiał przejść mostem, dalej ścieżką przy lesie i wrócić plażą, kierując się na południe. Ale co to oznaczało? Że zanim Jacques się utopił, Jullian siedział z nim w samochodzie? A któż by inny?

Kuląc się w fotelu przed kominkiem, podciągnęła koc do ramion. Nie mogła się rozgrzać. Za oknami balkonowymi widać było absolutną ciemność, jakby dom dryfował po zmrożonej bezkresnej powierzchni.

Jacques był słaby psychicznie. Czy to możliwe, że Jullian zachęcił go, by wszedł do zatoki? Ale jak można zmusić człowieka do odebrania sobie życia?

Groźbą? Słowami? Na filmiku widać było, że Jacques płacze. Słowa potrafią zranić. Ale jakież to słowa człowieka z amnezją mogły okazać się na tyle mocne i niszczące, że skłoniły Jacques'a do samobójstwa? Chyba że, jak twierdzi lekarz, Jullian nie ma amnezji.

Dwie godziny później Léane usłyszała warkot silnika i wzdrygnęła się. Kiedy drzwi się otworzyły, skuliła się jeszcze bardziej. Jullian objął ją od tyłu, muskając ustami jej kark.

– Gotowe.

Te słowa, ten zapach... Léane poczuła dreszcz. Mąż usiadł naprzeciwko niej, spojrzął na butelkę z alkoholem, a potem na ustawioną na kółkach zamkniętą walizkę.

– Co to ma znaczyć? Zamierzasz wyjechać?

Léane zrobiła wdech i wyjęła zdjęcie spod koca.

– Możesz mi to wyjaśnić?

Jullian popatrzył na fotografię.

– Co to jest?

– Nie wiesz?

– Oczywiście, że nie! Powiedz mi.

– Tam, gdzie utonął twój ojciec, była tamtego dnia włączona kamera. Ukryta wśród drzew po drugiej stronie kanału. Bérenger Argoud, kojarzysz?

– Kto to jest?

– Gość, którego dobrze znasz, ornitolog. Podobnie jak ty interesował się kolonią fok. Był tu Colin i pokazał mi filmik. Postać, którą widzisz na zdjęciu, patrzyła, jak twojego ojca otacza i zalewa woda.

Jullian zapadł się w fotelu.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Léane milczała. Siedziała z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej. Własny mąż ją przerażał, do jej głowy napływały obrazy: Jullian miażdżący Giordanowi stopę, sposób, w jaki uderzył włamywacza o twarz granika, roztrzaskana potylicą policjanta. Czy amnezja tłumaczyła te przesadne reakcje, których Léane wcześniej nie знаła? Czy Jullian stał się brutalny jeszcze przed napadem?

Z zamyślenia wyrwał ją poważny głos:

– ...chyba że mam z tym coś wspólnego?

– Dlaczego kiedy wyszedłeś ze szpitala, zadzwoniłeś do ojca, a nie do mnie?

– Dlaczego? Bo chciałem ci zrobić niespodziankę! Powiedziałem ojcu, że wszystko jest w porządku i jutro czekamy na niego z wigilijną kolacją. Zostałem w domu, próbowałem się zorientować w sytuacji i czekałem na ciebie. Nie chciałem do ciebie dzwonić, żeby nie popsuć efektu. – Wstał, trzymając dłonie na

głowie. Na jego czole pojawiła się gruba żyła. – Léane, do cholery! Podejrzewasz mnie? Dlaczego miałbym zrobić coś takiego? Nie przyszło ci do głowy, że ta postać to może być ten pieprzony pasożyt, który się do nas włamał? – Podeszedł do balkonowego okna, otworzył je szeroko i patrzył w mrok. Do pokoju wtargnął wiatr. – Skąd wiesz, że on nas w tej chwili nie śledzi? Że nie próbuje nas zniszczyć?

Stał bez ruchu naprzeciw potęgi żywiołu. Następnie wrócił do żony i chciał ją przytulić, ale Léane się odsunęła. Wstała gwałtownie.

– Przykro mi, nie mogę. Coś się w tobie bardzo zmieniło. Nie wiem co i nie wiem, czy ta przemiana dokonała się jeszcze przed tym, jak ukartowałeś napad na siebie i pogrzyżyłeś nas oboje w tym piekle. Tak czy owak, nie jesteś już człowiekiem, jakiego znałam. – Poszła po płaszcz i zabrała walizkę. – Wracam na kilka dni do Paryża, muszę się zastanowić.

Popatrzyła ze smutkiem na męża: stał przygarbiony, ze zwieszonymi ramionami.

– Więc porzucasz mnie w środku tej burzy? Zostawiasz nas samych, mnie i moją pokawałkowaną pamięć? Ty i ja jesteśmy złączeni na zawsze, już o tym zapomniałaś?

– Nie zapomniałam. Mimo upływu godzin cały czas słyszę to przekłete szuranie łopaty. Kiedy zamykam oczy, widzę opuchniętą twarz Giordana. Ale jutro wieczorem mam coś do zrobienia. Wybieram się w podróż, która, mam nadzieję, przyniesie mi odpowiedzi. Jakkolwiek ta gehenna się zakończy, nic nie jest dla mnie w tej chwili ważniejsze niż to.

Był piątek, dwudziesty dziewiąty grudnia, popołudnie. Sekcja zwłok dobiegła końca, Vadim i Ehre już jakiś czas temu wyszli z lodowatego prosektorium. Vic stał sam nad zwłokami znalezionymi w domu na peryferiach Vienne, z rękami w kieszeniach kurtki. W blasku lamp dolna część ciała miała barwę niemal niebieskawej bieli, jakby pływała po powierzchni krystalicznej wody. Górna część przypominała zastygłą czarno-czerwoną lawę o księżycowej fakturze.

Konkluzje z autopsji potwierdziły wnioski z miejsca zbrodni. Kiedy lekarz otworzył żołądek, powiedział „whisky”, wystarczył sam zapach. Kilka tabletek środka nasennego pozostało niestrawionych. Ciało nie było przenoszone i nie znaleziono na nim żadnych ran poza tymi, które spowodował upadek do kominka. Badania toksykologiczne miały potwierdzić diagnozę postawioną od razu przez patologa: upadek spowodowany zażyciem śmiertelnej mieszanki alkoholu i leków nasennych.

Vic nie zobaczy zatem twarzy tego człowieka. Dlaczego Jorlain tak zapamiętała, aż po ostatnie tchnienie, usuwał swoje rysy? W jakim celu? Policjant znowu pomyślał o książkach Léane Morgan przeniesionych z jej biblioteczki do internatu. O napadzie na jej męża. O całej tej historii rozgrywającej się w Berck, która mu się wymykała. Jeżeli Moriarty rzeczywiście nie żyje, to pozostawił po sobie iście diabelską zagadkę.

Vic zgasił światła i zwłoki zniknęły w ciemnościach. Stał na miejscu, bez ruchu, jakby miał nadzieję, że w tym mroku nagle rozbłyszczą odpowiedzi. Ale śmierć nie zdecydowała się przemówić, cisza go zniechęciła, więc wyszedł. Nad Grenoble sypał drobny śnieg, płatki były tak maleńkie, że Vic miał wrażenie, jakby wdychał zimny pył. Miał dość zimy, gór i całej reszty. Co on właściwie jeszcze tutaj robi? Coralie... Ona i tylko ona łączyła go z tym regionem, w którym spędził całe życie.

W oczekiwaniu na wyniki badań DNA poszedł usiąść w swoim fotelu w siedzibie brygady. Podczas gdy jego koledzy wywracali dom Jorlaina do góry nogami, on wyjątkowo nie był zdolny do niczego poza czekaniem. Potrzebował ostatecznego dowodu na to, że mężczyzna znaleziony w kominku to Moriarty alias David Jorlain alias Luc Thomas alias chłopiec nie wiadomo skąd, wyrzucony do śmietnika przez nieznaną matkę. Człowiek matroszka. Urodzony w śmieciach, zmarły w popiele.

Vic westchnął. Nawet jeśli szef siatki nie żyje, cała robota przed nimi. Wypełnić białe plamy w śledztwie, zrozumieć niewyjaśnione szczegóły. Znaleźć inne osoby zamieszane w sprawę, poza trójką z Roches noires. Udzielić wyjaśnień wszystkim tym rodzicom, których życie legło w gruzach. Vic nie wiedział, czy znajdzie siły na to przelewanie z pustego w próżne. Bo właśnie do tego sprowadzała się cała ta historia.

Wiadomość nadeszła około osiemnastej. Manzato wszedł do biura z triumfalną miną, niosąc w dłoni dwie kartki.

– To on, Altran, DNA pobrane ze zwłok w kominku w stu procentach odpowiada profilowi genetycznemu małego Luca Thomasa sprzed trzydziestu lat.

Vic spojrzał na wyniki przesłane z bazy danych DNA. Profile były identyczne, komputery potwierdziły zgodność z próbką, której wynik był przechowywany od dwa tysiące drugiego roku. Vic musiał przyznać, że tym razem to naprawdę był koniec historii mężczyzny bez twarzy, bez rodziców, bez korzeni.

Oddał szefowi kartki i pogrążył się w rozmyśleniach, niezdolny do słuchania poleceń, które docierały do jego uszu. Później. Znowu został sam w swoim biurze. Potarł oczy. Był zmęczony, wyczerpany z ostatnich sił. Wyobrażał sobie dalszy ciąg. Trzeba będzie powiedzieć adopcyjnej matce Luca Thomasa, kim był jej syn. Porozmawiać z Morganami i pozostałymi rodzicami, skonfrontować ich z brutalną rzeczywistością. Głos ojca Apolline wciąż z całą wyrazistością rozbrzmiewał w jego głowie: „Co z tego, że pan tutaj jest i okazuje fałszywe współczucie? Ludzkie cierpienie i tak jest poza pana zasięgiem”. Nie, nie było. Uderzało go w samo serce wraz z każdą ofiarą, z którą miał do czynienia.

Czy się w to angażuje, czy nie, potwory zawsze istniały i będą istnieć. I niezależnie od tego, co zrobi, nadal będą pochłaniać ludzkie życia. Włożył kurtkę i ruszył w kierunku ohydneho parku handlowego, który od dwóch miesięcy był jego domem. „Żałosny”. Czy to słowo określało go najlepiej?

Oparł się o automat z kawą w hotelowym hallu i czekał, aż Romuald skończy pracę, by iść zobaczyć swojego psa. Zwierzę, które tak bardzo kochał, którego nikt mu nie zabierze, a o którym przez większość czasu zapominał.

Cocker-spaniel wyskoczył z budy i powitał go hojnym lizaniem po twarzy. Szalona kulka o niewiarygodnie umaszczonej głowie: z lewej strony czarnej,

z prawej białej, a wokół oczu odwrotnie. Vic przytulił się do niej i cały we łzach zaczął się turlać po śniegu. Znalazł się przed pozbawionym blasku lustrem własnej egzystencji i w końcu głośno i wyraźnie wymówił imię własnego psa: MammaM⁷.

Léane jechała na ostatnie spotkanie. Sama, z wyłączonym radiem i telefonem, w gęstej ciszy swojego samochodu. Sama ze swoim sumieniem, ze swoimi wątpliwościami, ze swoim gniewem. I sama ze swoim strachem. Bo oczywiście się bała. Kto nie odczuwałby strachu na myśl o spotkaniu w cztery oczy z nikczemnikiem, który odebrał mu dziecko? Kto mógłby bez lęku wybrać się w miejsce, w którym rozegrał się tragiczny finał *Niedokończonego rękopisu*? Dlaczego bohaterowie, którzy stawiali czoło wszelkim przeciwnościom, mieliby wychodzić z opresji cało? To bez sensu. Jej książki często kończyły się źle, ponieważ życie jest suką – ni mniej, ni więcej.

Przypomniała sobie, że jechała już tą drogą dwa lata wcześniej w ramach rozpoznania terenu, kiedy powieść ledwie kiełkowała w jej umyśle. Ona, wzięta pisarka, która bawiła się straszaniem czytelników, sama przeżyła scenariusz bardziej pokręcony i bolesny niż jej najdiabolijsze intrygi. Tego wieczoru na czysto pisała epilog własnej historii. Ale tego zakończenia nie przeniesie na papier.

Szybko poczuła, jak siła natury wypiera ostatnie podrygi cywilizacji. Wychodziły jej naprzeciw totalna ciemność, wielkie cienie klifów, niebo pokryte chmurami zwiastującymi burzę. Jej istnienie streszczało się do dwóch żółtawych pasm życia na asfalcie. Być może Moriarty wcale nie przyjedzie, może ta samotna podróż to tylko dodatkowy etap jej cierpienia – ale musiała postawić wszystko na jedną kartę.

Étretat. Miasto, które uwielbiała, z jego kamienistą plażą strzeżoną jak skarb przez wapienne kolosy, z uroczymi domkami rybackimi i tym widokiem, który za dnia otwierał się na bezkres – teraz wyciągało ku niej przerażające ramiona. W ten zimowy, grudniowy wieczór, kiedy wiatr chłoscze policzki i sprawia, że pękają usta, Étretat wyglądało jak kawałek czarnej skały wyrwanej z wnętrza piekieł.

Léane dojechała do miasta z dwugodzinnym zapasem i zadbała o to, by od iglicy móc szybko wrócić do samochodu. Wsunęła dłoń pod fotel i wymacała latarkę oraz chropowatą kolbę sig sauera: trzymała w wilgotnej dłoni pistolet Giordana znaleziony w szafce nocnej męża, numerowaną broń zarejestrowaną na policjanta, którego zwłoki rozkładały się w trzewiach lasu.

Z podniesionym kołnierzem, w czapce naciągniętej głęboko na głowę wyszła z samochodu, tak anonimowa, jak tylko się dało – jedna z wielu sylwetek w teatrze cieni o scenografii tyleż mrocznej, co majestatycznej. To miasto, w którym ludzie się kochają i umierają. Malarze i pisarze wychwycili każdy niuans szarości, niebieskiego i czerwieni tego normandzkiego krajobrazu.

Pobiegła w stronę południowej części miasta, ale nie weszła schodami na grzbiet. Z czujnością potencjalnej ofiary ruszyła w dół przez krzaki i pole golfowe. Niebo było tak ciemne, że widoczność nie przekraczała metra, a wiatr zdmuchiwał wszystko w stronę klifów. Przyczaiła się i zaczęła. Czy Moriarty też jest już na miejscu i gdzie się schował? Na chwilę włączyła latarkę, by jak najlepiej zaszyć się w krzakach w pobliżu kładki prowadzącej do słynnej iglicy. Jej ciało poruszało się jakby niesione ostatnim porywem, kruche, a jednak przygotowane na tę chwilę.

Jak na przyzwoite zakończenie przystało, musiał padać deszcz. Ulewa nie dała na siebie długo czekać. Strumienie deszczu dziurawiły Alabastrowe Wybrzeże niczym salwy gwoździ. Łomot jak w stoczni. Léane przyjęła pozycję płodową, oplatając łydki ramionami i ukrywając głowę w ciepłym zagłębieniu skulonego ciała. Wilgoć i przenikliwe zimno polizały najpierw jej kark, a potem dobrały się do pleców i brzucha, by wreszcie zaatakować kości. Wytrzymała tak pół godziny, zziębnięta, z ustami niebieskimi jak dno basenu, ale ostatecznie schroniła się za kładką w „pokoju wrózek”, ciemnej norze, z której za dnia rozpościerał się widok wprost na iglicę. Szybko zdjęła kurtkę i rękawiczki, zaczęła ogrzewać oddechem skostniałe dłonie i pocierać ramiona, by pobudzić krążenie. Jasne, uciekła przed deszczem, ale wściekły wiatr wciskał się do zagłębienia i dął w nie jak w róg przeciwniegielny, chłostał i wykrzykiwał swoją skargę, dając jej przedsmak końca świata.

W którymś momencie zerknęła na północ, wzdłuż grzbietu, i zauważyła pulsujące światło. Biały krąg zdawał się tańczyć po rozszalałej powierzchni morza. Był coraz większy. Nadciągał Moriarty. Léane sięgnęła po broń, odbezpieczyła ją i przywarła do ściany po lewej stronie zagłębienia. Była cała rozdygotana. Wreszcie dotarła do końca. Do końca świata, do końca historii – własnej historii, bez nadziei na powrót i bez możliwości ucieczki. Tak, to był on. Teraz albo nigdy.

W skale za swoimi plecami usłyszała krzyki jakichś gniazdujących ptaków morskich, może mew albo rybitw. Wstrzymała oddech: do groty wpadł snop światła, ostatnie deski zaskrzypiały pod czyimiś nogami, a wreszcie na dnie zagłębienia położył się czyjś cień, który wspinał się po ścianach, by ożyć i odtańczyć z Léane taniec śmierci.

Ukazała się twarz, na której widok Léane poczuła, jak opuszczają ją ostatnie siły.

– Jullian!

Pośród huku ulewy jego głos był ledwie słyszalny. Mężczyzna delikatnie wyjął pistolet z jej rąk. Wiedział, że nie będzie strzelać.

– Léane, twój mąż nie żyje, zginął z głową w kominku. Byliśmy do siebie bardzo podobni, tak bardzo, że nawet ty nie dostrzegłaś różnicy. Nazywam się David Jorlain. Jestem jego bratem bliźniakiem.

Léane wpadła w wir emocji gwałtownych jak porywy wiatru uderzające w iglicę. W jej głowie wszystko się zderzało, jakby w mózgu nastąpiło spięcie. W jednej chwili mózg mówił jej, że to niemożliwe, by Jullian nie żył, skoro jest tutaj, naprzeciwko niej. Chwilę później, że mężczyzna w otworze grotu jest nieznanym w masce, która ordynarnie naśladuje twarz jej męża. Głos Julliana, głos nieznanego obijał jej się o skronie.

– Bliźniacy mają takie samo DNA, ale różne linie papilarne. Pasożyt zawsze był obecny w twoim domu: to byłem ja. To moje odciski palców rudzielec zdejmował z mebli, klamek i drzwi. Wszędzie szukał ich właściciela, a ja stałem przed nim.

Léane usiadła, żeby nie upaść. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło – pochłaniały ją czarne dziury, w których nie istniała – do chwili gdy zdała sobie sprawę z sytuacji: Jullian nie żyje, a jego miejsce zajął mężczyzna podobny do niego.

I wciąż słyszała jego głos:

– Podobno losy bliźniąt są ze sobą połączone niezależnie od tego, co one robią i dokąd idą. Słyszałaś o tych niesamowitych historiach braci i sióstr odnajdujących się po kilkudziesięciu latach od rozdzielenia, nawet jeśli żyją tysiące kilometrów od siebie? Drogi Julliana i moja przecięły się cztery lata temu. Przypadek sprawił, że mieszkanie, które wynajęliście w Annecy, należało do mnie. Wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem własną twarz na nagraniach z kamer umieszczonych w każdym pokoju.

Léane podniosła wzrok. Blask latarki przecinał twarz mężczyzny na pół, jedną część pograżając w ciemności.

– Bliźniak! Miałem brata bliźniaka. A Jacques o tym wiedział. W samochodzie nad brzegiem zatoki, kiedy mu powiedziałem, kim jestem, celowałem do niego z tego samego pistoletu. Nie musiałem długo nalegać, żeby zaczął pić i wyrzucił z siebie historię moich pierwszych dni. Wiedziałem, że urodziła mnie kobieta

z syndromem zaprzeczenia ciąży: na nieszczęście podsłuchałem rozmowę rodziców zastępczych, ale nie znałem szczegółów.

Léane czuła się, jakby wciągała ją przepaść. Wokół niej wszystko zdawało się rozmywać: wilgotne skały, kładka po lewej stronie, twarz Moriarty'ego – niemal doskonała kopia twarzy Julliana.

– Powiedział mi, że moja matka, kurwa jebana, pragnęła zajść w ciążę najbardziej na świecie. Że chcieli mieć dzieci, próbowali przez kilka lat, ale im się nie udawało. Aż któregoś dnia przez przypadek podczas wizyty lekarskiej dowiedziała się, że jest w ciąży. To był szósty miesiąc, a nie przytyła nawet o kilogram. Bo w głębi duszy już nie chciała zostać matką. Nie poszła do ginekologa, ukryła swój stan przed wszystkimi. I ponad czterdzieści lat temu wypchnęła mnie z siebie na podłogę swojego pokoju, sama jak suka, a potem przeszła dwa kilometry, żeby się mnie pozbyć, i w worku na śmieci wyrzuciła mnie do kontenera.

Léane słuchała. Ten mężczyzna zajął miejsce Julliana, wszedł do jej domu, dotykał jej rzeczy. Skolonizował jej życie, spał w jej łóżku, gwałcił ją. I zabił Sarę.

– Kilka godzin później, kiedy wrócił mój ojciec, leżała w kuchni. Bolał ją brzuch, pomiędzy nóg ciekła jej krew. Jej udręka się nie skończyła, to jest w tym najbardziej porąbane: miała urodzić drugie dziecko. Brata bliźniaka. Pierdolonego bliźniaka, który dobrze się schował w ciepłe, jakby przeczuwał, co się stanie. – Kilka razy jak szalencie uderzył się płaską dłonią w czoło. – Kurwa, to jest lepsze niż twoje książki! Mój ojciec od razu zabrał ją do szpitala. Urodziła w samochodzie, suka, wrzeszczała, że nie chce dziecka, żeby je wyrzucić do śmieci tak jak to pierwsze. Ojciec mógł iść mnie szukać, nie wiem, sprawdzić, czy żyję. Ale tego nie zrobił. Wolał przekonać swoją pierdoloną małżonkę, żeby nigdy, przenigdy nie mówiła o tej wtopie ze śmietnikiem. Mieli się zachowywać tak, jakbym nie istniał. Przyszedłem na świat bez nazwiska, bez daty urodzenia, bez korzeni. Na kupie śmieci. – Podsunął jej pod nos swoją rękę. – Powąchaj! Moja skóra ciągle śmierdzi. Mój brat... pozwolisz, żebym go tak nazywał? Mój brat miał rodzinę. Być może nigdy nie kochała go jego matka, ale mój ojciec go kochał. Kiedy mu powiedziałem, kim jestem i co zrobiłem z jego ukochanym synem, nie musiałem go długo namawiać, żeby się utopił.

Léane nie była w stanie płakać, jej łzy zostały uwięzione. Oddychała głośno, łapiąc powietrze dużymi haustami, usiłując odzyskać spokój. Mężczyzna usiadł pod ścianą naprzeciwko niej.

– Masz prawo zrozumieć, Léane, jestem ci to winien. Wszystkie te zaginięcia, te porwane dziewczyny. Po prostu... taka była kolej rzeczy. Z pewnością należę do tej grupy, którą w twoich książkach nazywasz śmieciami. Może powinienem

był zdechnąć w tym kontenerze, może jakaś cholerna boska przyczyna pchnęła moją matkę, żeby mnie tam wyrzuciła. Ale przeżyłem. I uczepiłem się życia.

Léane poczuła ten sam ból, co po zaginięciu Sary. Otworzyła się, oddała, powierzyła najbardziej osobiste myśli człowiekowi, który tylko wyglądał tak jak Jullian, nieznanemu, który zasłaniał twarz maską i ukrywał się za murem amnezji. Wszystko wracało do niej w krótkich przebłyskach: zmieniony głos, zbyt szczupłe ciało, krótko przycięte włosy i ten przypływ brutalności.

– Z początku kamery w mieszkaniu w Annecy służyły wyłącznie temu, żebym mógł oglądać prywatne życie rodzin. Przeżywać ich radości, ich kłótnie. Patrzeć, jak uprawiają seks. Wynajmowałem je w czasie wakacji, a sam nocowałem niedaleko w małym hotelu. Kiedy rodziny wychodziły na spacer, wchodziłem i wyjmowałem karty pamięci, a wieczorami oglądałem filmiki w pokoju.

Opuścił latarkę. We włosach Léane tańczył wiatr. Powoli dochodziła do siebie, odzyskiwała siły. Ból psychiczny miał wrócić, ale później, jak przypływ.

– Chodziłem do klubów, piłem. Funkcjonowałem nocami i niszczyłem sobie życie na wszelkie możliwe sposoby. Z biegiem czasu nawiązałem kontakty, dzięki którym miałem wejścia w Donjon noir. Chciałem patrzeć, jak te suki cierpią, jak wrzeszczą, pocięte linami i oparzone woskiem świec. – Miał przykurczone palce, które wyglądały jak szpony orła. – W tamtym okresie trafiłem też na ślad Jeanson, mojego kumpla z pokoju w internacie. Miotał się między bezrobociem a pracą na czarno na budowach na przedmieściach Lyonu. Ciągłe miał kontakt z trzecim kolegą, Delpierre'em. – Kręcił młynki bronią, wykrzywiając usta w cierpkim grymasie. – Delpierre nigdy się nie pozbierał po latach spędzonych w internacie, miał trochę problemów z prawem, bo sypiał z trupami. Tym gościom zniszczono młodość i wciąż nosili w sobie głęboki ból. Trochę tak jak ja, ale z innych powodów.

Dla Léane każde jego słowo było jak cięcie skalpelem.

– Zaczęliśmy się regularnie spotykać, pić i rozmawiać o tym i owym. Znowu byliśmy paczką, jak za dawnych lat, jak tego pamiętnego ranka, kiedy chłopaki pomogli mi pociąć wacka ich wuefisty.

– Jesteś szalony. Nie, to nawet nie jest szaleństwo, to coś więcej.

– Wręcz przeciwnie, jestem bardzo świadomy. Dzięki Mistik zobaczyłem, jak daleko mężczyźni są w stanie się posunąć, jak dzikimi bestiami potrafią się stać, gdy założą maski, jak dużo potrafią zapłacić, żeby móc przekraczać granice i dręczyć kobiety. Chciałem, żeby je dręczyli, Léane, coraz bardziej i bardziej, i chciałem na to patrzeć. Założyłem więc stronę w darknecie i używałem Mistik w charakterze naganiaczki. Oferta dla tych, którzy chcieli spróbować ekstremalnego doświadczenia, była prosta: dostawali dziewczynę tylko dla siebie,

całkowicie anonimowo, i mogli się z nią zabawiać bez ograniczeń. Jeśli sobie tego życzyli, mogli ją zabić. Mieli niszczyć im życie. Dla mnie.

Léane poczuła skurcze żołądka, ale nie miała czym wymiotować.

– Na ich użytek umieszczałem w darknecie ich zdjęcia i filmiki: wybierałem czyste, młode, nietknięte. Wystarczyło, że gość, który chciał taką dziewczynę, zaproponował mi najwyższą sumę. Jak na licytacji. Christie's dla perwersów: muszę ci powiedzieć, że to był prawdziwy hit.

Rzuciła się na niego, ale był szybszy. Odepchnął ją gwałtownie w bok, tak że z impetem spadła na bark. Do prawej skroni przyłożył jej lufę pistoletu i kręcił nią. Krzyknęła.

– Chcesz umrzeć teraz? Nie interesuje cię dalszy ciąg?

Wstał, zasapany, i wycelował snop światła latarki prosto w jej twarz.

– Tam, do kąta.

Léane wykonała polecenie, próbując znaleźć sposób, by wyjść z tego cało. Za nią, za otworem wyciętym w kamieniu, była przepaść. Żadnej drogi ucieczki.

– Kupiłem zdewastowany dom niedaleko Vienne, który wyremontowałem na czarno za kasę naszej paczki. Jasne, David Jorlain nie był bogaty z domu, ale miał środki, o które nikt go nie podejrzewał. A potem nastąpiło coś, co uważam za kulminacyjny punkt w moim życiu: wasz pobyt w Annecy.

Kobieta była zakleszczona w kącie groty: Jorlain zmusił ją, by usiadła.

– Po raz pierwszy byłem u was trochę ponad cztery lata temu, otworzyłem willę dorobionym kluczem. Zobaczyłem tam doskonałe szczęście mojego brata, jego sukces, jego wspaniałą rodzinę. To było nie do zniesienia, coś takiego nie mogło istnieć. Kilka miesięcy później poprosiłem Jeansona, żeby porwał Sarę, zamierzałem ją wystawić na mojej czwartej aukcji i mogę cię zapewnić, że zrobiłaby doskonały wynik. Scena masturbacji w moim mieszkaniu była epicka!

Léane musiała pokonać ból, jaki sprawiały jej te słowa, i znaleźć sposób, by ratować skórę. Ponieważ martwa nigdy się na nim nie zemści. Jorlain nie mógł wyjść z tego cało.

– Moja historia robi wrażenie, co? Dobre zakończenie książki. Ale zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Ostatecznie postanowiłem zostawić sobie Sarę i zamknąłem ją w moim mieszkaniu. Chciałem w każdej chwili mieć przed oczami to, co odebrałem mojemu ojcu, mojemu bratu i pośrednio mojej pieprzonej matce. Przyznaję, życie u boku stryja, który miał twarz jej ojca, nie zawsze było dla Sary łatwe.

– Ona była dziewicą!

– No i właśnie dlatego te dziewczyny były atrakcyjne! Pragnę jednak uściślić, że Giordano jej nie tknął. Ale bynajmniej nie był czysty, nic z tych rzeczy. Wykupił sobie piątą: Pauline Perlot. I poszedł z nią na całość.

Jorlain kucnął przed Léane i otarł jej łzy.

– Nie dotykaj mnie!

Chwycił ją za gardło i przycisnął do ściany.

– Muszę ci jednak powiedzieć dwa słowa o tej pieprzonej czapce. Giordano w końcu przemówił, na chwilę przed tym, jak roztrzaskałem mu łeb o ścianę. O tak... – Lekko uderzył jej czaszką o kamień, puścił ją i wstał. – Kiedy pieprzył Pauline, kiedy przez tydzień przypalał ją i dziurawił jej brzuch nożem, myślał o własnej córce. Ten zbok regularnie przyjeżdżał do Vercors ze swoim dzieckiem w miejsca, w których pobyt opłacał z rodzinnego spadku, żeby raz po raz przeżywać tu swoje fantazje. To Pauline nosiła tę czapkę, nie twoja córka. Pewnie czapka walnęła się w kamperze i Jeanson włożył ją na głowę Pauline, sądząc, że należy do niej. Tak czy owak, Giordanowi udało się odzyskać tę czapkę i zabrać ze sobą na pamiątkę. Jak trofeum.

– W forcie musiał cię rozpoznać. Dlaczego nic nie powiedział?

– Ponieważ nigdy nie widział mojej twarzy. Wszystkie kontakty z klientami załatwiałem przez darknet. Anonimowość i mobilność były kluczowe dla tego systemu. – Na chwilę zerknął na skałę, z której dochodziły krzyki ptaków. – Po zdarzeniu w Annecy postanowiłem jeszcze raz zmienić tożsamość: zająć miejsce twojego męża. Zabić go i zamieszkać z tobą, udając amnezję. W końcu żył za dwóch, prawda? Miałem prawo do mojej porcji tortu.

Oto kim był: pasożytem bez tożsamości, bez korzeni. Zagubioną istotą, która potrafiła tylko wyrządzać krzywdę i niszczyć, ale była obdarzona piekielną inteligencją. Perfekcyjnie wślizgnął się w skórę Julliana, wyprowadził w pole nawet Léane.

– O mało tego nie zrobiłem już w momencie aresztowania Jeansona, ale nie byłem gotowy, a Jeanson nigdy nie pękł, przeciwnie, urządził glinom cholerną jazdę. Ale po jego zatrzymaniu Delpierre i ja zakończyliśmy całą działalność, stawało się to zbyt ryzykowne. Dalej urządzałem sobie przyszłe życie. Wpadłem do was dwa miesiące temu, potrzebowałem DNA Julliana, chciałem się upewnić, że mamy taki sam profil genetyczny, bo nigdy nic nie wiadomo. Wysłałem próbki do prywatnego laboratorium, które to potwierdziło. Przy okazji zabrałem twoje książki. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś. Zajęcie miejsca bliźniaka było niemożliwe bez napadu i amnezji. Amnezja jest bardzo praktyczna. Wypróbowałem ją już jako dzieciak. Szkopuł w tym, że jestem szczuplejszy od Julliana, mam trochę wyższy głos i kilka zmarszczek układających się inaczej. Co do reszty byliśmy dokładnie tacy sami.

Léane kręciła głową. Gdyby tylko nie porzuciła Julliana. Nic nie wiedziała o ostatnich miesiącach życia swojego męża i Jorlain to wykorzystał. Kazał się

uderzyć kijem bejsbolowym w głowę. Wiedział, że może umrzeć na nabrzeżu, a mimo to zaryzykował.

– A więc zabiłeś ją. Zabiłeś moją córkę.

– Nie miałem wyboru. Wynająłem domek w Chappelle-en-Vercors, gdzie spędziliśmy dwa dni tylko we dwoje. Nie będę ci tego opisywał ze szczegółami. Potem zamknąłem ją tam i wysłałem pilną wiadomość do Delpierre'a, żeby dokończył robotę. Sam wsiadłem do pociągu jadącego do Berck. Przyszedł czas, żeby wymazać przeszłość i przebrać się w nowe ciuchy. Julliana Morgana.

Léane musiała zgromadzić siły – nie żeby uciec, ale żeby go zabić. Nie było mowy, żeby zszedł z tych klifów, wsiadł w samochód i odjechał do jej domu.

– Wsiadłem na stacji, przeszedłem sześć kilometrów i dotarłem do willi. Tego wieczoru Julliana nie było w domu, pewnie torturował Giordana, cóż za ironia losu. Zobaczyłem światła jego samochodu, zczekałem, aż wysiądzie, i zaatakowałem go z tyłu. Związałem mu ręce i nogi, zamknąłem w bagażniku terenówki i ruszyłem do Vienne. Oczywiście nie wiedziałem, że pod kurtką miał czapkę Sary, którą znalazł u Giordana i którą udało mu się upchnąć w schowku na koło zapasowe, i że wydrapał na blasze tę cholerną wiadomość. – Pokręcił głową. – Żebyś widziała jego minę, kiedy otworzyłem bagażnik! To było takie... Nie wiem, jak to nazwać.

– Jesteś łajdakiem. Powinieneś być zdechnąć w tym śmietniku.

Zamilkł na dłuższą chwilę. Gasił latarkę i włączał ją, ilekroć usłyszał jakiś dźwięk, jakiś szelest. Léane za każdym razem brakowało sekundy ciemności, by mogła rzucić się do przodu i spróbować cokolwiek zrobić. Ostatecznie zostawił zapalone światło i mówił dalej:

– Zmusiłem go, żeby połknął proszki. I wszystko mu opowiedziałem, tak jak tobie. Mazał się jak dzieciak. Kiedy stracił przytomność, zamieniłem papiery, telefony, klucze. Stałem się Jullianem Morganem. I wrzuciłem go do ognia: nie mógł mieć twarzy ani linii papilarnych. David Jorlain umarł.

W głowie Léane wszystko się kotłowało. Jullian Morgan umarł, a David Jorlain żyje. Zniszczył jej rodzinę. Wystarczyło, by oddał jeszcze jeden, ostatni strzał, a Morganowie zniknęliby z powierzchni Ziemi.

– Kiedy o pierwszej w nocy wróciłem do Natchnienia, musiałem się uporać z niespodzianką w postaci alarmu, zorganizowałem napad na mnie, który miał nastąpić tego samego wieczoru, a wcześniej starannie usunąłem wszystkie ślady śledztwa, które prowadził Jullian. Był naprawdę dobry, wiesz? Trzeba było mieć jaja, żeby dotrzeć do Giordana i do Mistik i zrobić taki kipsisz. Miałaś naprawdę fajnego męża.

Rzucił jej w twarz kilka zdjęć: z psem, z plantacją bananów, z żółwiami.

– Plan musiał być doskonały, Léane, i był bez skazy, mimo tego gówna, jakie nam spadło na głowę. Wystarczyło jedno zdjęcie, które obejrzałem po kryjomu, żebyś uwierzyła, że przypominam sobie tego obrzydliwego kundla albo nasze wakacje. Nie mogłaś się domyślić, nie miałem większego problemu z udawaniem amnezji, bo nic nie wiedziałem o waszym życiu. Najtrudniej było mi się powstrzymać od uduszenia własnego ojca, kiedy stał przede mną. Ale cierpliwie znosiłem ten ból, wiedząc, że i tak drogo za to zapłaci. Jakie to było przyjemne patrzeć, jak się topi!

Zdjął kurtkę i rzucił jej.

– Włóż to.

A więc to już. Léane się nie ruszała. Podszedł do niej i wbił jej lufę pistoletu w dół obojczykowy. Przekręcił, aż krzyknęła.

– No już, nie zmuszaj mnie, żebym był niemły. Już czas, dobrze o tym wiesz. Przecież po to tutaj jesteś, nie? Żeby pójść w ślady twojej bohaterki i zamknąć tę historię tak jak trzeba. Dokończyć książkę twojego życia.

Wykonała polecenie. Wyjść stąd, podejść do przepaści. Na zewnątrz miała większe szanse niż tutaj.

– Możliwe, że psy już znalazły moje ciało. Zostawiłem im tyle wskazówek, że na pewno dotarli do mojego domu i zrozumieli, że cała trójka: David Jorlain, Moriarty i mały Luc Thomas oficjalnie nie żyją. Niedługo śledztwo zostanie zamknięte.

Wyślizgnął się za nią, celując do niej z broni. Léane stała wyprostowana, silna. Życ czy umrzeć, co to za różnica? W przeciwieństwie do niego nie miała już nic do stracenia.

– Nie przyjeżdżałbym tutaj, gdybym miał nadzieję, że obydwójce możemy się z tego wywinąć. Ale, cholera, kiedy pokazałaś mi zdjęcie znad zatoki i kiedy wczoraj wieczorem zobaczyłem, jak odjeżdżasz z walizką, nie dałaś mi wyboru. W ostatnich dniach zaczęłaś mieć poważne wątpliwości. Jesteś za słaba, w końcu wszystko wypaplałabyś temu rudzielcowi, który zabiłby własnego ojca i matkę, żeby cię mieć. Szkoda.

– Co zrobisz? Wpakujesz mi kulkę w głowę?

– Z pistoletu gliny, którego pochowałem? Za duże ryzyko. Nie, po prostu popełnisz samobójstwo. Postanowiłaś się zabić i wybrałaś w tym celu miejsce z zakończenia twojej ostatniej powieści, ponieważ nie możesz już znieść tego, co się wokół ciebie dzieje: śmierć Sary, śmierć mojego ojca, moja amnezja. Policjanci zobaczą na kamerach przy bramkach na autostradzie, że byłaś sama, nie będą mieli żadnych wątpliwości co do okoliczności twojej śmierci. A ja będę dalej grał moją rolę, przejmę dom i całą resztę. Zbuduję sobie nowe życie. Życie, którego mi odmówiono, a które powinienem mieć.

Szybkim ruchem pchnął ją w stronę kładki. Podmuchy wiatru i deszcz mieszały się z jej łzami. Między deskami pomimo roślinności i mroku czuła pod stopami wściekłość morza i gwałtowne ruchy fal, gotowych, by ją pochłonąć, rozszalałe prądy, które będą igrać z jej ciałem, przetaczać je, unosić, by w końcu roztrzaskać o skały jak styropianowy granulaty. I pomyślała, że ta historia nie może się tak skończyć, że owszem, ona z pewnością umrze, ale on nie może żyć dalej i oszukiwać wszystkich, siłą przywłaszczając sobie życie innego człowieka.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Czyli żeby twój plan zadziałał, nie możesz mnie zastrzelić.

I jednym susem rzuciła się na niego, wbijając paznokcie niczym szpony w jego policzki. Atak go zaskoczył i jeden pocisk wystrzelił w stronę nieba, a za nim sam pistolet, który spadł w przepaść, rysując w powietrzu stalową parabolę. Ptaki ukryte w zagłębieniach skał z krzykiem podrywały się całymi chmurami. Obie postaci odbiły się od barierki, wokół nich wszystko huczało – wiatr w jamie, drewno, niebo, zew morza, z daleka można było mieć wrażenie, jakby się oglądało brutalny balet szybkich, tragicznych tancerzy, jak w niemym filmie. Kiedy jedno się schylało, drugie je odwracało, jedno lub drugie zyskiwało przewagę i wszystko zaczynało się od nowa, niczym epicki pojedynek na siły, na odwagę, na wyczerpanie, a nawet na instynkt, jak w walce lwa przeciwko lampartowi, instynkt, który może spotęgować wolę życia tylko po to, żeby przeżyć, aż wreszcie jedno z dwójki walczących przeleciało przez barierkę, potoczyło się po urwistym zboczu porośniętym roślinnością, by ostatecznie runąć w przepaść – biała smuga, ulotna niczym spadająca gwiazda.

I na tym koniec. Znowu pojawiły się ptaki, zwycięzca powstał chwilę na kładce z dłońmi opartymi o barierkę, z głową wciśniętą między ramiona, które podrygiwały w takt jego gwałtownych oddechów, z teatralnie unoszącą się i opadającą klatką piersiową. Następnie wrócił w stronę stałego lądu i zniknął na ścieżce.

Tryumf ostateczny – literackie echo absurdu niespełnionej egzystencji.

Przypisy końcowe

1. Przeł. Elżbieta Derelkowska, Zysk i S-ka, Poznań 2022. [\[wróć\]](#)
2. Zapis oryginalny. [\[wróć\]](#)
3. Fichier national automatisé des empreintes génétiques – Krajowa Elektroniczna Baza Śladów Genetycznych (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Stosowany m.in. we Francji program komputerowy służący do analizy i porównywania przestępstw kryminalnych, pomocny w identyfikacji sprawców seryjnych przestępstw, skupiający się na powiązaniach pomiędzy różnymi przestępstwami popełnionymi przez tego samego sprawcę (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Dwa „r”, jak w oryginale. Adnotacja na marginesie rękopisu Caleba Traskmana wskazuje, że to celowy zabieg. [\[wróć\]](#)
6. Fichier national des comptes bancaires et assimilés. [\[wróć\]](#)
7. W tym miejscu kończy się oryginalny rękopis Caleba Traskmana. Jak zaznaczono w przedmowie, następne strony zostały napisane przez jego syna. [\[wróć\]](#)